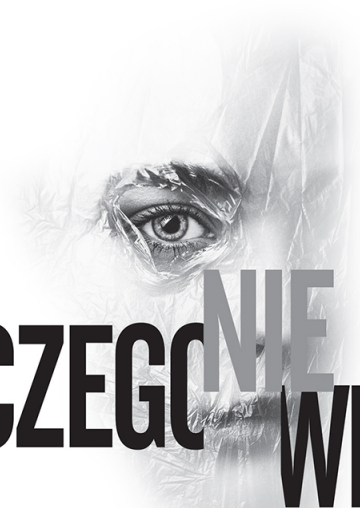


Gdy prawda  
PRZEKRACZA  
GRANICE wyobraźni

# CZEGO NIE WIDAĆ

BRIANNA LABUSKES

LU  
NA



**CZEGO **NIE** WIDAĆ**  
BRIANNA LABUSKES

Przełożyła Danuta Śmierchalska

LU  
NA

Tytuł oryginału: What Can't Be Seen

Text copyright © 2022 by Brianna Labuskes

All rights reserved.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, [www.apub.com](http://www.apub.com), in collaboration with Graal, Sp. z o.o.

Copyright for the Polish Edition © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2022

Copyright for the Polish Translation © by Danuta Śmierzchalska 2022

Wydawca: NATALIA GOWIN

Redakcja: SŁAWOMIR BORKOWSKI

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, ANNA SKÓRA

Projekt okładki: MAGDALENA ZAWADZKA

Zdjęcie na okładce © MAGDALENA RUSSOCKA / Trevillion Images

Skład i łamanie: Perpetuum Design, MARZENA MADEJ

Warszawa 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67406-18-5

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwoluna.pl](http://www.wydawnictwoluna.pl)

[facebook.com/wydawnictwoluna](https://facebook.com/wydawnictwoluna)

[instagram.com/wydawnictwoluna](https://instagram.com/wydawnictwoluna)

Konwersja: eLitera s.c.



Ta opowieść, nazwiska, postacie, organizacje, miejsca, wydarzenia i przypadki są wytworem wyobraźni autorki lub zostały użyte fikcyjnie. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, żyjących lub zmarłych, albo prawdziwych wydarzeń jest czysto przypadkowe.

Dla Meghi Parekh  
za to, że jesteś niezawodną orędowniczką niedoskonałych,  
skomplikowanych kobiecych postaci.  
Ta książka jest dla ciebie

## PROLOG

GRETCHEN

1993

Myślała, że krew okaże się lepka, ale nie... Była ciepła, rzadka i tłusta w dotyku. Coś w głowie kazało Gretchen podnieść palce do ust, by jej posmakować.

Ciotka Rowan patrzyła na nią z łóżka, poruszając wargami. Nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Gretchen wiedziała, że powinna zawołać matkę, że będzie miała kłopoty, jeśli zastaną ją tutaj z nożem w dłoni, który teraz zrobił się śliski.

Nie mogła jednak się cofnąć ani odwrócić wzroku.

Księżyc świecił tak jasno, że wyraźnie widziała pozostawione rany. Brzuch i klatka piersiowa Rowan były rozprute.

Powoli przysunęła się bliżej z niepewnymi, ale zaciekawionymi palcami. W gardle Rowan coś zabulgotało i Gretchen się zastanowiła, czy to z powodu napływu krwi i czy ciotka próbuje ją prosić, by przestała.

To nie miało znaczenia. Rowan nie mogła już nic powiedzieć.

Gretchen patrzyła, jak jej dłoń sięga do przodu, palce ściskają rozdartą skórę i pociągają ją.

Stukot. Szuranie. Dźwięki, których nie powinna tu słyszeć.

Gretchen obróciła się gwałtownie i odruchowo przytknęła nóż do piersi. Krew wniknęła w cienką górę pizamy, którą miała na sobie, i przesiąkając tkaninę, rozmasała się na skórze. Ciepła i wilgotna. Fascynująca.

Pomimo dźwięków, które usłyszała, nikogo nie dostrzegła. Tylko cienie – a te znała, były jej przyjaciółmi.

Gdy Gretchen znów spojrzała w stronę łóżka, oczy Rowan były puste. Ciotka wpatrywała się w sufit bez mrugnięcia, bez ruchu, wyjąwszy te resztki życia, które wciąż wypływały z niej na materac.

Gretchen musiała teraz pójść po matkę.

Zanim zdążyła postawić krok, rozległ się krzyk.

A potem głos, w którym brzmiało pełne przerażenia oskarżenie.  
– Gretchen. Co... Coś ty zrobiła?

# ROZDZIAŁ 1

GRETCHEN

Teraz

Łomotanie.

Muzyka. Światła. Bas dudniący echem w jej klatce piersiowej.

Nie. To nie było w porządku.

Gretchen White zamrugała i zmrużyła oczy przed ostrą, jaskrawą białą słońca wlewającego się do jej sypialni.

Łomotanie.

Tym razem w jej głowie, nie w piersi.

I do drzwi.

Mężczyzna leżący obok Gretchen poruszył się, uniósł na łokciu i z roztargnieniem podrapał po starannie wypielęgnowanych włoskach na brzuchu.

– Złotko?

– Nie jestem twoim złotkiem – burknęła Gretchen, siadając i zanurzając stopy w puszystym dywanie. – Nie panikuj. Ja też nie pamiętam twojego imienia.

Facet jęknął i opuścił głowę z powrotem na poduszkę. Zmierzwione jasne włosy rozsypały się na nieskazitelnej powłoczce w perłowym odcieniu. Kostkami palców przesunął wzdłuż jej nagich pleców.

– Może więc przedstawimy się sobie raz jeszcze?

Nie patrząc, Gretchen sięgnęła za siebie, chwyciła go za nadgarstek i wykręcała, aż usłyszała skowyt bólu. Nie przerywała, marząc o dźwięku pękających więzadeł i łamanej kości. Mężczyzna kopał nogami, próbując się uwolnić, ale nie dałby rady tego zrobić, nie przy sile jej nacisku.

Łomotanie.

Powstrzymując dziki krzyk, który wezbrał w jej krtani, Gretchen puściła wreszcie mężczyznę i wstała.

– Nie chcę cię więcej widzieć.



– Jak mam...

– Przez okno.

Gretchen wiedziała, że facet nie doceni tej rady tak, jak powinien. To podejrzenie potwierdziły rzucane za nią przekleństwa, gdy – wciąż naga – chwiejnie szła do drzwi. Zignorowała go, a jej pamięć już wymazywała wszystko na jego temat poza tym, co dzięki niemu poczuło jej ciało.

Łomotanie.

Przez moment rozważała sięgnięcie po broń, ale instynkt, który zazwyczaj trzymał ją w ryzach, odezwał się szeptem gdzieś z głębi jej piersi. Teraz, mając kilka minut, by zrozumieć, co się dzieje, Gretchen już się domyślała, kto stoi przed jej mieszkaniem. I nie miała najmniejszej ochoty iść do więzienia za zastrzelenie funkcjonariuszki bostońskiego wydziału policji.

Pięść detektyw Lauren Marconi zatrzymała się w powietrzu, gdy w końcu Gretchen szarpnięciem otworzyła drzwi.

Kobieta zachowała niewzruszony wyraz twarzy zarówno wobec nagości Gretchen, jak i powitania, które zawierało najbarwniejszą wiązanek przekleństw, jakie ta miała w swoim słowniku.

– Jak zwykle zachwycająca – powiedziała Marconi, pakując się do mieszkania. – No dobra, minęły trzy miesiące. Dąsałaś się już wystarczająco długo.

Gretchen chwyciła ją za gardło i przyparła do ściany. Obnażyła zęby, a jej wrząca krew pulsowała tą miłą, znajomą wściekłością, na którą rzadko sobie pozwalała.

Teraz łomotanie czuła w żyłach.

– Wydaje ci się, że mnie znasz – wyszeptała. Krawędzie jej pola widzenia zasłzy mgłą. – Myślisz, że obcięłaś mi pazury, mała Bambi. Ale nie zapominaj, kim jestem.

Marconi nawet nie drgnęła w obliczu tej ukrytej groźby, po prostu spojrzała na Gretchen jasnymi, bursztynowymi oczami.

– Socjopatka „niestosująca przemocy”, jeśli dobrze pamiętam – stwierdziła sarkastycznie.

Gretchen przycisnęła kciuk do jej szyi, jednak puls policjantki nadal nie był przyspieszony. Być może powinno to mocniej rozpalić buzującą w niej wściekłość, ale z jakiegoś powodu brak strachu u Marconi był lodem, którego potrzebowała, by odzyskać panowanie na sobą. Mimo to Gretchen trzymała ją przez kolejną długą chwilę.

– Niestosująca przemocy z wyboru – odparła, pilnując, by każde słowo wybrzmiało mocno i groźnie.

Potem nagle opuściła rękę i podeszła do sofy, by wziąć wiszący na niej sweter w zbyt dużym rozmiarze. Włożyła go i skierowała się do kuchni po błogą ulgę, jaką daje kawa.

Wychodząc z salonu, usłyszała trzaśnięcie drzwi i domyśliła się, że jej towarzysz łoża właśnie się pożegnał. Żałowała, że zamiast tego nie spróbował zawisnąć na gzymsie.

– A więc właśnie to zamierzasz teraz robić ze swoim życiem? – zapytała Marconi, podążając za nią. – Czy prochy i seks nie są cokolwiek banalne, nawet dla ciebie?

– Banały istnieją nie bez powodu, kochanie – odparowała Gretchen, ale podniecenie już z niej wyparowało. Teraz czuła tylko ból w mięśniach i kościach. Dawniej po nocy spędzonej w klubie łatwo było zacząć kolejny dzień, z mimozą w jednej ręce i torebką podejrzanych tabletek w drugiej, szukając kolejnych tańszych wrażeń.

Jednak już odwykła od takiego życia. Złagodniała. Po latach nienagannego panowania nad sobą ta zdolność zanikła.

– Jesteś zbyt dobrym psychologiem, żeby nie wiedzieć, że w tej chwili udajesz – powiedziała Marconi, opierając się o kuchenną wyspę.

Gretchen spojrzała na gładkie noże ze stali nierdzewnej stojące obok ekspresu do kawy, ale potrzeba kofeiny wzięła górę nad pragnieniem przebicia tej kobiety ostrym narzędziem.

– Masz szczęście, że głowa mnie boli – mruknęła, nie reagując na oskarżenie. Oczywiście, że wiedziała, co robi. Była nie tylko renomowaną psycholożką, ale i czołową konsultantką bostońskiej policji do spraw przestępczości i antyspołecznych zaburzeń osobowości, takich jak przejawiane przez nią samą. Nawet gdyby nie potrzebowała dogłębnej znajomości własnej diagnozy, aby bezpiecznie funkcjonować, poznałaby ją, ponieważ zamierzała być najlepsza w swoim zawodzie.

Czuła, że jest z nią coraz gorzej. I tylko jedna osoba była temu winna.

Detektyw stała w jej kuchni z rękami w kieszeniach, obserwując Gretchen, jakby miała prawo być nią rozczarowana.

Gretchen wzięła dla siebie kubek, nie proponując niczego Marconi, i podeszła do wielkiego okna wychodzącego na cichą ulicę. Mieszkała w ekskluzywnej dzielnicy, ponieważ śmiało korzystała z ogromnej fortuny, którą odziedziczyła po babce, a która jej pracę dla policji czyniła finansowo

nieistotną. Usiadła, podkulając nogi, na jednym z foteli ustawionych tak, by łapać promienie porannego słońca, i zmierzyła Marconi wzrokiem.

Kobieta miała na sobie to, co Gretchen uznawała za jej wersję munduru: dzinsy, ciemną koszulową bluzkę, masywne botki. Kruczoczarne włosy związała w kucyk, a jej grzywka była równo ucięta nad gęstymi, niewyregulowanymi brwiami. Gretchen kiepsko znosiła fakt, że Marconi tak dobrze wygląda w tym stylu.

– Potrzebujesz sprawy do rozwiązania – powiedziała policjantka, siadając na drugim fotelu. Osobliwie śpiewnym tonem dodała: – A jaka sprawa mogłaby być lepsza od twojej własnej?

Gretchen odwróciła wzrok, żeby nie rzucić kubkiem w twarz Marconi. Sugestia, by przeprowadziła śledztwo w sprawie, która prześladowała ją od dzieciństwa, nie była nowa. Właśnie to trzy miesiące temu, gdy policjantka przesunęła akta po stole, zburzyło jej starannie zbudowany świat.

Te z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Z nazwiskiem Gretchen wydrukowanym wersalikami na etykiecie.

WHITE, GRETCHEN ANNE

Wydawało się, że z jakiegoś powodu Marconi chce rozpruć ją w szwach, żeby zobaczyć wnętrzności.

Tę chęć Gretchen rozumiała lepiej niż większość ludzi. Ów rodzaj emocjonalnej przemocy został wmurowany w same podwaliny tego, co uczyniło ją tym kimś, kim była. Ale wiedziała też, że nici trzymające ją w całości – które nigdy nie były zbyt mocne – są teraz tak postrzępione, że jeśli Marconi się powiedzie, ona nie zdoła pozszywać się z powrotem.

Nawet jako socjopatka Gretchen już dawno zdała sobie sprawę, że jeśli będzie żyła, kierując się jedynie popędami, skończy pozbawiona wolności – albo życia. A wolność lubiła. I swoje życie też. Zatem wynalazła sposób, by trzymać na wodzy odruchy związane z jej diagnozą.

A to życie zależało od trwania w błogim zaprzeczeniu, jeśli chodzi o jej udział w zabójstwie ciotki.

Teraz, po ich wspólnej pracy nad jedną sprawą, Marconi chciała grzebać w przeszłości, przekonana, że mogłyby raz na zawsze oczyścić imię Gretchen.

Jakby to było łatwe, niczym refleksja po fakcie. Coś, o czym Gretchen nie pamiętała, dopóki Marconi nie wpakowała się w jej życie, by naciskać na zajęcie się tą sprawą.

Jakby nie wpłynęła ona na całe życie Gretchen.

Wiedziała, co znajdzie, jeśli otworzy akta sprzed prawie trzydziestu lat. Chociaż z nocy, w której umarła jej ciotka, nie pamiętała niczego poza mglistymi obrazami ciała, cieniami i krzykiem, opis przebiegu wydarzeń słyszała tyle razy, że ta historia zdawała się wyryta w niej aż do kości.

Sensacyjne morderstwo, młodziutka socjopatka, bogata rodzina i zbyt wiele nagłówków, które zakładały winę na długo przed tym, zanim rozważono postawienie jakichkolwiek zarzutów.

Ofiarą brutalnego zakłucia nożem była ciotka Gretchen, Rowan White.

Główną podejrzaną zawsze była Gretchen, pomimo że w chwili zabójstwa miała zaledwie osiem lat.

Nie mogła nawet nikogo za to winić. Znaleziono ją z narzędziem zbrodni w ręce, zakrwawioną, gdy stała nad ciałem Rowan, pakując palce do jej rany.

Rowan umarła w swoim łóżku i nie miała żadnych obrażeń wskazujących na to, że się broniła. Wyglądało to raczej tak, jakby Gretchen zakradła się w nocy i zadźgała śpiącą ciotkę.

Morderstwo z zimną krwią.

Wtedy w prasie zaczęły ukazywać się opowieści. O tym, jak dzika była Gretchen, jaką werbalną agresję wobec innych uczniów w klasie potrafiła przejawiać, jak dziwne zdaniem nauczycieli były jej puste spojrzenie i drapieżny uśmiech.

Być może detektyw Patrick Shaughnessy, kierujący dochodzeniem w tej sprawie, sprawdzał inne tropy – nie wiedziała tego. Jednak zawsze wracał do niej.

Żaden inny prawdopodobny podejrzany nigdy się nie pojawił.

Tej nocy w domu nie było śladów włamania ani obecności nikogo poza matką i siostrą Gretchen – obie zostały wykluczone dzięki ekspertyzie kryminalistycznej. Żadnych odcisków palców na narzędziu zbrodni – nożu zabranym z kuchni White'ów – poza należącymi do członków rodziny.

I nawet jeśli obwinienie Gretchen było rozwiązaniem najprostszym, nie znaczyło to, że niewłaściwym. Nie każde zabójstwo jest skomplikowane: czasami śmierć jest dokładnie taka, na jaką wygląda. Gdyby Gretchen dziś dostała tę sprawę, postawiłaby na siebie jako sprawczynię.

To powinna być – byłaby – zamknięta sprawa, jej wina wydawała się oczywista dla każdego, kto widział miejsce zbrodni. Jednak wpływowa rodzina Gretchen pokrzyżowała Shaughnessy'emu szyki. Edith White, jej babka, przekonała prokuratora, że dziewczynka mogła po prostu

przypadkiem trafić na miejsce zbrodni. Być może nikomu innemu by to nie wystarczyło, ale White'owie wpompowali w polityczne elity miasta wystarczająco dużo pieniędzy, aby oskarżyciel podzielił jej argumenty.

To nie powstrzymało zacnych mieszkańców Bostonu ani reszty kraju od spekulowania. Ich uwagę przykuł skandaliczny, ekscytujący charakter tego mordu.

Nawet gdy zainteresowanie opinii publicznej przeniosło się na kolejne ponure zbrodnie z pierwszych stron gazet, większość ludzi uważała, że morderstwo uszło Gretchen White płazem.

Do dziś, po latach pracy z Shaughnessym w roli cenionej konsultantki bostońskiej policji, detektyw nigdy nie dał jej zapomnieć, że jest dla niego zabójczynią, która była wystarczająco bogata, by uniknąć więzienia.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś, gdy cię spytałam, dlaczego zajmujesz się sprawą Violi Kent? – odezwała się Marconi.

Gretchen nie zaszczyciła jej odpowiedzią. Oczywiście, że pamiętała, tak jak pamiętała większość rzeczy. Sprawa Violi Kent była powodem, dla którego Marconi znalazła się w jej życiu, i Gretchen tęsknie myślała o alternatywnej sekwencji wydarzeń, w której nie poznałaby tej policjantki, stojąc nad ciałem swojej przyjaciółki Leny Booker. Tak czy owak pytanie było retoryczne, więc po prostu nadal popijała kawę. Marconi zamierzała kontynuować bez względu na to, czy Gretchen uczestniczyła w rozmowie, czy nie.

– Powiedziałaś: „Z ciekawości” – ciągnęła zgodnie z jej oczekiwaniem.

– Przejdź do rzeczy albo wyjdź. Ale masz czas, dopóki tego nie skończę – Gretchen wykonała gest kubkiem – bo potem wyrzucę cię przez okno.

Gdyby mieszkała w penthousie, a nie w przebudowanej kamienicy, groźba byłaby pewnie bardziej przekonująca, niemniej najistotniejsza część tego komunikatu została przekazana: „Wynocha z mojego domu albo klasyfikację »niestosująca przemocy« diabli wezmą”.

Marconi wbiła wzrok w jej twarz.

– Czemu nie jesteś ciekawa, Gretchen?

– Doktor White – poprawiła ją. Ta kobieta poczuła się przy niej zbyt swobodnie, a pracowały razem zaledwie kilka dni, które zajęło im wyświetlenie tajemnicy Violi Kent. Należało na nowo wytyczyć, wzmocnić i utrzymać granice. Z pewnością nie były przyjaciółkami, nawet nie partnerkami. Były po prostu dwiema osobami, które przypadkiem zostały

połączone przez martwe ciało i trzynastoletnią psychopatkę wrobioną w zabójstwo.

Nic więcej, nic mniej.

– Doktor White – powtórzyła za nią Marconi, przechylając lekko głowę. Gretchen szukała w tych słowach śladu sarkazmu lub goryczy, ale nie znalazła. – Dlaczego nie ciekawi cię twoja własna sprawa?

Odpowiedź, gdyby Marconi zastanowiła się nad tym wystarczająco długo, byłaby oczywista.

„Bo myślę, że mogę być winna”.

Gretchen nigdy tego głośno nie przyznała. Nawet nie zrobiła aluzji. Ale w głębokim zakamarku duszy, gdzie była ze sobą szczerą, wiedziała, że właśnie tego się obawia.

Wiedziała, że to dlatego w ciągu prawie trzydziestu lat, które minęły, odkąd znaleziono ją nad martwą ciotką, ani razu nie spróbowała szukać innego podejrzanego. Że właśnie z tego powodu nawet nie odszukała swoich akt, kiedy uzyskała dostęp do policyjnej bazy danych.

Przy jej wykszoleniu, wysokich stopniach naukowych z psychologii i kryminologii oraz dziesięcioletnim doświadczeniu jako niezależnej konsultantki bostońskiej policji pracującej przy śledztwach związanych z zaburzeniami osobowości jedno spojrzenie na szczegóły tej sprawy mogło potwierdzić, że jej najgłębszy lęk jest uzasadniony.

Przed światem Gretchen kpiła z poglądu, że jest winna zabójstwa swojej ciotki Rowan, szydziła z detektywów, którzy zamiast wykonywać swoją pracę, zrobili kozła ofiarnego z ośmiolatki, bezwzględnie tępiła wszystkich gliniarzy, którzy odmawiali współpracy z nią ze względu na jej przeszłość.

W głębi duszy jednak zdawała sobie sprawę, do czego jest zdolna. Jako socjopatka wiedziała, że powab krwi, rozdartego ciała, przemocy i paskudnych ran jest zbyt kuszący, by uwierzyć, że nigdy by mu nie uległa. W końcu była wtedy dzieckiem. Jej rozumowanie i logika – właśnie to, na czym tak bardzo polegała jako dorosła, by trzymać swoje impulsy w ryzach – jeszcze się nie rozwinęły.

Co dziewczynka, która nie bała się konsekwencji, wiedziała o powściągliwości?

Fakt, że Gretchen nie pamiętała niczego z tamtej nocy, Shaughnessy zawsze uważał za kolejny dowód, że to ona zabiła. Uznawał, że była zbyt młoda, by wymyślić lepsze wytłumaczenie dla tego, co robiła w pokoju Rowan.

„Nie było tam nikogo innego?”, drążył bezlitośnie i na rozmaite sposoby, jakby zmiana pytania miała odsłonić kłamstwo Gretchen.

„Nie pamiętam”. To było wszystko, co potrafiła powiedzieć. Adwokat rodziny siedział obok niej z kamienną twarzą, gotowy powstrzymać Shaughnessy’ego, gdyby usłyszał choćby cień groźby.

„Dlaczego byłaś w jej pokoju?”.

„Nie pamiętam”.

„Dlaczego trzymałaś nóż?”.

„Nie pamiętam”.

Przesłuchanie przebiegało właśnie w taki sposób, nie tylko pierwszej nocy, gdy Gretchen nadal miała za paznokciami zaschniętą krew, ale i po tygodniach, gdy Shaughnessy desperacko próbował cokolwiek udowodnić. Złamać Gretchen.

W końcu była to jego pierwsza wielka sprawa dotycząca morderstwa, plama w jego aktach, którą prawdopodobnie nadal uważał za niezmazaną.

– Myślisz, że to zrobiłaś – stwierdziła w końcu Marconi. To nie brzmiało jak stwierdzenie prawdy, było raczej ostrożnym dźgnięciem we wrażliwe miejsce. – Twoim zdaniem wszyscy uważają, że to zrobiłaś, tyle że po prostu cię nie złapano.

Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie Marconi od niej usłyszała, ta ostatnia część niemal słowo w słowo. I Gretchen zastanowiła się, czy aby nie jest tak, że – nawet po zamknięciu sprawy Violi Kent, nawet po tym, jak to wszystko się rozegrało – wciąż nie docenia tej kobiety.

A Marconi miała rację. Chociaż Gretchen nie zajrzała do akt, wiedziała, że w tej sprawie fakty nie przemawiają na jej korzyść. To nie brak dowodów sprawił, że uniknęła konsekwencji.

Z jakiegoś powodu Marconi była jednak przekonana o jej niewinności. Ten czysty optymizm, czyste przekonanie były tak uzależniające, jak wszelkie narkotyki, których Gretchen próbowała. Czy naprawdę można ją było winić, że chce je sobie wstrzyknąć w żyłę?

– Powiedz mi. – Marconi trąciła butem bosą stopę Gretchen. – Spraw, żebym w to uwierzyła, a sobie pójdę.

Gretchen nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać, chociaż nie zносиła być podpuszczana:

– Co mam ci powiedzieć?

Marconi uśmiechnęła się szeroko.

– Powiedz, że nie chcesz udowodnić, że oni wszyscy się mylą.



## ROZDZIAŁ 2

SHAUGHNESSY

1983

Patrick Shaughnessy przywykł do jeżdżenia w jasnych światłach miasta. Z prawdziwą ciemnością po raz pierwszy zetknął się podczas jednej z rzadkich rodzinnych wycieczek do domku swojej babki na wybrzeżu Maine.

Nienawidził tego zarówno wtedy, jak i teraz – wrażenia pustki, czerni pochłaniającej powietrze, przestrzeń i ziemię aż po ostatnie resztki.

– Dlaczego prowadzisz, jakbyśmy jechali po wypłatę emerytury? – zapytał detektyw Liam Boyd siedzący na fotelu pasażera.

Shaughnessy zerknął na niego, ale nie widział zbyt dobrze twarzy kolegi poza wyraźnym zarysem profilu: szerokim, wydatnym nosem, wystającym podbródkiem. Mimo to potrafił sobie wyobrazić zarozumiały uśmiech, który pojawiał się u Boyda, kiedy ten myślał, że powiedział coś szczególnie mądrego.

Nienawidził go niemal tak samo jak wyjeżdżania z Bostonu w ciemności. Przeklął w myślach wąski skrawek jurysdykcji, który przylegał do rozległych lasów stanowych, gdzie w jego przekonaniu nikt o zdrowych zmysłach nie powinien się zapuszczać. Powstrzymał się jednak i nie sklął Boyda. Shaughnessy był nowicjuszem, świeżo po akademii, bardziej kierowcą niż partnerem. Boyd – złotym chłopcem wydziału, przystojnym, czarującym i obdarzonym niezawodną zdolnością rozwiązywania nierozwiązywalnych spraw. Gdyby się rozniosło, że Shaughnessy nie potrafi znieść łagodnego nabijania się z jego strony, równie dobrze mógłby się przenieść do innego stanu, a i tak nie odzyskałby reputacji.

Zatem zamiast się bronić, wcisnął gaz i zmrużywszy oczy, wpatrywał się w nicość przed nimi, modląc się po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Boyd coś mamrotał obok niego, ale tym razem Shaughnessy nie odrywał wzroku od drogi. Za zakrętem przyspieszyli. Nagle oślepiły go światła, więc

zdjął nogę z pedału gazu, a potem znów go nacisnął.

Białe plamy błysnęły w polu widzenia, gdy minęli się z jakimś autem.

I znów zapadła ciemność.

Shaughnessy chciał ponownie obejrzeć mapę, a właściwie sprawdzić, czy nie ma innej trasy, chociaż wiedział, że są na właściwej drodze.

To było ich ostatnie wezwanie tej nocy i Boyd już kilka razy narzekał, że spóźni się na randkę, jeśli ta interwencja w związku z awanturą domową potrwa dłużej niż zapukanie do drzwi, by się upewnić, że wszyscy wciąż żyją.

Chociaż Shaughnessy nie znał jeszcze Boyda zbyt dobrze, domyślał się, że facet uważa to wezwanie za nieliczące z jego godnością. Jednak w tym czasie akurat byli w okolicy w innej sprawie i nawet Boyd nie mógł się sprzeciwić rozkazom szefa.

– Chryste Panie, zdążymy osiwieć, zanim tam dojedziemy – odezwał się Boyd. Może i był gwiazdą wydziału, ale dowcipem nie grzeszył. Wszyscy się śmiali, kiedy mówił takie rzeczy, ale zawsze było to udawane. Shaughnessy nie wysilił się nawet na uprzejmy chichot.

Minęli kolejny zakręt. Shaughnessy zwolnił instynktownie, a potem przyspieszył, gdy zorientował się, co zrobił.

– Daj mi znać, jeśli zechcesz, żebym cię zmienił – dodał prowokująco Boyd.

Młody policjant mocniej ścisnął kierownicę, mrugając, gdy srebrzysta bariera przy szosie migąła mu przed oczami, a jego mózg desperacko próbował ustalić ich położenie. Boyd nie dawał za wygraną, prawdopodobnie znudzony jego milczeniem.

– Nic dziwnego, że nie potrafisz utrzymać partnera – rzucił od niechcienia. – Prowadzisz jak tchórzliwa dziewczuszka.

Shaughnessy poczuł, jak gorąco oblewa mu szyję, pełznąc wzdłuż szczęki i za uszami. Zdawał sobie sprawę, że przy świetle ten rumieniec gniewu byłby wyraźnie widoczny.

– Zamknij mor...

Słowa zamarły w powietrzu między nimi, gdy reflektory samochodu pochwyciły błysk bieli.

Postać. Pośrodku drogi.

Gwałtownie wcisnął hamulec, tylne koła w proteście ześlizgnęły się w bok. Mimowolnie zamknął oczy, czekając na głuchy odgłos zderzenia ciała i karoserii.

Tymczasem auto zatrzymało się milimetry od nóg dziewczyny.

– Niech to szlag! – Boyd wykonał szybki znak krzyża.

Tymczasem Shaughnessy nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, jej bladej jak papier twarzy, oczu jak głębokie, przerażające kałuże. Część jego umysłu odnotowała, że ręce miała do tego stopnia pokryte krwią, że kapała ona na nawierzchnię szosy. Że pomimo zimnej wrześniowej nocy była ubrana jedynie w koszulkę i cienkie spodnie. Zapamiętał też kierunek, z którego przybiegła – żeby później mogli spróbować odtworzyć jej drogę.

Jednak przede wszystkim wpatrywał się w jej usta, gdy w kółko układały się w jedno słowo:

– Uciekaj.

Gdy z trudem wysiadał z samochodu, nogi mu drżały, a Boyd klął za nim. W następnej chwili oboje stali skąpani w niebieskich i czerwonych światłach, które błyskały na bladej skórze dziewczyny, i śliskiej wilgoci spływającej po jej rękach.

– Panienko – odezwał się Shaughnessy, starając się zachować najłagodniej, jak umiał, i nienawidząc swojego twardego akcentu z dzielnicy Southie, który sprawił, że wzdrygnęła się, gdy wyciągnął do niej dłoń. Zastygł z rękami uniesionymi w powietrzu. – Jesteś bezpieczna. Nic ci nie będzie.

Powtarzał tę obietnicę, przysuwając się bliżej i starając, by jego zbyt duże ciało wydawało się mniejsze.

Ona tylko mrugała, patrząc na niego, wciąż gotowa do ucieczki.

– Nic ci nie będzie. – Wiedział, że uczono go, co mówić w takich sytuacjach, ale jedyne, co teraz przychodziło mu do głowy, to łagodne uspokajanie. – Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Wystraszone spojrzenie, które wędrowało w stronę Boyda, wróciło do Shaughnessy'ego.

– Nazywam się – powiedziała cicho. Głos dziewczyny był równie delikatny jak ona cała. – Nazywam się.

Wymawiała te słowa tak, jakby dopiero uczyła się mówić.

– Wiesz jak? – zapytał ostrożnie, zastanawiając się, w co się tutaj wpakował. Boyd stał za nim, trzymając koc. Ale podobnie jak on wydawał się znieruchomiały, jakby bał się jeszcze bardziej przestraszyć dziewczynę.

Wypuściła głośno powietrze i ten drżący dźwięk sprawił, że w Shaughnessym coś pękło.

– A pan? – zapytała zamiast odpowiedzieć.

To była jedna z tych rzeczy, od których należało zacząć.

– Detektyw Patrick Shaughnessy, wydział policji w Bostonie.

– Shaughnessy – powtórzyła, jakby wypróbując to nazwisko. W jej ustach brzmiało o wiele bardziej lirycznie niż kiedykolwiek u innej osoby.

– Tak – potwierdził z lekkim skinieniem głowy. – A ty?

– Nazwiska... One mają znaczenie, prawda? – odparła, mrugając oślepiona światłem reflektorów, i przez chwilę w desperacji pomyślał, że może powinni sprawdzić, czy nie jest ranna w głowę.

– Chyba tak – odparł ostrożnie, robiąc krok do przodu. Tym razem się nie przestraszyła, nie skuliła i to małe zwycięstwo sprawiło, że ciepło rozkwitło mu w piersi. Znowu zapytał: – Możesz mi podać swoje?

Wciągnęła powietrze, objęła się zakrwawionymi, poranionymi ramionami i wyszeptała:

– Nazywam się Rowan White.

## ROZDZIAŁ 3

TABBY

1992

Tabitha Cross zignorowała odgłos butelki whiskey jej ojca uderzającej o podłogę. Nie roztrzaskała się dramatycznie, raczej wylądowała z hukiem. Smutna i pusta. Tak jak ten dom, tak jak oni.

Ręka Leviego Crossa bezwładnie zwisała z boku kanapy, jego palce dotykały drewnianej podłogi. Paznokcie miał brudne i połamane. Kiedyś były zadbane, przycięte i czyste. Kiedyś Levi Cross zaczął mieć to gdzieś.

Kiedy umarła Jenny.

Nie zwracając uwagi na charkot flegmy, gdy głośno wciągał powietrze, schyliła się, by podnieść porzuconą butelkę Jacka Danielsa i poszła do kuchni, by dostawić ją do szeregu poprzedniczek. Czasami zbierała je do plastikowych worków i zawoziła do kontenerów na stacjach benzynowych. Wyrzucała je tam, by sąsiedzi nie widzieli dowodów rozpaczy Leviego leżących przy krawężniku w dzień wywozu śmieci.

To nie była wina jej ojca. Winny był potwór, który zabił Jenny. Gdyby go złapano, gdyby poniósł karę, jej tata poczułby się lepiej.

Przynajmniej tak sobie mówiła.

Kiedyś prawdopodobnie nawet w to wierzyła. Z pewnością tak, kiedy była dziesięcioletnią dziewczynką, a śmierć Jenny była świeżą, bolesną raną. Ale to było prawie dekadę wcześniej. Teraz Tabby miała dziewiętnaście lat, a zabójca Jenny wciąż nie został znaleziony. Policjantom nawet nie przyszedł do głowy inny podejrzany poza jej ojcem – który prędzej sam by się zabił, niż tknął Jenny – i tajemniczym starszym chłopakiem, o którym szeptali jej przyjaciele i który nigdy się nie zmateriałizował.

W chwilach najbrutalniejszej szczerości Tabby przyznawała, że na tym etapie ojciec jest już praktycznie martwy. Dziś nawet schwytanie zabójcy Jenny nie wystarczyłoby, by przywrócić Leviego światu.

Jej ojciec zmarł tej samej nocy co Jenny. Tyle że dla niego było to może nawet gorsze. Tkwił uwięziony wśród żywych, torturowany świadomością, że jest tutaj, a nie ze swoją córką.

Fakt, że została mu jeszcze jedna, wydawał się nie mieć znaczenia. Tabby mu nie wystarczała. Nigdy nie wystarczała.

Tabby przeszła przez ich niewielki dom, po drodze wyłączając światła, zbierając śmieci i rzeczy do prania. Na chwilę przystanąła pod drzwiami pokoju Jenny – zawsze, absolutnie zawsze zamkniętymi. Kiedyś tam weszła. Miała wtedy dwanaście lat. Jenny nie żyła od dwóch, a Tabby chciała wziąć książkę, którą siostra trzymała przy łóżku.

To był jedyny raz, gdy Levi uderzył Tabby. Mocno, w twarz. Cios powalił ją na podłogę. Levi szlochał, wpatrując się w swoją rękę, jakby nie należała do niego.

Od tamtej pory nie wchodziła do środka.

Jednak Tabby lubiła tam przystawać. Lubiła wspominać chwile, gdy przykładła ucho do szpary przy dywanie, próbując usłyszeć, jak Jenny rozmawia przez telefon.

Kiedy gliniarze dali spokój Leviemu i skupili się na teorii o tajemniczym starszym przyjacielu, wciąż pytali Tabby, czy słyszała, jak Jenny do kogoś dzwoni, do jakiegoś konkretnego chłopaka, być może ukrywając to przed ojcem.

Tabby mogła powiedzieć detektywom jedynie to, że był jakiś mężczyzna. Poznał Jenny podczas jesiennego festynu w jej liceum, kilka tygodni przed jej zniknięciem. Rozmawiał z nią, dał jej swój numer telefonu. Ale to nie było nic nowego.

Chłopcy zawsze zagadywali do Jenny, kiedy zabierała Tabby do centrum handlowego czy supermarketu. Jedynym powodem, dla którego Tabby w ogóle przypominała sobie to spotkanie, kiedy gliny ją maglowały, było to, że Jenny zmitrężyła na nie mnóstwo czasu i sprzedawca waty cukrowej zamknął już stoisko, gdy do niego dotarły. Tabby wpadła w histerię i Jenny nazwała ją małym dzieckiem, przez co Tabby rozplakała się jeszcze mocniej.

Detektywi w napięciu słuchali tej opowieści. Wpatrywali się w nią głodnym wzrokiem.

Czy mogłaby opisać tę osobę?

– Blondyn. – To wszystko, co mogła powiedzieć. Mężczyzna z festynu w liceum Phillipsa był starszy, dorosły, a dzieci wygląd dorosłych

pamiętają raczej ogólnie.

To wystarczyło, by potwierdzić słowa kilku koleżanek Jenny – że na festynie poznała jakiegoś starszego chłopaka. Tego samego, który – jak zeznały – czekał na nią czasem po treningach hokeja na trawie. Również w dniu, kiedy po raz ostatni widziano ją żywą.

Levi ścisnął nadgarstki Tabby, a jego oczy były przerażające, szeroko otwarte i ciemne, gdy błagał ją, by sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała jego imię. To wszystko, czego potrzebowali, tylko imienia.

Czasami zastanawiała się, czy Levi winił ją za to, że nie wiedziała. Nie celowo, oczywiście, ale zabójstwo Jenny w jakiś sposób wydobyło z jej ojca najgorsze demony. Czasem przyłapywała go, jak przygląda się jej zbyt uważnie, jakby myślał, że ukrywa odpowiedź, jakby – choćby w maleńkim stopniu – była jednak współwinna.

Wydawał się nie rozumieć, że dałaby wszystko, żeby wiedzieć.

Ruszając w końcu spod pokoju Jenny, Tabby skierowała się na tyły domu do małego – wielkości schowka na szczotki – gabinetu, który zamykała na klucz. Nie żeby Levi naprawdę mógł zawędrować poza swoje obecne terytorium – kanapę, kuchnię, miejsce przed pokojem Jenny. Jednak nie chciała, by się tam kręcił.

Otworzyła drzwi i usiadła w fotelu za podniszczonym biurkiem, które pewnego szczęśliwego dnia w zeszłym roku uratowała z wysypiska. Skupiła uwagę na leżących na nim policyjnych aktach, które znała już niemal na pamięć.

Minęło pół roku od momentu, gdy w końcu udało jej się zdobyć fałszywy dowód tożsamości, by móc wejść do policyjnego baru. Powiedziała sobie, że idzie tam ze względu na dogodną lokalizację w jej okolicy. No i fakt, że tamtejszy bramkarz nigdy nie sprawdza dokumentów zbyt dokładnie, bo jakież nieletni delikwent wkradałby się do baru znanego z tego, że jego stałymi bywalcami są bostońscy gliniarze?

Ale tak naprawdę wiedziała, że powód jest inny – nie potrafiła pozbyć się myśli, że w aktach Jenny może coś być. Coś, czego gliniarze nie uznali za ważne. I gdyby tylko miała tę teczkę, udałoby jej się rozwiązać zagadkę śmierci Jenny.

Trzy miesiące zajęło jej przyciągnięcie uwagi nowicjusza o młodzieńczej twarzy, a potem trzy tygodnie, zanim zdołała go przekonać, aby przekazał jej akta.

Nikt tego nie zauważył, zapewniła go.



W końcu Jennifer Cross była tylko nierozwiązaną sprawą z początku lat osiemdziesiątych.

Akta nie zawierały niczego nowego. Mogła się tego spodziewać, bo takie było życie Tabby. Nigdy nie miała szczęścia.

Ale od czytania ich na nowo gorsze było tylko nieczytanie ich na nowo.

Levi nie był jedyną osobą w tym domu, która szukała zapomnienia przez robienie sobie krzywdy. Tabby miała po prostu inne metody zadawania sobie bólu.

Teraz patrzyła na zdjęcia zmasakrowanego ciała siostry i cierpliwie czekała, by ogarnęło ją znajome odrętwienie.

## ROZDZIAŁ 4

GRETCHEN

Teraz

– Przyniosłaś akta Rowan, prawda? – zapytała Gretchen. Gdyby Marconi oczekiwała innego potwierdzenia, że może wreszcie zdołała do niej dotrzeć, czekałaby bardzo długo.

Policjantka nie odpowiedziała, tylko schyliła się, by sięgnąć do torby. Potem triumfalnie się wyprostowała, trzymając dokumenty w ręce.

Gretchen spojrzała na nie, ale ich nie wzięła.

– A co na to wszystko mówi Shaughnessy?

Po raz pierwszy podczas tej wizyty Marconi się zawahała. Po chwili milczenia wzruszyła ramieniem.

– Entuzjastą nie jest.

Zważywszy na to, że prowadził śledztwo w sprawie Rowan, Gretchen uznała, że to mało powiedziane.

– Nie martwisz się tym? – Nie obchodziło jej, co myśli Shaughnessy, ale ta kobieta była teraz jego partnerką. A jako empatka – tę etykietkę Gretchen przywykła nadawać „normalnym” ludziom, kiedy ci zaczęli nazywać ją socjopatką – Marconi bardziej niż ona dbała o dynamikę relacji interpersonalnych.

– Nie bez powodu wzięłam urlop – odparła policjantka beznamiętnie.

Gretchen wybuchnęła śmiechem, starając się, by zabrzmiał nieco okrutnie, bo nie spodobał jej się nieokreślony trzepot w klatce piersiowej na myśl, że Marconi się o nią troszczy. Socjopaci mogą mieć przyjaciół, jak Gretchen wielokrotnie jej powtarzała. Potrzebują w życiu ludzi, którzy dokładnie wiedzą, z kim mają do czynienia, i nie domagają się niczego więcej. To jednak nie znaczy, że proces zawierania przyjaźni jest przyjemny.

– Jeśli chcesz tracić urlop na mnie, to twoje życie jest jeszcze żałośniejsze, niż przypuszczałam – powiedziała ostro i szyderczo. – A i tak

poprzeczka była już nisko zawieszona.

Policjantka przewróciła oczami i pokazała jej środkowy palec. Gest, który stał się powszedni po wspólnej pracy nad jedną zaledwie sprawą.

Nie żeby Marconi zostawiła Gretchen w spokoju w ostatnich trzech miesiącach po zamknięciu sprawy Kent. Niejeden raz tu przychodziła, próbując wyrwać ją ze stanu zawirowania, w który sama tę kobietę wepchnęła, zmuszając ją, by stawiała czoło swojej przeszłości.

– Co powiedziałaś? – zapytała donośniej. Gretchen skrzywiła się, bo kac znów dał o sobie znać. – Nie dosłyszałam, bo to twoje życie tak głośno wymykało się spod kontroli.

– Błagam – wymruczała miękko Gretchen, teraz już rozbawiona. – Jeszcze nie widziałaś mnie tracącej kontrolę.

Marconi kiwnęła głową w stronę drzwi, subtelnie przypominając, że wcześniej została do nich przyparta.

Gretchen się zaśmiała.

– To, że będziesz miała siniaki zamiast otwartej rany w klatce piersiowej, powinno ci wyjaśnić wszystko, co musisz wiedzieć o moim panowaniu nad sobą.

Kącik ust Marconi drgnął w uśmiechu.

– Jesteś moją idolką.

Łagodny sposób, w jaki ją zbyła, normalnie rozsierdziłby Gretchen, ale była zbyt zmęczona miesiącami nadmiernego picia i zbyt małej ilości snu. Staranie się, by nie przekroczyć granicy samokontroli, zawsze ją wycieńczało. Jednak i pozwolenie sobie na zstąpienie w otchłań, napawanie się popędami zamiast ich powściągnięcia, było wyczerpujące. Nie tyle samo błogie uczucie ich wyzwalania, ile hamowanie każdego ranka. Coraz trudniej jej było pamiętać, że lubi swoje życie bardziej niż rozkosz zaspokajania pragnień.

– Potrzebujesz nowej sprawy – powtórzyła Marconi, rzucając akta na mały stolik kawowy stojący między nimi.

Gretchen przestała odpowiadać na telefony z bostońskiej policji w dniu, gdy Marconi podsunęła jej te akta po lepkiem stole w pizzerii, gdzie świętowała zamknięcie śledztwa w sprawie Violi Kent.

Ostatecznie telefony ustały, a na końcu jej ulicy zaczął pojawiać się Shaughnessy w ciemnym sedanie.

Obserwował Gretchen niemal przez całe jej życie, czekając, aż znów straci kontrolę. Jej samozwańczy strażnik pomimo tego, że nigdy nie

została oskarżona o żadne przestępstwo. Wykorzystywała tę jego obsesję jako motywację, by trzymać w ryzach swoje bardziej destrukcyjne popędy. Żyła, kierując się jedną nadrzędną zasadą – nie przyznać Shaughnessy’emu racji, odmówić potwierdzenia jego podejrzeń, że była nikim innym, jak tylko zabójczynią, której nie można złapać.

Jednak po blisko trzydziestu latach jej prawie idealnego sprawowania – nie mogła zaprzeczyć, że raz czy dwa zdarzyło jej się złamać kilka kości, razy czy dwa z rozmysłem wyjęła nożyczki – zaczynał węszyć za każdym razem, kiedy kontakt z nią urywał się na dłużej niż parę tygodni.

Nie zdarzyło się tak od lat, odkąd była regularnie wzywana do pomocy przy śledztwach dotyczących zabójstw. Pomagały zaspokoić jej pragnienia, odbierały potrzebę przemocy i destrukcji, do czego przyznała się Shaughnessy’emu.

Marconi miała rację bez względu na to, jak bardzo Gretchen nie chciała przyjąć tego faktu do wiadomości. Potrzebowała nowej sprawy.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu naprawdę pozwoliła sobie rozważyć myśl, że jest niewinna – i nie była to odruchowa, obronna reakcja, odszczekiwanie się Shaughnessy’emu, gdy ten wspominał o możliwości, że jest zabójczynią.

– Przedstaw mi swoją teorię – powiedziała, zamiast sięgnąć po akta.

Błysk triumfu na twarzy Marconi został szybko zastąpiony przez neutralny wyraz twarzy.

– Ktoś chciał cię wrobić, żebyś została skazana.

– Tak... – odparła Gretchen powoli, wiedząc, że jej ton brzmi nieprzyjemnie. Skoro jest niewinna, to musi być oczywista alternatywa. – Ale kto?

– Właśnie po to jesteś mi potrzebna – stwierdziła Marconi niezrażona. – Tylko tyle mogę wywnioskować z raportu Shaughnessy’ego na temat tego zajścia.

Zajście. To taki bezbarwny eufemizm na określenie brutalnego zabójstwa kobiety, która została zadżgana we własnym łóżku, kiedy spała. Przypuszczalnie zaatakowana przez swoją niestabilną emocjonalnie ośmioletnią bratanicę.

Gretchen wstała, rąbek swetra ocierał się o jej uda. Odsunęła zasłonę i omiotła wzrokiem ulicę, dokładnie wiedząc, co zobaczy.

– Przyprowadziłaś przyjaciela.

– Tkwiał tam już, kiedy przyjechałam – sprostowała Marconi, jakby to było normalne, że Shaughnessy z końca przecznicy obserwował dom Gretchen. Facet zanotował poważne osiągnięcia jako policjant, ale to nie znaczyło, że nie ma pewnych niepokojących dziwactw, w szczególności obsesyjnej natury. Dla każdego, kto przestrzega normalnych zasad społecznych, jego zachowanie przekraczałoby dopuszczalne granice.

– Zatem wie, że tu jesteś.

Marconi znów wzruszyła ramionami.

– Jak mówiłam, jestem na urlopie.

Dlaczego? – Gretchen chciała zapytać. Dlaczego to robisz? Dlaczego ryzykujesz dla mnie karierę?

Jednak tego nie zrobiła. Dawno temu zrezygnowała z prób zrozumienia motywacji ludzi emocjonalnych i sentymentalnych.

Nasunęło jej się jeszcze jedno pytanie. A co się stanie, jeśli odkryjemy, że faktycznie zabiłam Rowan?

I znów nie powiedziała tego na głos. Marconi była rozsądniejsza od wielu partnerów, z którymi Shaughnessy pracował przez lata, potrafiła myśleć w kategoriach szarości zamiast czerni i bieli, jak większość przedstawicieli prawa.

Jednak miała moralny kompas, a ten wskazywał północ. Nawet jeśli się wydawało, że jest teraz po stronie Gretchen, trudno byłoby jej odrzucić solidne dowody wskazujące, że jest ona winna morderstwa z zimną krwią.

Myśl, że pojawiłby się jakikolwiek dowód świadczący o tym, że miała zostać kozłem ofiarnym, mogła wydawać się kusząca, ale Gretchen była zbyt trzeźwą realistką, by naprawdę uwierzyć w taki rozwój wydarzeń.

Całkiem możliwe, że zamiast tego znajdą coś, co w końcu pozwoli Shaughnessy’emu ją aresztować. Spełni się jego największe marzenie.

Nie odrywając wzroku od samochodu detektywa, Gretchen zapytała:

– Od czego zaczniemy?

– Po pierwsze musimy ustalić, kto wiedziałby, jak cię zrobić – odpowiedziała Marconi. – A potem kto miałby motyw, żeby zabić Rowan.

Gretchen powstrzymała się od złośliwej odpowiedzi na tę oczywistą krótką listę zadań i tylko skinęła głową.

– To byłby dobry punkt zaczepienia.

Słyszając jej ton, Marconi przewróciła oczami.

– Zacznijmy od wszystkiego, co wiesz. O ciotce, o zabójstwie. O swojej rodzinie.

Gretchen poruszyła się i powoli spojrzała na akta, po czym uniosła brew. Znajdowały się tam wszystkie szczegóły i obie wiedziały, że Marconi siedziała nad nimi, dopóki nie zapamiętała ich słowo w słowo.

Policjantka pokręciła głową.

– Nie. Powiedz mi, co ty wiesz. Nie to, co jest w policyjnym raporcie.

– A może zaczęłabyś wykonywać swoją pracę i zadawać mi konkretne pytania, żebym nie musiała odwalać całej roboty – zaproponowała Gretchen.

Potrzeba było lat badań, oglądania filmów, oper mydlanych i wideo na YouTube, czytania książek o języku ciała i mimice, a ostatnio słuchania psychologicznych podcastów, by Gretchen mogła pewnie poruszać się w społecznych sytuacjach, nie pozwalając ludziom zorientować się, że tylko stwarza pozory i ukrywa pustkę tam, gdzie powinny być osobowość i emocje. Przykrą metodą prób i błędów udało jej się znaleźć równowagę, dowiedzieć, jak wykorzystywać ironię i sarkazm, by łagodzić kanty swojego zachowania.

I jakby mało było złośliwości, które rzuciła tego ranka, miała pełną świadomość, że ta uwaga zabrzmiała za ostro. Zawierała zbyt wiele jej surowych myśli niezłagodzonych lekką kpina, która uczyniłaby ją akceptowalną.

Zamiast wzdrygnąć się i wyjść, Marconi się jej przyglądała. Twarz policjantki miała ten ostrożny wyraz, który niczego nie zdradzał.

Ostrożna.

Dziwne, że właśnie to słowo najlepiej opisywało Marconi, gdy wchodziła w sojusz z socjopatką, nie okazując ani krzty strachu. Ale zauważyła to już wcześniej i widziała teraz. Ta kobieta nie poruszała się w świecie jak większość ludzi, których Gretchen spotkała – pozornie nie kontrolując reakcji. Wszystko, co ktokolwiek mógł u niej zobaczyć, było sprawdzone, zamierzone.

Przez chwilę zastanawiała się, jak i dlaczego Marconi nabrała takiej wprawy w ukrywaniu swoich myśli. Nie chodziło tylko o to, że była policjantką – Gretchen znała mnóstwo gliniarzy, którzy zupełnie nie potrafili się kontrolować. To sprawiło, że zamilkła. Chociaż była przekonana, że Marconi nie zna jej na tyle, by zakładać pewne zachowania, zapominała, że to działa również w drugą stronę.

Kiedy indziej ciekawość by rozkwitła, pogłębiła się, wyhodowała pazury i wbiła je w opancerzone ciało. Ale Gretchen miała teraz pilniejsze sprawy

do załatwienia.

– Zawrzyjmy umowę, bo wiem, że to dla ciebie trudniejsze, niż byłabyś gotowa przyznać – odezwała się Marconi spokojnym, ale stanowczym głosem. – Opuścę ci kilka takich zachowań. Powiedzmy, po dwa dziennie w najbliższej przyszłości.

Gretchen uśmiechnęła się, bo lubiła tę cechę Marconi. Kiedyś widziała, jak kobieta bez wysiłku o mało nie udusiła obleśnego reportera brukowca, bo się do niej przystawiał. „Ostrożna” nie znaczyło, że brakowało jej odwagi.

– A potem?

Marconi zmrużyła oczy, jakby wyczuła, że niewiele gróźb mogłoby zastraszyć Gretchen. Inni ludzie nie mieli na nią większego wpływu. W ryzach trzymała ją tylko to, co sama sobie narzuciła.

– A potem przestanę ci mówić, co myślę – odparła Marconi z leciutką nutą arogancji w głosie.

Usiadła wygodnie, traktując milczenie Gretchen jako to, czym w istocie było – swoje zwycięstwo. Jednak nie marnowała czasu na triumfowanie. Przede wszystkim zrobiła to, o co poprosiła ją Gretchen. Właśnie dlatego dobrze im się razem pracowało. Kiedy było trzeba, policjantka nie pozostawała dłużna, ale nigdy nie chowała urazy. Nie miała w zwyczaju na złość babci odmrażać sobie uszu.

– Dlaczego Rowan została z tobą tamtej nocy, kiedy ją zamordowano? – zaczęła Marconi, zapewne myśląc, że odpowiedź nie sprawi trudności.

Wspomnienia nie były jednak łatwo dostępne, nawet te sprzed nocy śmierci jej ciotki. Gretchen zbudowała wokół nich mur, ukryła je w najciemniejszej, najskrytszej części umysłu. Nie ośmieliły się wpełznąć do jej teraźniejszości, nawet wtedy, gdy pozwalała uwadze błądzić, ani w chwilach nudy, ani nawet w tych, które mogłyby przypomnieć jej dzieciństwo. Najbliższe przebicia się przez obronne umocnienia były wtedy, gdy nazwisko Violi Kent pojawiło się na pierwszych stronach gazet.

Ta sprawa tak bardzo przypominała Gretchen jej własną – dziewczynkę z zaburzeniami osobowości oskarżano o brutalne zadźganie matki nożem – że potrzebowała trzydniowej popijawy, by znów porządnie zamknąć wspomnienia.

Normalni ludzie mogliby pójść do terapeuty, może powoli poradziłoby sobie z traumą. Ale Gretchen po prostu nie była wyposażona w zdolność jej przepracowania.



– Rowan mieszkała wtedy z nami – odpowiedziała w końcu. – Była... Mój ojciec nazywał ją czarną owcą rodziny. Ale myślę, że my wszyscy byliśmy okropni.

– Co masz na myśli? – zapytała Marconi.

Gretchen przełknęła resztki kawy, tęsknie spoglądając na dno kubka.

Potem westchnęła i wszystkie jej starannie wzniesione mury rozpadły się w pył.

## ROZDZIAŁ 5

SHAUGHNESSY

1983

Zanim dotarli na posterunek policji, Rowan White wpadła w katatonię, a Shaughnessy miał ochotę pójść w jej ślady.

Siedziała w milczeniu na zimnym metalowym krześle obok jego biurka ze wzrokiem wbitym w ścianę za nim.

Boże, miał na to zbyt mało doświadczenia. Odznakę i broń dali mu zaledwie pół roku wcześniej. Wpatrywał się w leżącą przed nim kartkę z pustymi miejscami, które powinien był wypełnić godzinę temu, kiedy zaczął ją przesłuchiwać. Wyrazy rozmywały mu się przed oczami, aż przycisnął kciuki do powiek.

Przynajmniej sanitariusz obejrzał dziewczynę. Krew na niej pochodziła z głębokich nacięć nożem po zewnętrznej stronie na całej długości obu rąk. Opatrunki były teraz ukryte pod kocem, który wciąż z całej siły ścisnęła.

Była delikatna, miała drobne kości i rysy niczym wyrzeźbione w drogim marmurze. Bogata, domyślił się Shaughnessy. Jej obecność sprawiała, że czuł się niezdarny, świadomy modzeli na swoich dłoniach. Miał wrażenie, że dziewczyna rozpadłaby się, gdyby choć pomyślał o dotknięciu jej.

Jasne, wiotkie włosy zwisały bezwładnie na ramionach, błękitne oczy były mętne i puste. A jednak widział, że pod warstwą brudu, wyczerpania i czegoś, co wyglądało na tortury, była piękna.

Gdyby miał zgadywać jej wiek, dałby jej jakieś siedemnaście lat. Ledwie kilka mniej niż liczył sobie on.

– Panno White – odezwał tak delikatnie, jak tylko pozwalał jego ciężki, szorstki akcent. Rozejrzał się po prawie pustym pokoju, jakby mógł znaleźć w nim wsparcie, zastanawiając się, gdzie, do cholery, są wszyscy starsi funkcjonariusze. – Czy może mi pani powiedzieć, co się z panią stało?

Poniekąd spodziewał się, że dziewczyna w ogóle nie zareaguje. Jednak słysząc to pytanie, przeniosła na niego uwagę i zamrugnęła powoli, jakby

w zamroczeniu.

Potem pochyliła się do przodu i zgiętym palcem dała mu znak, by zrobił to samo.

Gdy zbliżył się wystarczająco, jej wargi musnęły jego ucho.

– Będą kłamać.

Czując, jak oblewa go najpierw gorąco, potem zimno, zwalczył chęć, by odskoczyć.

– Kto będzie kłamać?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi prowadzące z holu posterunku otworzyły się gwałtownie, uderzając w ścianę.

Rowan nie wzdrygnęła się, nie skuliła, nawet nie padła na podłogę ani nie rzuciła się do wyjścia, czego Shaughnessy się spodziewał, jeśli wziąć pod uwagę oczywisty stan jej nerwów.

Zamiast tego zastygła w bezruchu, rzuciwszy tylko szybkie spojrzenie przez pokój na kobietę, która stała na tle światła padającego z korytarza.

Shaughnessy bez zastanowienia zerwał się na równe nogi, zasłaniając Rowan.

Gdy przybyła skierowała uwagę na niego, zrozumiał, dla kogo tu jest. Gdyby dziewczyna była trochę starsza, a kobieta trochę młodsza, mogłyby uchodzić za bliźniaczki.

– Panie oficerze – odezwała się, a ten zwrot ociekał pogardą, której Shaughnessy doświadczał od lat młodszych, kiedy jeszcze jako nastolatek obsługiwał przyjęcia wydawane przez bogaczy. – Jestem Edith White. Dziękuję za znalezienie mojej córki. Teraz ja się nią zajmę.

– Eee... – wyjąkał Shaughnessy. – Będziemy potrzebowali od niej odpowiedzi na kilka pytań, proszę pani. Była w bardzo złym stanie.

Edith uniosła głowę, mrużąc oczy. Widział, jak powstrzymuje pragnienie, by uderzyć go za to wynoszenie się ponad stan. Jego odznaka mogła błyszczeć nowością, niemniej dawała mu pewną władzę.

Kobieta spojrzała na Rowan, która siedziała sztywno na krześle z pobladłą twarzą. Potem ujęła go za łokieć i odciągnęła na bok.

– To nie jest pierwsza próba... – Zacisnęła usta. – Odebrania sobie życia.

Gdyby walnęła go w brzuch, byłby mniej zaskoczony.

– Zaraz... Mówi pani, że to była próba samobójcza?

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej wizytówkę.

– To jej psychiatra. Mieliśmy nadzieję, że pobyt w ośrodku jej pomógł, ale... – zerknęła na dziewczynę – jeden krok do przodu, trzy do tyłu.

Rozumie pan.

Obrócił w palcach wizytówkę. Wyglądała profesjonalnie.

DR ANDERS WHITE, PSYCHOANALITYK

White. Czy to znaczyło, że był krewnym Rowan? Czy leczenie kogoś, z kim jest się spokrewnionym, można uznać za etyczne?

„Będą kłamać”.

Shaughnessy wsunął wizytówkę do kieszeni.

– Jednak będzie musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

Zachowanie Edith złagodniało tak nagle, że Shaughnessy musiał zwalczyć w sobie chęć ustąpienia. Spojrzała na niego, a jej długie, jasne rzęsy zatrzepotały przy porcelanowej skórze.

– Jest krucha, musi pan zrozumieć. Wymyśla różne historie, uważa, że są prawdziwe. Wszystko, co mogłaby teraz panu powiedzieć, prawdopodobnie byłoby wytworem jej wyobraźni. Może w innym terminie? Kiedy już porozmawia pan z jej lekarzem?

Zanim zaczęła dalej go przekonywać, Rowan wstała. Koc opadł na podłogę u jej bosych stóp.

– To moja matka – wyszeptała, lecz jej głos zabrzmiał wyraźnie w cichym pokoju. – Wszystko jest w porządku. Byłam głupia.

Shaughnessy otworzył usta, chociaż nie wiedział, co miałby powiedzieć. Powstrzymała go przed wymyślaniem czegoś, kładąc dłoń na jego ręce.

– Naprawdę, nic mi nie będzie.

Niepewny, co jeszcze mógłby zrobić poza aresztowaniem ich obu i byciem dobrej myśli, Shaughnessy skinął głową i się cofnął.

– Dobra dziewczynka – powiedziała Edith. Zabrzmiało to serdecznie, jej ton był łagodny i czuły. A jednak Shaughnessy’ego przeszył mimowolny dreszcz. Nie mógł też całkiem uciszyć pragnienia, by chwycić dziewczynę i ukryć ją przed osobą, która – jak twierdziła – jest jej matką.

Uśmiech Rowan w odpowiedzi był mizerny, ale wydawał się tak szczery, jak tylko w obecnej sytuacji było to możliwe.

Może wrogość między nimi istniała tylko w jego wyobraźni? Po takiej nocy nie mógł winić się za to, że widzi duchy tam, gdzie ich nie ma.

Jednak zanim Rowan cofnęła rękę, Shaughnessy poczuł jej palce we wnętrzu swojej dłoni. Dopiero gdy odchodziła, zdał sobie sprawę, że wsunęła mu w nią kawałek papieru.

Odprowadził je wzrokiem. Potem znów usiadł i wygładził zmiętą karteczkę ze słowami, które Rowan musiała szybko nabazgrać, gdy uwaga

jej matki była skierowana na niego.

Napisana niebieskim tuszem długopisu, który wciąż leżał na rogu biurka obok jej krzesła, widniała tam krótka wiadomość.

Jest więcej dziewczyn. Znajdź je.

## ROZDZIAŁ 6

GRETCHEN

Teraz

– Być może przede wszystkim powinnaś wiedzieć, że moja rodzina jest bajecznie bogata – powiedziała Gretchen i poszła po dolewkę kawy po irlandzku, czego Marconi nie skomentowała.

Jednak na to oświadczenie parsknęła śmiechem.

– No tak, nie sądziłam, że kupiłaś to porsche za wynagrodzenie policyjnej konsultantki.

Ten samochód był luksusem, na który Gretchen sobie pozwoliła. Cieszyła ją moc, prędkość, sposób, w jaki ludzie na nią patrzyli, kiedy go prowadziła. Niejeden detektyw rzucił jej uszczypliwą uwagę na ten temat, ale owe komentarze brały się z zazdrości, która była niemal tak uzależniająca i ekscytująca, jak same śledztwa dotyczące morderstw.

– To były pieniądze mojej babki – wyjaśniła.

– Twojej babki?

– Edith White. Jej ojciec był baronem naftowym, a ona jedyną spadkobierczynią, ku jego wiecznemu rozczarowaniu, czego jestem pewna.

– Chociaż nigdy go nie poznała, od dawna podejrzewała, że zgniłe geny w jej rodzinie pochodziły od tego starca. Na portretach wiszących w domu White'ów miał wielkie, mięsiste dłonie z knykciami, które wyglądały, jakby potrafiły bez skrpułów zadawać cios za ciosem.

– Edith poślubiła Theodore'a White'a, który zrobił wszystko, co w jego mocy, by cały ten spadek stracić w ciągu roku pomiędzy ich ślubem a swoją śmiercią – powiedziała Gretchen. Do tej pory przedstawiła proste fakty. Wkrótce będzie trudniej.

– Zabiła go? – zapytała Marconi. Tylko jej lekko uniesione brwi wskazywały na zaskoczenie.

– Oczywiście, że nie – odparła Gretchen, z afektacją mrugając okiem i nadając głosowi wysoki, przesadnie niewinny ton. – Gdyby to zrobiła,

zostałaby oskarżona.

– Racja – przyznała Marconi, przeciągając słowo.

– Zanim opuścił ten świat, pomiędzy piciem i łądaczaniem się z dziwkami zdołał jeszcze ją zapłodnić. Mój ojciec, Anders, urodził się sześć miesięcy po śmierci Theodore’a.

– Anders White – powiedziała Marconi do siebie, jakby zapoznawała się z obsadą sztuki, a wymawianie na głos nazwisk postaci jej w tym pomagało.

– Drogi stary papcio. Rowan pojawiła się, gdy Anders miał dwanaście lat.

– Duża różnica wieku – zauważyła Marconi w zamyśleniu.

Gretchen zignorowała to oczywiste stwierdzenie.

– Nikt nie rozmawia o tym, kto był jej ojcem.

– I nie ma szans, żeby ten tajemniczy mężczyzna grał tu jakąś rolę?

Odruchową reakcją Gretchen było zaprzeczenie. Ale...

– Nigdy nie mów nigdy – odparła, wzruszając ramionami. – Jednak nie sądzę, żeby był zamieszany w śmierć Rowan. Z tego, co wiem, wyglądało to na przygodę na jedną noc, gdy babcia dla rozrywki odwiedzała biedne dzielnice i spotykała normalnych ludzi. Oczywiście przyznanie tego było dla Edith okropnie krępujące, więc nikt o tym nie rozmawia.

Marconi przyjęła to gładko, ale zapisała coś w swoim małym notatniku.

– Okej.

– Edith nienawidziła ich obojga – ciągnęła Gretchen. – Andersa i Rowan.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim nie miała instynktu macierzyńskiego. Sądzę, że gdyby była takim zwierzęciem jak lew, po prostu pożarłaby swoje potomstwo – stwierdziła Gretchen, rozbawiona tą myślą. – Ale społecznie akceptowalna wymówka, żeby ich nienawidzić? Ta, którą prawdopodobnie sobie znalazła? Nasza rodzina dziedziczyła pieniądze od pokoleń, dla mojej babki liczyła się tylko reputacja. A niemal od samych swoich narodzin Rowan robiła, co mogła, żeby skalać rodzinne nazwisko.

– Na czym to polegało? – zapytała Marconi, a Gretchen zastanowiła się, czy ta kobieta nie uważa, że ona całkiem spektakularnie załatwiła ten problem jednym szybkim ruchem.

– Jako nastolatka Rowan była regularną pacjentką zakładów psychiatrycznych – wyjaśniła. – Nie wydaje mi się, że dobrowolnie.

– To nic wstydliwego – zaprotestowała Marconi, tak jak należało przewidzieć.

Gretchen przewróciła oczami.

– Rozmawiasz z psychologiem z diagnozą antyspołecznego zaburzenia osobowości. Wiem, że to nie wstyd. Powiedz to kobiecie, która uważa, że bycie widzianą w spodniach dresowych to zbrodnia zasługująca na to, żeby się ciebie wyrzec.

Marconi przyjęła to skinieniem głowy.

– Z jakiego powodu tam trafiała?

– Głównie depresji. Myślę, że ostatnim razem, zanim osiągnęła pełnoletność, chodziło o próbę samobójczą, która była dość dramatyczna.

– Dlaczego?

– Była w to wmieszana policja. Niewiele brakowało, by głowa babci Edith eksplodowała.

– Kiedy to było?

Gretchen policzyła.

– Myślę, że w osiemdziesiątym trzecim. Nawiązywano do tego tylko w niejasnych, pasywno-agresywnych dygresjach podczas kłótni.

– Czyli można śmiało powiedzieć, że Rowan była trudną nastolatką?

– Trudną. – Gretchen zastanowiła się nad tym słowem. Z jakiegoś powodu nie do końca jej pasowało.

– Nie?

– Czy prawda ma jakieś znaczenie? – zapytała Gretchen, wzruszając lekko ramionami. – Albo nasze opowieści?

– Co masz na myśli?

– Jeśli wystarczająco często powtarzasz światu, że ktoś jest szalony, świat w końcu przestaje mu wierzyć, kiedy twierdzi, że nie jest – odparła, wzruszając ramieniem.

– Właśnie tak było z Rowan? – dociekała Marconi.

– Nie wiem – przyznała Gretchen. Był to jeden z jej najmniej lubianych zwrotów. Jednak wszystko, co wiedziała o życiu swojej ciotki, pochodziło z drugiej ręki, od osób, które miały jakiś powód, by to mówić.

– No dobrze, a co z Andersem? Dlaczego Edith...

– Gardziła nim? – dokończyła Gretchen, gdy policjantka zawiesiła głos. – Może wyczuwała, że ma w sobie mrok.

– Ale to tobie zostawiła wszystkie pieniądze? – Powiedziawszy to, Marconi skrzywiła się, zdając sobie sprawę, że pytanie zawierało sugestię. Jakby miało Gretchen obrazić.



– To była próba przywrócenia rodzinie dobrego imienia. Dasz wiarę? Myślała, że jeśli zostawi mi spadek, ludzie przynajmniej zaczną się zastanawiać, czy byłam winna. Fakt, że wydymała przy tym swoje dzieci, prawdopodobnie był dodatkową korzyścią.

– Żyła jeszcze, kiedy Rowan została zabita – zauważyła Marconi. – Jej zdaniem kto to zrobił?

– Prawdopodobnie ja. – Gretchen wzruszyła ramionami. – Jak powiedziałam, interesował ją tylko publiczny odbiór, a nie prawda.

Marconi coś mruknęła, ale zmieniła temat.

– Skoro mowa o rodzeństwie, masz siostrę, prawda?

Gretchen wbiła paznokcie w miękkie wnętrze dłoni i z zadowoleniem przyjęła ból.

– Fran – zdołała wyrzec przez zaciśnięte szczęki.

– Rozumiem, że wasze stosunki nie były najlepsze? – zapytała Marconi tonem o wiele zbyt łagodnym, zbyt wyrozumiałym. W odpowiedzi Gretchen miała ochotę podrapać albo siebie, albo ją, aż krew poleje się na podłogę. Nieważne czyja.

– Twoja umiejętność wnioskowania jest niemal sherlockowska – odgryzła się Gretchen zbyt zjadliwie, ale nie mogła się powstrzymać. Jej umysł nie był przystosowany do uwzględniania konsekwencji.

Marconi westchnęła.

– Wal się.

Przycisk autodestrukcji, stale migający neonowymi światłami, znów ją kusił. Ostatnio Gretchen wciskała go bez zastanowienia. Jeśli zamierzała zejść w głąb króliczej nory, którą była jej przeszłość, a wyglądało na to, że miała to zrobić, musiała bezwzględnie nad sobą panować.

Słowo, które należało powiedzieć w tej sytuacji, było oczywiste nawet dla niej, więc je z siebie wydusiła. Marconi miała szczęście, że była wystarczająco przydatna.

– Przepraszam.

Policjantka zmarszczyła nos.

– To było... bardzo nieszczerze.

Gretchen się odprężyła i chyba po raz pierwszy od miesiący naturalnie roześmiała.

– Wyobraź sobie, jak trudno było to powiedzieć.

– Nie potrzebuję twoich fałszywych przeprosin – odparła Marconi. Potem zmrużyła oczy i przyjrzała jej się z uwagą, ale mniej nieprzyjaźnie niż

przedtem. – Czy chcesz to zrobić?

Małeńka część Gretchen nienawidziła tej kobiety za zmuszanie jej, by to przyznała. Dlatego wstrzymywała się z odpowiedzią, aż cisza stała się niezręczna. W końcu ustąpiła.

– Tak.

Marconi przyglądała się jej przez kolejną długą chwilę, po czym skinęła głową.

– To przestań pieprzyć. Nie masz już pięciu lat, jesteś dorosłą osobą, która wie, jak być uprzejmą. Zachowuj się tak.

Gretchen powściągnęła pragnienie, by znów na nią naskoczyć, owinęła symboliczną smycz wokół ręki i mocno trzymała.

– Fran jest idealna. To mała kopia mojej matki.

– Twojej matki? – zapytała Marconi. Już nie była niepewna ani łagodna. Dobrze odrobiła swoją lekcję. – Opowiedz mi o niej.

– Bardot White. Z domu Bisset.

Marconi zmrużyła oczy i spojrzała przed siebie.

– Francuzka?

– Ktoś z jej przodków na pewno. Ważniejsze, że pochodziła z wyższej klasy Bostonu.

– Ale twoja babka jej nie aprobowała? Nawet pomimo tego rodowodu?

– Aprobować i lubić to dwie różne sprawy – wyjaśniła Gretchen i pogratulowała sobie, że jest swobodna i zabawna, a nie protekcyjna i szydercza. Być może zardzewiała przez ostatnie trzy miesiące, ale doskonałe przez całe życie umiejętności, które pozwalały jej uchodzić za normalną, nie zniknęły z dnia na dzień.

– Mój ojciec dokonał rzeczy pozornie niemożliwej, poślubiając kogoś niemal tak potwornego jak on sam.

Marconi spojrzała na akta.

– Był psychoanalitykiem?

– Jest.

Kobieta gwałtownie uniosła głowę.

– Słucham?

To było lepsze niż „Co?” – reakcja, której Gretchen nie znosiła – ale tylko trochę. Nie zadała sobie trudu, by powtórzyć. Marconi doskonale ją słyszała.

– Twój ojciec żyje? – zapytała Marconi, tym razem precyzyjniej.

– Tak – odpowiedziała Gretchen, jednocześnie zmieszana i zaintrygowana jej widocznym zaskoczeniem. – Dobia siedemdziesiątki, ale wciąż jest w doskonałej formie, ku mojemu nieustannemu rozczarowaniu. – Umilkła na chwilę. – Moja matka również, gdybyś przypadkiem nie wiedziała.

– Ale... – Marconi urwała, pokręciła głową i spojrzała z powrotem na akta, jakby mogły dać jej odpowiedź. – Ty nie...

– Nie odwiedzam ich? – zapytała Gretchen ze śmiechem. – Po kiego licha miałabym to robić?

– Być może mają pomysł, kto naprawdę zabił Rowan – odparła Marconi powoli, jakby rozmawiała z osobą ograniczoną umysłowo.

Gretchen postanowiła nie wspominać o tym, że jej ojciec rozważał umieszczenie jej w szpitalu psychiatrycznym po śmierci Rowan. Anders był przeświadczony o jej winie równie mocno jak Shaughnessy. To Edith uratowała ją przed tym losem.

– Pewnie będziesz chciała z nim porozmawiać?

– Tak, oczywiście.

– To wymaga więcej whiskey – stwierdziła Gretchen po ostatnim łyku z kubka. Czuła na plecach wzrok Marconi.

– Naprawdę nie lubisz swojej rodziny, co? Jako socjopatka czy jako Gretchen White?

Gretchen uniosła brwi.

– A ty możesz znieść swoją rodzinę?

– Może gdyby żyli – odparła Marconi. Zabrzmiało to pusto, ale nie tak, jakby była zdruzgotana. Jej ton czasami wymykał się rozumieniu Gretchen, podobnie jak emocjonalne niuanse, ale nie sądziła, żeby pod odpowiedzią policjantki („Po prostu fakt, proszę pani”) kryły się jakieś znaczeniowe warstwy.

– Wszyscy nie żyją? – Takt nie był mocną stroną Gretchen nawet w najlepszych dniach, a ten z pewnością do nich nie należał.

– Zostałam tylko ja – potwierdziła Marconi i Gretchen znów obiema rękami odsunęła ciekawość na bok.

– Och, marzenie... – powiedziała w zadumie. Gdyby tylko reszta jej rodziny nie żyła. Być może sprawa byłaby trudniejsza do rozwikłania, ale to dosłownie jedyny minus, który widziała.

Marconi potrząsnęła głową, jakby zirytowana, ale Gretchen wydało się to bardziej zdawkowym gestem niż faktycznym wyrazem rozdrażnienia.

– Co to znaczy, że byli „potworni”? – zapytała Marconi, zamiast zrugać ją za te słowa.

– Anders jest... nieprzewidywalny. Myślę, że Edith coś mu zrobiła. Sprawiała, że miał obsesję na punkcie rodzinnego nazwiska, zawsze starał się jej przypodobać, ale ponosił całkowitą klęskę.

– Nieprzewidywalny – powtórzyła Marconi. – Ma chorobę dwubiegunową?

Gretchen zastanowiła się nad tym.

– Nigdy nie postawiono mu żadnej diagnozy. Prawdopodobnie prędzej uciąłby sobie język, niż poddał się badaniom.

– Ale co ty myślisz? Powiedziałaś, że Edith mogła wyczuwać w nim „mrok”.

– Być może jakieś zaburzenie osobowości, ale nie była to mania ani depresja – powiedziała Gretchen, próbując wysupłać fakty ze swojej nieuchronnie stronniczej wersji własnego dzieciństwa. – Czasami straszni ludzie po prostu rodzą się straszni.

Przez chwilę Marconi siedziała w milczeniu. Potem zapytała:

– Czy mógł mieć motyw, żeby zabić Rowan? Skoro aż tak się martwił, co ludzie myślą o twojej rodzinie? Być może zrobiła coś, co przelało czarę goryczy.

– Czy to ważne? – Jałowe dyskusje to strata czasu, chyba że posuwają śledztwo do przodu. To nie był Anders. – W chwili śmierci Rowan był na konferencji w Teksasie, co zostało potwierdzone przez wielu świadków i nagrania z kamer hotelowego monitoringu.

– Mógł kogoś wynająć, żeby ją zabił – zasugerowała Marconi. – Może dlatego wyjechał z miasta. Zapewnił sobie doskonałe alibi.

Gretchen pokręciła głową.

– Gdyby zamierzał ją zabić, chciałby to zrobić własnoręcznie.

– Poniekąd wydaje się psychopatą – zauważyła policjantka.

Gretchen obdarzyła kobietę uśmiechem, zadowolona, że jej lekcje sprzed miesiący zostały zapamiętane.

Większość laików wymiennie używa słów „socjopata” i „psychopata”, mimo że żadne z nich nie jest zbyt fachowym określeniem. Sposób, w jaki wyjaśniała to policjantom, którym oczy zachodziły mgłą, gdy zaczynała mówić naukowym żargonem, polegał na porównaniu facetów z Wall Street z Tedem Bundym.

Znaczny odsetek socjopatów uchodzi za ludzi normalnych – to prezesi firm z listy Fortune 500, politycy, prawnicy i tym podobni. Niektórzy nawet nie zdają sobie sprawy, dlaczego nigdy się nie wpasowują w grupę, żyją na jej obrzeżach, być może są zwalniani z pracy częściej niż ich rówieśnicy, rujnują kilka związków więcej, niż ogólnie można by uznać za normalne. Ale przeciętny człowiek podsumowanie tego wszystkiego i zdiagnozowanie u siebie socjopatii uznałby za pochojne. W końcu prawdopodobnie nikogo nie zamordował, a przecież media i popkultura mówią ludziom, że właśnie to robią socjopaci.

Tymczasem psychopaci częściej lądują w więzieniu. Nie wszyscy mordują, ale jest mnóstwo sposobów stosowania przemocy, nawet jeśli nie kończy się ona śmiercią. Nie chodzi o to, czy psychopata przestanie nad sobą panować, ale kiedy.

Gretchen miała problem z wyobrażeniem sobie Andersa White'a jako tego ostatniego, ale posiadała wystarczającą wiedzę naukową, by przyznać się do własnych „martwych punktów” – skłonności, których nie jest świadoma, choć są widoczne dla innych.

– Może nim jest. – Uniosła jedno ramię. Może te mocno ściągnięte lejce, którymi się szczyliła, były odziedziczone tak samo jak mieszkający w niej mrok. – Wiem tylko, że nasza szczególna pula genów powinna zostać solidnie potraktowana wybielaczem, a następnie odsączona.

– Okej, na razie go zostawiamy – zdecydowała Marconi, kiwnąwszy głową. – Twoja matka. Była na miejscu tej nocy, gdy zabito Rowan.

– Ona też została wykluczona przez Shaughnessy'ego. Jest surowa, trzyma się niemal niemożliwych do spełnienia standardów i tego samego wymaga od innych.

– To musiał być wesoły dom.

– Genetyka łąduje broń, środowisko pociąga za spust – stwierdziła Gretchen, cedząc słowa. – Już ci to mówiłam.

– Wygląda na to, że mogłaś wylądować na samym końcu spektrum – odparła Marconi.

Podobnie jak większość zjawisk skłonności socjopatyczne występują w spektrum, które obejmuje brak wyrzutów sumienia, przekonanie o własnej wielkości, niebranie odpowiedzialności za swoje czyny. Gretchen uzyskała wystarczająco wysoki wynik testu na obecność tych tendencji, by ją zdiagnozować, ale był on na tyle niski, że mogła funkcjonować

w społeczeństwie z łatwością, jakiej osoby o wyższym poziomie psychopatii osiągnąć nie mogły.

– Czy Bardot jest taka jak ty?

– Czy jest socjopatką? – Gretchen wcześniej o tym nie myślała; o swojej rodzinie starała się myśleć jak najmniej. – Z pewnością ma pewne cechy. Ale nie jestem pewna, czy odpowiedź jest taka prosta.

– Są ludzie okrutni niebędący socjopatami – zauważyła Marconi. – Czy mogła mieć powód, żeby zabić Rowan? To ona cię znalazła, prawda?

– Nie dogadywały się – powiedziała Gretchen, a w tyle głowy czuła jakieś łaskotanie. „To ona cię znalazła”. Z jakiegoś powodu to nie pasowało. Ale oczywiście to Bardot musiała krzyczeć. Fran spała w czasie, gdy dokonano zabójstwa, a nikogo innego w domu nie było. – Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Bardot brudziła sobie ręce w ten sposób.

– Rozumiem. – Było to raczej neutralne potwierdzenie niż zgoda. – A co z twoją siostrą?

– Pod względem osobowości Fran jest taka sama jak Bardot. To jej mały klon. Ale bez zaburzeń. – Gretchen zawahała się. – Chociaż wydaje się to mało prawdopodobne, zważywszy na naszą rodzinę. Dlatego powiem inaczej: o ile mi wiadomo.

– Nadal mieszka w tej okolicy?

– W Waltham. Mężatka, ma modelową amerykańską rodzinę. Żyje z funduszu powierniczego Bardot i tego, co zarobi ten mydłek, którego poślubiła.

Marconi wzięła notatnik i coś tam w nim zapisała.

– Zakładam, że nie utrzymujecie kontaktu?

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, piekło nie zamarzło. To oznacza: nie.

– A twoi rodzice są...

– W Cambridge. Anders nadal ma gościnne wykłady na Harvardzie.

Marconi zamilkła – na dostatecznie długo, by Gretchen przyjrzała się jej, rozpoznała, a potem zrozumiała wątpliwości w wyrazie jej twarzy.

– Nie wierzysz mi – stwierdziła. – Gdy mówię, jacy są.

Marconi otworzyła usta, zamknęła, otworzyła, ale nic się z nich nie wydobyło.

– Tak, urocza parodia ryby, moja droga – skonstatowała Gretchen.

Przewracając oczami, Marconi pochyliła się w przód, jakby próbowała zamortyzować cios.

– Uważam, że jesteś własnowolną socjopatką, a to może ci utrudniać ocenę osobowości członków twojej rodziny.

To zamknęło Gretchen usta.

– Jednak warto by się dowiedzieć, co u nich słyhać – zaproponowała policjantka polubownie.

Gretchen lekceważąco machnęła ręką.

– Nie czuję się urażona. Byłam tylko pod wrażeniem twojej argumentacji.

Marconi sapnęła głośno i teatralnie, przyciskając dłoń do piersi.

– Uspokój się, moje serce. Gretchen White mnie skomplementowała.

– Nie przyzwyczajaj się do tego – odrzekła Gretchen z należytą dozą irytacji. Jednak kąciki ust drgnęły i po raz pierwszy od trzech miesięcy prawie poczuła grunt pod nogami.

Wyciągnęła szyję, pokręciła ramionami. Nie tylko dzięki przyjaznemu droczeniu się z Marconi zaczęła mieć wrażenie, że już nie stoi o włos od przepaści, z której nie mogłaby wrócić. Rozmowa o rodzinie po raz pierwszy od dekad była jak przecięcie gnijącego wrzodu i wypuszczenie ropy. Jej kwaśny smród zdawał się niemal nie do zniesienia, a jednak była w tym ulga, tuż poza zasięgiem wzroku. Obietnica.

Wtedy Marconi jeszcze raz wkroczyła z nożem.

– W porządku. A teraz opowiedz mi o Rowan.

Gretchen pomyślała: „Chciałam ją zabić, jeszcze zanim się dowiedziałam, czym jest zabijanie”.

I powiedziała:

– Szczerze mówiąc, w ogóle jej nie pamiętam.

## ROZDZIAŁ 7

TABBY

1992

Tabby przystanęła przed drzwiami restauracji, skubiąc luźną nitkę jednej z rękawiczek bez palców. Westchnęła i poczuła, że chciałaby się rozpląnąć razem z wypuszczanym powietrzem.

Jednak Nick już ją zauważył. Zawsze myślała, że określenie „twarz się rozjaśniła” to głupi frazes. Tyle że nie było innego sposobu na opisanie tego, co się działo z wyrazem twarzy Nicka, kiedy na nią patrzył.

Nie było dobrego frazesu, by opisać, jak bardzo tego nienawidziła.

Nie rozumiała, co w niej zobaczył. Gęste kasztanowe włosy były jedyną cechą, która czyniła ją ładną, więc za każdym razem, gdy spotykała się z Nickiem O’Learym, nosiła je wciśnięte pod włóczkową czapkę. Jeśli chodzi o resztę, była „w porządku”. Błada, okrągła twarz, brązowe oczy, ciało dokładnie przeciętne. Mogłaby się elegancko ubrać i przyciągnąć kilka spojrzeń, ale nikt inny nie nazwałby jej piękną – a tym bardziej urzekającą – w taki sposób, jak robił to Nick.

Weszła do restauracji.

Wstał, by się z nią przywitać, budząc skojarzenie z radośnie merdającym psem. Jego wilgotne wargi otarły się o jej kość policzkową i Tabby zwalczyła instynktowny odruch, by wytrzeć ślinę, którą pozostawiły. Nic by na to nie powiedział, ale posłałby jej to spojrzenie kopniętego szczeniaka, na którego widok zawsze chciała posłać go do diabła, aby tylko zniknęło z jego twarzy.

Kiedy zamówili jedzenie, pochylił się do przodu, rozglądając dokoła.

– I co, znalazłaś coś w tych aktach?

Właśnie dlatego Tabby go tolerowała. Nick był skromnym mundurowym gliną z wielkimi marzeniami, które pozwalały łatwo nim manipulować. W końcu to on przemycił dla niej akta Jenny. Nie pytała, jak to zrobił,



a sam o tym nie mówił. Domyślała się, że nie był to żaden imponujący wyczyn, inaczej by się tym przechwalał.

Tabby przycisnęła kciuk do miękkiego miejsca na skroni i przez chwilę z dziwną ciekawością zastanawiała się, czy ktokolwiek umarł w ten sposób. Takie wrażliwe miejsce, właśnie tam, czekające na wykorzystanie.

Westchnęła i oparła ręce na stoliku.

– Nie, tak naprawdę nie ma tam nic nowego.

Nick westchnął i odchylił się na oparcie krzesła. Wiedziała, że chciałby okazać się bohaterem. Pragnął w jakiś sposób dostarczyć jej klucz do wyjaśnienia tajemnicy, co odmieniłoby jej życie.

Jednak wątpiła, by ktokolwiek go miał. Jenny była jeszcze jedną nierozwiązaną sprawą na długiej liście spraw nierozwiązanych. Po prostu kolejną martwą dziewczyną w jak się wydaje, niekończącej się serii martwych dziewczyn.

Jedynym powodem, dla którego Tabby wciąż trzymała się nadziei, że rozwikła tę zagadkę, były akta, a to okazało się klapą. Zamierzała spotkać się z Nickiem jeszcze kilka razy, bo nie chciała, żeby się zorientował, że go wykorzystwała. Ale potem? Może rzeczywiście powinna zrobić coś ze swoim życiem.

Kelnerka podała im talerze ze znużonym „Smacznego”, po czym wróciła do kuchni.

– Może moglibyśmy znów porozmawiać z którymś z jej kolegów z liceum Phillipsa? – zasugerował Nick, zanurzając widelec w jajku sadzonym. – Ta szkoła jest pełna bezwzględnych, bogatych bachorów, które mogłyby zabić choćby dla zabawy.

– Niczego wtedy nie wiedzieli – zauważyła Tabby i podsunęła Nickowi gryczane naleśniki, które dla siebie zamówiła. Zjadł je, nie zauważając, że ona nie ma niczego. Nie był najbardziej spostrzegawczym gliną w okolicy.

– Może któryś z nich kłamał – odparł Nick z szeroko otwartymi oczami. Zdawało mu się, że żyją w tandetnym telewizyjnym kryminale.

Tabby nie miała serca powiedzieć mu, że to horror Stephena Kinga.

Z uniesionym lekko ramieniem wpatrywała się w okno. Nick wypełniał ciszę pustą paplaniną, bo należał do tych, którzy nie znoszą milczenia. Tabby lubiła ciszę. To, jak niemal brzęczała i zanurzała się w fałdy jej skóry. I te przestrzenie w ciele, które pragnęły być czymś wypełnione.

Nick zapłacił za posiłki – które zjadł sam – i znów pocałował ją w policzek gorącymi, wilgotnymi i otwartymi ustami. Dlaczego nigdy się

nie nauczył, że to niestosowne? Być może z tego samego powodu, dla którego ona nigdy nie dała mu za to po łapach. To szczenięce spojrzenie i miła, szczerza twarz sprawiały, że wiele rzeczy uchodziło mu na sucho.

Kiedy ruszyła ulicą z powrotem do domu, kątem oka dostrzegła mężczyznę. Stał oparty o samochód, z wyciągniętymi nogami, uniesionym kącikiem ust. Za rozpiętą pod szyją koszulą miał zatknięte okulary przeciwsłoneczne.

Tabby obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy Nick zniknął za rogiem. Teren był czysty, ukradkiem podeszła do mężczyzny i ściągnęła z głowy włóczkową czapkę, tak że jej włosy rozsypały się na ramiona i opadły na plecy.

Uśmiechnął się szerzej.

Potem powoli, bardzo powoli wyciągnął rękę i opuszką kciuka musnął dokładnie to miejsce, które pocałował Nick, jakby ścierał to wspomnienie.

– Lepiej – powiedział, patrząc na nią miękko, z czułością.

Tabby najpierw zakochała się w jego oczach, potem w twarzy, w jego śmiechu, a wreszcie w sposobie, w jaki dotykał jej ciała.

Natknął się na nią w supermarkecie dwa miesiące temu, gdy o drugiej w nocy wpatrywała się w pustą alejkę z płatkami śniadaniowymi, odrętwiała po pierwszej lekturze akt Jenny. Zapytał, czy potrzebuje pomocy, a potem wezwał taksówkę. I nawet zapłacił za nią z góry – na szczęście, bo inaczej musiałyby uciec z niej na światłach.

Zanim taksówka odjechała, dał jej wizytówkę ze swoim nazwiskiem i numerem telefonu.

Cal Hart.

Wyglądała na fałszywą i Tabby założyła, że tak było. Zwracała się do niego „kotku”, jeśli musiała go jakoś nazywać, bo smakując w ustach coś takiego jak „Cal”, zawsze czuła się stremowana i spięta. On mówił do niej „kochanie”, mimo że podała mu swoje prawdziwe imię.

Nawet jeśli istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Cal to imię, które dostał przy narodzinach, nie była częścią jego prawdziwego życia. Wiedziała to z taką samą pewnością, z jaką mogła powiedzieć, ile butelek alkoholu jej ojciec potrafi wyżłopać w ciągu tygodnia.

Tabby zdawała sobie sprawę, że jest brudnym sekretem Cala. Co do tego nie było wątpliwości. Uprawiali seks w hotelowych pokojach, nigdy nie przedstawił jej swoim znajomym i wyznaczył zasady, kiedy może się z nim

kontaktować. Byłaby głęboko naiwna, myśląc, że w tym małym romansie jest kimkolwiek więcej niż kochanką.

Ale Tabby to nie obchodziło. Kiedy jej dotykał, zapominała o Jenny, o pociętej skórze, o śmiechu, który powinien już być zniknąć z jej pamięci, o sposobie, w jaki Jenny pociągała ją za włosy, gdy się z nią drażniła.

Nie kochała go, ale cokolwiek czuła, było cholernie bliskie miłości – pokreconej, toksycznej, może spaczonej. Bo nikt inny nigdy nie dał jej takiego spokoju.

W najbardziej paranoicznym stanie, gdy nocami wpatrywała się w zdjęcia zamordowanej siostry, Tabby rozważała, czy to naprawdę był przypadek, że Cal spotkał ją wtedy w supermarkecie.

Czasami się uśmiechał i Tabby przypominała sobie tamten jesienny festyn, starszego mężczyznę, flirtowanie, sposób, w jaki podał Jenny wizytówkę, tak jak Cal jej. Dziecięcy umysł Tabby namalował obraz nieznanego szerokimi pociągnięciami pędzla, ale te jak ulał pasowały do Cala. Blondyn. Przystojny. Czarujący.

Czasami rozmyślała nad zbieżnością tego wszystkiego w czasie. Nad tym, jak poprosiła Nicka, żeby zdobył akta Jenny, a kilka nocy później Cal ją spotkał.

Czasami zastanawiała się, czy resztę życia spędzi pogrążona w paranoi, szukając nieistniejących powiązań. Nikt jej nie powiedział, że tak bywa, gdy brutalnie zamordują ci siostrę.

Teraz Cal uśmiechnął się do niej, jego duża dłoń objęła jej kark i przyciągnęła. I Tabby znów znalazła zapomnienie, tym razem w jego miękkich ustach.

Gdy całował ją w ten sposób, nie dbała o to, kim był.

Zresztą nazwiska są przeceniane.

\*\*\*

Tabby uśmiechała się do nijakiej hotelowej poduszki, gdy Cal czubkami palców wodził po jej kręgosłupie.

Zawsze miała wrażenie, że Cal jest wystarczająco zamożny, by móc sobie pozwolić na lepsze miejsca niż tanie sieciówki, do których zawsze ją zabierał. Ale coś w tym wyborze wydawało się właściwe. Była budżetową dziewczyną i pewnie by uciekła, gdyby spróbował zabrać ją do jakiegoś eleganckiego hotelu.

To było głupie z jej strony, ale podobało jej się, że tak dobrze zdawał się ją znać.

– To był twój chłopak? – zapytał.

– Jakby cię to obchodziło – odparła beznamiętnie. Oboje wiedzieli, co jest między nimi. A z pewnością nie było to na wyłączność.

Cał się uśmiechnął, jakby do siebie, i przesunął dłoń w górę pleców Tabby, wplatając palce w jej włosy.

– To gliniarz.

– Zauważyłam, wierz mi lub nie – odpowiedziała, uwalniając się z jego uścisku i siadając. Nie było powodu dłużej czekać. – Nie sądzę, żeby nosił mundur, bo jest fetyszystą.

Spojrzał na nią, nienaturalnie spokojny.

– Wykorzystujesz go do czegoś.

I znów ta niepokojąca myśl zaległa się w zakamarkach jej umysłu. Ta, że znalazł ją tuż po tym, jak poprosiła Nicka, by pomógł jej ze sprawą Jenny. Odrzuciła to podejrzenie równie szybko, jak się pojawiło, nienawidząc tej wersji siebie, nie mogąc znieść, że zawsze widziała potwory tam, gdzie istniały tylko cienie.

Cał był tylko bogatym facetem bywającym w biednej dzielnicy, żeby się pieprzyć, nic więcej, nic mniej. Albo może bogatym facetem, który w niezbyt legalny sposób ukrywał zyski, zabawiając się w ciemniejszej stronie miasta. Była już z kilkoma takimi mężczyznami – zawsze mieli oko na gliniarzy, ilekroć zdarzyło im się znaleźć w ich pobliżu.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – odparowała.

Minęła kolejna długa chwila ciszy tak napiętej, że Tabby podniosła głowę. Obserwował ją, dopóki nie spojrzała mu w oczy, a potem odwrócił wzrok.

– Ja mógłbym ci pomóc – zaproponował cicho i nieśmiało w sposób, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– Naprawdę? – powiedziała, niemal śmiejąc się z absurdalności zachowań mężczyzn. Zawsze myśleli, że mogliby pomóc. – Masz może naocznego świadka zabójstwa mojej siostry, który gdzieś się ukrywa?

Nie rozmawiali ze sobą o tych sprawach. Rzadko kiedy wychodzili poza „Jak się masz?”, zanim pozbyli się ubrań. Ale nie zachnął się na ten słowny cios.

Zamiast tego zmrużył oczy.

– Czyli mam rację. Dziewczyna detektyw. Jak w serialu Nancy Drew.

– A jeśli tak? – odparła ze złością, prowokująco, rozdrażniona kryjącą się w jego słowach protekcjonalnością.

Nie musiał wiedzieć, że jej próba amatorskiego dochodzenia do niczego nie doprowadziła. Ani że wcześniej tego dnia myślała, żeby całkiem się poddać. Jednak ta obcesowa, protekcjonalna ocena na nowo rozpałała tłący się ogień, który Tabby podtrzymywała od dekady. Być może te akta okazały się klapą, ale musiało być jeszcze coś, czego mogła spróbować.

Uniosła głowę wyzywająco.

– Co cię to obchodzi?

– Dziewczyny, które bawią się w Nancy Drew, są mordowane – odparł. Jego lekki ton kontrastował z mocnym ostrzeżeniem.

– Tak, dziewczyny są mordowane za to, że są dziewczynami – stwierdziła ze znużonym westchnieniem. Wola walki wyparowała z niej. Tabby pomyślała nie tylko o Jenny, ale o wszystkich, które były przed nią i po niej. Tak wielu. Dlaczego zawsze musi być tak dużo zamordowanych dziewczyn? – Przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam.

## ROZDZIAŁ 8

GRETCHEN

Teraz

– Dlaczego nie było innego podejrzanego? – zapytała Marconi. Rwała serwetkę na drobne kawałki, które gromadziły się w stosik na stoliku przed nią.

Zasugerowała, żeby poszły coś zjeść, a Gretchen ochoczo na to przystała. Im tłustsze, tym lepiej, zważywszy na poziom alkoholu w jej krwi.

Gretchen uśmiechnęła się słodko do kelnerki, która rzuciła jej przez salę pełne dezaprobaty spojrzenia – być może z powodu woni gorzelnicy wydzielanej przez nią o jedenastej rano – i ugryzła duży kęs burgera.

– Znalaziono mnie z narzędziem zbrodni – przypomniała z pełnymi ustami, wskazując na tę oczywistość.

– Chodzi mi o to, że nigdy nie słyszałam niczego poza tym, że ośmiolatka była jedyną prawdopodobną podejrzaną – ciągnęła Marconi, jakby Gretchen nic nie powiedziała. – Ale wygląda na to, że każda osoba w twojej rodzinie mogła być podejrzana, nie licząc gromady innych ludzi. Twoja ciotka zniknęła na całe lata, prawda? Co robiła przez ten czas? Czy narobiła sobie wrogów w ośrodkach, w których przebywała jako nastolatka? Jest do rozważenia tyle możliwości znacznie sensowniejszych niż to, że nieprzemocowe dziecko zadźgało swoją ciotkę.

Gretchen uniosła brew starannie wyćwiczonym ruchem.

– Znalaziono mnie przy jej łóżku, zakrwawioną i z nożem w ręce.

– Fakt – przyznała Marconi. – Ale czy to była prawda, czy tylko tak to przedstawiano? Wiesz równie dobrze jak ja, że byłeś idealnym kozłem ofiarnym dla każdego zabójcy, który chciał, by coś uszło mu na sucho.

Łatwo było teoretyzować, ale okoliczności ją obciążały. Udawanie, że jest inaczej, tylko dlatego, że Marconi z jakiegoś powodu ją polubiła, nie miało sensu.

– A czasami wszystko naprawdę jest takie, na jakie wygląda – stwierdziła Gretchen.

Marconi zabębniła palcami po stole.

– Kto wezwał policję?

– Moja matka.

– Bardot Bisset White. – Marconi powiedziała to łagodnym tonem, jakby podobało jej się brzmienie tego nazwiska. – A potem Shaughnessy dostaje swoją pierwszą wielką sprawę dotyczącą zabójstwa, trafia na pierwsze strony gazet, ale nie może udowodnić winy swojej głównej podejrzanej. Tobie. – Urwała. – Jeśli ta sprawa była tak oczywista, dlaczego nie została rozwiązana? Dlaczego nie postawiono ci zarzutów?

– Prokurator bał się mojej rodziny. – Marconi wiedziała równie dobrze jak ona, że dla bogatych ludzi istnieje inny wymiar sprawiedliwości. – Powiedział, że Shaughnessy nie ma wystarczająco mocnych dowodów.

Uwaga Gretchen bezwiednie odpłynęła ponad ramieniem towarzyszki na zewnątrz, gdzie Shaughnessy siedział w swoim sedanie, nawet nie próbując wtopić się w otoczenie. Zasalutowała mu zawadiacko i była zawiedziona, bo kąt widzenia nie pozwolił jej dojrzeć reakcji detektywa.

– Powiedziałaś... – Znów skupiła się na Marconi. – Powiedziałaś, że nie pozwoliłby mi na udział w śledztwach, gdyby naprawdę myślał, że to zrobiłam.

– Nie pozwoliłby – odparła policjantka z niezachwianym przekonaniem.

– Wystarczy pobyc przy nim jeden dzień, aby się zorientować, że w takich sprawach nie poszedłby na ustępstwo.

To była prawda. Gretchen rzadko musiała zeznawać jako świadek oskarżenia, ale nie było w tym nic niezwykłego. Większość ludzi nauczyła się trzymać język za zębami na temat jej historii, jednak zdesperowani obrońcy byli znani z otwierania tej linii ataku, jeśli uważali to za przydatne dla ich klientów.

Musiała być absolutnie bez zarzutu, jeśli chciała nadal otrzymywać telefony od bostońskiej policji. I jeszcze trzy miesiące temu szło jej doskonale, ogólnie rzecz biorąc.

Gretchen klepnęła w stół.

– Daj mi akta.

Marconi przesunęła je do niej bez słowa. Gretchen miała déjà vu sceny w pizzerii sprzed trzech miesięcy. Jej dłonie były wtedy tak samo spocone.

Otworzyła teczkę i zaczęła czytać.

– O godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści siedem, jedenastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku Bardot White zadzwoniła pod numer alarmowy dziewięć jeden jeden, aby zgłosić napad z użyciem noża. Ofiarą była jej szwagierka Rowan White, lat dwadzieścia siedem. Zapytana, czy ofiara wciąż żyje, White powiedziała, że nie może się do niej zbliżyć.

– „Moja córka ma nóż” – zacytowała Marconi, nie odrywając wzroku od twarzy Gretchen. – Oto dlaczego Shaughnessy zastał cię nadal w tym pokoju.

Krew. Gorąca. Wilgotna.

Śliski trzonek noża.

Drzewo za oknem. Gałęzie uderzają w szybę.

Oczy Rowan. Wciąż otwarte.

Cień w rogu pokoju.

Co... kto...?

Przyjazne odrętwienie przyzywało Gretchen z wyciągniętymi ramionami. Czekają, gotowe okryć wspomnienia warstwą mgły, aby znów mogły zostać zapomniane.

Gretchen je pokonała. To nie była jej sprawa. To była po prostu sprawa. Właśnie tak musiała na to patrzeć.

Ośmiolatka stała nad krwawiącą kobietą, trzymając nóż.

– Dlaczego Bardot po prostu nie obezwładniła dziewczynki? – wymamrotała Gretchen i gdy Marconi oparła się na krzesło z oczami otwartymi ze zdziwienia, zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

– Dziewczynki? – zapytała policjantka.

Gretchen pokręciła głową.

– Mnie.

Wahanie, wyraz twarzy, którego Gretchen nie umiała nazwać. Ale wtedy Marconi odpuściła.

– Ja też się nad tym zastanawiałam. Normalną reakcją byłoby podbiec i odebrać nóż.

– Byłam... dziwnym dzieckiem – przyznała cicho Gretchen. – Ludzie... bali się mnie. Nawet wtedy.

– Czy kiedykolwiek zrobiłaś komuś krzywdę? – zapytała Marconi tonem raczej rzeczowym niż oskarżycielskim. – Chodzi mi o to, czy poważnie. Nie tak, jak to jest wśród dzieci.



– Sobie, oczywiście. – Wzruszyła ramionami i niemal się roześmiała, widząc zaskoczenie policjantki. – Nie cięłam się, nic z tych rzeczy. Po prostu nie czułam żadnego strachu ani nie zastanawiałam się nad konsekwencjami. A konsekwencją są obrażenia. To dość powszechne u młodych socjopatów.

– Ale twojej siostrze? Przyjaciołom? – naciskała Marconi. – Przemoc eskaluje, prawda? Czy to nie powinno było się zacząć od czegoś mniejszego? O ile naprawdę zabiłaś Rowan.

– Nie miałam żadnych przyjaciół – odparła, zadzierając głowę. – Nie nauczyłam się...

– Wpasowywać? – domyśliła się Marconi.

– Dzieci wiedzą – powiedziała z trudem Gretchen. – Wiedzą, kiedy coś jest z którymś nie tak.

– Rzeczywiście – zgodziła się policjantka. – A twoja siostra?

Fran.

„Powiem! Powiem, powiem, pow...”.

„Nie, nie powiesz”.

– Powiedziałyby, że to zrobiłam – stwierdziła Gretchen po chwili, uciekając od bezpośredniej odpowiedzi. Miała beztroski stosunek do prawdy, a jeszcze swobodniejszy do kłamstwa polegającego na przemilczeniu. Jednak chciała uprzedzić narrację, którą Fran stworzyła dla siebie. A przypuszczała, że w końcu z nią porozmawiają.

Jednak Marconi i tak się domyśliła, czego nie mówi.

– Więc jaka jest prawda?

Gretchen beztrosko wzruszyła ramionami.

– Krzywdziłyśmy się nawzajem.

– Ale ona nie jest – Marconi machnęła ku niej ręką – taka jak ty?

Robiła to czasami, wahała się przykleić jej etykietkę, jakby nie była do końca przekonana, że jest ona zgodna z rzeczywistością.

– Nie, to po prostu sucz – stwierdziła Gretchen, rozbawiona, gdy policjantka zmarszczyła nos na to słowo.

– Gdzie była tamtej nocy?

– Spała – odpowiedziała Gretchen, mimo że ta informacja znajdowała się w aktach.

„Chcę to usłyszeć od ciebie”.

Zastanawiała się, czy sprzeczności interesują Marconi bardziej niż cokolwiek innego.

– Czy w domu znajdował się ktoś jeszcze? – drążyła policjantka. – Został z tobą? Przyszedł w odwiedziny? Czy Rowan przyprowadzała do domu mężczyzn? Spotykała się z kimś?

Cień. W rogu pokoju.

Gretchen pokręciła głową.

– Nie wiem – przyznała, znów czując niechęć do prawdy tych słów. Przywykła, że jest tą, która wie wszystko.

– Okej – powiedziała Marconi. – Czy w pokoju Rowan był telefon?

Gretchen z pogardą wydeła usta.

– Jak miałabym to pamiętać, jeśli nawet nie pamiętam, że ją zabiłam?

– Czy w całym domu były telefony? – Marconi bez mrugnięcia okiem przeformułowała pytanie.

– Nie w sypialniach. – Uprzytomniając to sobie, Gretchen zignorowała błysk uznania dla toku rozumowania policjantki. To było przed epoką telefonów komórkowych.

– Zatem Bardot pobiegła, żeby wezwać policję, i zostawiła cię samą w pokoju? – zapytała Marconi, unosząc brwi. – Z Rowan, która, jak przypuszczam, była martwa?

– Musiało tak być – odparła Gretchen, zamiast przyznać, że tego nie wiedziała. To Bardot zadzwoniła na policję, zapis tej rozmowy był w aktach. Nie marnowałyaby czasu na budzenie Fran, żeby poszła pilnować martwej ciotki i jej zabójcy.

– Okej – zgodziła się ponownie Marconi. – A Shaughnessy pojawił się szybko, ponieważ był w okolicy, kiedy odebrano telefon.

– Według niego.

– Został cię w tym pokoju? Nadal ściskającą nóż? – zapytała policjantka, a Gretchen pokiwała głową. – Powiedział coś? W tym momencie?

Tępy ból pulsował jej pod czaszką, gdy próbowała to sobie przypomnieć.

– Nie wiem.

– Jaka jest następna rzecz, którą pamiętasz? – naciskała Marconi. – Cokolwiek z tamtej nocy?

– Posterunek. – Nie chciała podzielić się wcześniejszymi mglistymi wspomnieniami. Cień w rogu pokoju. Czy w ogóle był rzeczywisty? Pełen przerażenia głos. „Gretchen, coś ty zrobiła?” I tak nic z tego nie pomoże. – Policjant w mundurze zabrał mnie do pokoju przesłuchań. Matka zadzwoniła po naszego adwokata, a Shaughnessy przepytывał mnie tamtej nocy.

Zapis przesłuchania musi być w aktach. Marconi pewnie zna je na pamięć. Mimo to zapytała:

– Powiedziałaś mu coś?

– Nic. Dosłownie nic.

– Musiał być zachwycony – zauważyła Marconi, przełamując nieco napięcie przy stole.

Gretchen potwierdziła skinieniem głowy.

– Odbyliśmy jeszcze kilka pogawędek – dodała, celowo bagatelizując te przesłuchania. – Ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć z tamtej nocy, a on nie mógł w to uwierzyć.

– Myślał, że kłamiesz?

– Tak – przyznała bez cienia wątpliwości. Patrząc na to z perspektywy czasu, umiałaby powiedzieć, co robił: nieznacznie zmieniał pytania, by przyłapać ją na kłamstwie. To była jego ulubiona technika.

Marconi uśmiechnęła się krzywo, ale kontynuowała.

– Czy Rowan mieszkała tam na stałe, czy tylko was odwiedzała?

– Mieszkała – stwierdziła Gretchen, nie zdając sobie sprawy, że zna odpowiedź. Wspomnienia wracały, zajmując miejsce w jej teraźniejszości. – Jak mówiłam, będąc po dwudziestce, zniknęła na kilka lat. Po powrocie oznajmiła, że regularnie przyjmuje leki i chodzi do terapeuty.

– Pamiętasz to czy tak ci powiedziano?

Odpowiedź czekała w pogotowiu. „Tak, pamiętam”. Ale nie pamiętała. Nie za bardzo. Były uczucia, których nie mogła zignorować. „Chciałam ją zabić, jeszcze zanim się dowiedziałam, czym jest zabijanie”. Owa niechęć, granicząca z nienawiścią, miała głębokie korzenie, nawet jeśli Gretchen nie znała pochodzenia tej rośliny.

Źródłem wszystkiego, co „wiedziała” na temat Rowan, byli jej rodzice i babka. A nawet prasa. Wszyscy oni budowali historię życia Rowan, którą uznała za prawdziwą.

Pokręciła głową, zamiast dać odpowiedź. Po raz pierwszy w życiu jej nie miała. Marconi mruknęła po nosie w ten kontemplujący sposób, który zaczynał Gretchen irytować.

– Wróciła wiosną dziewięćdziesiątego trzeciego?

– Latem – sprostowała Gretchen.

Marconi zabębniła palcami w stół, patrząc przez okno na sedana Shaughnessy’ego.

– A kilka miesięcy później już nie żyła.

## ROZDZIAŁ 9

SHAUGHNESSY

1983

Shaughnessy przyglądał kciukiem poszarpane brzegi karteczki z wiadomością, którą zapamiętał, gdy przeczytał ją po raz pierwszy. To musiał być już setny, tysięczny raz.

Jest więcej dziewczyn. Znajdź je.

– Mam przekazać ten liścik twojej sympatii, Shaughnessy? – Boyd oparł ciężką dłoń na jego ramieniu i ścisnął je.

Policjant go nie odtrącił. I nie zareagował na lekką kpinę. Zamiast tego skupił się na zwijaniu karteczki w zaborczych palcach, starając się robić to w sposób nierzucający się w oczy.

– W czym mogę panu pomóc, detektywie? – zapytał najuprzejmiej, jak umiał.

Boyd oparł się o krawędź jego biurka, wyglądając, jakby się szykował na dłuższe plotki.

– Co się stało z dziewczyną widmo z tamtej nocy?

Dziewczyna widmo. To określenie wydawało się odpowiednie. Rowan pojawiła się na drodze znikąd, niesamowicie blada. Shaughnessy pokręcił głową.

– Nastolatka z problemami. Matka przyszła ją odebrać, powiedziała, że córka jest leczona z powodu depresji.

Myślał o wizytówce, którą dała mu Edith White. Psychiatra Rowan. Doktor Anders White.

Shaughnessy posunął się wręcz do wyszukania go w policyjnej bazie danych, ale nie znalazł niczego poza dwoma mandatami za przekroczenie prędkości. Zadzwoił nawet pod numer podany na wizytówce, jednak rozłączył się, gdy miły głos poinformował go, że doktor White ma teraz spotkanie z pacjentem. Z przyjemnością oddzwoni, jeśli Shaughnessy zechce zostawić swoje nazwisko.

To wszystko wydawało się legalne i uczciwe. A jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie powinien był pozwolić Edith White wyjść z Rowan.

Boyd przeciągnął się i podrapał po podbródku.

– Jednak to się wydaje dziwne.

Osobowość tego faceta czasami doprowadzała Shaughnessy'ego do wściekłości, ale Boyd zawsze wyczuwał, kiedy coś było nie tak.

– Fakt.

– Przejdźmy się – zaproponował Boyd, znów klepiąc Shaughnessy'ego w ramię. – Masz ich nazwiska?

Shaughnessy zerwał się na nogi, chwytając kurtkę i kluczyki do auta, skwapliwy jak szczeniak, któremu dano smakołyk.

– Mam nazwisko, nie adres.

– Pam! – zawołał Boyd do piersiastej kobiety obsługującej skaner. – Zdobędziesz nam adres, kochanie?

– Dla ciebie wszystko, przystojniaku.

Dziesięć minut później siedzieli już w samochodzie Shaughnessy'ego, kierując się w stronę lasu stanowego. W świetle dnia droga wyglądała niewinnie.

Nie rozmawiali, dopóki nie podjechali do rezydencji, ogrodzonej i porządnie zabezpieczonej. Zostali przepuszczeni po podniesieniu odznak do nowoczesnej kamery wideo zamontowanej przy wartowni.

– Pieniądze – skomentował bezsensownie Boyd, gdy Shaughnessy zatrzymał się za wysokiej klasy bmw.

Chciał rzucić: „Co ty nie powiesz, Sherlocku?“, ale że Boyd wydawał się przejmować tym, co stało się z Rowan, Shaughnessy ugryzł się w język.

Kiedy zaczął myśleć o niej, używając imienia?

Rowan White była ofiarą, kimś, komu pomogli podczas służby. Tragiczna, ale niestety powszechna historia. Z drugiej strony Rowan była dziewczyną o przerażonych oczach, która wcisnęła mu w rękę karteczkę z wiadomością.

Edith White czekała na nich w drzwiach. Ramiona miała napięte, wąskie usta niemal zniknęły. Ręce trzymała złożone na brzuchu, jak damy na starych fotografiach.

Gdyby Shaughnessy miał naszkicować obraz „bogatej mieszkanki Bostonu”, to byłaby ona.

– Pani White – odezwał się Boyd na powitanie, przeciągając słowa. Do Bostonu trafił z Teksasu i lubił używać tamtejszego akcentu, kiedy

zamierzał kogoś oczarować. – Czy byłaby pani łaskawa poświęcić nam chwilę?

Edith jeszcze mocniej zacisnęła usta. Ale odwróciła się, nie zatrzasnąwszy im drzwi przed nosem, i poprowadziła ich do niewielkiego pokoju przy korytarzu. Salon, pomyślał Shaughnessy. Bogaci ludzie tak nazywają pokojeienne.

Czuł się zbyt duży, zbyt niezdarny, jak wtedy, gdy zza biurka patrzył na Rowan.

– Moja córka jest chora, rozumieją panowie – powiedziała Edith, całą uwagę kierując na Boyda, z łatwością domyśliwszy się, że jest wyższym rangą detektywem.

– Tak, oczywiście. – Ton Boyda był współczujący, wyrozumiały. – Gdybyśmy mogli zadać jej tylko kilka pytań...

– Obawiam się, że to niemożliwe, detektywie. Zdecydowaliśmy, że Rowan znów potrzebuje stacjonarnej opieki. Po prostu nie jesteśmy w stanie poradzić sobie z jej wyjątkową sytuacją.

– A co to za sytuacja? – wtrącił się Shaughnessy. Był ciekaw, czy gdyby Boyd nie przytaknął mu przy tym pytaniu, Edith nie zostałaby nagle dotknięta selektywną głuchotą.

Ona jednak subtelnie poruszyła szczęką i zwróciła się do niego.

– Mówiąc wprost, panie oficerze? – zaczęła, jasno dając do zrozumienia, że dokładnie wie, gdzie jest jego miejsce w hierarchii. – Znajduje się pod stałą obserwacją, aby nie popełniła samobójstwa.

Shaughnessy się tego spodziewał. Nie pierwszy raz. Właśnie to Edith powiedziała wtedy na posterunku.

Tyle że on widział wiele prób samobójczych. Żadna z tych osób nie próbowała ciąć sobie ramion.

Wyjął notes.

– A w którym ośrodku przebywa?

– Nie rozumiem, co to pana obchodzi.

– Resting Meadowwoods – padła odpowiedź od strony drzwi.

– Anders – wyszeptała Edith, wyraźnie skonsternowana. Na tyle mocno, na ile mogła to okazać przy gościach.

Shaughnessy spojrział na przybysza.

Doktor Anders White.

Był pretensjonalnie ubrany w eleganckie spodnie z kamizelką. Miał ten sam chłodny typ urody co Rowan, te same delikatne rysy, mimo że

wydawał się męski. Raczej przystojny niż ładny. Grecki patrycjusz wyrzeźbiony w marmurze.

Resting Meadowwoods. Nawet gdy już ją zapisał, Shaughnessy patrzył na tę nazwę, zastanawiając się, czy to był żart, tak jakby nazwę szpitala psychiatrycznego wymyślono w jakimś Saturday Night Live.

Jednak Edith i Anders mieli poważne miny.

– Mamo – powiedział Anders pojednawczym tonem. – Panowie policjanci najwyraźniej martwią się samopoczuciem Rowan, tak jak my. Należałoby im udzielić pochwały za to, że robią więcej, niż do nich należy.

Gdy Anders podszedł bliżej, Shaughnessy instynktownie wyprostował plecy i napiął mięśnie ud. W taki sposób ofiara przygotowuje się do ucieczki, gdy wyczuje drapieżnika. Reakcja „walcz lub uciekaj” była przelotna, ale sprawiła, że się spocił i poczuł nieswojo.

Nikt patrzący na Andersa White’a nie sklasyfikowałby go jako zagrożenia – wyglądał, jakby miał paść po jednym wystarczająco mocnym ciosie. Ale zapanował nad otoczeniem od chwili, gdy przemówił, konkurując nawet z Boydem i Edith, mimo że oboje na swój sposób byli dominujący.

– Była w bardzo złym stanie. – Shaughnessy zauważył, że bezradnie powtarza to samo, co powiedział Edith tamtej nocy. Nie mógł stwierdzić: „Uznaliśmy, że dość mocno ją torturowano”. Właściwie nie było dokładnie tak, a początkujący gliniarz, pół roku po akademii, nie mógł oskarżać o to White’ów z Bostonu. Nawet on, który nie znał się na tych wszystkich politycznych grach, miał tego świadomość.

– Rowan nie zareagowała dobrze na ostatnią zmianę leków – wyjaśnił Anders. – Leczę ją osobiście. – Podniósł rękę, jakby uprzedzając ich protest. – To niekonwencjonalne, wiem. Ale mama nie chciała, by ten problem przyciągał jeszcze większą uwagę.

Kąciki oczu Edith drgnęły, ale nie zdementowała tych słów.

– Może i jestem doskonały w swojej dziedzinie, panowie – ciągnął Anders, któremu w jakiś sposób udało się znaleźć równowagę między umniejszaniem własnej wartości a arogancją – ale nawet ja mam ograniczenia. Wcześniej odnieśliśmy sukces w Meadowwoods. Zdecydowaliśmy, że warto zabrać ją ze szkoły i oddać pod stacjonarną opiekę.

Shaughnessy postukał długopisem w notes. To wszystko brzmiało wiarygodnie. Był w policji zaledwie sześć miesięcy, a widział już kilka

podobnych przypadków. Nastolatki z problemami, zatroskane rodziny niezdolne ich kontrolować. Wszystko zgrabnie do siebie pasowało.

A jednak...

„Będą kłamać”.

– Z której szkoły? – zapytał, byle zadać jakieś pytanie.

Chwila wahania, podczas której matka i syn wymienili spojrzenia. Ale wtedy Anders odpowiedział:

– Liceum Phillipsa.

Shaughnessy to zanotował, a potem po omacku sięgnął po nić, którą mógłby pociągnąć, cokolwiek, co sprawiłoby, że doskonała historyjka zaczęłaby się pruć.

– A jej ojciec?

Boyd zakasłał znacząco. Jednak nie posunął się tak daleko, by zbagatelizować to pytanie.

Kostki palców Edith zbieleły, gdy kurczowo zacisnęła przed sobą dłonie.

Jednak Anders zachował ów uprzejmy, wyrozumiały uśmiech.

– Już go nie ma w jej życiu. Oszedł kilka miesięcy po jej narodzinach.

Edith zamrugała szybko, zbyt szybko. Mimo to nic nie powiedziała, nie zaprzeczyła wersji przedstawionej przez Andersa.

– Nazwisko? – zaryzykował Shaughnessy. Czuł się zuchwały, odważny. Absolutnie, niewyobrażalnie głupi. Co on wyprawiał, ryzykując posadę dla tej dziewczyny?

Anders po raz pierwszy wydał się zakłopotany. Zawahał się, zerknął na matkę, a potem znów na nich.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Bo prawdopodobnie nie miało. Shaughnessy po prostu nie wiedział, o co jeszcze zapytać. W desperacji spojrział na Boyda, który tylko uniósł ramię.

– Powiedziała, że jest więcej dziewczyn – wypalił Shaughnessy, niemal się krzywiąc, gdy te słowa z głuchym łomotem padły na nieskazitelny dywan w salonie.

Edith westchnęła i spojrzała na Andersa, który skinął głową.

– Moja mama wspomniała, że mówiła panu o nadaktywnej wyobraźni Rowan – rzekł bez zająknięcia. – Cokolwiek moja siostra powiedziała o... co to było? inne dziewczyny?... to tylko efekt źle dobranych leków. – Umilkł, a na jego twarzy malował się doskonały obraz zatroskania. – Ale proszę się nie martwić, naprawiamy teraz ten błąd.



I znów zabrzmiało to wiarygodnie. A jednak Shaughnessy'emu coś tu nie pasowało. Tyle że nie wiedział, co z tym wrażeniem zrobić.

– No cóż – odezwał się Boyd po chwili ciszy. – W takim razie wszystko wydaje się w porządku. Shaughnessy przekaze państwu nasze informacje. Gdyby cokolwiek się pojawiło...

– Oczywiście. – Anders wstał. Edith nadal siedziała.

Shaughnessy nie silił się na uprzejme pożegnanie poza tym, że wręczył wizytówkę ze swoimi danymi kontaktowymi. Anders wziął ją z niewyraźnym uśmiechem i wsunął do kieszeni swojej ozdobnej kamizelki. Najprawdopodobniej wkrótce trafi do kosza na śmieci.

Gdy tylko wsiedli znów do samochodu, Boyd wzdrygnął się teatralnie.

– Założę się, że ten gad zakuł ją w łańcuchy w piwnicy.

Całe powietrze pozostałe w płucach Shaughnessy'ego uszło jak pod wpływem uderzenia. Miał ochotę zgiąć się wpół i podrapać skórę tylko po to, by się przekonać, że wciąż ją ma. Zamiast tego gapił się tępo na rezydencję przed sobą.

– Naprawdę nie możemy nic zrobić?

Boyd ziewnął, przeciągnął się, a potem oparł wygodnie o drzwi, gotowy do powrotu do miasta.

– Przykro mi, młody. Dopiero gdy okaże się martwa.

## ROZDZIAŁ 10

GRETCHEN

Teraz

– Przeczucie! – zawołała Marconi z salonu Gretchen. Wróciły do jej mieszkania. Akta leżały rozłożone na całym dywanie, dwa laptopy były otwarte na stronach ze starymi doniesieniami o morderstwie.

Gretchen zawahała się, kładąc rękę na butelce wina. Zamiast niej wzięła jednak wodę i wróciła do siedzącej na podłodze policjantki. Stała w milczeniu, dopóki Marconi się nie odwróciła i nie spojrzała na nią zmrużonymi oczami, jakby trudno było patrzeć na jej twarz.

– Przeczucie – powtórzyła normalnym głosem. – Kto ją zabił? Tylko nie mów, że ty.

– Anders – odparła Gretchen, gdy plastikowa zakrętka ustąpiła pod jej dłonią. – Ze statystyk wynika, że to najprawdopodobniej mężczyzna, który był w domu. Do tego bliski krewny.

– Ale Anders był w Houston w podróży służbowej – zauważyła Marconi. – A potwierdzono, że śmierć nastąpiła na krótko przed telefonem Bardot pod numer alarmowy.

– Wiem. – Gretchen wzruszyła ramionami. Po części właśnie dlatego nie pojawiła się wiarygodna alternatywa dla niej jako sprawcy. – Bardot została dokładnie sprawdzona pod kątem obecności śladów krwi.

– A jeśli się przebrała? Zmieniła ubranie? Ta śmierć nie była natychmiastowa, Rowan się wykrwawiła.

– Czyli myślisz, że Bardot dźgnęła ją nożem, pobiegła się przebrać, a potem zwabiła mnie do sypialni, kiedy Rowan umierała? – Gretchen dobrała odpowiedni ton głosu, aby Marconi dostrzegła, jak dalece było to naciągane.

– Czemu nie? – odparła policjantka. – Wdają się w kłótnię, Bardot traci panowanie nad sobą, a potem wpada w panikę. Uwaga Shaughnessy’ego

była skupiona na miejscu zbrodni. Ściągnięcie mundurowych do przeszukania terenu zajęło godzinę.

Godzina. W tym czasie ktoś mógłby dużo zrobić, gdyby wszystkie oczy były skierowane gdzie indziej.

Nie. To była niebezpieczna droga. Na jej końcu leżało coś zbyt kuszącego. Nadzieja może zwieść na manowce nawet najbardziej obiektywnych śledczych. Nigdy sobie nie pozwoliła na przekonanie, że jest niewinna. Nie na pełne. Nie zacznie wierzyć w to teraz pomimo poważnego wyrazu twarzy Marconi.

– W pokoju nie było innych odcisków palców.

– Tym bardziej jest to prawdopodobne, nie sądzisz? Gdybym użyła proszku daktyloskopijnego i znalazła tylko odciski palców ofiary, uznałabym, że zabójca wytarł resztę.

– Jej odciski i moje – uściśliła Gretchen.

Marconi tylko wzruszyła ramionami.

– Nie twierdzę, że cię tam nie było, ale że nie ty ją zabiłaś.

– Shaughnessy zwrócił uwagę, że to mało prawdopodobne, aby w ustalonym przez koronera przedziale czasu, w którym nastąpił zgon, Bardot mogła doprowadzić się do porządku i usunąć wszystko, co zostawiła w pokoju, zanim zadzwoniła pod numer alarmowy.

– Mało prawdopodobne nie znaczy niemożliwe – odparła Marconi niewzruszona.

– Mało prawdopodobne to mało prawdopodobne – podkreśliła Gretchen, tym razem ostrzej. Poruszyła ramionami, próbując pozbyć się napięcia, które skumulowało się w karku.

– Jeśli to nie była Bardot, to ktoś inny. – Marconi zadarła głowę, jakby zamierzała z kimś walczyć.

– Ja – stwierdziła cicho Gretchen.

Ale policjantka nie słuchała.

– Powinniśmy ustalić, co Rowan robiła przez te lata, kiedy zniknęła z pola widzenia.

– To bezcelowe. – Gretchen słyszała kapryśny upór w swoim głosie i nie przejęła się tym, że brzmi jak dziecko.

– Zleć to swojej specjalistce od komputerów – zaproponowała policjantka. – W końcu możesz sobie pozwolić na bezcelowy wydatek, jeśli takim właśnie się okaże.

To nie był zły pomysł. Gretchen wzięła telefon i odszukała numer Fred.

Miała niewielu przyjaciół, ale dysponowała siecią ludzi pomocnych, kiedy pracowała jako konsultantka przy śledztwach. Należał do nich Ryan Kelly, reporter brukowca, którego Marconi o mało nie udusiła. Fred – pełne imię i nazwisko: Winnifred James – również. I prawdopodobnie ona była najcenniejsza. Reprezentowała wystarczająco wysoki poziom antyspołecznego zaburzenia osobowości, by jej groźba, że dźgnie Gretchen w tętnicę szyjną, jeśli ta kiedykolwiek zwróci się do niej pełnym imieniem, brzmiała wiarygodnie.

– Dawno cię nie słyszałam, doktor White – powitała ją Fred, gdy odebrała połączenie. – A już ośmieliłam się mieć nadzieję, że zgubiłaś mój numer.

Przynęta nie została połknięta. Fred lubiła udawać, że cierpi z powodu tego układu, ale Gretchen wiedziała, że opłaca większą część jej czynszu.

– Czy możesz namierzyć kogoś, kto zapadł się pod ziemię na kilka lat? – zapytała, nie zamierzając się droczyć.

– Zależy od wielu zmiennych. Ale krótka odpowiedź brzmi: tak.

– To byłby koniec lat osiemdziesiątych, początek dziewięćdziesiątych. – Gretchen pomyślała, że może z umowy nici, bo w tamtym czasie ludzie na ogół nie pozostawiali cyfrowego śladu, ale Fred tylko zanuciła pod nosem.

– Wyzwanie. Podoba mi się.

– To wykonalne? – Gretchen zerknęła na Marconi i zobaczyła, że ta uważnie jej się przygląda. Pokazała jej złośliwie uniesiony kciuk, na co policjantka przewróciła oczami.

W tle zaklekotały klawisze komputera.

– Nazwisko?

Gretchen się zawahała. Nie dało się tego pominąć.

– Rowan White.

Po drugiej stronie linii ucichły wszelkie dźwięki. Potem Fred zagwizdała przeciągle.

– Cholera, pani doktor.

– Tak, to dość dobre podsumowanie. Ile?

– Siedem tysięcy – rzuciła Fred bez mrugnięcia okiem. Nie była z tych, co pozwalają, aby sentymentalizm lub empatia stanęły im na drodze do zysku, a wiedziała, jak głębokie są kieszenie Gretchen.

– Pięć i tylko wtedy, gdy coś znajdziesz. – Negocjowała, bo inaczej Fred zabrałaby jej wszystko, co ma. Dwa tysiące różnicy były kroplą w morzu jej majątku i bez wahania zapłaciłaby wyższą sumę, ale chodziło o zasady.

– Pięć bez względu na wszystko, osiem, jeśli coś znajdę – odparła Fred. – A dziesięć, jeśli to będzie dobre.

– Jeśli okaże się dobre, premia będzie wyższa od tego – zgodziła się Gretchen. Bodźce motywacyjne zawsze działały w przypadku Fred.

Rozłączyła się bez dalszych instrukcji. W tej sprawie istniało wystarczająco dużo informacji, by Fred nie musiała się zastanawiać, od czego zacząć.

Marconi podparła się z tyłu na rękach i znów obserwowała Gretchen.

– Nie chcę nic mówić, ale myślę, że wyciągnęliśmy z tych akt wszystko, co się dało. Czyli nic. Może z wyjątkiem uświadomienia sobie, że Shaughnessy nie był tak niekompetentny, jak Gretchen lubiła udawać.

– Shaughnessy nie zechce z nami rozmawiać.

– Jeśli narobimy wystarczająco dużo kłopotów, będzie musiał – stwierdziła Marconi z szelmowskim uśmiechem.

„Traktuj tę sprawę tak, jakby chodziło o kogoś nieznanego”.

Co mogłoby wkurzyć Shaughnessy’ego na tyle, by wkroczył?

Gretchen westchnęła.

– Chyba pora odwiedzić drogiego papcia.

## ROZDZIAŁ 11

TABBY

1993

Tabby potrafiła wyliczać fakty dotyczące sprawy jej siostry tak jak niektórzy ludzie potrafili recytować wersety biblijne, a inni poematy. Słowa te były dalekie od religijnych czy lirycznych, ale kiedy wypowiadała je na głos, zapadały w jej duszę tak jak tamte.

Jenny była stypendystką prestiżowego liceum Phillipsa, bardziej znajomą niż przyjaciółką swoich kolegów z klasy.

Miała szesnaście lat, kiedy została zabita.

W wykazie rozmów na rachunku Crossów znajdowało się kilka połączeń z numeru, którego ich ojciec, Levi, nie potrafił zidentyfikować. Policja ustaliła, że dzwoniło z budki telefonicznej w pobliżu centrum handlowego dziesięć minut drogi od ich domu, będącej poza zasięgiem kamer monitoringu. Nikt z pracowników centrum nie pamiętał, by ktoś korzystał z tej budki z jakąkolwiek częstotliwością.

Ślepy zaułek.

Koleżanki Jenny z drużyny hokeja na trawie powiedziały, że na kilka tygodni przed zniknięciem jakiś starszy mężczyzna odebrał ją z treningu. Zapytana, kto to jest, Jenny zaczerwieniła się. Nikt nie zapamiętał numerów rejestracyjnych auta, a marka była pospolita. Na pytanie o kolor dziewczęta wzruszyły ramionami. Czarny? Granatowy?

Nikt ani razu na niego nie spojrział? Nie, ale jedna z dziewczyn przypomniała sobie, że Jenny mimochodem wspomniała o jesiennym festynie. Pomyślała, że tych dwoje mogło się spotkać właśnie tam.

Wszystkie mówiły, że Jenny była cicha, raczej zamknięta w sobie. Nie opowiadała o swoich miłosnych podbojach – nie żeby było ich wiele.

Została znaleziona tydzień po zaginięciu – ciało zakopano w lesie w płytkim grobie. Na rękach miała nacięcia, po zewnętrznej stronie, od ramion po nadgarstki. Koroner nie wiedział, co sądzić o tych ranach. Nie

wydawały się czemuś służyć, nawet jako metoda tortur byłyby nieskuteczne.

Przyczyną śmierci był uraz powstały na skutek uderzenia czymś tępym w tył głowy.

Nie było śladów gwałtu ani nasienia. Żadnych włókien. Ani innych dziewczyn w kostnicy czy miejscowych szpitalach z podobnymi obrażeniami.

Nikt w pobliskich domach niczego nie widział ani nie słyszał. Ale wszystkie były w stylu rezydencji – z bramami, długimi podjazdami i możliwie największą odległością od otoczenia.

Policjanci zmarnowali całe tygodnie, próbując znaleźć tajemniczy samochód tylko po to, by stwarzać pozory, że coś robią.

Nie mogli przyznać, że nie mają żadnego innego punktu zaczepienia.

Nierozwiązana sprawa. Tak nazywali to detektywi, kiedy myśleli, że Tabby ich nie słyszy.

Teraz Tabby jeszcze przez minutę słuchała dochodzącego z kanapy chrapania ojca. Potem dotknęła okrągłej klamki u drzwi Jenny palcami, jakby mogła się sparzyć.

Nie sparzyła się, oczywiście, że nie.

Myśl, żeby wejść do środka, wciąż ją przerażała. Jednak gdy akta zawiodły, to wewnątrz pozostało ostatnim nieodwróconym kamieniem.

Potem zrezygnuje, będzie żyć dalej, wreszcie upora się z tym, że zabójstwo Jenny nigdy nie zostanie wyjaśnione.

Tabby niemal roześmiała się na tę myśl. Ile razy już to mówiła? Zawsze pojawiał się kolejny kamień. Była ciekawa, czy kiedykolwiek uwolni się od ducha Jenny.

Weszła do pokoju i gdy tylko znalazła się w środku, zdała sobie sprawę, że zamknęła oczy, przygotowując się na cios. Nie nastąpił, jej ojciec spał na dole. Świat kręcił się dalej. Jenny nadal nie żyła.

Policjanci pytali ojca o pamiętnik Jenny, a on przekazał im go natychmiast. Ale Tabby nie szukała zapisków siostry o jej drobnych żalach i zadurzeniach. To nie są rzeczy, które opowiadają historię ostatnich dni dziewczyny.

Ludzie mają sposoby, żeby kłamać w pamiętnikach, nawet jeśli sami są ich czytelnikami.

Fakt, że policja niczego tu nie znalazła, zdawał się dowodzić racji Tabby.

Mimo że Jenny nie przyjaźniła się ze swoimi płytkimi, bogatymi koleżankami ze szkoły, przynajmniej niektóre sprawy widziały one właściwie. Jenny była cicha, pilna, zamknięta w sobie. Zwłaszcza w tym liceum. Wciąż powtarzała, że wszystkich tam nie cierpi, ale chętnie skorzystała ze stypendium, które jej zaoferowano.

Ponieważ zawsze chciała się stąd wydostać. Patrzyła na ich skromny dom w skromnej dzielnicy, na to skromne życie, które miała tu prowadzić, i nie zamierzała się tym zadowolić. Tabby zawsze wiedziała, że sama skończy w jakiejś pracy bez perspektyw, żyjąc od wypłaty do wypłaty.

Ale Jenny? Jenny miała wielkie marzenia. I wiedziała, jak je spełnić.

Nie przez rysowanie serc wokół imion chłopców w swoim pamiętniku, ale przez skrupulatne planowanie zadań w terminarzu.

Gdyby policjanci naprawdę chcieli odkryć, o czym Jenny myślała w swoich ostatnich dniach, ostatnich godzinach, powinni byli spojrzeć na jej szkolne prace, obejrzyć karteczki samoprzylepne, które uwielbiała zostawiać – niemal dziesięć lat później wszystkie zawinięte na brzegach, ale wciąż przyklejone do drewna. Powinni byli zajrzeć do jej wypracowań i podręcznika do gry w hokeja na trawie, który leżał na eksponowanym miejscu w górnej szufladzie.

Kiedy policjanci zobaczyli zamordowaną dziewczynę, widzieli skrajności – chłopców, bójki, narkotyki, seks, wstyd.

Ale Tabby nie mogła pozbyć się wrażenia, że odpowiedź była o wiele bardziej prozaiczna.

Usiadła przy biurku, które jej siostra ozdobiła dziecięcymi naklejkami, gdy miała zaledwie dziesięć lat, i nigdy ich nie odlepiła. Wzięła najbliższej leżący plik papierów, szkolny projekt grupowy na temat ojców założycieli i wojny o niepodległość – temat, którego nauczaniem bostońskie szkoły nigdy się nie nudzą.

Grupa dostała ocenę bardzo dobrą.

Tabby nie spodziewałaby się po Jenny gorszej.

Obok imienia siostry widniało jedno, które wydało jej się niemal znajome.

Przesunęła palcem po atramencie, ścigając wspomnienie, które prawdopodobnie było tylko wytworem wyobraźni.

Ładne imię, staroświeckie, ale lekkie i melodyjne. Tabby powtórzyła je sobie, przechodząc do niżej leżących papierów.

„Rowan White”.



## ROZDZIAŁ 12

GRETCHEN

Teraz

Gretchen zastukała knykciami w okno po stronie kierowcy sedana.

Shaughnessy westchnął głęboko – co dostrzegła, nawet jeśli nie mogła usłyszeć – i nacisnął przycisk opuszczający szybę. Zafurkotała z wysiłkiem, gdy piętnastoletni ford crown victoria usiłował wykonać zadanie.

Gretchen pochyliła się i jedną ręką oparła o drzwi, obdarzając mężczyznę uśmiechem, który wyrażał to samo, co wcześniej zawadiacki salut.

– Panie detektywie, zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc.

Spojrzał na nią gniewnie, dobrze wiedząc, że nim manipuluje.

– Co jest? – Zabrzmiało to bardziej jak żądanie niż pytanie.

– Wygląda na to, że mam stalkera.

– Albo może masz strażnika, który pilnuje, żeby ci nie odbiło i żebyś kogoś nie zabiła – odburknął.

Gretchen udała, że się nad tym zastanawia.

– Hm, tak, to się wydaje równie prawdopodobne. W takim razie przyszedłabym służyć ci pomocą.

Shaughnessy zmrużył oczy i usiadł głębiej w fotelu.

– W jaki sposób?

– Wybieramy się do Cambridge.

W oczach Shaughnessy'ego pojawiło się zrozumienie i jego twarz przybrała ostrożnie obojętny wyraz.

– Anders.

– Bystry jesteś, detektywie. Nie pozwól, by ktokolwiek mówił ci, że jest inaczej – powiedziała Gretchen. Potem, zanim zdążył zareagować, trzonek noża, który trzymała w rękawie na przedramieniu, opuściła w dłoń. Szybkim ruchem zatopiła ostrze w przedniej oponie i pociągnęła w dół, by całkowicie zniszczyć gumę. – Tyle że niewystarczająco bystry.

Shaughnessy zaczął przeklinać i nie przestał, nawet kiedy była w połowie drogi do porsche, a Marconi już zapinała pas na siedzeniu pasażera.

– Mógłby cię za to aresztować – skomentowała, choć nie wyglądała na szczególnie zaniepokojoną.

– Chciałabym zobaczyć, jak próbuje – odparła Gretchen, uruchamiając silnik. W przeszłości, w paru sytuacjach, gdy nie zapanowała nad odruchami, Shaughnessy był dla niej bardziej pobłażliwy, niż mogła się spodziewać. Ale tym razem niemal miała nadzieję, że złoży skargę. Potem będzie musiał wyjaśnić swemu szefowi, co robił. A ten, jak się domyślała, nie miał pojęcia, że jeden z jego najlepszych detektywów w wydziale zabójstw marnował czas, śledząc jednego z jego najlepszych konsultantów.

– Wtedy nie musiałybyśmy składać wizyty Andersowi. – Zerknęła na Marconi. – Co sądzisz na temat jego obecnego zachowania?

Kobieta przeczesła włosy palcami i spojrzała przez okno, by ukryć swój wyraz twarzy.

– Może po prostu próbuje mieć cię na oku.

Może. Pokrywało się to z jego wcześniejszym działaniem, ilekroć zaczynał się denerwować, nie wiedząc, co Gretchen robi. Ale... ostatnio wydawał się szczególnie poruszony. Nie chodziło tylko o jakąś starą sprawę, lecz o sprawę, która być może zdefiniowała go tak samo, jak zdefiniowała ją.

– Tamtej nocy wszedł do naszego domu, nie czekając na wsparcie – powiedziała Gretchen, ignorując słuszną uwagę policjantki. Shaughnessy ogólnie lubił podpatrywać.

– To dziwne – zgodziła się Marconi. – Ale nie bezprecedensowe, jeśli to, co mówi, naprawdę się wydarzyło.

Oficjalna wersja Shaughnessy'ego była taka, że wracał do domu, kiedy operator numeru alarmowego przekazał szczegóły rozmowy z Bardot. Tak się złożyło, że był kilka minut drogi od domu White'ów. Zanim przybyli inni detektywi, Shaughnessy wszedł do pokoju Rowan i rozbroił Gretchen.

– Nie przestrzegął protokołu – stwierdziła Gretchen.

– Cóż, nadal trzymałaś nóż i w domu znajdowały się inne potencjalne ofiary – zauważyła rozsądnie Marconi. – W tym twoja siostra, która miała... ile lat?

– Piętnaście.

Przyznanie tego nie sprawiło jej szczególnej przyjemności – i nie powiedziała by tego na głos – ale policjantka miała rację. Właściwie nie

było podejrzane, że Shaughnessy pojawił się szybko i sam. Ten argument mógłby przepaść w sądzie, ale zgłoszona przez niego ocena, że nadal istnieje aktywne zagrożenie, przesłoniła wiele innych, skądinąd wątpliwych zachowań. A poza tym był to początek lat dziewięćdziesiątych, zanim policja ujednoliciła procedury stosowane na miejscu zbrodni. Wiązało się to z porażką procesu O.J. Simpsona.

– Wystarczająco wiarygodne, aby było prawdziwe – powiedziała Marconi, powtarzając myśli Gretchen. Jednak wydawała się niezdecydowana.

– Ale ty tak nie uważasz? Myślisz, że on coś wie? Że coś ukrywa?

– Być może. – Kobieta uniknęła jednoznacznej odpowiedzi. – Ale jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, nadal nie pasuje mi, że pozwolił ci pracować przy śledztwach, jeśli uważał, że kogoś zabiłaś. I... – urwała.

– Nie zaczynaj zdań, których nie możesz dokończyć. – Gretchen spróbowała powstrzymać irytację w głosie.

Policjantka rzuciła jej spojrzenie.

– Z was dwojga tylko ty mi powiedziałaś, że uważa, iż to zrobiłaś.

– Wyjaśnij – burknęła Gretchen.

– Żarciki na miejscach zbrodni, kiedy nazywasz siebie zabójczynią, a on nie zaprzecza – powiedziała Marconi tak powoli, że Gretchen kusiło, by gwałtownie wcisnąć hamulec, aby z przestrachu wypłuła to z siebie. – Przekomarzanie się i tak dalej. Nie mówi w ten sposób, kiedy ciebie nie ma w pobliżu.

Gretchen przemknęła na czerwonych światłach, rozważając te słowa. Nie znosiła podobnych chwil, kiedy wiedziała, że słyszy coś ważnego, ale umysł nie pozwalał jej uświadomić sobie znaczenia tego czegoś. W końcu warknęła:

– Przejdź do sedna.

– To tylko teoria. – Policjantka znów spojrzała w okno. Gretchen miała ochotę nią potrząsnąć, spoliczkować. Zrobić cokolwiek. – Myślisz, że Shaughnessy uważa, iż uszło ci to płazem. Ale ja sądzę, że to może być historia, którą sama sobie opowiedziałaś, a nie rzeczywistość.

– Raport policyjny mówi coś innego – zauważyła Gretchen, lekceważąc fakt, że przez chwilę była pewna, iż kobieta powiedziała coś doniosłego. – Zatem to niezupełnie genialna teoria.

– Raport policyjny i wywiady, które brukowce wtedy zdobywały, zanim ktoś cokolwiek powiedział, zostały napisane trzydzieści lat temu – odparła

Marconi, wzruszając ramionami, wciąż spokojnym, pozbawionym emocji głosem. – Opięprza ludzi na posterunku, kiedy w ogóle o tobie plotkują.

Gretchen przełknęła ślinę, niepewna, co zrobić z tą informacją. Czuła się z nią dziwnie, jak w pożyczonym płaszczu, zbyt ciasnym we wszystkich nieodpowiednich miejscach.

– Może przekonał samego siebie, że to uzasadnione, ponieważ byłam dzieckiem i to była jednorazowa sprawa – zasugerowała. Odkryła, że ludzie są niesamowicie utalentowani, jeśli chodzi o gimnastykę umysłową i wynajdywanie racjonalnych argumentów, by mieć to, czego chcieli. Dla Shaughnessy’ego to rozwiązane sprawy. Przez te lata, kiedy z nim pracowała, zyskał doskonałą opinię. I w dużej mierze zawdzięczał to konsultacjom, których mu udzielała podczas śledztw.

– Wiesz, że on nie myśli w ten sposób. Jeśli zabiłaś Rowan z zimną krwią? Nie wyobrażam sobie, żeby uznał to za nieważne. Nawet jeśli byłaś dzieckiem, kiedy to się wydarzyło.

Gretchen tak długo wpatrywała się w profil Marconi, że musiała gwałtownie skrócić, aby nie zerwać bocznego lusterka zaparkowanego samochodu.

– Pracowałabyś ze mną, gdyby to była jednorazowa sprawa?

– Jednorazowa sprawa – powtórzyła kobieta półszepem, zarazem rozbawiona i zde gustowana. – To nie ma znaczenia. Nie zabiłaś jej.

– Wchodzisz w to z takim samym przyjętym z góry założeniem jak Shaughnessy – zauważyła Gretchen, nie chcąc porzucić tematu teraz, kiedy zaczęła rozdrapywać tę ranę. Ciepło zalało jej szyję i spłynęło na klatkę piersiową. Palce ścisnęły kierownicę.

Bez względu na to, czy wierzyła, że rzeczywiście była winna zabicia Rowan – coś, czego nie była pewna przez ostatnie trzydzieści lat – morderstwo, osądzenia, plotki, spojrzenia i konsekwencje bycia główną podejrzaną w śledztwie dotyczącym morderstwa ukształtowały całe jej życie. Tkwiły w niej głęboko, były podstawą, na której zbudowała wszystko inne.

Wcześniej opuściła szkołę podstawową, ukończyła studia jako nastolatka, postanowiła studiować kryminologię i psychologię, w nadziei, że uda jej się lepiej zrozumieć, dlaczego jest nieskończoną próżnią, podczas gdy wszyscy inni zdawali się wypełnieni taką „wielością”.

Nie dała się przegnać ze swojego miasta z powodu jej reputacji, rzucała tę przeszłość w twarz każdemu, kto mówił, że nie może być wybitną

ekspertką w dziedzinie przestępczości i antyspołecznych zaburzeń osobowości. Nawet obsesja Shaughnessy'ego na jej punkcie posłużyła uformowaniu tego, co inni nazwaliby „osobowością”, a ona – swoją „postawą zewnętrzną”.

Gdyby nie czuwał, zaglądając jej przez ramię, odkąd miała osiem lat, czy w jednym z tych momentów, gdy nieomal dopuściła się przemocy, impulsy odniosłyby nad nią zwycięstwo? Czy byłaby w więzieniu albo martwa, nie nauczywszy się kontrolować ciemnej strony swojej natury?

Nawet gdy każdemu, kto chciał słuchać, głośno deklarowała swoją niewinność, w rzeczywistości zbudowała życie wokół myśli, że zabiła Rowan.

Kim jest, jeśli nie była dzieckiem, któremu uszło na sucho morderstwo? Kim by się stała, gdyby to nie była jej historia?

Bardzo długo powtarzała sobie, że odkąd została policyjną konsultantką, nie przyjrzała się swojej sprawie ze strachu, że nie pozwoli jej pomagać w dochodzeniach. Powiedziała sobie, że boi się więzienia; że konsekwencje nie są warte jej zaspokojonej ciekawości.

Ale tak naprawdę obawiała się, że jedyne traumatyczne wydarzenie, które ją zbudowało, mogło się nie wydarzyć. Kiedy była młodsza, oddałaby wszystko, by odpędzić ciemną chmurę, która za nią podążała, bez względu na to, jak daleko biegła. Jako dorosła, jeśli miała być szczerą, nie sądziła, że zmieni przeszłość, nawet gdyby mogła.

Co by się stało z jej starannie skonstruowanym życiem, gdyby jakimś cudem znaleziono dowód, który całkowicie oczyściłby ją z zarzutów? Czy wszystko by się wtedy zmieniło? Czy choćby cokolwiek?

Marconi obserwowała ją z siedzenia pasażera, a Gretchen brutalnie szarpnęła lejce kontroli, by ukryć to, co działo się z jej twarzą. Ludzie myślą, że socjopaci nie mają emocji, ale to nie do końca prawda. W tej chwili mogła to potwierdzić. I nie miała najmniejszej ochoty odkrywać kart przed tą kobietą.

– Jeśli ją zabiłaś, jest ku temu jakiś powód – odezwała się Marconi tonem znacznie bardziej stanowczym, niż nakazywałyby rozsądek.

– Dlaczego wierzysz w kogoś, kto, jak wszyscy mówią, jest pozbawiony moralnego kompasu? – zapytała Gretchen wbrew sobie. Powinna po prostu się zamknąć i pozwolić Marconi sobie pomóc. Jeśli ta się przy tym sparzy, nie będzie to wina Gretchen. W końcu została ostrzeżona.

Jednak ciekawość była bestią, którą tylko czasami umiała zignorować.

– Ponieważ z tego, co widziałam, wynika, że chociaż jesteś socjopatką, w dziewięciu przypadkach na dziesięć robisz to, co właściwe. Czyż nie jest to nawet bardziej imponujące, niż gdybyś robiła tak dlatego, że urodziłaś się z prawidłowym okablowaniem?

– Może osiem razy na dziesięć – powiedziała Gretchen, by uspokoić ten cholerny trzepot w klatce piersiowej.

– Oczywiście. Osiem na dziesięć – odparła Marconi, a w jej głosie czał się jakiś irytująco znaczący uśmiezek. – W moim przekonaniu nawet siedem na dziesięć stawia cię powyżej średniej.

Gretchen nie miała na to mądrej odpowiedzi i policjantka uśmiechnęła się szeroko.

– Och, czyżby wreszcie odebrało ci mowę?

Nie była z tego dumna, ale w odpowiedzi pokazała Marconi jej ulubiony nieprzyzwoity gest.

– Tylko na tyle cię stać, mądralo? – zażartowała tamta. Jednak przymknęła się i siedziała cicho, uważna, ale ufna, gdy Gretchen płynnie zmieniała pasy, przemykając między samochodami z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę powyżej limitu. Uważna, ale pełna zaufania.

Gretchen nie chciała wykorzystywać wiary Marconi w ludzi, chociaż zapisała sobie tę jej cechę w pamięci, by uczynić z niej użytek, gdyby kiedyś zaszła taka potrzeba. Tak jak to zrobiła podczas śledztwa w sprawie Violi Kent.

Gdy przejechały most, opuszczając miasto, Marconi przesunęła się na swoim fotelu, raczej bezwiednie niż dlatego, że chciała usiąść wygodniej.

– Powiedziałaś, że gdyby Anders postanowił, że trzeba ją zabić, chciałby to zrobić sam.

– Tak. Musi nad wszystkim panować.

– Te rany... Przesadnie liczne.

Gretchen przypomniała sobie pociągnięcie za rozcięte ciało.

– Tak.

– To nie było płatne zabójstwo i nie w obronie własnej, bo Rowan nie miała bronii – ciągnęła Marconi tonem pozbawionym emocji, jakby próbowała rozwikłać skomplikowany problem. – To wściekłość albo sadyzm.

Tak jak wiele innych osób widziała zdjęcia ciała ofiary.

– Łatwa odpowiedź to sadyzm, oczywiście. – Lekkim ruchem ręki Gretchen wskazała na siebie.

– Ale jeśli to nie byłeś ty... – odparła Marconi, znów raczej tak, jakby nie zamierzała powiedzieć tego na głos. – Wtedy w grę może wchodzić wściekłość.

– Zapewne.

– Myślisz, że kogokolwiek innego w tym domu mogłoby podniecać torturowanie Rowan dla samej przyjemności pastwienia się?

– Nie. Chyba że Bardot albo Fran są ukrytymi seryjnymi morderczyniami.

– Załóżmy, że tak nie jest. Wtedy pozostaje wściekłość.

– Czyli podchodzimy do tego niewłaściwie – stwierdziła Gretchen, lekko upokorzona, że dopiero teraz się zorientowała, w którą stronę zmierzał proces myślowy Marconi.

– Nie musimy szukać podejrzanego – zauważyła policjantka. Oczy miała szeroko otwarte, ciało niemal wibrowało z podniecenia. – Musimy znaleźć motyw.

Gretchen skręciła w ulicę, którą dobrze pamiętała, chociaż nie była tu od dwudziestu lat. Zamiast wjechać na podjazd, zatrzymała się przy krawężniku. Strategia szybkiego wyjścia była kluczowa, gdy miało się do czynienia z Andersem i Bardot White'ami.

– No cóż – powiedziała, otwierając drzwi. – Ten dom jest ich pełny.

## ROZDZIAŁ 13

SHAUGHNESSY

1984

Choć od czasu, gdy Rowan White wybiegła przed samochód Shaughnessy'ego, minęły prawie cztery miesiące, on nadal nie mógł wyrzucić jej z pamięci. Wspomnienie jej twarzy stało się zamglone i słabe – bardziej wyobrażenie niż rzeczywisty obraz.

Melodyjny głos, sposób, w jaki jej palce na sekundę wsunęły się w jego dłoń, wyryły w nim ślad. Nieusuwalny.

Powiedział sobie, że musi odpuścić, bo nie ma tu nic do wytropienia. Ale nigdy sobie z tym dobrze nie radził.

W końcu się poddał i zadzwonił do ośrodka, o którym wspomnieli White'owie, gdzie napotkał opór ze strony recepcjonistki.

– To dość pilna sprawa, proszę pani – powiedział.

– I jestem pewna, że uda się panu przekonać o tym sędziego – padła lodowata odpowiedź.

Potem mógł tylko czekać, śledzić policyjne raporty z sąsiednich dzielnic i mieć nadzieję, że gdy następnym razem zobaczy twarz Rowan, nie będzie ona martwa.

– Wbiłeś ją sobie do głowy, co? – zapytał Boyd, opierając się biodrem o jego biurko i stukając palcem w akta leżące niebezpiecznie blisko krawędzi. Shaughnessy przeklął się w duchu za pozostawienie ich na widoku. – To niebezpieczne, przyjacielu.

Młody policjant pokonał chęć ukrycia teczki w biurku – to zwróciłoby tylko jeszcze większą uwagę na jego zachowanie.

– Widziałeś jej ręce.

– Tak, to nie pierwsza dziewczyna, która sięgnęła po żyletkę – odparł Boyd znudzonym tonem, ale z nutką ciekawości, z którą zdawał się walczyć. – Daj spokój, napijmy się piwa za rogiem.

Shaughnessy pokręcił głową.



– Nie, dzięki.

Boyd wrzucił na grzbiet kurtkę, którą trzymał w ręce.

– Będiesz tak siedział i rozmyślał o dziewczynie widmo?

– Wybiegła z lasu, jakby przed kimś uciekała.

– Co mogła zrobić podczas psychicznego załamania – odparł Boyd. Jednak nie odchodził i Shaughnessy przypomniał sobie jego przezwisko. Posokowiec Boyd. Gdy tylko zwęszy trop, zwykle już go nie odpuszcza.

– Kazała nam uciekać – dodał.

– Nie zauważyłem. – Boyd wzruszył ramionami. Było jasne, że detektyw gra rolę adwokata diabła.

Shaughnessy poszukał innego argumentu poza: „Ta rodzina wydaje się przerażająca i wiesz o tym”.

– Powiedziała, że jest więcej dziewczyn – wymamrotał.

– I na to też mamy wytłumaczenie. – Boyd odsunął się od biurka, by sprawdzić, czy reszta chłopaków jest gotowa. Ktoś utknął zajęty rozmową z szefem i zapewne tylko dlatego detektyw zwlekał z wyjściem. Jednak Shaughnessy widział, że jego uwaga słabnie.

Zdesperowany, pochylił się do przodu, by z powrotem przyciągnąć wzrok Boyda.

– Powiedziałeś, że nie możemy nic zrobić, dopóki nie okaże się martwa.

To sprawiło, że detektyw zerknął na niego. I westchnął, najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać.

– Więc jaka jest ta twoja genialna teoria?

Wiedział, że to ryzykowne. Bo jego teoria wydawała się szalona nawet jemu samemu. Ale bez pomocy nie był w stanie do niczego dojść.

„Jest więcej dziewczyn. Znajdź je”.

Wahał się jeszcze sekundę, na tyle długo, by wzrok Boyda znów powędrował w inną stronę, po czym sięgnął do dolnej szuflady biurka.

I wyjął swoją kolekcję.

Czasopisma, wycinki z gazet, wyrwane strony z książek i periodyków psychologicznych. W tych czasach materiału nie brakowało. Żyli w kraju z obsesją na punkcie tych potworów.

Seryjni zabójcy.

Boyd wpatrywał się w strony tytułowe, które młody policjant rozkładał na biurku. Zodiak, John Wayne Gacy, David Berkowitz.

– Jaja sobie robisz? – wyszeptał nerwowo i przesunął się, zasłaniając ciałem jego biurko przed wzrokiem pozostałych gliniarzy kręcących się

przy drzwiach. – Chryste, człowieku. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ludzie tutaj już cię uważają za szajbusa?

Mięsień w szczęce Shaughnessy’ego drgnął. Nie był idiotą. Wiedział, że przeskok od dziewczyny wybiegającej na drogę do seryjnego zabójcy był duży.

Wiedział też, co inni gliniarze o nim mówią. Nie żeby już wcześniej tego nie słyszał.

Mama ostrzegała go przed stanem, w który wpadał, gdy miał nową obsesję.

– Zafiksowany – tak to nazwała.

Jego rodzeństwo było mniej oględne.

– Maniak – powiedziała Brenna.

– Psychol – dodał Mick.

– Złowieszczak. – To była Saoirse. Nie dotknęło go to zbyt mocno, bo miała się za najmądrzejszą w rodzinie i w tym czasie podchodziła do testów kompetencyjnych przed złożeniem dokumentów na studia.

Tata jednak zawsze odciągał go na bok, gdy reszta zaczynała mu dokuczać.

– Jesteś dobrym gliną. – Właśnie to ciągle powtarzał. – Masz do tego nosa, Patrick. Nie pozwól, by ktoś ci mówił, że jest inaczej.

Za każdym razem, gdy wracał do domu na niedzielny obiad, starał się, by jego praca wyglądała bardziej imponująco niż wożenie starszych detektywów, siedzenie przy fotoradarach i w punktach kontroli trzeźwości. Brenna, Mick i Saoirse nigdy tego nie kupili, ale tata patrzył na niego z czymś niepokojąco zbliżonym do dumy.

– Mówiłem ci, no nie?

Może nie miał na koncie żadnych dużych spraw. Jednak gdy to zobaczył, wiedział, że coś jest nie tak.

I nie mógł otrząsnąć się ze wspomnienia obrazu rąk Rowan. Były dziwne, nie na miejscu. Niewytłumaczalne.

Wyglądały jak podpis w trakcie tworzenia.

Gdy do tego dodać, że wyglądała, jakby właśnie uciekła z piwnicy w samej bieliźnie, a potem ostrzegła go, że jest więcej ofiar – czy naprawdę mógł się winić, że wciąż zajmuje się tą historią?

– Powiedz, że jej skaleczenia nie wydały ci się rytualne – rzekł ściszym głosem, przenosząc wzrok za Boyda. Faceci przy drzwiach tracili cierpliwość, jeden z nich odłączył się od grupy i ruszył w ich stronę.

– Co jest, pracujesz teraz dla Ef Bi Aj? – odparł Boyd, wymawiając głoski tak przeciągle, że zabrzmiały karykaturalnie.

Shaughnessy uniósł ramiona w obronnym geście i zgarnął wszystkie papiery. W jednym Boyd miał rację: nie potrzebował, by inni detektywi opowiadali, jaki z tego żółtodzioba szurnięty wielbiciel teorii spiskowych.

– Nie proszę cię o pomoc.

Wiedział, że zabrzmiało w tym rozgoryczenie zranionego nastolatka, ale nie zdołał się powstrzymać. Kiedy ktoś zwracał uwagę na jego „obsesje” – jakiś głos szepnął mu w głowie i sprostował: „zainteresowania” – zwykle bywał zbyt podekscytowany, zbyt gorliwy, jak dzieciak popisujący się swoją pracą.

– Posłuchaj. – Boyd westchnął. – Powęszę trochę za czymś dziwnym, może były podobne przypadki czy co tam jeszcze. Ale nigdzie nie znajdziesz bez mocnych dowodów.

– Próbowałem. – Shaughnessy potrząsnął głową, gdy Boyd odwrócił się do reszty detektywów. – Co mam zrobić?

– Idź przelecieć kogoś, kto nie jest widmem – mruknął Boyd. A potem znów westchnął. Bo Shaughnessy nie był jedynym gliną, który potrafił zbyt mocno się zaangażować w ciekawą sprawę. – No dobra, zluźnij gacie. Nie wchodzisz więcej do tego domu i nie wypytujesz o nic psychiatrów.

Shaughnessy to wszystko wiedział.

– Okej.

– Co zatem pozostaje? – zapytał detektyw, pochylając się bliżej.

Irytacja mogła go całkiem pozbawić zdolności logicznego rozumowania, ale Shaughnessy zdołał ją pohamować. I przypomniał sobie, jak wciskał hamulec, i to, co wtedy myślał.

– Las.

– Bingo, mały – pochwalił go Boyd.

– Ale co tam znajde? – Shaughnessy nie mógł nie zadać tego pytania. Las był niedaleko rezydencji. To więcej niż prawdopodobne, że uciekała z domu.

– Nie wiem – odrzekł detektyw, wzruszając ramieniem. – Ale nic nie znajdziesz, jeśli nie poszukasz.

## ROZDZIAŁ 14

GRETCHEN

Teraz

Jedną z zalet okropnego czerwonego porsche było to, że pomagało Gretchen zrobić efektowne wejście.

Dlatego mogła się spodziewać, że Bardot sama otworzy frontowe drzwi, zamiast wysłać którąś z pokojówek, aby wpuściła kobiety lub je odesłała. Obie możliwości jednakowo wchodziły w grę.

– Kochanie. – Bardot pochyliła się, by cmoknąć powietrze bardzo daleko od policzka Gretchen. – Jak miło, że wpadłaś na chwilę.

Powiedziała to tak, jakby widziały się chociaż raz od rozstania przed kancelarią adwokacką, gdy odczytano testament Edith.

– Mamo. – Gretchen z rozmysłem przyjęła jej ton. – Byłyśmy w sąsiedztwie. Lauren nalegała na poznanie moich rodziców.

Gretchen powoli wymówiła imię Marconi w ten intymny sposób, by wywołać u matki fałszywe wrażenie. Wszystko w Bardot – od starannie upiętych z tyłu brązowych włosów, przez pojedynczy sznur pereł na szyi, po nieskazitelną kostium w odcieniu złamanej bieli i dopasowane do niego szpilki – sprawiało, że Gretchen chciała ją zaskoczyć, zburzyć ten niewzruszony spokój.

Bardot rzuciła Marconi spojrzenie szybkie jak uderzenie skrzydełka kolibra i skierowała uwagę z powrotem na Gretchen, jakby w obawie, że zatrzymując wzrok na kobiecie dłużej, da jej do zrozumienia, że jest mile widziana.

– Przykro mi, kochanie, chyba będziemy musiały przełożyć tę wizytę. – Bardot zdołała sprawić, że zabrzmiało to niemal szczerze. – Panie ze stowarzyszenia Córek Rewolucji Amerykańskiej niedługo się zjawią.

Marconi przesunęła się obok Gretchen, sięgając do kieszeni po odznakę.

– Właściwie, proszę pani, jestem detektyw Lauren Marconi z bostońskiej policji. Czy mogłaby pani poświęcić nam kilka minut?

Gretchen uśmiechnęła się złośliwie, gdy botoks matki dostał zadanie do wykonania. Gdyby w twarzy Bardot pozostał jakiś niesparalizowany mięsień, skurczyłby się i zacisnął, z pewnością budząc jej przerażenie. Tym bardziej warto było czerpać z tego przyjemność.

– Gretchen, coś ty sobie myślała? Sprowadziłaś policję do naszego domu?  
– zaprotestowała Bardot, znów ignorując Marconi, która już ruszała do przodu w sposób, którego inni tak naprawdę nie zauważali, dopóki nie wpuścili jej przez drzwi.

Pomimo swej nieugiętej postawy Bardot ruszyła za nią. W następnej chwili wszystkie trzy znalazły się w holu z marmurową podłogą, a policjantka obrzucała wzrokiem dwa Monety, Degasa, żyrandol Tiffany’ego i stojący w rogu szezlong Diora. Gretchen miała wątpliwości, czy naprawdę potrafi zidentyfikować te dzieła sztuki, ale pomieszczenie tak krzyczało bogactwem, że Marconi nie musiała być dobrym detektywem, by to zauważyć.

Anders i Bardot mogli być odcięci od ogromnego funduszu powierniczego White’ów, ale to nie znaczyło, że pieniądze zdobywali w pocie czoła.

– Z przyjemnością wrócimy innym razem, jeśli teraz nie masz dla nas czasu – zaproponowała Gretchen, jakby chciała pomóc. – Może nawet zostaniemy na noc? – Z szeroko otwartymi oczami odwróciła się do Marconi. – Albo na weekend. Czy to nie brzmi bosko, kochanie?

Policjantka spojrzała na nią z obojętnym wyrazem twarzy, po czym przeniosła wzrok na Bardot.

– Proszę pani, to nie powinno zająć zbyt dużo czasu.

Wyglądało na to, że w obliczu alternatywy ukryta oferta Marconi, że uwiną się szybko, ostatecznie przekonała Bardot.

Zerkając na delikatny złoty zegarek na nadgarstku, mruknęła pod nosem.

– Myślę, że znajdę kilka minut.

– I Anders – wtrąciła Gretchen. – Dołączy do nas, tak?

– Twój ojciec jest w szklarni – odparła Bardot, co, jak wszystkie wiedziały, w istocie nie było odpowiedzią. Ale potem puściła je przodem i zaczęła w drzwiach.

– Jane, mogłabyś powiedzieć doktorowi White’owi, że mamy gościa?

Młoda kobieta ubrana w staroświecki strój pokojówki podreptała obok nich i skierowała się na tyły domu. Bardot wskazała im kolejne drzwi, tuż obok kuchni.

– Tutaj.

Gdy ruszyły za nią, Marconi pochwyciła wzrok Gretchen i wymówiła bezgłośnie: „Uspokój się”.

Miała rację. Gretchen czuła, że nie do końca nad sobą panuje, ale traciła z oczu powody, dla których powinna się o to starać.

– Wiesz, mamó, nie musisz tak ubierać tych biednych kobiet tylko po to, żeby zaspokoić swoje perwersyjne fantazje o francuskich pokojówkach. O wiele prościej byłoby wynająć dziewczynę do towarzystwa.

Marconi wzniosła oczy do sufitu, po czym wyraźnie się uspokoiła.

– Będzie pani musiała wybaczyć Gretchen – powiedziała Bardot na boku do Marconi, która najwyraźniej przekonała ją do siebie poprzez sam fakt, że nie była Gretchen. – To nie jej wina. Ma bardzo słabą samokontrolę, co z pewnością pani zauważyła.

Zamiast bez wahania potwierdzić, jak Gretchen mogła się spodziewać, Marconi posłała Bardot coś bliskiego piorunującemu spojrzeniu.

– Prawdę mówiąc, odkryłam, że ma nadzwyczajną samokontrolę.

Gdy usiadła, Gretchen próbowała się nie uśmiechać z zadowolenia. Coś w Marconi, która stanęła w jej obronie, uspokoiło burzę z piorunami, która w niej wzbierała, odkąd zaparkowały przy krawężniku.

– A teraz, gdybyśmy mogli...

Bardot jej przerwała.

– Poczekamy na doktora White’a.

Następnie siedziały w ciszy przez siedem minut i czterdzieści pięć sekund. Napięcie w pokoju stopniowo narastało. Dla kogokolwiek innego byłoby to prawdopodobnie nie do zniesienia, ale Gretchen uznała całą tę sytuację za bardzo zabawną. Zrobiła sobie nawet z niej grę, przyglądając się każdemu drobnemu wzdrygnięciu, kiedy Bardot próbowała się nie wiercić, i licząc, ile razy Marconi skrzyżowała i zdjęła nogę z nogi.

– Ach. Mamy gości – dobiegł je głos od progu. Wpełzł we wszystkie pęknięcia w jej duszy, których istnienia Gretchen próbowała nie przyjmować do wiadomości. Nie odwróciła się do Andersa, po prostu czekała, aż przejdzie przez pokój i stanie za sofą, na której siedziała Bardot.

Mimo że przyszedł po pracy w szklarni, Anders był nienagannie ubrany w wyprasowaną białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, ale wsuniętą w beżowe lniane spodnie. Włosy – w większości srebrne z resztkami blondu, gęste i zaczesane do tyłu – odsłaniały patrycjuszowską twarz. U mężczyzn zmarszczki są bardziej akceptowalne, więc widniały

w kącikach oczu i ust, ale nie były tak głębokie, jak należało się spodziewać.

Tak upozowani, oboje wyglądali jak drogi portret rodzinny, który ożył. Dzięki bogactwu starzeli się z wdziękiem.

Anders położył starannie wypielegnowaną dłoń na ramieniu Bardot, a jego wzrok – zamiast na córce, której nie widział od lat – spoczął na Marconi.

Jednak istniał ku temu oczywisty powód. Od razu było widać, że jest gliną. Każdy, kto miał choć pozory instynktu samozachowawczego, namierzyłby ją w tłumie. A Andersa nic nie interesowało tak bardzo jak chronienie siebie.

– Proszę wybaczyć, że kazałem paniom czekać – rzekł spokojnie. – Czy mogę zapytać – po raz pierwszy skierował uwagę na Gretchen, zanim znów przeniósł ją na Marconi – o co tu właściwie chodzi?

Gretchen wbiła paznokcie we wnętrza dłoni. Na jego widok poczuła ochotę, by rzucić bombę, i tak też zrobiła.

– Zabiłeś Rowan?

Sposób, w jaki Marconi sapnęła z irytacji, właściwie nie wydając przy tym dźwięku, był niemal imponujący. Ale... nie wtrącała się, by złagodzić pytanie, co podważyłoby autorytet Gretchen.

Pytanie miało zaskoczyć i wywołać reakcję, ale żadnemu z nich nawet nie drgnęła powieka. Lata praktyki.

– Kochanie. – Usta Bardot ściągnęły się z niepokoju. – Kochanie, czy to nie trwa już wystarczająco długo?

– A czym, powiedz, proszę, jest „to”? – zapytała Gretchen. Wiedziała, ale zależało jej, by powiedzieli to głośno. Zawsze unikali tego tematu, wszyscy udawali, że to się nie wydarzyło.

Anders umyślnie spojrzał na Marconi, zanim zwrócił się do córki.

– Naprawdę chcesz to teraz zrobić, Gretchen?

Uniosła brwi.

– Tak. Uważam, że tak.

Bardot zacisnęła usta w cienką linię. Dłonie Andersa ścisnęły się w pięści, jakby przekazywały jej wsparcie. Gretchen o mało nie zadrwiła z teatralności tego wszystkiego. Każde wahanie, każdy ruch były czystym przedstawieniem. Dla Marconi.

Która bacznie się temu przyglądała, co oznaczało, że nic nie uchodzi jej uwadze.

– Kochanie, byłam tam – powiedziała Bardot cichym, łamiącym się głosem. – Proszę, jeśli chcesz otrzymać pomoc, poprzemy twoją decyzję. Całe życie ci to powtarzaliśmy.

To było kłamstwo lub poważne nadużycie. Przymusowego pobytu w szpitalu psychiatrycznym nie można uznać za „otrzymywanie pomocy”. Oboje wiedzieli, że Gretchen nie da się wyleczyć w tradycyjnym sensie, w jakim społeczeństwo rozumie te słowa. Chcieli się jej pozbyć, żeby nie mieć do czynienia z jej problemami. Gdyby Shaughnessy ją aresztował, spełniłby ich pragnienie.

Zamiast tego musieli znosić swoje dziwne dziecko, próbując zjednać sobie Edith, i nawet nie dostali za to zapłaty.

Gretchen patrzyła im prosto w oczy.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Nadal nie uważała, że to Anders zaplanował śmierć Rowan, ale nie w tym rzecz. Chodziło o to, by wywołać reakcję, zobaczyć, w jaki sposób unikali takich obcesowych pytań. To mogło być bardziej wymowne niż cokolwiek innego.

– To nie jest pytanie, które wymaga odpowiedzi – odrzekł Anders, zanim Bardot zdążyła się odezwać.

Marconi poruszyła się – subtelna prośba, którą łatwo było zignorować. Gretchen przygryzła wnętrze policzka, aż poczuła smak miedzi, ale potem usiadła wygodnie. Był to dla policjantki wystarczający sygnał, by przemówić po raz pierwszy, odkąd Anders wszedł do pokoju.

– Mam kilka szczegółów dotyczących tamtej nocy, które chciałabym wyjaśnić – powiedziała, wyjmując notatnik. Gretchen wątpiła, czy rzeczywiście go potrzebuje, by zapamiętać jakieś szczegóły, ale był to skuteczny rekwizyt. Marconi gestem wskazała miejsce na sofie obok Bardot. – Zechciałby pan usiąść?

Gdyby ktoś nie znał dobrze Andersa, mógłby nie zauważyć, w jaki sposób wyprostował ramiona na to polecenie sformułowane jak pytanie. Andersowi nie mówiło się, co ma robić we własnym domu. Jednak próbował dzielnie grać rolę zatroskanego, pomocnego dżentelmena. Tak więc po niemal niezauważalnej chwili wahania obszedł z boku sofę i usiadł przy Bardot. Ujęli się za ręce, nawet nie patrząc. Oczywisty pokaz jedności i partnerstwa.

Teatr absurdu.



– Pani White, czy mogłaby pani przypomnieć nam przebieg wieczoru przed zabójstwem? – poprosiła Marconi, trzymając przygotowany długopis.

Bardot nabrała powietrza i poprawiła włosy, jakby choć jedno pasemko nie leżało na miejscu.

– To był normalny wieczór poza tym, że Anders wyjechał. Dziewczynki zostały położone do łóżek.

To sformułowanie uderzyło Gretchen jako... dziwne. W taki sam sposób, jak wtedy, gdy Marconi powiedziała: „To ona cię znalazła”.

Gretchen rozważyła te słowa, rozdzieliła je i z powrotem poskładała.

„Położone do łóżek”.

Pokój zdawał się kurczyć, świat drżał, a potem krystalizował się wokół niej. Chryste, jak mogła zapomnieć?

– Niania.

Marconi poruszyła się obok niej.

– Była tam niania?

Chociaż jej głos zabrzmiał neutralnie, musiała pomyśleć to samo, co Gretchen. W żadnym z policyjnych raportów nie wspomniano o niani.

Bardot przeskakiwała wzrokiem między nimi, ale wyraz jej twarzy pozostał spokojny.

– Zawsze mieliśmy nianie – powiedziała Gretchen. Dlaczego nie uświadomiła sobie tego wcześniej? Bardot nigdy nie pozwoliła, by posada wakowała dłużej niż dzień. Boże broń, żeby musiała zajmować się własnymi dziećmi. – Zawsze mieszkała z nami niania.

– Tak – potwierdziła Bardot, jak gdyby to był nieistotny szczegół, o którym zapomniiała wspomnieć. – Chyba tak.

Marconi zajrzała do notatnika, tak jakby zawierał jakieś informacje poza pustą, jak wiedziała Gretchen, kartką, w którą się wpatrywała.

– Czy była w domu w czasie zabójstwa? – zapytała.

Bardot głośno wciągnęła powietrze, niejako zaskoczona, że zostało to ujęte tak dosadnie.

– Musiała być.

Marconi zerknęła na Andersa, który skinął głową i dodał:

– Chyba że poprosiła o wolny wieczór...

Gretchen zignorowała tę niejasną odpowiedź.

– Jak się nazywała?

– Gretchen, to było trzydzieści lat temu – odparła Bardot z irytacją. Anders wolną ręką poklepał ich złączone dłonie i Bardot wyraźnie się

opanowała. – Musiałabym to sprawdzić.

„Coś ty zrobiła, Gretchen?”

To pytanie. Zadane głosem, który nie należał do matki. Był młodszy, zaszokowany i przerażony.

Niania.

Gretchen zerknęła na ojca.

– Ty też nie pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam nawet, czy ją spotkałem. Nianiami zajmowała się twoja matka. I... – przerwał ostrożnie i z rozmysłem – zwykle mieliśmy znaczną rotację.

Gretchen drwiła z sugestii, że to jej wina. Jeśli ktokolwiek z personelu przetrwał przy jej matce dłużej niż miesiąc, był to powód do świętowania. Ale Anders i Bardot uwielbiali robić z siebie obdarzonych anielską cierpliwością bohaterów tej opowieści.

– Zadzwoń do mnie i podaj mi nazwisko – powiedziała Gretchen i nie była to prośba. – Sprawdzisz je, kiedy wyjdę, i zadzwonisz, jak tylko je znajdziesz.

– Dobrze, choć nie wyobrażam sobie, jaki miałyby być z tego pożytek – odparła Bardot, jakby ta informacja była nieistotna, jakby Gretchen nie przejrzała wielokrotnie listy osób, które były w domu: ona sama, Bardot, Fran, nie mogąc znaleźć innego podejrzanego. Bardot uniosła brwi. – Mam kontynuować?

Marconi wspaniałomyślnie dała jej przyzwalający znak ręką.

– Niania zabrała Gretchen na górę do łóżka około ósmej – powiedziała Bardot. I właśnie to zdanie uświadomiło Gretchen, że wcześniej matka celowo unikała wzmianki o dziewczynie. Była bardzo ostrożna w doborze słów – tyle że nie dość ostrożna.

Pytanie brzmiało: Dlaczego? Czy chroniła przed czymś nianię? A może siebie?

– A Fran? – zapytała policjantka.

– Fran była na tyle dorosła, że mogła sama o siebie zadbać.

– Racja – przyznała Marconi po chwili dziwnego wahania. – Miała piętnaście lat, zgadza się?

Anders i Bardot wymienili spojrzenia, które Gretchen zapisała w pamięci na później. Nie była pewna, dlaczego ta chwila była pełna napięcia, ale oboje rodzice i Marconi zdawali się być na granicy czegoś.

To Gretchen odpowiedziała:

– Tak.

Wydawało się, że wszyscy pozostali odetchnęli. To był jeden z tych momentów, w których Gretchen najdotkliwiej odczuwała skutki swego zaburzenia. Pod powierzchnią leżało ukryte coś, czego nie umiała zrozumieć. Słowa, na pewno. Język ciała – to potrafiła odczytać. Ale umykało jej, jaki to wszystko razem miało sens.

Marconi posłała jej niewyraźny uśmiech, ale spojrzenie miała beznamiętne.

– A pani co robiła, pani White?

– Wypiłam kieliszek wina w gabinecie. Czytałam przez parę godzin...

– Jaką książkę?

Bardot się zawahała.

– Jakie to ma znaczenie?

Marconi uniosła rękę uspokajającym gestem.

– Po prostu próbuję stworzyć sobie obraz sytuacji.

Bardot zerknęła na zegarek.

– No cóż... A tymczasem pani czas się kończy. Czy naprawdę są to pytania, które chce pani zadać, pani detektyw?

Z większą ogładą towarzyską niż Gretchen kiedykolwiek byłaby w stanie okazać, policjantka zajrzała do notatnika, po czym podniosła wzrok.

– A zatem mam zanotować, że pani nie pamięta?

– Proszę notować, co pani chce – warknęła Bardot.

– W porządku. – Marconi coś zapisała. – A potem co się wydarzyło?

Wydawało się, że z jakiegoś powodu ta wymiana zdań wstrząsnęła Bardot. Anders musiał to wyczuć, bo przysunął się bliżej i kciukiem pogładził kostki jej palców. Jednak oficjalnie potwierdzono, że tamtej nocy nie było go w domu, tak więc nie mógł się teraz wtrącić. Nie bez przyjęcia bardziej wrogiego tonu.

– Około jedenastej trzydzieści, jak sądzę, niania zaczęła krzyczeć – kontynuowała wreszcie Bardot. – Weszłam na górę i znalazłam tę biedną dziewczynę przed sypialnią Rowan.

– I drzwi były otwarte?

– Tak. Jednak światło było zgaszone. Widziałam...

Gretchen uniosła brew.

– Mnie.

Bardot przełknęła ślinę.

– Tak. Z nożem w ręce. Rowan też. Na łóżku.  
– I nikogo więcej w pokoju, zgadza się? – upewniła się Marconi.  
– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała Bardot niemal obronnym tonem. – Nikogo więcej nie było w domu.

– Była tam niania – zauważyła Marconi. – W rzeczywistości jako pierwsza znalazła się na miejscu zdarzenia, jeśli pani relacja jest dokładna. Wydaje się, że pominięto to w policyjnych raportach.

Bardot zamrugła rzęsami ciężkimi od tuszu.

– Jakie to ma znaczenie?

– Pamięta pani, czy miała na sobie krew? Na rękach albo na ubraniu. Może nawet na butach?

– Oczywiście, że nie miała – odparła Bardot, chociaż wydawała się kompletnie dezorientowana, tak jakby naprawdę nie widziała sensu w ich zainteresowaniu nianią.

Gretchen wiedziała, do czego Marconi zmierza, ale przedstawiona przez Bardot chronologia wydarzeń brzmiała wiarygodnie. Niania od razu krzyknęła. I nie była cieniem w pokoju, któremu Gretchen wciąż próbowała nadać kształt jakiejś osoby.

– W porządku – powiedziała Marconi. – Czy nóż pochodził z domu?

– Tak, z zestawu z kuchni. Był dość drogi, dlatego łatwo mogłam go zidentyfikować.

– I postanowiła pani nie wchodzić do pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje z Rowan, ponieważ... – Marconi opuściła wzrok na notatnik. Ale Gretchen odniosła wrażenie, że było to bardziej efekciarskie niż potrzebne.

– Bała się pani, że Gretchen może zranić również ją?

W tym momencie Anders najwyraźniej dostrzegł wreszcie swoją szansę.

– Musi pani zrozumieć, jaka Gretchen była w tamtym czasie, pani detektyw.

– Wcześniej bywała agresywna? – zapytała Marconi doskonale spokojnym tonem.

– Tak – odparł bez cienia wstydu. Nie żeby Gretchen spodziewała się po nim czegokolwiek innego. – Krzywdziła siostrę, matkę, samą siebie. – Spojrzał na Gretchen, która przewróciła oczami, gdy kilka uderzeń i siniaków przedstawiał jako torturę. – Próbowaliśmy ci pomóc.

– W porządku. – Marconi znów powiedziała to bardzo spokojnie. Niegroźnie, jeśli nie znało się jej lepiej. – Z którego telefonu pani skorzystała, żeby wezwać policję, pani White?

Bardot się zawahała, ale potem uniosła jedno ramię.

– Z tego w gabinecie.

– Zatem zostawiła pani nianię i Gretchen na górze, żeby...

– Zbiec na dół do gabinetu, tak.

– Tak, racja – zgodziła się Marconi, kiwając głową. – A państwa starsza córka, Fran, to wszystko przespała? Krzyk niani był wystarczająco głośny, by pani usłyszała go na dole?

I... ach. Gretchen w końcu uświadomiła sobie, skąd ten wcześniejszy moment napięcia. Fran też znajdowała się w domu. Jeśli ośmioletnia Gretchen była dość dorosła, by stać się podejrzaną, piętnastoletnia Fran jeszcze lepiej się do tego nadawała. O ile zignoruje się fakt, że to Gretchen trzymała narzędzie zbrodni.

Anders pochylił się do przodu.

– Co właściwie próbuje pani tu uzyskać, pani detektyw? Wszyscy wiemy, co wydarzyło się tamtej nocy.

– Cóż, nie jestem pewna, czy to całkowita prawda, doktorze White. – Uśmiech Marconi był miły jak zwykle. – Czy może pani odpowiedzieć na to pytanie, pani White? Fran to wszystko przespała?

– Miała głęboki sen – wyjaśniła Bardot, z wdziękiem dochodząc do siebie podczas tej krótkiej chwili wytchnienia.

– Jasne, mam tak samo – przyznała policjantka. Jednak coś zanotowała. Gretchen niemal żałowała, że to nie było nagrywane. Ta rozmowa okazała się o wiele zabawniejsza, niż mogła się spodziewać, i z ogromną przyjemnością obejrzałaby ją ponownie. – Wróciła pani na górę? Po telefonie na policję?

– Chcieli, żebym została na linii.

– A więc... – Marconi przeciągnęła to słowo. – Nie?

Anders znów się najeżył.

– Pani detektyw, proszę uważać na ton. Okazaliśmy tu więcej niż chęć współpracy.

– Po prostu próbuję ustalić dokładną chronologię wydarzeń – odparła uspokajającym i przepraszającym tonem. – A ile czasu zajęło policji przybycie tutaj po tym, jak pani do nich zadzwoniła, pani White?

– Około... Nie wiem, pani detektyw. To było prawie trzydzieści lat temu.

– Mniej więcej – nalegała.

– Nie wiem, może dziesięć minut?

– Zostawiając Gretchen, Fran i nianię na górze, bez nadzoru, z ofiarą – powiedziała Marconi cicho, jakby do siebie, ale wszyscy w pokoju ją usłyszeli.

Tym razem Anders wstał. Nie był wysoki, ale wiedział, jak się nosić z pewnością siebie, która wypełniała przestrzeń.

– W porządku, muszę prosić, żeby panie już wyszły.

Marconi spojrzała na niego, jakby była zaskoczona, jakby nie szturchała ich od kilku minut, próbując uzyskać reakcję.

– Jeśli ma pani jeszcze jakieś pytania, może je skierować do prawnika naszej rodziny – rzekł Anders. – Jestem pewien, że Gretchen dobrze pamięta jego nazwisko.

– Tak, rzeczywiście pamiętam – przyznała Gretchen, wstając. – Odkąd próbowałeś przekonać sędziego, że jestem psychicznie niezdolna do zarządzania fortuną Edith.

Wzrok Andersa powędrował do okna, za którym widać było tył jej porsche. Czytelna wiadomość, że nie zmienił opinii.

Marconi zasygnalizowała odwrót, zamykając notes i chowając go.

– Tak zrobimy. Dziękuję za poświęcony nam czas. I będziemy potrzebować nazwiska niani, jak tylko je państwo znajdą.

Potem jakoś udało się jej wyprowadzić Gretchen z pokoju bez dalszych incydentów.

Żadna z nich się nie odezwała, dopóki ponownie nie wsiadły do porsche.

Gretchen zerknęła na nią.

– Nie wiedziałam, że cię na to stać – przyznała. – Chyba powinnam klaskać.

W twarzy policjantki pojawiło się coś twardego, ale się uśmiechnęła.

– Pewnego dnia przestanie cię szokować, że nie jestem tak niekompetentna, jak początkowo myślałaś.

– Być może – przyznała Gretchen, z hałasem odpalając silnik na spokojnej ulicy. – Ale dziś nie jest ten dzień.

Po paru kilometrach przejechanych w milczeniu Marconi powiedziała cicho:

– Niania.

Gretchen przesunęła językiem po świeżej ranie na wewnętrznej stronie policzka.

– Są tu dwie opcje.

– Albo twoja rodzina ukryła fakt, że w domu był ktoś jeszcze... – stwierdziła policjantka.

– Albo Shaughnessy w oficjalnym policyjnym raporcie skłamał na temat jej obecności – dokończyła tę myśl Gretchen.

– Bardot nie chciała, żebyśmy się o niej dowiedziały – zauważyła Marconi i Gretchen nie była zaskoczona, że dostrzegła i to. – Przeczytałam jej zeznanie z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Nie wspomniała w nim o niani.

– Być może. Ale równie dobrze Shaughnessy mógł nie umieścić jej w raporcie.

Marconi była gliną z krwi i kości i podczas gdy Gretchen nie dziwiło, że Shaughnessy mógł się okazać nie do końca uczciwy, zauważyła, że kobieta z trudem próbuje zaakceptować fakt, że jej partner być może nie jest taki, za jakiego go uważała.

Ale potem Marconi uniosła głowę, leciutko, jakby szykowała się do walki.

– Cóż, jeśli to był on, czas się dowiedzieć dlaczego.

## ROZDZIAŁ 15

TABBY

1993

Aż miesiąc zajęło Tabby dokładne przeszukanie pokoju Jenny i przejrzanie wszystkich papierów, które ta trzymała w biurku.

Jedno nazwisko stale pojawiała się w tygodniach przed śmiercią Jenny.

Rowan White.

Początkowo było wymieniane w związku z grupowymi projektami na ich wspólnych lekcjach historii. Ale potem imię Rowan zostało wpisane ołówkiem do kalendarza Jenny, jej inicjały nabazgrane na karteczce samoprzylepnej. Nawet na marginesie podręcznika do gry w hokeja na trawie znalazła się wzmianka: „Rowan pojedzie z Andersem”.

Tabby nie rozumiała, co to oznacza, ale postarała się zapamiętać.

Kiedy była młodsza, miała obsesję na punkcie przeglądarek mikrofilmów w bibliotece. Zachwycało ją, ile informacji można znaleźć, gdy się tam posiedzi. Ale teraz, jeśli chodziło o Rowan White, okazały się na ogół bezużyteczne. Pod wpływem impulsu przejrzała je też pod kątem Andersa – o ile to w ogóle było prawdziwe imię – ale również nic nie znalazła.

Tak więc Tabby zainteresowała się miejscem, które łączyło Rowan i Jenny.

Weszła do gabinetu dyrektorki liceum Phillipsa i natychmiast znieciercierzyła wszystko i wszystkich w zasięgu wzroku. Nie była mądra jak Jenny, nie zdobyła żadnego stypendium – nie udałooby się to, nawet gdyby nie rozpraszał jej przemożny, przytłaczający smutek po śmierci siostry.

Jednak gabinety wszystkich dyrektorów były takie same, a ten tak bardzo przypominał jej liceum JFK przy Boyle Street, że schyliła głowę, oczekując nagany tylko za to, że przysłała tam w znoszonych dżinsach i zdartych butach.

Pani Martinez powitała ją ciepłym uśmiechem – takim, jaki ludzie przywoływali, słysząc o jej tragicznej historii. Tabby wykorzystywała to,



kiedy czegoś chciała – a teraz chciała.

Uszczypnęła się w udo przez kieszeń dzinsów i jej oczy wypełniły się łzami.

– Chciałabym tylko zobaczyć szkolne kroniki... Jeśli je pani ma... Nie zamierzam sprawiać kłopotu.

Twarz pani Martinez złagodniała – o ile to możliwe – jeszcze bardziej, gdy prowadziła ją do biblioteki. Na półce z boku stały wszystkie kroniki sprzed kilkudziesięciu lat i Tabby musiała mocno się wysilić, by nie okazać triumfu, dopóki dyrektorka nie odeszła z cichą wskazówką, by dała znać bibliotekarce, jeśli zechce mieć kopię którejś ze stron.

Tabby przesunęła palcem po gładkich grzbietach szkolnych roczników i wyciągnęła kronikę trzeciej klasy Jenny. Jej ostatniego roku.

Zerknąwszy szybko, by się upewnić, czy nikt ukradkiem nie patrzy, znalazła najdalszy, najmniej oświetlony stół.

W drewnie zostały wyryte na zawsze graffiti i Tabby niemal się uśmiechnęła, dotykając napisu: „JEŚLI CHCESZ SIĘ ZABAWIĆ, ZADZWOŃ DO SUSAN”. Numeru nie było – zapewne wyłobienie go wymagało zbyt wiele zachodu. Dzieciaki są takie zabawne i przewidywalne.

Usiadła i zaczęła przeglądać kronikę, szukając zdjęć Jenny. Była tam cała strona poświęcona jej pamięci. Koleżanki odgrywały głęboki smutek przed sobą, rodzicami, rzeszami ludzi. Żadna z tych osób tak naprawdę nie знаła Jenny, nikogo z nich nie obchodziła.

Na grupowym zdjęciu jej klasy Tabby znalazła Jenny z delikatnym uśmiechem, kręconymi brązowymi włosami i w wielkich okularach. Gruby golf w paski, który miała na sobie, wyszedł z mody już dziewięć lat wcześniej, a jej dwa przednie zęby zachodziły na siebie tak, że dawało się to zauważyć. Jednak, Boże, była ładna. O wiele ładniejsza od niej.

Mocno mrugając, Tabby przerzucała strony, aż dotarła do „W”.

Rowan White.

Dziewczyna była piękna, o chłodnym typie urody. Zdjęcie czarno-białe, ale Tabby widziała, że Rowan ma włosy jasnoblonde, obcięte równo na wysokości brody. W tamtych czasach nie nosiło się takich fryzur.

W jej oczach widać było coś niesamowicie mrocznego. Prawdopodobnie z powodu skali szarości fotografii, ale Tabby widywała wiele dziewczyn o smutnych oczach. Wystarczająco dużo, by zrozumieć, co to oznaczało, gdy zobaczyła sińce pod nimi. W świecie Rowan White nie wszystko było jak trzeba.

Przez następne pół godziny przeglądała kronikę, szukając Rowan – na pozowanych zdjęciach z koleżankami, w tle tych nieupozowanych. Znajdowała się tam strona poświęcona jesiennemu festynowi, ale Tabby nie znalazła na niej ani śladu Rowan, Jenny czy przystojnego starszego mężczyzny, który zostałby uchwycony w rogu kadru.

Gdyby tylko miała tyle szczęścia.

Nie było też żadnej wzmianki o kimś noszącym imię Anders.

Sprawdziwszy jeszcze raz, czy nikt nie patrzy, Tabby ukradkiem wyjęła z kieszeni kurtki jednorazowy aparat. Zaznaczyła każdą stronę, na której była wzmianka o Rowan, i teraz przewracała je, robiąc zdjęcia. Chociaż dyrektorka zapewniła ją, że może skopiować wszystko, co chce, była przewrażliwiona. Wolała, by nikt nie widział, kim się interesuje.

Kiedy skończyła, odłożyła kronikę na miejsce i spojrzała na bibliotekarkę. Wyglądała na trzydzieści kilka lat, jeśli Tabby miała zgadywać. Jenny została zamordowana około dziesięciu lat wcześniej, co oznaczało, że kobieta może coś wiedzieć. Ale bardziej prawdopodobne było, że Tabby uzyska jakieś informacje od starszej kobiety rezydującej przed gabinetem dyrektorki.

Choć w ciągu godziny, którą spędziła w bibliotece, w szkole zapanował jeszcze większy harmider, bez trudu wypatrzyła „smoka u wrót”.

Pani Simmons – Gail Simmons, jeśli wierzyć tabliczce z nazwiskiem – wyraźnie rządziła swoim małym lennem, a Tabby z jakiegoś powodu zawsze lubiła tego typu kobiety. Może rozpoznawała w nich siebie po ich twardej powierzchowności, po wyrazie twarzy, który mówił, że nie dadzą sobie wciskać kitu. Cokolwiek to było, nie zamierzała tego kwestionować.

Stała przy biurku pani Simmons, dopóki ta nie rzuciła jej spojrzenia przez grube dwuogniskowe okulary.

– Co jest?

– Szukam informacji – powiedziała Tabby prosto, bez niepewnego odchrząkiwania i szukania słów. To zawsze był dobry pierwszy krok. – O uczniu imieniem Anders.

Pani Simmons zacisnęła usta, ale nie przegoniła jej od razu, co było pozytywnym znakiem.

– Nie wyglądasz na zbyt załamana z powodu swojej siostry – skonstatowała obcesowo, czego Tabby powinna była się spodziewać.

I spodziewała się, szczerze mówiąc. Kobiety o obwisłej, pomarszczonej twarzy i oczach, które widziały zbyt wiele, nie miały w zwyczaju owijać

w bawełnę.

– Tak, no cóż, minęło dziesięć lat.

Pani Simmons skinęła głową na potwierdzenie.

– To fakt.

– Anders? – odpowiedziała Tabby.

– Nie powinnam ujawniać komu popadnie szczegółów na temat uczniów.

– Zabrzmiało to tak, jakby kobieta nie przejmowała się zbyt w właściwym zachowaniem, ale lubiła prowadzić gierki.

– Na temat ucznia, który już dawno ukończył szkołę? – zapytała Tabby, próbując ją rozgryźć. Albo po prostu lubiła plotkować – co nie byłoby zaskakujące u kobiety na takiej posadzie – albo oczekiwała łapówki. Tabby miała przeczucie, że jeśli mylnie oceni panią Simmons, jej plan spali na panewce.

– Anders White, to wszystko, co ci powiem.

– White? – zapytała Tabby, prostując się. – Krewny Rowan White?

– Brat – wyjaśniła pani Simmons dziwnie ponurym głosem, a jej siwiejące brwi utworzyły głęboką zmarszczkę nad okularami. – Nie pytaj mnie o nic więcej.

– Który rocznik? – zaryzykowała Tabby, nie mogąc się powstrzymać.

Pani Simmons przyjrzała się jej, po czym westchnęła tak głęboko, że jej pokaźny biust zafalował z irytacji.

– Jakies dziesięć lat przed siostrą.

– Dziękuję. – Tabby przesunęła po biurku zawinięte w papierek toffi. Gest, który okazywał wdzięczność i szacunek, ale nie uchybiał godności pani Simmons czymś tak prostackim jak pieniądze.

– Hm. – Puściła oko do Tabby, a cukierek zniknął w jej dłoni.

Dziewczyna uśmiechała się dyskretnie, wracając do biblioteki. Pomachała do bibliotekarki, ale postarała się, by nie wypadło to zbyt poufale.

„Jakies dziesięć lat” oznaczało szeroki margines możliwości, ale Tabby wyciągnęła cztery kroniki ze zbliżonego okresu. Trochę to trwało, jednak przeglądała je po kolei, dopóki nie znalazła Andersa White’a.

To było jego zdjęcie z klasy maturalnej, więc kolorowe, a nie czarno-białe. Miał na sobie ładny garnitur z zielonym jedwabnym krawatem, który wydobywał głębsze odcienie w jego lodowatoniebieskich oczach. Okazał się prawie tak piękny jak Rowan, chociaż Tabby wiedziała, że mężczyźni nie lubią, gdy się ich opisuje w ten sposób. Jednak to była prawda. Miękkie

wargi, pukiel jasnych włosów, prosty, wydatny nos i mocna linia szczęki. Usta wyginały się w tym samym lekkim uśmiechu, co u Rowan, ale w oczach nie miał smutku, więc efekt był inny.

Jego charyzma niemal emanowała ze zdjęcia, jakby mógł wyjść z tuszu i pikseli, by stać się człowiekiem z krwi i kości, gdyby tylko zamknęła oczy i wystarczająco uwierzyła.

Jednak nie to spowodowało, że krew zaczęła pulsować pod cienką skórą jej nadgarstka.

Przełknęła ślinę, starając się wyrównać oddech pomimo potu zbierającego się na karku, w dole pleców, w zagłębieniach dłoni.

Przyszła do biblioteki z myślą, że uda jej się rozpoznać Rowan.

Nie była przygotowana na to, że rozpozna Andersa.

## ROZDZIAŁ 16

GRETCHEN

Teraz

Było już późno, gdy Gretchen i Marconi przejechały most, wracając do centrum Bostonu, a Shaughnessy zignorował wszystkie dziesięć prób swojej partnerki, by się do niego dodzwonić.

– Wiesz, że będzie tego unikał jak najdłużej – zauważyła Gretchen.

Marconi utkwiała wzrok w czymś w oddali.

– Boże, czy on się do tego posunął? Wrobił cię?

Cień w rogu pokoju, gdy życie powoli wyciekało z Rowan. Gretchen spróbowała sobie wyobrazić, że wygląda jak Shaughnessy.

– Wcale bym się nie zdziwiła.

Marconi przekręciła się na siedzeniu.

– Przyjmujesz to nadzwyczaj dobrze.

Gretchen wzruszyła ramieniem.

– Korzyści z bycia socjopatką. Zdrada na mnie nie działa.

– Gówno prawda. – Policjantka spróbowała wycelować palec w jej twarz, a Gretchen kłapnęła zębami w jego stronę. – Wściekasz się na mnie, kiedy pytam: „Co?”. – Machnęła ręką pomiędzy nimi. – O mało nie odgryzłaś mi palca, bo go w ciebie skierowałam. I nie budzi w tobie gniewu, że być może Shaughnessy cię załatwił na całe życie? Nie wierzę.

– Jakby to było takie dziwne, że się nie lubi czyichś palców przy swojej twarzy – odparła Gretchen, rozbawiona wyraźną irytacją Marconi. – I chociaż doceniam dobry przeskok myślowy, ten, który robisz, ma rozmiary Wielkiego Kanionu. Nawet nie wiemy, czy to Shaughnessy pominął nianię w raporcie. A nawet jeśli tak, mogła to być niekompetencja.

Marconi zignorowała jej słowa i podnosząc głos w zabawny sposób, zauważyła:

– Przycisnęłaś mnie do ściany za samo napomknienie o tym śledztwie.

Gretchen żałowała, że musi mieć na oku drogę. Była pewna, że rumieniec na szyi policjantki wyglądałby fascynująco, gdyby rozkwitł w coś głębszego.

– Straciłaś nad sobą kontrolę na trzy miesiące, bo podniosłam tę sprawę – kontynuowała Marconi. Gretchen jeszcze nigdy nie widziała jej tak poruszonej. – I teraz się okazuje, że Shaughnessy może być w to wmieszany – człowiek, dzięki któremu, jak mówisz, masz tę szaloną samokontrolę – a ty nawet nie mrugniesz? Nie kupuję tego. Absolutnie.

– Może powinnaś się uspokoić – zasugerowała Gretchen.

– Spójrz. – Marconi znów niemal wycelowwała palec, ale rozsądnie opuściła rękę. – Jesteś wkurzona, że kazałam ci się uspokoić u rodziców. Może potrafisz to ukrywać, ale ledwie hamujesz gniew. Nie mów, że cię to nie martwi.

W głowie Gretchen coś zaskoczyło.

– Och – powiedziała. – Znów dajesz się ponieść emocjom w moim imieniu.

To już się zdarzało i za każdym razem była zachwycona.

Marconi bezwładnie opadła na oparcie fotela, jakby ktoś przeciął jej sznurki.

– Ten brak reakcji doprowadza mnie do szału.

– Ledwie reagujesz, kiedy grozę ludziom przemocą, a niepokoi cię to, że nie zamierzam kogoś zabić? – badała Gretchen.

– Cóż, skoro tak to przedstawiasz, to...

– Przyjmijmy, że to irracjonalne, dobrze? – przerwała jej Gretchen. – A poza tym Shaughnessy nigdy mnie nie wrobił. – Uniosła dłoń, bo wyglądało na to, że Marconi zaraz znów się zirytuje. – Nie aresztował mnie, choć mógł, nawet jeśli wiedział, że nie zostaną mi postawione zarzuty. Nie wrobił mnie. Najwyżej próbował, bez powodzenia.

– Ale... – brnęła dalej Marconi. – Zmagałaś się z tym podejrzeniem przez całe życie. Nawet teraz niektórzy gliniarze nie chcą z tobą pracować.

– Próbujesz mnie rozzłościć? – zapytała Gretchen głównie z ciekawości.

Policjantka rozłożyła ręce.

– Tak.

Gretchen zerknęła na nią.

– Chyba mogłabym uronić kilka łez, jeśli to poprawiłoby ci samopoczucie.

Marconi pokazała jej środkowy palec i Gretchen się roześmiała.

– Powiedziałaś, że Shaughnessy wskazuje ci granicę tego, co akceptowalne – przypomniała Marconi nieco łagodniej, poważniej. – Że jest twoim moralnym kompasem. Więc co się stanie, jeśli odkryjemy, że nie jest tak dobrym człowiekiem, jak mogłaś sądzić?

Chociaż to mit, że wszyscy socjopaci są bezmyślnymi mordercami, pozostają niebezpieczni. Niekontrolowane popędy, niezdolność do oceny konsekwencji, poszukiwanie dreszczyku emocji dla zabicia nudy, wszystko to skłania człowieka do popełniania przestępstw różnego kalibru. Socjopaci, zwłaszcza ci z niższym poziomem zaburzenia, jak Gretchen, zdają sobie sprawę, że te symptomy mogą mieć negatywny wpływ na życie, które lubią. Dlatego tworzą kotwice, drogowskazy, nieprzekraczalne granice. Wszystko, co narzuci im odpowiednie zachowanie, umożliwiając funkcjonowanie w społeczeństwie.

Dla niektórych jest to religia – jasny zestaw reguł, które często okazują się niezwykle przydatne. Dla innych kodeks karny – nawet jeśli pozwalają sobie na popełnianie wykroczeń, to unikają przestępstw.

Trzeba było kilku lat prób i błędów – i krótkiego epizodu w tym, co, jak dziś rozumiała, było kultem – by Gretchen zdała sobie sprawę, że stale wraca do tego samego.

Do Shaughnessy’ego.

Nie darzyła tego człowieka żadnymi ciepłymi uczuciami. Co najwyżej niechętnym szacunkiem. Może, jeśli miała dobry dzień, czuła wdzięczność za ich obustronnie korzystną relację. Jednak najczęściej, gdy jej popędy rozpały się wielkim i niemal niemożliwym do stłumienia płomieniem, widziała twarz Shaughnessy’ego. Zadowolenie, które by się na niej pojawiło, gdyby tylko miał szansę ją aresztować i udowodnić jej winę.

Teraz myślała, że być może przez cały czas błędnie odczytywała tę sytuację.

Co samo w sobie nie byłoby zaskakujące. Gretchen często niewłaściwie interpretowała motywacje innych ludzi – było to częścią jej zaburzenia tak samo jak chęć, by wcisnąć gaz do dechy i przejechać swoim porsche na wszystkich czerwonych światłach w Bostonie. Opierała się na stereotypach i kliszach jeszcze bardziej niż przeciętny człowiek, odwoływała się do szerokich uogólnień, dzięki którym tak przyjemnie oglądało się sitcomy, a podręczniki na temat mowy ciała były uniwersalne.

Czujne zachowanie Shaughnessy’ego Gretchen zawsze uważała za podejrzliwość. Właśnie tak postępowali gliniarze w serialach kryminalnych.

Ale może było w tym coś jeszcze. Coś, czego nie umiała odczytać ani zrozumieć.

„Powiedziałaś, że jest twoim moralnym kompasem”. Marconi rzuciła te słowa jak rękawicę. Ale czy to nadal była prawda? Gretchen pomyślała o tym, jak potoczyła się sprawa Violi Kent, o tym, jak Marconi stale pojawiała się u jej drzwi, jak ją zmusiła do próby oczyszczenia swojego imienia. To było więcej, niż Shaughnessy kiedykolwiek uczynił przez trzydzieści lat ich znajomości.

– No cóż, teraz mam do tego ciebie, prawda? – stwierdziła lekko, nie w pełni szczerze, ale też nie całkiem żartując.

– Ale ja nigdy nie uważałam, że kogoś zabiłaś – odparła Marconi. Wiedziała, że nie opinia Shaughnessy’ego była ważna dla Gretchen, ale udowodnienie, że się mylił.

– Tak, ale spoglądałabyś na mnie tym rozczarowanym wzrokiem – podkreśliła Gretchen, wzdrygając się – gdybym kiedykolwiek zrobiła coś, z czym się nie zgadzasz.

– Jestem raczej pewna, że zrobiłaś dużo rzeczy, z którymi się nie zgadzam.

Gretchen zerknęła na nią.

– Ale nic, co by cię skłoniło do zaprzestania pracy ze mną.

– A to ma dla ciebie znaczenie?

– Mówiłam ci, w życiu chodzi tylko o stosunek korzyści do kosztów. – Gretchen niedbale wzruszyła ramionami, zaprzeczając powadze tej rozmowy. – Korzyść, którą wnosisz do tego partnerskiego układu, na przykład sprawienie, że Bardot wyglądała, jakby ze strachu chciała narobić w gacie w swoim idealnym saloniku, przewyższa koszt rezygnacji z zabicia kogoś dlatego, że mam na to ochotę.

– Jestem zaszczyczona – odparła sucho Marconi. Ale gdyby Gretchen miała zgadywać, powiedziałyby, że w tych słowach kryło się nieco prawdy. Policjantka spojrzała na zegarek i westchnęła. – Podrzucisz mnie do domu?

Gretchen podjechała do krawężnika i zatrzymała się na pierwszym wolnym miejscu.

– Prawdziwym powodem, dla którego trzymam cię przy sobie, jest twoja umiejętność obserwacji.

Marconi drgnęła, a potem spojrzała gniewnie na kamienicę, w której mieszkała, jakby ta ją zdradziła. Gdy znów skierowała wzrok na Gretchen, przyglądała jej się długą chwilę.



– Kiedy się obudzę, nie usłyszę w wiadomościach, że Shaughnessy został zabity we śnie, prawda?

Zaskoczona tym pytaniem Gretchen się roześmiała.

– Jeśli kiedyś zabiję Shaughnessy’ego, to nie we śnie. Bez wątpienia będzie to powolne, bolesne i związane z pewną symboliką.

– Czuję się uspokojona – mruknęła Marconi, ale chwyciła torbę i wygramoliła się z porsche. – Tylko pamiętaj, że nie pomogę ci ukryć tego konkretnego ciała.

– Och – westchnęła śpiewnie Gretchen. – A inne?

– Zależy od stosunku moich korzyści do kosztów – odparła policjantka, zatrzasnąjąc za sobą drzwi auta.

Opuściwszy szybę, Gretchen zawołała:

– Jeszcze zrobimy z ciebie prawdziwą socjopatkę!

Marconi nawet się nie obejrzała, pokazując jej środkowy palec.

Gretchen śmiała się serdecznie przez dziesięć minut, które zajęło jej dojechanie do domu Shaughnessy’ego. Zaparkowała w cieniu, sięgnęła po nóż, którego wcześniej użyła, by przeciąć mu oponę, i gładziła ostrze czubkiem palca, podczas gdy wokół niej zapadała ciemność.

## ROZDZIAŁ 17

SHAUGHNESSY

1984

Zlodowaciały śnieg chrząścił pod butami Shaughnessy'ego.

Musiał przyznać, że ta zimowa kraina czarów jest piękna. Ale tak naprawdę był w stanie skoncentrować się tylko na tym, że śnieg potrafi ukryć dowody.

Nie żeby liczył na pomyślny wynik tego szukania wiatru w polu. To było głupie, bezcelowe. Jednak nie powstrzymało go od wyjazdu do lasu, by wypatrywać czegoś – czegokolwiek – co mogłoby dowieść słuszności jego teorii.

Wschodzące słońce oświetliło krawędź czegoś metalowego w oddali i Shaughnessy wstrzymał oddech. Światło rozszczepiło się tak, że nie widział, od czego się odbija, mimo to ruszył w tę stronę.

Pod górę. To było niewielkie wzgórze, ale wystarczająco wysokie, by założyć, że Rowan z niego schodziła.

Mrugał, sapał, poślizgnął się, a potem wyprostował, osłaniając oczy dłonią, by dostrzec zarys... czegoś.

Szopa.

Gdy dotarł na szczyt, stanął tak, że wschodzące słońce miał za plecami, a jego promienie oświetlały mały budynek. Z każdej strony miał wąskie okna, wysoko pod dachem, tak że trudno byłoby się przez nie wydostać, gdyby ktoś został uwięziony w środku. Nie był ani wyjątkowo mały, ani przesadnie duży. Farba w niektórych miejscach odpryskiwała, ale ogólnie rzecz biorąc, wyglądał na dobrze utrzymany.

Na drzwiach wisiała kłódka.

„Jest więcej dziewczyn. Znajdź je”.

Ściskając w ręce latarkę, Shaughnessy rozejrzał się dokoła. O ile był w stanie stwierdzić, nie przekroczył granicy posiadłości, ale znajdował się na tyle blisko rezydencji White'ów, że mogła to być ich ziemia.

Niemniej... nie było żadnego znaku. Żadnego ogrodzenia.

Przygryzł wewnątrz policzka, nieświadomie obracając w palcach ciężką latarkę.

Próbował zignorować brzmiące mu w głowie drwiny najbliższych, ale nie potrafił ich całkiem uciszyć.

Zafiksowany.

Maniak.

Jeśli zerwie kłódkę, nic, co znajdzie w szopie, nie będzie mogło zostać użyte jako dowód w sprawie. Jeśli zerwie kłódkę i jego szef się o tym dowie, prawdopodobnie zostanie wylany. W najlepszym wypadku.

Zamknął oczy, jakby był w stanie dosłyszeć krzyki jakiejś widmowej ofiary zamkniętej w tych ścianach. Powitał go tylko wiatr.

Mógłby spróbować zajrzeć przez okna, ale szopa była na tyle wysoka, że potrzebowałyby drabiny, żeby naprawdę coś zobaczyć.

I tak nic by tam nie znalazł. Był śmieszny.

Może gdyby po prostu zerwał to cholerstwo, mógłby żyć dalej w zwykły sposób, zapomnieć o tamtej nocy, zapomnieć o Rowan White.

Kłódka puściła, zanim zdał sobie sprawę, że uniósł ciężką latarkę.

Spojrzał na nią. To było takie łatwe. Zbyt łatwe.

Nikt nie musi się dowiedzieć.

Shaughnessy patrzył, jak jego dłoń w rękawiczce się wyciąga, strąca oderwane kawałki zamka i otwiera drzwi.

Promień wschodzącego słońca padł na metalowe łańcuchy. A potem na noże na ścianie, na ich gładkie, lśniące ostrza.

W chwili gdy jego dłoń dotknęła radia – aby co zrobić? zgłosić to? – niemożliwy do pomylenia z czymś innym dźwięk odbezpieczanej strzelby kazał mu się gwałtownie obrócić.

Anders White wyszedł z cienia drzew.

– Funkcjonariusz Shaughnessy. – Anders powitał go tak, jakby właśnie wpadli na siebie w kawiarni w centrum Bostonu, z tym samym przyjemnym uśmiechem, jak wtedy, gdy spotkali się pół roku wcześniej. – Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić, co dokładnie robi w mojej posiadłości?

To pytanie pozbawiło Shaughnessy'ego tchu i zamiast powietrza poczuł wszystkie wątpliwości w kwestii tej małej wycieczki, które miał wcześniej.

Wiedział jednak, że jeśli przejdzie do defensywy, nie odzyska swojej pozycji.

– Czy zechce się pan wytłumaczyć ze swojej małej sadystycznej katowni?

Naśladowując gest Shaughnessy'ego, Anders wskazał otwartą szopę.

– Jestem pewien, że ma pan nakaz, by móc tu zajrzeć, panie władzo. Nie wyobrażam sobie, żeby świetny, uczciwy członek bostońskiego wydziału policji włamywał się do prywatnej nieruchomości.

– Uzasadniona interwencja – odparł Shaughnessy z pewnością siebie, którą głównie udawał.

Kącik ust Andersa uniósł się, jakby mężczyzna był tym wszystkim bardziej rozbawiony niż zirytowany.

– A jednak przedstawiliśmy panu naprawdę doskonałe wyjaśnienie, dlaczego Rowan była na drodze tamtej nocy. Jakie uzasadnienie dla interwencji może pan znaleźć?

Coś w sformułowaniu „przedstawiliśmy panu naprawdę doskonałe wyjaśnienie” uderzyło Shaughnessy'ego. Jakby Anders miał świadomość, że to kit, ale na papierze wyglądający wiarygodnie.

– Słyszałem krzyk.

Anders przyjął swobodną postawę i skierował lufę strzelby w ziemię zamiast w pierś policjanta.

– Z drogi?

Shaughnessy też mógł zabawić się w tę grę.

– Byłem na wycieczce, nie zdawałem sobie sprawy, że to własność prywatna.

Przechylając głowę z zaciekawieniem, Anders zapytał:

– Czego pan chce, funkcjonariuszu Shaughnessy? Jakiemu celowi miałoby to służyć?

– Szukam innych dziewczyn – odparł Shaughnessy. Jedyne sposoby, by wywołać reakcję u facetów takich jak ten, to zaatakować i zwalić z nóg, zanim zdążą omotać człowieka gładkimi słowami i sprytnie odwrócić jego uwagę. – Być może zaczął pan lub skończył z Rowan, ale nie jest pańską jedyną ofiarą, White.

– Innych dziewczyn – powtórzył Anders powoli, jakby smakował nieznaną słowami. Potem westchnął. – Och. Rowan naprawdę utkwiała panu w głowie, prawda? Myśli pan, że jestem jednym z tych... tych seryjnych zabójców.

„Ja to wiem”, chciał powiedzieć Shaughnessy, chociaż miał świadomość, że to szaleństwo, straszny błąd. Nie potrafił jednak zamknąć swojej cholernej gęby. Jeszcze nigdy nikt tak jak ten człowiek nie włączył w nim wszystkich dzwonek alarmowych.

– Zechce się pan wytłumaczyć z tej izby tortur? – powtórzył pytanie, zamiast potwierdzić przypuszczenie Andersa lub mu zaprzeczyć.

Mężczyzna zaśmiał się lekko.

– Nie jest pan myśliwym, funkcjonariuszu Shaughnessy?

Policjant spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Nie, nie zdobyłem tej sprawności, będąc w skautach.

– Wie pan co? – powiedział Anders, uśmiechając się wielkodusznie i gestem wskazując szopę. – Proszę, śmiało.

Shaughnessy wiedział, że ten człowiek jest bystrzejszy od niego, że bez trudu potrafiłby go ograć. Spróbował sobie wyobrazić możliwe sposoby – czy Anders go tu zamknie, gdy się od niego odwróci? Jednak wydawało się to mało prawdopodobne. Tak więc pchnął drzwi najostrożniej, jak mógł, i wszedł do środka.

Zajął to dziesięć minut, ale po dokładnym przeszukaniu małego kwadratowego pomieszczenia musiał przyznać, że nie było tu nic obciążającego.

– Czy mogę panu wyjaśnić, co pan teraz pomyśli? – odezwał się Anders rzeczowym, protekcyjnym tonem. – Jako że jestem z wykształcenia psychiatrą.

Shaughnessy chrząknął, ponownie przyglądając się pęknięciu w betonowej podłodze i rozważając, czy jest w niej krew, do której nie miał jak się dostać.

– Nic pan tu nie znajdzie, ale to nie będzie miało znaczenia. Zmieni pan reguły gry – ciągnął Anders. – Będzie pan myślał, że swoją kryjówkę seryjnego zabójcy mam gdzie indziej. Tak działają teorie spiskowe, funkcjonariuszu.

Nic cholernego teoretycznego o ewidentnie maltretowanej dziewczynie, która wybiega na środek drogi w środku nocy. Ale Shaughnessy nie miał ochoty marnować czasu na sprzeczkę.

– A kiedy pan jej nie znajdzie, ani żadnych innych ofiar, po prostu pomyśli pan, że uszła mi na sucho jakaś ohydna zbrodnia. Że jestem geniuszem, więc najwyraźniej potrafię przechytrzyć każdego, kto mnie sprawdza. Nigdy nie będzie pan przekonany, że jestem niewinny – stwierdził Anders, nie wyglądając na zbyt poruszonego tą ewentualnością. Właściwie jego głos przybrał zaciekawiony, akademicki ton, jakby Shaughnessy był studium przypadku. – Nie uda się pana przekonać, że jest inaczej, nawet gdybym dał panu wolną rękę w przeszukiwaniu rezydencji.

Nawet jeśli pozwolimy panu porozmawiać z psychiatrami Rowan, którzy przysięgną na wszystkie świętości, że cierpi na depresję i urojenia.

„Bo to ty ją leczyłeś, a reszta to będą twoi kumple”, pomyślał Shaughnessy, patrząc na broń przypiętą do jednej ze ścian. Noże. Zabójcze, obciążające, a jednak absolutnie bezużyteczne dla jego śledztwa. Z pewnością mogły ponacinać ręce Rowan. Jednak nawet jeśli udowodni, że zostały użyte, nie dowiedzie, że tych ran nie zadała sobie sama.

Wszystko tu było poszlakowe. Wszystko miało „naprawdę doskonałe wyjaśnienie”.

– Nie ma pan dowodu na nic, funkcjonariuszu – stwierdził Anders. W jego głosie nie było cienia złośliwości, nawet wyzwania. Był do bólu rozsądny. Gdyby Shaughnessy patrzył na tę scenę z zewnątrz, pomyślałby, że to on jest szalony. – I nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie przeczucie, że w przyszłości będzie pan niepokoił Rowan. Nie mogę panu na to pozwolić.

Niepokoić Rowan. Mogła teraz mieć osiemnaście lat i coś do powiedzenia w sprawie swoich gości, nawet jeśli była przetrzymywana w szpitalu psychiatrycznym. Shaughnessy zachował kamienny wyraz twarzy, gdy w końcu wyszedł z szopy.

– Czy to groźba?

Anders uniósł wolną rękę, dłonią na zewnątrz.

– Nie śmiałbym nawet myśleć o grożeniu funkcjonariuszowi organów ścigania. Ale poinformuję pańskiego szefa o tym małym incydencie.

Shaughnessy pokiwał głową. Nie spodziewał się niczego innego. Zastanowił się nad tym, co czytał o seryjnych zabójcach, o tym, jak ci bystrzy i panujący nad sobą lubili się chełpić wszystkim, co im uszło płazem, jak wielu z nich sekretnie pragnęło, by ich złapano.

– Rozumiem. Nie jestem dość mądry, by pana dopaść, White. Ale wie pan co?

– Hm? – zachęcił go Anders, najwyraźniej wciąż rozbawiony.

– Pewnego dnia ktoś taki się znajdzie. A kiedy ten dzień nadejdzie, zapłaci pan za wszystko, co pan zrobił.

– Wszystko, co zrobiłem... – powiedział Anders przyciszonym głosem, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

I po raz pierwszy, odkąd wszedł na małą polanę, maska opadła.

Pod nią nie było ani strachu, ani ego czy przyjemności, jak spodziewałby się Shaughnessy.

Nie. To był błysk, ułamek sekundy, kiedy Anders wydawał się niezdolny do opanowania wyrazu twarzy, na której pojawił się wielki, głęboki smutek.

## ROZDZIAŁ 18

GRETCHEN

Teraz

Gretchen nikogo nie zabiła. Przynajmniej o ile pamiętała.

Kilka razy w życiu zapłonęła morderczą wściekłością, ale nigdy nie zrobiła tego ostatniego, nieodwracalnego kroku.

Być może niewiele trzeba, aby zabić Shaughnessy'ego, wystarczy przeciągnąć ostrzem po gardle. To nie wydawało się niemożliwe. Jednak Gretchen nie była z natury skłonna do brutalnych ataków – same popędy i impulsy nie równały się prawdziwej przemocy.

Chociaż urodziła się niezdolna do przejmowania się świętością ludzkiego życia, tak naprawdę nie czuła pragnienia, by go kogoś pozbawić. Zwłaszcza nie Shaughnessy'ego, który pomimo swoich wad, ogólnie rzecz biorąc, okazał się dla niej najbardziej użyteczny.

Z siedzenia kierowcy w swoim porsche Gretchen obserwowała, jak w mieszkaniu detektywa zapalają się światła. Nóż, który obracała w ręce, spoczywał teraz na opuszcze jej kciuka.

Trudno było dostrzec coś więcej niż ciemny zarys sylwetki za zasłonami, ale Gretchen zobaczyła w myślach, jak Shaughnessy krąży po pokojach, kładzie jakąś starą płytę winylową na wiekowym gramofonie, który stał obok barku na kółkach. Jak nalewa sobie coś brązowego i za średnią cenę, co dla niego było już luksusem.

Pewnego razu Gretchen kupiła mu na Gwiazdkę butelkę najwyższej jakości szkockiej i pomyślała, że nigdy nie był tak bliski rozpłakania się w jej obecności.

Stuknęła palcem w telefon, żeby sprawdzić godzinę. Było nieco po północy, ale Shaughnessy nieprędko pójdzie spać. Cierpiał na bezsenność, co już wcześniej wykorzystywała, chcąc go złapać wtedy, kiedy był najsłabszy.



Odkąd go znała, myślała, że po prostu jest tak moralny, że sprawy, których nie był w stanie rozwiązać, ciążyły mu na duszy, którą tak sobie cenił. Teraz zastanawiała się, czy istnieje inny powód sprawiający, że nie może w nocy zasnąć.

Problem polegał na tym, że Gretchen ostatnie trzy godziny spędziła, próbując znaleźć powód, dla którego miałby kłamać na temat obecności niani tamtego wieczoru.

Nie potrafiła wymyślić ani jednego rozsądnego uzasadnienia. Co oczywiście nie znaczyło, że takie nie istnieje. Gretchen lepiej od innych zdawała sobie sprawę, że ludzie zwykle uważają, iż potrafią odgadnąć każdą motywację i rezultat, nawet jeśli ich wiedza w danej kwestii jest znikoma. Miała skłonność do wpadania w tę pułapkę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę manię wielkości, która towarzyszyła jej zaburzeniu.

Jednak ciągle tkwiła w logicznych ślepych zaułkach.

Czy Shaughnessy znał nianię, zanim znalazł ją na miejscu zbrodni? To mogło go powstrzymać przed umieszczeniem jej w raporcie, chyba że z jakiegoś powodu wydałaby się przez to podejrzana. Ale jak bardzo podejrzenie można wyglądać, stojąc obok zakrwawionej dziewczynki trzymającej narzędzie zbrodni?

Czy Bardot usunęła nianię z domu, nawet jeśli pobiegła do gabinetu, żeby wezwać policję? Teoretycznie cały czas będąc w panice po znalezieniu szwagierki brutalnie zadźganej przez swoją córkę?

To miało nieco większy sens niż założenie, że Shaughnessy skłamał w policyjnym raporcie, ale wciąż byłoby zbyt prostym wyjaśnieniem.

A przede wszystkim dlaczego Bardot miałaby wyprowadzić nianię? Nie była lojalna wobec nikogo poza sobą i swoim mężem.

Po trzech godzinach Gretchen zaczęła rozważać możliwość, że Shaughnessy i Bardot w jakiś sposób ze sobą spiskowali. W tym momencie uświadomiła sobie, że zmierza donikąd.

Obraz ich dwojga działających we wspólnym celu był niemal śmieszny. Nie zamierzała nawet wymyślać motywów, którymi mieliby się kierować.

Na razie nie dysponowała właściwymi elementami, aby zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło. Bez względu na to, jakie tajemnice miał Shaughnessy, utrzymywał je przez trzy dekady. Nie znajdzie tu odpowiedzi. Nie dzisiejszej nocy.

Tak więc Gretchen odjechała spod jego domu. W mieszkaniu nadal paliło się światło i widać było zarys sylwetki tkwiącej w fotelu przy oknie.

Nie było sensu wracać do domu tak późno czy może wcześniej. Gretchen nie mogła zasnąć, więc krążyła ulicami, podczas gdy miasto powoli zaczynało się budzić. Igrała z ostrymi zakrętami i coraz mocniej dodawała gazu, a jej myśli były równie rozchwiane i niespokojne jak trajektoria, po której się poruszała. W końcu trafiła pod dom Marconi i była ciekawa, czy to oznacza coś ważnego.

Siedząc w samochodzie, wysłała esemes, a policjantka musiała na nią czekać, bo zaledwie dwie minuty później pojawiła się w drzwiach.

– Domyślam się, że nie trzeba chować żadnego ciała – powiedziała, wsiadając do porsche.

– To urocze, iż wydaje ci się, że wiesz – odcięła się Gretchen, sącząc kawę, którą kupiła tylko dla siebie. Marconi spojrzała gniewnie na kubek, a potem sięgnęła do swojej wielkiej torby i wydobyła z niej termos. Usta jej drgnęły w lekkim uśmiešku, jakby sądziła, że ma przewagę nad Gretchen, przewidziawszy, że ta o niej nie pomyśli.

– No więc ponownie przejrzałam raport policyjny dotyczący śmierci Rowan, zakładając, że jest niekompletny – powiedziała Marconi, gdy Gretchen ruszyła, jadąc bez celu. – I zdałam sobie sprawę, że informacja na temat niani nie jest jedynym brakującym szczegółem.

Gretchen rzuciła jej spojrzenie, jednak nie zamierzała chwycić przynęty i odpowiedzieć: „Co?”

Marconi uśmiechnęła się z wyższością, najwyraźniej słysząc to pytanie w jej milczeniu.

– W raporcie koronera brakowało jednej strony.

– Której? – Gretchen już zawracała w kierunku siedziby patologa sądowego.

– Przedostatniej.

Co oznaczało, że mogła nie zawierać niczego istotnego.

– Jak to stwierdziłaś?

– Był tak obszerny, że wcześniej nigdy nie zwróciłam uwagi na przejście ze strony siedemnastej na dziewiętnastą. – Marconi upiła trochę kawy. – Informacje są, nie wiem, jak to się nazywa w raportach koronera, ale z braku lepszego słowa: drugorzędne.

Gretchen potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

– Znajdź lepsze słowo.

– Wiesz, co mam na myśli – zaprotestowała Marconi. – To były opisy takich rzeczy, jak jej tarczyca i złamania z czasów dzieciństwa.

Podstawowe informacje, które tak naprawdę nie są istotne dla dochodzenia.

– Ale brakowało tam jednej strony – powiedziała Gretchen bardziej do siebie niż do niej. Rzadko potrzebowała coś sobie powtarzać.

– Tak. Ktoś chciał ukryć coś z oficjalnego raportu.

– Masz jakieś przypuszczenia?

Marconi zdawała się nad tym zastanawiać.

– Może blizny? Ślady maltretowania z czasów, kiedy była młodsza?

– Ale powiedziałaś, że wspomniano o złamaniach. – Znowu było to raczej głośne myślenie. – Dlaczego ktoś miałby to usunąć, jeśli zawierało tylko dalszy ciąg raportu?

– Czymkolwiek było to, co usunęli, mieli cholerne szczęście.

– Jak to?

– Brak tej strony w ogóle nie razi. Raport czyta się tak, jakby jej tam nie było. Zastanawiam się, czy to nie osobna notatka.

Gretchen przyjrzała się Marconi i po chwili milczenia niechętnie rzuciła:

– Dobra robota.

– Oho! – zaśmiała się Marconi. – Czy powiedzenie tego naprawdę tak cię bolało? Wyglądało, jakby bolało.

Gretchen wykrzywiła usta, by pokazać, że jest zirytowana, ale krył się za tym uśmiech, który mówił coś przeciwnego, i domyślała się, że tamta to zauważyła.

– Nie możesz mówić, że nigdy nic ode mnie nie dostałaś.

– Jasne, ponieważ twoja pochwała jest na wagę złota – burknęła policjantka.

– Nie ma sensu zaprzeczać prawdzie – odparła Gretchen, a Marconi znowu się roześmiała głębokim śmiechem, który wypełnił wnętrze auta. Była teraz swobodniejsza niż wtedy, gdy się poznały. Miała mechanizmy obronne, jak stary zamek z fosą i zwodzonym mostem, wysokimi murami i basztami. Gretchen była ciekawa, czy pozwoliłaby jej wejść chociaż do kilku z nich.

Ile ich jeszcze miała?

Marconi robiła wszystko, by wtopić się w tło, chociaż obiektywnie rzecz biorąc, była zachwycająca – krągłe kształty, ciemne włosy, jasna cera i niewiarygodnie jasne orzechowe oczy – a przy tym inteligentna i całkiem kompetentna detektyw. Ta kombinacja normalnie siałaby spustoszenie w starannie uporządkowanym świecie Gretchen, zazdrość i gorycz

nakładałyby się na każdą interakcję. Nie była osobą, która dobrze znosi konkurencję.

Jednak z jakiegoś powodu Marconi zdawała się wpasowywać w jej wyszczerbione krawędzie. Nigdy nie reagowała w przewidywalny dla niej sposób i dlatego wciąż było ciekawie.

Dla socjopaty najgorsza była nuda, a Marconi z pewnością nie była nudna.

Gretchen odsunęła tę myśl, gdy podjechały pod budynek prosektorium.

– Och, spójrz, twoje ulubione miejsce – powiedziała policjantka i nie żartowała.

Chociaż Gretchen nie miała skłonności do zabijania, była socjopatką. Pociągały ją śmierć, pokrojone ciało, gnijące rany i płyny ustrojowe, które miały ujście tylko na zewnątrz. Stała kiedyś nad martwym ciałem swojej najbliższej przyjaciółki i podziwiała sposób, w jaki jej mięśnie zastygły na skutek rigor mortis.

Kostnica zaspokajała wszystkie dręczące ją chorobliwe pragnienia i uwielbiała to.

Ale nawet bardziej niż to miejsce uwielbiała doktora Leo Chena, być może w całym bostońskim wydziale policji nikogo nie lubiła równie mocno. Nie dlatego, że był profesjonalny, miły czy inteligentny – chociaż wiedziała, że ludzie właśnie tak go opisywali. Chodziło o to, że podzielał jej rozkoszną fascynację martwymi ciałami.

– Gretchen! – zawołał doktor Chen, stojąc z łokciem zanurzonym w czyimś brzuchu. Przez okulary zakryte mikroskopowymi obiektywami obserwował, jak razem z Marconi wchodzi do sali. Gdy stanęły obok stołu sekcyjnego, cmoknął powietrze w stronę policzków Gretchen, wciąż nie wyjmując rąk z wnętrzości zwłok, którymi się obecnie zajmował. – I detektyw Marconi. Co za przyjemność, wielka przyjemność.

– Zły moment? – zapytała Gretchen. Ciało było sztywne i blade, jak większości zmarłych. Młody mężczyzna ewidentnie podziurawiony kulami. Nie uważała, by ustalenie przyczyny śmierci wymagało stopnia naukowego.

Rany klute były o wiele bardziej intrygujące. Nie chciała myśleć o tym dlaczego. Prawdopodobnie doprowadziłoby ją to do własnej historii, a także zbyt blisko teorii doktora Freuda. A skreśliła tego człowieka jako pisarzynę mniej więcej po dwudziestu minutach wstępnych zajęć z psychologii.

– Żaden moment nie jest zły na wizytę moich ulubionych gości – odparł doktor Chen, obdarzając Gretchen promiennym uśmiechem. Koroner miał niemal tyle lat, że mógłby być jej dziadkiem, i preferował partnerów płci męskiej, ale oboje lubili flirtować. – Domyślam się, że nie jest to wizyta towarzyska?

W piątkowe wieczory, kiedy Gretchen wpadała w szczególny nastrój, przyjeżdżała do doktora Chena, aby oglądać historyczne zdjęcia medycznych osobliwości, popijając jego drogie porto. Często była to dla niej największa atrakcja tygodnia.

– Niestety nie – przyznała, wydymając lekko usta. Patolog wyjął wreszcie ręce z martwego ciała, ale były tak umazane krwią i wnętrznościami, że ani Gretchen, ani Marconi nie podeszły bliżej. – Nie byłeś głównym koronerem przy sprawie śmierci mojej ciotki, zgadza się?

Doktor Chen wydał z siebie głośne, przeciągłe westchnienie.

– Och, mogłem to być ja. Ale niestety nie. Autopsję przeprowadzał mój poprzednik. W tamtym czasie byłem zaledwie asystentem.

– Brałeś udział w oględzinach? – zapytała Gretchen. Doktor Chen zawsze wydawał się starszy od Boga, ale nie była pewna, kiedy dokładnie został zatrudniony w Bostonie.

– Rzeczywiście brałem – potwierdził, zdejmując rękawiczki po poklepaniu zwłok po boku. – To wyjątkowy zaszczyt móc pracować nad tą sprawą, chociaż wtedy nie byłem tego świadomy.

– Ze względu na jej związek ze mną? – Gretchen uśmiechnęła się szeroko.

– A dla czegoś by innego? – Doktor Chen puścił do niej oko.

Marconi westchnęła:

– O Boże.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała Gretchen. – Nie potrafi docenić dramatyzmu.

Patolog, który w przeszłości już się nieco przekonał do Marconi, zrobił omdlewającą minę.

– To nie do przyjęcia.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła Gretchen.

– Czuję, że powinnam się bronić – wtrąciła Marconi. – Ale naprawdę nie mogę polemizować z faktami.

– Może przypadkiem pamiętasz ją dokładnie? – zapytała Gretchen. – Autopsję Rowan?

– Przykro mi, nie. W każdym razie żadnych szczegółów. – Doktor Chen zwiesił głowę jak kopnięty szczeniak. – Mógłbym odświeżyć pamięć, jeśli to ważne.

– Oficjalny raport może pomóc? – odpowiedziała Marconi.

To wzbudziło zainteresowanie koronera.

– Oczywiście.

– Przy raporcie majstrowano – dodała Gretchen.

Doktor Chen zrobił kilka kroków w tył, przyciskając dłonie do klatki piersiowej.

– Świętokradztwo.

– Z ust mi to wyjąłeś – przyznała Gretchen. – Czy jest jakaś szansa, że istnieje odręczna kopia?

– O rany – mruknął koroner. – Może w archiwum. W dziewięćdziesiątym siódmym był pożar, więc nie mogę zagwarantować, że tam jest, ale to najbardziej prawdopodobne miejsce.

– Możemy mieć do niej dostęp?

– To nieoficjalne dochodzenie, jak przypuszczam? – Gdy Gretchen skinęła głową na potwierdzenie, doktor Chen rozejrzał się dokoła. – Zatem nie. W teorii.

– Ale?

Pogładził się po brodzie.

– Szukałem projektu dla moich stażystów. Może organizowanie archiwum byłoby dla nich pouczające.

– Czy już ci mówiłam, że nikogo na świecie nie lubię tak jak ciebie?

– Nie dość często, moja droga – odparł i rumieniec wkradł się w szczeliny jego zmarszczek. – A teraz sio! Zadzwoń, jeśli coś znajdziemy.

Gdy wyszły na zewnątrz, Marconi trąciła ramię Gretchen swoim.

– Jakie są szanse, że znajdą?

– Powiedziałabym, że trzydzieści do siedemdziesięciu na nie. Ale to nie wygląda dobrze, jeśli chodzi o niewinność Shaughnessy’ego. Przecież moi rodzice nie mogli mieć dostępu do biura koronera.

– Zastanawiam się jednak, jak łatwo byłoby kogoś przekupić – zauważyła Marconi, a Gretchen musiała przyznać, że była taka możliwość. Jej rodzice znakomicie potrafili rozwiązywać problemy za pomocą pieniędzy. W tamtych czasach prawdopodobnie nie kosztowałyby to więcej niż kilkaset dolców, a dla nich czy dla Edith były to grosze.

To jej przypomniało, że Bardot nadal nie podała jej nazwiska niani. Wybrała po kolei domowy i komórkowy numer matki, ale w obu przypadkach połączenie zostało przekierowane do poczty głosowej. To było dziwne. W pobliżu zawsze znajdowała się przynajmniej pokojówka, która odebrałaby telefon.

Czy Bardot unikała odpowiedzi na to pytanie?

Gdy Gretchen odłożyła komórkę, Marconi zabębniła palcami w dach porsche.

– Shaughnessy ode mnie też od wczoraj nie odbiera telefonów.

Gretchen pomyślała, że mogłyby go poszukać. Ale co by im powiedziały, skoro był tak zdeterminowany, żeby z nimi nie rozmawiać?

– A Fran? – zasugerowała Gretchen, mimo że zostawiło to cierpki smak w jej ustach.

– Taa – odparła powoli Marconi. – Ale skoro jesteśmy teraz w mieście, najpierw proponuję coś innego.

Gretchen rozważyła sprzeciw z czystej przekory, ale Marconi zwykle była zgodną partnerką. To oznaczało, że jeśli teraz próbuje coś zasugerować, uważa, że to naprawdę może okazać się pomocne.

– W porządku.

– Tak po prostu? – zapytała policjantka, kołysząc się na obcasach.

„Zaskoczona”, odpowiedział umysł Gretchen.

– Nie, nie tak po prostu.

Marconi spróbowała ukryć uśmiech i Gretchen spiorunowała ją wzrokiem.

– Co? – warknęła.

– Ufasz mi! – zaśpiewała radośnie Marconi, jakby była niespełna rozumu.  
– Lubisz mnie.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. – Gretchen przewróciła oczami, opadając na siedzenie kierowcy.

– Już mnie nie oszukasz – triumfowała Marconi, zapinając pas. – Chcesz mnie mieć przy sobie.

Gretchen westchnęła ciężko, ale nie zaprzeczyła.

– Dokąd ma nas zaprowadzić ten twój genialny pomysł? I wierz mi, proszę, że ci nie daruję, jeśli to jakaś okropna propozycja.

Wesołość zniknęła z twarzy policjantki, gdy rzuciła jej spojrzenie.

– To ci się nie spodoba.

– Dobry początek – mruknęła Gretchen.

Marconi przygryzła wargę.

– Lachlan Gibbs.

Gdy Gretchen zaczęła przeklinać, policjantka uniosła rękę.

– Powiedziałam, że to ci się nie spodoba.

– Nielubienie czegoś i niechęć do bycia aresztowaną to dwa zupełnie różne światy. A nawet galaktyki. – Mocno wcisnęła kluczyk do stacyjki. Lachlan Gibbs był ważniakiem w wydziale spraw wewnętrznych i miał irytująco ugruntowaną opinię na temat socjopatów zatrudnianych w roli policyjnych konsultantów.

– Lachlan cię nie aresztuje.

– Kochanie. – Gretchen uruchomiła silnik. – Wierz mi, kiedy mówię, że na to bym nie stawiała.

Marconi spojrzała na nią i się skrzywiła.

– Okej, niewykluczone. Ale może warto. Jeśli w wydziale krążą jakieś plotki na temat Shaughnessy’ego i sprawy Rowan, to on musiał je słyszeć.

Gretchen westchnęła i włączyła się do ruchu.

– Płacisz za mnie poręczenie.



## ROZDZIAŁ 19

TABBY

1993

Czubkami palców ściskając rogi, Tabby wpatrywała się w wizytówkę, którą Cal dał jej tamtego pierwszego wieczoru.

„Dziewczyny, które bawią się w Nancy Drew, są mordowane”.

Zerknęła w stronę salonu, gdzie jej ojciec leżał nieprzytomny na kanapie, po czym wzięła telefon i przyłożyła go do ucha, przytrzymując ramieniem.

Gdy Cal odebrał po trzecim dzwonku, Tabby zacisnęła powieki, pozwalając, by spłynął na nią jego głos.

– Możemy się spotkać?

Chwila milczenia. A potem:

– Wszystko w porządku? Dziwnie brzmiysz.

– Tak, oczywiście – powiedziała. Palce zaplątały jej się w gęstych włosach, gdy drżącą ręką próbowała je przeczesać. – Nie wiem, myślę, że...

– Co? – zachęcił, gdy nie dokończyła zdania.

– Znalazłam coś – powiedziała, słysząc wątpliwość w swoim głosie. – Nie wiem. Pewnie jestem po prostu głupia. – Przerwała, a potem znów zapytała: – Możemy się spotkać?

Znów zapadła ciężka cisza. Ale potem podał jej godzinę i rozłączył się bez pożegnania.

To nie było takie dziwne. Prawdopodobnie się wkurzył, że zadzwoniła do niego w środku dnia. Zawsze tak reagował. Ale miała to gdzieś. Potrzebowała czegoś, co odwróci jej myśli od popołudnia, szkolnych kronik, Andersa i Rowan White'ów.

Cal zabrał ją poobijanym ręką i Tabby nie zdziwiłaby się, słysząc, że ukradł go z jakiegoś złomowiska.

Zastanawiała się, czy jego prawdziwy samochód to coś w rodzaju BMW.

Drzwi po stronie pasażera miały wgniecenie nad progiem, więc trzeba było pociągnąć trzy razy, żeby je otworzyć. Gdy wsiadła, Cal z rykiem

silnika odjechał spod krawężnika.

– Mówiłem ci, żebyś nie dzwoniła do mnie w ciągu dnia – odezwał się na przywitanie. Nie myliła się: był wściekły.

Skuliła się, podciągając kolana do klatki piersiowej i opierając na nich czoło, jakby stając się mniejszą, mogła być dla niego mniej irytująca. Nie przeprosiła. Nic nie powiedziała.

Po prostu jechali.

Minęło dwadzieścia minut, zanim Cal wybrał motel. Nie powiedział jej, żeby zaczekała w samochodzie – po prostu wysiadł, zatrzasnął drzwi i poszedł do niewielkiego budynku, w którym mieściła się recepcja i niewiele więcej.

Dlaczego uważała, że to dobry pomysł?

Bo chciała nie myśleć, a Cal pomagał jej nie myśleć.

Był jednak bardziej wściekły, niż powinien.

I to podejrzenie, które się wkradło, gdy powtarzała w myślach ich rozmowę. „Znalazłam coś... Możemy się spotkać?”.

Cal wiedział, że bada sprawę zabójstwa swojej siostry. Przedstawił się jej zaledwie kilka dni po tym, jak zdobyła akta wykradzione z archiwum.

„Przestań”.

Boże, tak bardzo miała siebie dość. Tego ciągłego mrowienia pod skórą, które mówiło jej, że powinna uciekać, ukryć się. Psychiatra pewnie znalazłby jakieś wymyślne słowo na jej zachowanie, ale Tabby nie potrzebowała diagnozy, by wiedzieć, że to uczucie nie było racjonalne.

Ale mimo to gdy Cal wrócił do samochodu, musiała powiedzieć sobie: „Nie jesteś przerażona. On cię nie skrzywdzi”.

Nie było dokąd uciec, znajdowali się na odludziu. Poza motelem jedynymi obiektami w okolicy były podejrzanie wyglądający McDonald's i nieoświetlona stacja benzynowa z zabitymi oknami.

„Nie bez powodu wybrał to miejsce”.

Tabby szarpnęła się za włosy, mocno, żeby ten głupi głos się zamknął.

Powtarzała sobie tę mantrę, kiedy stanął przy bagażniku, otworzył go i wyjął torbę.

Nie zostawali na noc. Spotykali się na kilka godzin, pieprzyli, a potem odjeżdżali.

Do czego potrzebna mu torba?

Przygryzła wargę i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej.

„Myślę, że coś znalazłam”.

Gdy wysiadła z samochodu, całe jego zachowanie się zmieniło. Uśmiechnął się do niej i podniósł torbę.

– Mam plany na kolację. Nie chciałem w międzyczasie wracać do domu.

Pulsująca kula niepokoju w jej piersi nie rozkurczyła się, ale Tabby próbowała udawać, że nic się nie dzieje. Odwzajemniła uśmiech i skinęła głową. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak miałyby przetrwać seks z nim. Co on zrobi, jeśli go teraz odepchnie? Jeśli mu powie, że zmieniła zdanie?

Przełykając ślinę, spojrzała na mały budynek z motelowym lobby, który był daleko, a potem jeszcze raz na McDonald'sa. Czy udałoby jej się dotrzeć do któregoś z nich, zanim ją zaatakuje?

„Przestań”.

Dlaczego tak myślała? Była tak bardzo wyczerpana życiem naznaczonym przez zabójstwo Jenny.

Dlatego zamiast pozwolić, by strach dyktował jej dalsze działania, Tabby posłała Calowi szeroki uśmiech i podeszła bliżej, by włożyć dwa palce w szlufki jego paska. Niemal czuła, jak się zawahał na to nowe powitanie, ale miły wyraz jego twarzy się nie zmienił. Wyglądało na to, że żadne z nich nie wspomni o dziwnym napięciu panującym między nimi, nawet po tym, jak zniknęło.

– Hej – powiedziała zmysłowym głosem, by zrobić wrażenie, że cieszy się z tego spotkania. „Udawaj dopóty, dopóki nie stanie się to prawdą”.

Przyglądał jej się długą chwilę, a potem obdarzył ją lekkim, niepewnym uśmiechem.

– Hej.

Na końcu niemal słychać było znak zapytania, jakby przeżywał emocjonalny rollercoaster w tym samym stopniu co ona.

Tabby odsunęła się, rzucając mu przez ramię klasyczne uwodzicielskie spojrzenie. Widziała, że zawahał się przez moment, kiedy jego wzrok padł na trzymaną w ręce torbę, a potem na bagażnik.

„Nie jesteś przerażona”.

Potem, tak jakby tego wahania w ogóle nie było, uśmiechnął się szeroko i wolnym krokiem ruszył za nią.

Gdy weszli do środka, Cal postawił torbę przy drzwiach. Pokój był typowy dla ich spotkań – obskurny, śmierdzący dymem papierosowym i trawką. Telewizor miał z dziesięć lat i Tabby była pewna, że lustro w łazience okaże się zmętniałe i popękane. Swojskość otoczenia uśmierzyła jej niepokój. To było w porządku. Nic się nie stanie.

Przeciągnęła się, po czym opadła na łóżko, chwytając pilota i próbując naprawdę się uspokoić.

Małeńka część jej umysłu zarejestrowała, że Cal tym razem nie zdjął butów.

Miał zwyczaj zsuwać mokasyny i zostawiać je przy drzwiach. Robił to za każdym razem, bez wyjątku.

Tabby skupiła uwagę na ekranie telewizora, na którym teraz migiała jakaś kolorowa reklama. Byłoby głośno, gdyby najpierw jej nie wyciszyła.

Wystarczająco głośno, by zagłuszyć odgłosy ewentualnej walki.

Wyłączyła telewizor.

Cal oparł się plecami o drzwi, z rękami skrzyżowanymi na piersi, spokojnym wyrazem twarzy. Gdyby go nie znała, pomyślałaby, że się rozluźnił. Ale widziała napięcie w sposobie, w jaki trzymał ramiona, w zaciśniętych na łokciach dłoniach.

Jej wzrok przesunął się na torbę, a kiedy ponownie spojrzała w górę, wiedziała, że zauważył.

– Znalazłaś coś? – Kontrolował głos, ale nie brzmiał defensywnie.

Tabby wzięła się w garść. Zadał proste pytanie, to wszystko. Właśnie to powiedziała mu przez telefon. Na jego miejscu każdy byłby ciekawy.

– Myślałam, że rozpoznałam... – zaczęła i się powstrzymała. Głupia. Odwróciła wzrok. – Nie, to nic takiego.

– Przez telefon wydawałaś się zdenerwowana. – Nie dawał się zbyć. Tak jak się spodziewała.

Tabby zacisnęła usta.

– Po prostu na razie chcę o tym zapomnieć.

Nie zastanawiając się nad tym, zauważyła zaciągnięte zasłony, okna, które prawdopodobnie były szczelnie zamknięte na skutek zaniedbania i upływu lat.

Cal blokował jedyne wyjście. Zabrał ją do motelu na odludziu i blokował jedyne wyjście.

„Nie jesteś przerażona. Nie jesteś...”.

Płuca jej płonęły i zdała sobie sprawę, że coraz bardziej rozpaczliwie chwyta powietrze. Jej ramiona falowały, a serce biło tak szybko, że czuła każdy puls.

– Rzecz w tym, Tabitho – powiedział Cal, sięgając do swojej torby – że ci nie wierzę.

## ROZDZIAŁ 20

GRETCHEN

Teraz

– Sypiasz z Gibbsem – domyśliła się Gretchen, wjeżdżając na parking komisariatu policji. – Kręcisz z przyszłym szefem wydziału wewnętrznego.

Zwykle niewzruszona Marconi dziwnie podchodziła do kwestii seksu. Na to stwierdzenie naprawdę się zarumieniła.

– Nieprawda.

Gretchen roześmiała się, teraz już przekonana, że ma rację.

– Sypiasz. Nazwałeś go Lachlanem.

– Niepodważalny dowód – odpowiedziała Marconi tonem, który był odpowiednikiem przewrócenia oczami.

– Kiedy ostatni raz nazwałeś jakiegoś detektywa po imieniu? – zapytała Gretchen, zadowolona i rozbawiona. Jej ulubiona kombinacja. To łagodziło cierń faktu, że wybierały się do wydziału spraw wewnętrznych.

Minęła chwila, a potem Marconi się skrzywiła.

– Aha! – Gretchen szturchnęła ją palcem w ramię i w odpowiedzi została pacnięta w rękę. – Co twój moralny kompas ma do powiedzenia na ten temat?

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Uważam, że mógłby mieć jakieś spostrzeżenia na temat Shaughnessy’ego – odparła policjantka, ale głos brzmiał zbyt nerwowo, zbyt defensywnie, aby nie było to zakłopotanie. – Nie spuszcza z oka nikogo w wydziale i jest w tym chorobliwie skrupulatny.

– Och, jestem pewna, że ma dużo „spostrzeżeń” do zaoferowania.

– To nic nie znaczy – mruknęła Marconi.

Gretchen mówiła dalej, jakby jej nie słyszała.

– I uważa, że to ja jestem pozbawiona zasad moralnych.

Nie miała zwyczaju przyjaźnić się z bostońskimi policjantami – Marconi była tu raczej wyjątkiem od reguły – ale wielu doświadczonych

detektywów uznawało ją za wystarczająco użyteczną, by nie robić zamieszania wokół jej historii.

Ogólnie rzecz biorąc, ten sposób myślenia był całkowicie zgodny z jej naturą. Doceniała tych, którzy rozumieli stosunek kosztów do korzyści, nawet jeśli tak naprawdę ich nie lubiła.

To jednak nie oznaczało, że nie miała wielu wrogów w wydziale. A przynajmniej ludzi, którzy traktowali ją raczej z podejrzliwością niż szacunkiem.

Lachlan Gibbs, dobrze przygotowany do objęcia dowodzenia sprawami wewnętrznymi, stał na czele tej inkwizycji, rozdając pochodnie wszystkim, którzy mieli podobne zdanie.

Gretchen nie wiedziała, czy wydział wewnętrzny ma wystarczające możliwości, by trzymać konsultantów z dala od dochodzeń, ale nie byłaby zdziwiona, gdyby Gibbs zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby spróbować.

Zły wpływ – tak właśnie myślał o niej wydział. Przynajmniej tyle wywnioskowała przez lata wzajemnej nieufności.

– Nie masz żadnych zasad moralnych – powiedziała Marconi.

– Racja, ale najwyraźniej on też nie – stwierdziła Gretchen, gdy wysiadły z auta.

– Schowaj pazury, jeśli potrafisz. Gibbs – policjantka spojrzała na Gretchen uważnie prawdopodobnie po to, by się upewnić, że odnotowała użycie tym razem nazwiska detektywa – może rozmawiać o Shaughnessym nieoficjalnie.

– Jeśli potrafię? Proszę. – Gretchen przystanęła, by przyjrzeć się Marconi, która unikała jej wzroku. – Jak myślisz, co Gibbs będzie wiedział?

– Czuję, że Shaughnessy ma tu pewną reputację – odparła policjantka powoli, ostrożnie. – Wcześniej nie zwracałam na to uwagi, wiesz, że gliniarze plotkują więcej niż uczniacy w szkole. Ale teraz jestem ciekawa. Zwłaszcza odkąd się okazało, że majstrowano przy raporcie. Może Gibbs będzie wiedział coś nieoficjalnie na temat roli Shaughnessy'ego w dochodzeniu. W końcu to była jego pierwsza duża sprawa w wydziale kryminalnym.

– A Gibbs będzie wiedział o tej reputacji? – zapytała Gretchen. Była kiepska w śledzeniu relacji interpersonalnych w bostońskiej policji poza tym, że wiedziała, kto będzie z nią współpracował, a kto nie. I oczywiście, miała świadomość, że zmowa milczenia, zawodowa solidarność były

o wiele ważniejsze od wszelkich złych emocji między poszczególnymi gliniarzami.

Wyjątek od tej reguły stanowił wydział spraw wewnętrznych.

– On jest jedyną osobą, której ufam na tyle, żeby zapytać. – Marconi wzruszyła ramionami. – Może nie będzie nic wiedział, ale nie zaszkodzi spróbować. – Podniosła rękę, gdy Gretchen rzuciła jej spojrzenie. – Jeśli wziąć pod uwagę zaginioną nianię, brakującą stronę i fakt, że Shaughnessy wszedł do domu sam?

– Nic z tego samo w sobie nie jest oczywiście obciążające. Poza śmiercią od ciosów nożem.

– Oraz...

Gdy Marconi przerwała, Gretchen znów szturchnęła ją palcem.

– Nie lubię, kiedy nie kończysz zdania.

Policjantka przewróciła oczami.

– Zanotowałam.

– Więc?

– Obsesją Shaughnessy’ego na twoim punkcie... – powiedziała, teraz niepewnie, jakby badała na wpół ukształtowaną myśl. – Wiem, że zawsze sądziłaś, iż wynikała z przekonania o twojej winie. Ale nie sądzę, żebyś miała rację.

Gretchen znieruchomiała.

– W takim razie co to jest według ciebie?

– Oddziel to, czego się spodziewasz, od zachowania i... – Marconi zrobiła wdech. – To niemal tak, jakby wiedział, że mogłaś zobaczyć coś, czego nie powinnaś.

Gretchen gwałtownie wypuściła powietrze.

Cień. Osoba?

– Siedzi w samochodzie pod twoim domem – zauważyła Marconi, krzywiąc się. – To nie jest zachowanie niewinnych ludzi.

– Zawsze był nadgorliwy. – Gretchen spróbowała sięgnąć myślą dziesięć lat wstecz, kiedy z nim pracowała, a potem jeszcze dwadzieścia. A jeśli zatuszował coś tamtej nocy? Jeśli żył w strachu, że ona sobie przypomni, co to było?

Dlaczego teraz nie odbierał od nich telefonów?

Jeśli to Bardot zataiła obecność niani, czy Shaughnessy nie miałby ochoty o tym usłyszeć? Nawet gdyby nie wiedział, że coś znalazły, nie chciały się dowiedzieć, czy White’owie coś zdradzili?

A może był po prostu tak pewny winy Gretchen, że nie wyobrażał sobie pojawienia się nowych dowodów?

– Być może – przyznała Marconi. Jej sztywna postawa wskazywała, że czuje się niekomfortowo. Nienawidziła myśleć tak o swoim partnerze – powiedziałaaby Gretchen. A mimo to dotknie tej rany. Dla niej. Albo po prostu dlatego, że tak należało. Czasami musiała sobie przypominać, że ludzie postępowali właściwie tylko z tego powodu.

– No cóż, miejmy to za sobą.

– Gibbs cię nie aresztuje – obiecała Marconi.

Nastrój Gretchen jeszcze się pogorszył.

– Już z nim o mnie rozmawiałaś.

– Nie. Wierz lub nie, świat nie kręci się wokół ciebie – powiedziała w taki sposób, że Gretchen rzeczywiście jej uwierzyła. – Ale nie jest idiotą. Nie zrobiłaś nic złego i rozwiązałaś dla wydziału więcej spraw niż połowa pracujących tu detektywów.

Gretchen spojrzała na nią.

– Jeśli próbujesz mi kadzić, nie przerywaj, to działa.

Marconi znów przewróciła oczami, ale trochę skrępowania między nimi zniknęło.

Odwróciły się równocześnie i ruszyły do drzwi.

– Jak to jest? – zapytała Gretchen. – Być jego partnerką. To znaczy Shaughnessy’ego, oczywiście.

– Wiesz to lepiej ode mnie – odparła Marconi, powstrzymując ją, gdy zamierzała zaprotestować. – To prawda. Pracowaliście razem co najmniej dziesięć lat. Znacie się o wiele dłużej. Więc jak to jest?

Trudno było myśleć o jej relacji z Shaughnessym w taki sam sposób, jak dziwnie było myśleć o oddychaniu, mruganiu czy przełykaniu. To się po prostu wydarzyło, po prostu było. Istniało, odkąd skończyła osiem lat.

Shaughnessy był stale obecny w jej życiu i nie próbowała tego za bardzo analizować. Myśl o nim trzymała jej najbardziej dzikie impulsy pod kontrolą i Gretchen musiała przyznać, że dobrze im się razem pracowało. Trudno powiedzieć, że go lubiła, bo nawet nie wydawało się to możliwe.

„Rodzina”, przyszło jej do głowy i coś poczuła pod skórą, jakieś gorące nieprzyjemne mrowienie. Pochłonęła wystarczająco dużo materiałów filmowych, przeczytała dość książek, by wiedzieć, co wielu normalnych ludzi sądzi o swoich rodzinach.



Jednak myśl o Shaughnessym jako o rodzinie niewiele ją uspokoiła. Uwierzyła, jakby była cudzym niewygodnym spostrzeżeniem.

– Zawsze chce odkryć prawdę – powiedziała w końcu. – Gdyby myślał, że na coś wpadłam, wspierałby mnie, dopóki nie znalazłabym odpowiedzi.

– Czyli to dobry detektyw. – Marconi lekko skinęła głową.

– Może – przyznała Gretchen, ale jej widzenie świata nie było stabilne.

Zatrzymały się przed gabinetem Lachlana Gibbsa i Marconi pozwoliła jej iść przodem. Gretchen głęboko zaczerpnęła powietrza i bez pukania weszła do środka.

Lachlan Gibbs był pięknym mężczyzną o ciemnej skórze, brązowych oczach otoczonych długimi rzęsami, mocnej szczęce i wysokich kościach policzkowych.

Spojrzał na nią zza biurka niewzruszony, ponieważ zawsze tak na nią patrzył. Potem przeniósł wzrok na stojącą z tyłu Marconi.

– Lauren – powitał ją ciepło i Gretchen szeroko otworzyła oczy. Posłała kobiecie pełen zadowolenia uśmiech, ale ta minęła ją bez komentarza.

– I doktor White – dodał Gibbs, w końcu uznając jej obecność, ale jego ton był o dziesięć stopni chłodniejszy niż wtedy, gdy zwrócił się do jej towarzyszki. – Czemu zawdzięczam tę... przyjemność?

– Sama widzisz – mruknęła Gretchen pod nosem do Marconi, na co ta rzuciła jej spojrzenie, które, jak Gretchen zrozumiała, oznaczało: „Zachowuj się”.

– Potrzebuję przysługi – odezwała się policjantka.

Gibbs odłożył długopis ze zbyt głębokim rozmysłem.

– Myślałem, że jesteś na urlopie.

– Zatem dobrze znasz jej plany? – zauważyła Gretchen i została zignorowana przez obie strony.

– Jestem – potwierdziła Marconi. – Zajmujemy się sprawą Gretchen.

– Tą, w której zamordowała swoją ciotkę? – zapytał Gibbs. Marconi szybko wysunęła rękę, by powstrzymać Gretchen, zanim ta zdąży wyjść.

– Tą, w której ktoś zamordował jej ciotkę i prawdopodobnie ją w to wrobił – sprostowała Marconi.

– Pokładasz w morderczynie sporą wiarę – stwierdził cicho Gibbs, jakby Gretchen nie mogła tego usłyszeć.

– Tak, ponieważ to socjopaci najwyraźniej zdobyli monopol na okropne zachowanie – powiedziała Gretchen. – To czym się właściwie zajmujesz? Bo mam wrażenie, że jesteś w to zaangażowany.

– Tak, łapię złych gliniarzy – odparł Gibbs, wreszcie zwracając się do niej. – Mój pogląd, że dla ludzi takich jak ty nie ma miejsca w wydziale, i usuwanie skorumpowanych detektywów wzajemnie się nie wykluczają. Właściwie całkiem nieźle do siebie pasują, nie sądzisz?

– Twoi źli gliniarze są chciwi, leniwi i... lub... są rasistami – odparowała Gretchen. – Nie socjopatami.

– Niemniej niespecjalnie dajesz mi powody, by ci zaufać, prawda, doktor White? – powiedział Gibbs. Kiedy ludzie dobrowolnie używali jej naukowego tytułu, zwykle była w tym drwina. Gretchen miała ochotę dźgnąć go w gardło długopisem, który położył na biurku. Pomyślała jednak, że wtedy Marconi może przestać z nią pracować, więc się powstrzymała.

– Lachlan – wtrąciła się Marconi. – Detektyw Shaughnessy. Możesz nam o nim opowiedzieć? Wiem, że krążą pewne plotki, jakoby miał trudny początek, kiedy był nowicjuszem. W latach osiemdziesiątych.

Gibbs przyglądał jej się długą chwilę, tylko raz zerknąwszy na Gretchen. Potem wstał i sięgnął po kurtkę.

– Chodźmy.

Żadne z nich się nie odezwało, dopóki nie dotarli do parku trzy przecznice dalej. Gibbs kupił sobie hot doga i butelkę wody dla Marconi. Nie żeby Gretchen cokolwiek chciała od niego wziąć, ale nawet nie zaproponował.

– Lauren, wiesz, że to niebezpieczna droga – powiedział Gibbs, gdy znaleźli ławkę. Pozwolił im usiąść, a sam krążył wokół nich. Połowa hot doga już zniknęła.

– Jednak twoje zachowanie skłania mnie do myślenia, że właściwa – odparła cicho Marconi, a Gretchen wydała z siebie wspierające, potakujące mruknięcie. Co i tym razem zostało przez nich oboje zignorowane.

Westchnął na tyle głośno, że zrozumiała, iż chciał, by usłyszały jego rozdrażnienie.

– Największe wątpliwości budzi to, że nie potrafi trzymać się partnera, przede wszystkim dlatego zwrócił moją uwagę. – Spojrzał na Gretchen, zanim znów przeniósł wzrok na Marconi. – Ale... teraz mam akta.

– Czego dotyczą? – zapytała Marconi. – Jego zachowania?

Gibbs starł kciukiem resztki musztardy, która została mu w kąciuku ust. Gretchen uznała to za zabawne.

– Właściwie chodzi o dziewczynę, stara sprawa. Została zamordowana na początku lat osiemdziesiątych.

– Nazwisko – zażądała Gretchen.

Szczęka Gibbsa pracowała.

– Czy to tajne? – zapytała Marconi delikatnie, jakby miały się wycofać, gdyby odpowiedź była twierdząca.

– Chyba nie – odparł, kręcąc ramionami. Stanowił żywy obraz dyskomfortu. Gretchen zastanawiała się, co się pod tym kryło. Strach? Był prawdziwym zawodowcem, z nadzieją na najwyższe stanowisko w sprawach wewnętrznych. Właśnie ta ambicja dziwiła ją najbardziej w kontekście jego potencjalnego związku z Marconi. Może nikt inny nie wykazał się taką spostrzegawczością jak Gretchen i na razie uchodziło im to na sucho. Jednak to nie będzie trwało wiecznie. Nawet jeśli romans w pracy nie został oficjalnie zabroniony, nie może pomóc żadnemu z nich.

– Lachlan... – powiedziała błagalnie Marconi.

W końcu ustąpił.

– Jennifer Cross.

– I Shaughnessy prowadził dochodzenie? – zapytała Gretchen.

– Nie, to właśnie jest dziwne. – Gibbs włożył ręce do kieszeni. – Rzec się działa na długo, zanim trafił do wydziału kryminalnego. Jest tak, jak mówiłaś. Gdy znaleziono jej zwłoki, był nowicjuszem w drogówce i zatrzymywał samochody do kontroli.

– Więc jak się w to zaangażował? – dopytywała Marconi.

– Musisz zrozumieć, co to były za czasy. Złota era seryjnych zabójców, jeszcze bardziej niż teraz. Niedługo po utworzeniu w FBI Wydziału Analizy Behawioralnej. Media co drugi tydzień o nich trąbiły. Raz nawet brałem udział w zajęciach na ten temat, wykladał pewien gość, który zbił majątek, opisując to wszystko.

– Zachary Daniels? – domyśliła się Marconi.

Nazwisko zabrzmiało znajomo, co potwierdziła odpowiedź Gibbsa.

– Tak, były agent FBI, który został sprzedawczykiem. – W tych słowach była jakaś gorycz, rodzaj szyderstwa. Gretchen zastanawiała się, czy ta arogancka pryncypialność kiedykolwiek dała się Gibbsowi we znaki.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytała.

– Wszyscy wtedy...

– Czy to nie było w czasach, którymi się nie zajmujesz? – przerwała mu Gretchen, a Marconi spojrzała na nią z rozczarowaniem.

– Tak, ale w policji opinia ciągnie się za człowiekiem – odparł Gibbs niewzruszony. – Wszyscy mówili, że Shaughnessy połknął bakcyła.

– Bakcyła?

– Miał bzika na punkcie seryjnych zabójców.

Gretchen zmarszczyła nos.

– I o to chodziło?

– W tamtych czasach? Tak. – Gibbs wzruszył ramionami. – Każdy gliniarz chciał być tym, który złapał następnego.

– Czyli Shaughnessy myślał, że ta stara, nierozwiązana sprawa to właśnie to? Że Jennifer Cross była ofiarą seryjnego mordercy? – zapytała Gretchen, kierując się logiką. – Statystycznie rzecz biorąc, byłoby to niezwykle rzadkie.

– Zgadza się – rzekł Gibbs, skłaniając lekko głowę z uznaniem. – Wszyscy wiedzieli, że ma bzika na tym punkcie, ale w czasie, gdy zaangażował się w tę sprawę, był w obyczajówce. Co mógł działać poza tym, że narobiłby trochę zamieszania?

– Skąd to wszystko wiesz? – dociekała Gretchen. Reputacja to jedno. Tu chodziło o coś więcej.

– Jak powiedziałem, już wcześniej wzbudził moje wątpliwości. – Gibbs znów zaczął się przechadzać, teraz tylko wzdłuż ławki, przez co jego ruchy wydawały się jeszcze bardziej nerwowe. – A potem zaczął pracować z tobą. Wybacz, ale chciałem dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Gretchen uniosła lekko ramię.

– Mądrze.

Marconi wróciła do tematu.

– Opowiedz nam o Jennifer Cross.

– Jej ciało zostało znalezione w lesie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim – powiedział Gibbs bez wahania. Plotki głosiły, że miał pamięć ejdetyczną, ale Gretchen sądziła, że to może być opinia laików, którzy nie wiedzą, o czym, do diabła, mówią. Natomiast na podstawie tego, co wcześniej zaobserwowała, odgadła, że miał pamięć echoiczną, co oznaczało, że zapamiętywał wszystko, co słyszał, a nie to, co czytał. Byłby to nieoceniony atut dla policjanta z wydziału spraw wewnętrznych, gdzie śledztwo w dużej mierze opierało się na przesłuchaniach i zeznaniach. – Poszła do jednej z tych luksusowych szkół, ale była stypendystką. Przyczyną śmierci był uraz powstały w wyniku uderzenia tępym narzędziem w tył głowy.

– A skąd przypuszczenia, że była ofiarą seryjnego zabójcy? – zapytała.  
– Dziewczyna została znaleziona z nacięciami na rękach – odparł ponuro Gibbs.

Gretchen zerknęła na Marconi, która pokręciła głową. Ona też tego nie rozumiała.

– A to jest istotne, ponieważ...? – Gretchen żałowała, że mają do czynienia z kimś, kto nie cierpiać udzielać jakichkolwiek informacji bez względu na powody. Sztywniacy ze spraw wewnętrznych. Uważali, że ich usta to Fort Knox.

Gibbs potarł kciukiem ucho, a potem spojrzał jej w oczy. Zrozumiała, że próbował zdecydować, czy powinien coś wyjawić.

Westchnął kolejny raz.

– Twoja ciotka pojawiła się w tym samym czasie, gdy znaleziono ciało Jennifer. Miała takie same nacięcia na rękach.

– Co? – Ta informacja była tak nieoczekiwana, że Gretchen ograniczyła się do tego jednego słowa.

Gibbs przenosił wzrok z jednej na drugą i Gretchen zrozumiała, że Marconi ma ten sam wyraz twarzy co ona.

– Twoja ciotka Rowan White pewnej nocy została znaleziona przez detektywa Shaughnessy’ego na środku drogi w czasie, kiedy był w policji, nie wiem, może z sześć miesięcy – powiedział Gibbs powoli, jakby myślał, że go oszukują, i nie mógł do końca zrozumieć jak i dlaczego. – Ręce miała całe pocięte. – Gdy wciąż się na niego gapily, przeciągnął dłonią po twarzy.  
– A ty dotychczas o tym nie wiedziałaś.

Gretchen nie odpowiedziała. Reakcje ich obu były wystarczająco oczywiste.

– Przepraszam, kiedy to dokładnie było?

– Mniej więcej w tym samym czasie. Gdzieś w osiemdziesiątym drugim czy trzecim. Mogę to sprawdzić. Jest w aktach, bo to miało związek z jedynym przypadkiem, kiedy dostał po łapach od wydziału. – Przerwał na moment. – Wybacz, jak mogłaś o tym nie wiedzieć?

– Ale dlaczego nie było tego w raporcie z autopsji? – Mówiąc to, Gretchen pomyślała, czy to była informacja, którą znalazłyby na brakującej stronie.

Osiemdziesiąty trzeci. To musiała być ta ostatnia próba samobójcza, o której jej rodzina zawsze przypominała podczas pasywno-agresywnych kłótni. Ta, kiedy policja była zaangażowana w sprawę.

– Sytuacja z tej pierwszej nocy została opisana jako próba samobójcza – rzekł Gibbs, potwierdzając jej przypuszczenia. – Nie była istotna dla jej śmierci dziesięć lat później. Wszystko znajdowało się w papierowych aktach... Leżały zapomniane w archiwum. O obu sprawach wiem tylko dlatego, że postawiłem sobie za cel wyciągnąć wszystkie, które prowadził Shaughnessy.

Słyszając zblazowany ton, którym to powiedział, Gretchen z trudem zapanowała nad sobą.

– Nie była. Istotna. – Pozwoliła, by pogarda w głosie wykonała to, czego nie mogły zrobić ręce.

Gibbs przybrał starannie pusty wyraz twarzy i wiedziała, że jej potępienie do niego dotarło.

– To nie było moje śledztwo – powiedział i po raz pierwszy, odkąd poznali się przed laty, wyglądało na to, że próbuje się bronić. Problem z pryncypialnością polega na tym, że grozi bolesnym zderzeniem z rzeczywistością.

Ona sama lubiła otwarte podejście. Było bezpieczniejsze.

– Obie miały takie same nacięcia na rękach? – zapytała Marconi, wracając do tematu.

– Gdy Shaughnessy dowiedział się o tym szczególe, nic nie mogło go powstrzymać. Jednak plotka głosi, że na długo przed tym, zanim usłyszał o Jennifer Cross, uważał, iż w tej rodzinie działo się coś podejrzanego. – Gibbs był uprzejmy lekko się skrzywić przy „tej rodzinie”. Ale ciągnął. – To był powód jego zawieszenia. Anders White...

– Mój ojciec – wtrąciła Gretchen tylko po to, by podkreślić, jakie to groteskowe, że nikt w wydziale nie uznał tej historii za godną uwagi.

– Twój ojciec – potwierdził Gibbs. – Złożył skargę na Shaughnessy’ego, ponieważ ten wkroczył na teren jego posiadłości, szukając dowodów, że Anders jest, cytując: „jednym z tych szalonych seryjnych zabójców”.

– Jejku. – Marconi zerknęła na Gretchen kątem oka. – Ciekawe, że jego obsesja nie zaczęła się i nie skończyła na tobie.

„Może jednak zaczęła się i skończyła na mojej ciotce”, uświadomiła sobie Gretchen. Jeśli to wszystko jest prawdą – a sądząc po wyrazie twarzy Gibbsa, jest – Shaughnessy był wplątany w życie Rowan przez dziesięć lat przed jej śmiercią. To, że Rowan była jego pierwszą poważną sprawą jako detektywa z wydziału kryminalnego, nie wyglądało już na zbieg

okoliczności – prawdopodobnie znajdował się w okolicy, kiedy wezwano policję.

Może nawet w pokoju.

Chryste. Gretchen jeszcze nie wiedziała, co zrobić z tą informacją.

– I co się dalej działo ze sprawą Jennifer Cross? – zapytała Marconi, jakby wiedziała, że zadawanie dalszych pytań jest dla Gretchen zbyt trudne.

– Nic – odparł Gibbs. – Shaughnessy oczywiście chwycił się wszystkiego, ale sprawa pozostała nierozwiązana i w końcu wszyscy zajęli się innymi dochodzeniami. Stała się notatką w aktach wydziału spraw wewnętrznych i zapomniano o niej. – Przerwał i machnął ręką w stronę obu kobiet, jakby mówiąc, że ich zupełna nieświadomość jej istnienia była tego dowodem. – Najwyraźniej.

– A ty co myślisz? – Marconi wstała i trąciła Gibbsa łokciem. – Czy to był seryjny zabójca?

– Nacięcia były dziwne, nie przeczę – odparł powoli. – Ale seryjny zabójca takich nie robi.

– O rany, co by bostońska policja zrobiła bez takich obserwacji – powiedziała Gretchen, czując się małostkowa i zapędzona w kozi róg.

Gibbs ją zignorował.

– To nie moja specjalność, szczerze mówiąc.

– Ale źli gliniarze tak – wtrąciła szybko Marconi, zanim Gretchen zdążyła jeszcze bardziej na niego naskoczyć, dostając taką sposobność. – Więc co myślisz o Shaughnessym?

Gibbs się skrzywił. Nawet wydział spraw wewnętrznych nie lubił kablować na kogoś z policyjnej braci.

– To niepokojące, że znalazł Rowan jednej i drugiej nocy.

– Tej nocy, kiedy była pocięta i kiedy została zamordowana – uściśliła Marconi.

– Gdybym tu wtedy był, powiedziałbym, że to mi wystarczy do wszczęcia śledztwa – powiedział Gibbs. – Ale teraz? Od tego czasu nie ma na niego żadnych skarg. Wygląda na to, że odrobił lekcję.

– Powiedz mi, detektywie Gibbs – odezwała się Gretchen – jaki jest termin przedawnienia złego zachowania gliniarzy?

– Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nowy gliniarz spróbował coś udowodnić. Tak to w tej chwili wygląda.

– Ale niepokoiło cię to na tyle, by wszcząć dochodzenie w jego sprawie – zauważyła Marconi. – Czy to coś nie znaczy?

– Prowadzę dochodzenia w sprawie około dwudziestu glin – wyjaśnił, wskazując głową budynek komisariatu. – Moim zadaniem jest mieć ludzi na oku.

– Możemy zobaczyć akta? – zapytała Gretchen, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

– Nie – odparł bez wahania.

Zanim zdążyła wejść z nim w dyskusję, Marconi przycisnęła łokieć do jej boku.

– Jak możemy zdobyć więcej informacji na temat sprawy Cross? – zapytała.

Gibbs popatrzył na nie, a potem pochylił się jak pokonany.

– Wystawię ci przepustkę do archiwum. Nie będziesz mogła niczego zabrać pod swoim nazwiskiem, bo oficjalnie jesteś na urlopie. Tylko... postaraj się być dyskretna, dobrze? Nie chcę, żeby to do mnie wróciło.

Gretchen zerknęła na Marconi, po czym głośno powiedziała na boku:

– Musisz być fantastyczna w łóżku.

Marconi uśmiechnęła się, ale było to bardziej obnażenie zębów.

– A ty się zastanawiasz, dlaczego on chce cię aresztować.



## ROZDZIAŁ 21

SHAUGHNESSY

1984

Wyprawa do lasu w pobliżu domu White'ów kosztowała Shaughnessy'ego oficjalną notatkę w aktach, tydzień zawieszenia bez wynagrodzenia i uszczerbek na reputacji, którą zdawał się szybko tracić.

Obserwował siebie w tym wszystkim, jakby znajdował się poza własnym ciałem, nie mogąc powstrzymać ześlizgiwania się do rowu. Patrzył, jak przekopuje archiwa, badając stare, nierozwiązane sprawy, spędza niezliczone weekendy w bibliotekach, przeglądając stare artykuły prasowe, kontaktuje się z wydziałem komunikacji, by uzyskać informacje o samochodzie Andersa. I po prostu nie potrafił się powstrzymać. Był uzależniony.

Jednak zaczął tę obsesję lepiej ukrywać. Gdy w lutym Boyd go o to zapytał, Shaughnessy wzruszył ramionami i powtórzył wcześniejszą kwestię swojego partnera: nie można nic zrobić, dopóki nie będzie martwa. Gdy po trzech miesiącach od zawieszenia zameldował się u komendanta, zapewnił go zgodnie z prawdą, że nie wrócił do posiadłości. Gdy rodzina zapytała, czy pracuje nad jakimiś interesującymi sprawami, opuścił głowę i wyznał, że utknął w drogówce.

Ale w marcu jego wysiłek się opłacił, ponieważ ją znalazł.

Jennifer Cross.

Jej ciało odkryto w lesie około sześciu miesięcy wcześniej, niecały miesiąc po tym, jak spotkał Rowan. Ręce Jennifer były ponacinane w taki sam sposób jak Rowan.

Modus operandi. Tylko tyle potrafił wymyślić, jego umysł uchwycił się obcego wyrażenia, którego tak często teraz używali agenci FBI ścigający seryjnych zabójców.

Dziewczyna mogła okazać się przełomem, którego potrzebował.

Dwie ofiary. Ludzie mogli skreślić Rowan, ponieważ żyła. Ale martwa dziewczyna? Ktoś, kto zwrócił na siebie uwagę mediów? To byłoby trudniejsze do zignorowania.

Gdyby tylko zdołał kogoś przekonać, żeby dostrzegł powiązanie.

Dzięki rzadkiej odrobinie szczęścia tydzień po tym, jak znalazł w archiwum akta sprawy Jennifer, usłyszał o wykładach, które prowadził emerytowany agent specjalny FBI Zach Daniels.

Shaughnessy potraktował to jako znak, wynajął sedana i w pewien środowy wieczór pojechał osiemdziesiąt dwa kilometry do Providence, okłamawszy szefa, że ma wizytę u dentysty, żeby móc wyjść wystarczająco wcześniej i zdążyć na wykład.

Daniels wyrabiał sobie nazwisko, jeżdżąc z wykładami po całej Nowej Anglii. Od czasu, gdy opuścił FBI i przeszedł na emeryturę, napisał cztery bestsellery na temat seryjnych zabójców oraz ich ofiar.

Gdy światła przygasły, przez tłum przeszedł szmer oczekiwania. Zmienił się w huk, gdy Daniels wszedł na scenę niczym gwiazda rocka, machając ręką w ciemność na powitanie tych, którzy ostatnio mogli się przekonać, jak zły potrafi być człowiek.

Jeśli Shaughnessy miał być szczery, wykład okazał się rozczarowaniem, w większości odgrzewał sprawy dobrze opisane w książkach tego faceta. Ale on nie był tam dla prelekcji.

Kiedy Daniels kończył przemawiać, Shaughnessy po cichu wyszedł.

Przekupił jednego z ochroniarzy, żeby pokazał mu drzwi, którymi sława wchodziła i wychodziła. Oparł się o mur tuż obok kręgu światła gołej żarówki, która dawała wrażenie bezpieczeństwa, tak naprawdę w ogóle go nie zapewniając.

Pół godziny później drzwi się otworzyły i Daniels wyszedł. Shaughnessy przesunął się tak, by światło padło na jego twarz i – co ważniejsze – na odznakę.

– Postawić panu drinka? – zapytał.

Daniels zawahał się i zerknął za siebie, gdzie kręciła się grupka ludzi. Potem wzruszył ramionami i skinął głową.

Nie musieli daleko iść, by znaleźć bar, i Shaughnessy starał się nie skrzywić, gdy Daniels zamawiał najdroższą whiskey, jaka była w karcie.

– Często się to panu zdarza, prawda? – domyślił się Shaughnessy, gdy usiedli w boksie z tyłu baru.

– Rzadko kiedy nie. – Daniels zakręcił szklanką, uważnie obserwując drinka, zainteresowany nim o wiele bardziej niż swoim towarzyszem. Jednak uśmiechnął się lekko i Shaughnessy miał wrażenie, że uważa to wszystko za bardzo zabawne. – Niech pan opowie o swoim seryjnym zabójcy.

Coś w tym człowieku mocno Shaughnessy’ego irytowało.

– Skąd pan wie, że go mam?

Daniels zerknął na niego.

– Dzisiaj każdy ma seryjnego zabójcę. – Przerwał, odstawił szklankę, oparł przedramiona na stoliku i popatrzył Shaughnessy’emu w oczy. – Wie pan, jak rzadko zdarzają się seryjni mordercy?

Shaughnessy oblizał usta. Znał statystyki. I prawdopodobnie tak jak wszyscy przed nim wiedział, że je ignoruje.

– W tym roku działa stu czterdziestu siedmiu aktywnych seryjnych zabójców. Mniej więcej.

– Cóż, przynajmniej zna się pan na rzeczy – przyznał Daniels, odchylając się na oparcie. Jednak najwyraźniej nie był pod wrażeniem, tylko zmęczony. Podniósł drinka i wychylił całość, po czym dał znak kelnerce. – Myśli pan, że trafił na jednego z tych stu czterdziestu siedmiu.

– Mniej więcej – odparł Shaughnessy, bo chciał nieco sprowokować tego gościa. W swoich książkach Daniels ukazywał się jako pełen poświęcenia, honorowy, odważny. To nie był mężczyzna siedzący przed nim.

Daniels się roześmiał i wskazał go swoją nową szklanką.

– Tu mnie pan ma.

– Jeszcze nie jestem pewien, czy to seryjny zabójca – rzekł Shaughnessy. Trzymał akta luźno w rękach. Nagle ta sprawa wydała mu się bardzo cienka.

– Jedna ofiara? – zapytał Daniels, znacząco krzywiąc usta. Wyciągnął rękę i chwycił kelnerkę za nadgarstek. – Ślicznotko, podaj nam coś do jedzenia. Zaskocz mnie i zapisz to na jego rachunek.

– Dwie ofiary – wydobył z siebie Shaughnessy, gdy kelnerka odeszła, kręcąc biodrami. – Właściwie... nie. Tak, dwie.

To przyciągnęło uwagę Daniela.

– Nie brzmisz zbyt pewnie, kowboju.

– Jedna nie żyje, druga torturowana. – Starając się nadać głosowi nieco pewności siebie, Shaughnessy podsunął mu akta. Facet je wziął, a kiedy studiował zdjęcia i starannie opracowane informacje na temat Rowan

i Jennifer Cross, policjant pomyślał, że dostrzegł cień czegoś w poważnym wyrazie twarzy byłego agenta. Może echo siebie samego, gdy jeszcze go to wszystko obchodziło. – Obie z takimi samymi obrażeniami.

– To nie wygląda na tego samego faceta – powiedział Daniels. Jednak nadal czytał.

– Jedna z ofiar to jego siostra – dodał Shaughnessy nieco zbyt pospiesznie. – Myślę, że może na niej ćwiczyć, ale nie chce jej zabić.

Daniels kiwnął głową w zamyśleniu.

– To jego prawdziwa ofiara, ale jeszcze nie chce jej stracić. Dlatego znajduje substytuty.

– Tak – szepnął Shaughnessy. – Tak.

– Z tą teorią jest jeden problem. – Daniels zdecydowanym ruchem zamknął akta. – Nie są do siebie podobne.

– Ale są seryjni zabójcy, którzy...

Daniels przerwał mu, unosząc rękę.

– Nie mówię, że seryjni zabójcy trzymają się sztywno profilu ofiary. Mówię, że jeśli ten gość White znajduje substytut swojej siostry, łączyłyby je przynajmniej drobne podobieństwa. Przykro mi, młody.

Shaughnessy skrzywił się, gdy kelnerka przyniosła Danielsowi następnego drinka i wszystkie przystawki z menu.

– Nie mogę nic zrobić?

Daniels wepchnął do ust garść frytek i wzruszył ramionami.

– Niech pan do mnie wróci, kiedy naprawdę pan coś znajdzie.

Shaughnessy wyciągnął kartę kredytową, starając się nie myśleć o tym, że pod każdym względem było to całkowite rozczarowanie.

Zamiast tego sugestię Daniela potraktował jako wyzwanie.

Znajdź coś.

Znajdź je.

Po dwóch miesiącach od tego drinka z byłym agentem Shaughnessy'emu udało się znaleźć ojca Jennifer Cross i skłonić go do rozmowy. Podświadomie wiedział, że powinien był zrezygnować po pierwszym kontakcie telefonicznym, gdy Levi Cross wściekł się na niego tylko za to, że wspomniał imię Jennifer.

Jednak nie był w stanie zignorować powiązań.

Zafiksowany. Maniak.

Zastanawiał się, jakim słowem za sto punktów określiłaby go Saoirse, gdy teraz już imponowała dyplomem ukończenia studiów.

Zatracony.

Opętany.

Nawiedzony.

Levi w końcu zgodził się na spotkanie pierwszego od tygodni dnia, gdy w Bostonie zaświeciło słońce. Shaughnessy siedział z zakłopotaniem na osłoniętej plastikiem kanapie w małym, ale schludnym domu, który reprezentował coś pośredniego między klasą średnią a biedną dzielnicą. Trudno było uwierzyć, że dziewczyna z takiej rodziny obracała się w tych samych kręgach co Rowan White.

Mężczyzna był duży, grubokościsty, z lekką nadwagą. Guziki jego koszuli i szwy w spodniach khaki napinały się. Miał schludną, dobrze przystrzyżoną brodę i pusty wzrok.

Cuchnął alkoholem, chociaż była dziewiąta rano.

W niedźwiedzich dłoniach delikatnie trzymał kronikę szkolną, ale jeszcze jej nie otworzył.

– Była stypendystką w liceum. Wszyscy myśleli, że jesteśmy bogaci czy coś, ale Jenny harowała jak wół, żeby móc tam się uczyć.

Shaughnessy pokonał chęć wyjęcia notatnika i długopisu. Nie chciał przestraszyć Leviego, który wyglądał, jakby w każdej chwili był gotów uciec w jakieś ciemne, bezpieczne miejsce, jak najdalej od gliniarzy zadających pytania o jego zmarłą córkę.

– W liceum Phillipsa.

Właściwie nie potrzebował tego wyjaśnienia, znał więcej szczegółów z życia Jennifer, niż prawdopodobnie powinien. Ale chciał stopniowo wprowadzić Leviego w rozmowę.

Levi pokiwał głową, wciąż beznamiętnie wpatrzony w dywan.

– Proszę pana, wiem, że przechodził pan przez to wiele razy – zagał Shaughnessy najdelikatniej, jak umiał. Tylko raz przesłuchiwał kogoś w taki sposób – gdy odwiedził rezydencję White'ów kilka miesięcy wcześniej. To nie było to samo. To coś zupełnie innego. – Ale czy jest cokolwiek, co pan pamięta lub o czym pan myślał od czasu...

– Sądzi pan, że gdybym miał jakieś informacje, które pomogłyby znaleźć zabójcę mojej córki, nie waliłbym do drzwi komendanta policji? – odparł Levi. To pytanie powinno płonąć gniewem i urazą. Tymczasem brzmiały w nim pustka, zniechęcenie. To był człowiek pozbawiony nadziei.

Shaughnessy spróbował coś powiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły mu na myśl, więc zamilkł.

Levi otworzył kronikę i podał mu ją.

– Zawsze używali tego zdjęcia, które jej matka przekazała do prasy, tego pięknego, na którym była uszmkowana i zrobiona na bóstwo. – Postukał palcem w fotografię. – Ale to była prawdziwa Jenny.

Shaughnessy wiedział, o jakim zdjęciu mówi ten człowiek. Znalazł je, o dziwo, w magazynie „People”. Wyglądała na nim jak idealna, popularna, ładna dziewczyna, którą łatwo mógł sobie wyobrazić jako przyjaciółkę Rowan. Pomyślał, że one dwie przypominały raczej aktorki z opery mydlanej dla nastolatków niż prawdziwe uczennice.

Zdjęcie Jenny w kronice szkolnej było jednak inne. Wydawała się na nim o dziesięć lat młodsza. Miała na sobie golf w paski, a na nosie duże okulary, które ukrywały zaskakujące w czasopiśmie oczy. Kędzierzawe włosy otaczały twarz, a dwa pryszcze przyciągały wzrok do podbródka. Była ładna, ale wyglądała jak dziewczyna, którą była, a nie jak kobieta w ubraniu nastolatki.

Przyglądając się fotografii, Shaughnessy walczył z chęcią, by przewrócić strony i znaleźć Rowan White.

– Czy Jennifer z kimś się spotykała? – zapytał, nagle wydając się sobie za duży na ten dom, czując tylko swoje łokcie i niezgrabny język. Próbował być delikatny, ale co on wiedział o delikatności?

Levi zacisnął usta.

– Jenny była dobrą dziewczyną.

Shaughnessy skinął głową, nie wiedząc, o co dalej zapytać. Poczuł, jak gorąco zalewa mu szyję, gdy Levi najwyraźniej sobie uświadomił, że on nie wie, co tu, do diabła, robi.

– Nie zajmuje się pan sprawą mojej córki – powiedział powoli. Jakby dopiero teraz zaczął coś sobie układać w głowie.

– Po prostu domykam etap w innym dochodzeniu. – Shaughnessy wytarł w spodnie spoconą dłoń. To wyjaśnienie nie uspokoiło mężczyzny, którego rumiane policzki niepokojąco poczerwieniały.

– Dlaczego pan mi to robi? – zapytał Levi, oddychając z trudem jak ktoś, kto właśnie dostał cios w brzuch. – Dlaczego pan to wszystko wywleka? Jeśli nie macie nic nowego w sprawie Jenny?

Shaughnessy spróbował przełknąć ślinę, ale uwięzła mu w gardle. Po co on tu, do cholery, przyszedł? Dlaczego tak się wciągnął w to szukanie wiatru w polu, które nic nie znaczyło? Nic.

Zafiksowany. Maniak.

Wstał, uderzając goleniami w niski stolik i rozlewając swoją nietkniętą herbatę.

– Wynocha z mojego domu! – To był wrzask, ryk wydobyty z piersi tego człowieka, już nie pustej, ale wypełnionej gniewem pogrążonego w żałobie ojca. Levi wstał z zaciśniętymi pięściami.

Shaughnessy potknął się i chwycił za skrzypiący podłokietnik osłoniętej plastikiem kanapy.

I wtedy ją zobaczył.

Dziewczynkę.

Przywarła do ściany. Miała bladą twarz, dolna warga jej drżała. Ale wytrzymała jego wzrok, zadzierając głowę o małym, spiczastym podbródku.

Shaughnessy nie był dobry w kontaktach z dziećmi, nawet z pistoletem przy głowie nie potrafiłby stwierdzić, czy któreś ma pięć, czy dwanaście lat. Ale domyślił się, że dziewczynka była mniej więcej dziesięciolatką. Miała takie same ciemnobrązowe oczy jak Jenny, takie same ciemne włosy – chociaż jej były nieco rudawe i splecione w dwa warkocze, które zwisały na chudych ramionach. Była chuda jak gałązka trzciny, z sękatymi kolanami i w ogóle.

Wydawało się, że stojący za nim Levi przegrał walkę na sam jej widok.

– Tabby – wyszeptał.

Jednak Tabby nie odrywała wzroku od Shaughnessy'ego.

– Wie pan, kto to zrobił?

Nie mógł odpowiedzieć. Zaprzeczenie wydawało się kłamstwem, ale potwierdzenie byłoby niebezpieczne. Dlatego tylko na nią patrzył, a ona nieugięcie odwzajemniała spojrzenie.

Dziewczynka jedynie skinęła głową, jakby nie była zaskoczona.

– Złapie go pan?

Wyglądała i brzmiała jak ktoś o wiele starszy. Ale życie w domu z duchem zamordowanego rodzeństwa sprawiało, że dzieci dorastały naprawdę szybko. Mógł być młody i niedoświadczony, jednak to wiedział na pewno.

Nie miał żadnych wątpliwości, gdy odpowiedział:

– Tak.

## ROZDZIAŁ 22

GRETCHEN

Teraz

Archiwum okazało się tak zakurzone i ciemne, jak sugerowała sama nazwa.

Gretchen nigdy nie zapuszczała się w te czeluście, ponieważ miała Fred, a że ta praca była znacznie poniżej jej kompetencji, natychmiast zrezygnowałaby ze sprawy, gdyby została jej narzucona.

Okoliczności były jednak takie, jakie były, i wymagały wizyty tutaj.

Uprzejmy starszy pan w grubych okularach i z brzydką zaczeską przyjrzał się przepustce wypisanej przez Gibbsa, po czym skierował je w odpowiednią stronę.

Pudło z dowodami w sprawie Jennifer Cross było zaskakująco lekkie, jeśli wziąć pod uwagę, jak wielkie zainteresowanie jej zabójstwo wzbudziło w całym kraju.

– A zatem Shaughnessy uważał, że ta dziewczyna była ofiarą twojego ojca? – powiedziała Marconi, wkładając lateksowe rękawiczki, jak porządna detektyw, którą zwykle była. – Myślisz, że coś w tym jest? Anders to jakiś seryjny zabójca?

– Wydaje się to mało prawdopodobne – stwierdziła Gretchen, chociaż w głowie pobrzmiwało jej echo ich wcześniejszej rozmowy. Mało prawdopodobne nie znaczy niemożliwe. – Kto prowadził śledztwo?

– Nikt. – Marconi przechyliła głowę. – To znaczy nikt związany z resztą tego wszystkiego. Shawn Jones i Grace Li.

Żadne z tych nazwisk nic jej nie mówiło, ale zanotowała w pamięci, żeby je sprawdzić.

– Podaj mi szczegóły.

– Jennifer Cross ostatni raz widziana, jak wsiada do czterodrzwiowego sedana w ciemnym kolorze wieczorem dwunastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego – przeczytała posłusznie Marconi.



– Czyli znała tego faceta – powiedziała Gretchen bardziej do siebie niż do niej.

– Musiała znać – przyznała policjantka. – Tej nocy ojciec zgłosił jej zaginięcie, ale nikt ze znajomych nic nie wiedział i nikt nie zapamiętał numeru rejestracyjnego samochodu.

– Żadnych głównych podejrzanych? – dopytywała Gretchen, bo chociaż ich nazwiska często były ukrywane przed mediami, powinny znajdować się w raporcie.

– Ojciec, oczywiście. Ale nikt tak naprawdę nie myślał, że to zrobił. Jedna z dziewczyn zeznała, że Jennifer miała chłopaka. Chociaż mówiły też, że nigdy nie wspomniała, jak się nazywał ani czym zajmował. Sugerowały tylko, że był starszy.

– I nie było wtedy zapisów z telefonów komórkowych. Nie było esemesów, e-maili, żadnych cyfrowych śladów.

– Nie wiem, jak oni rozwiązywali sprawę.

– A rozwiązywali?

Marconi przewróciła oczami.

– Twoje obelgi robią się słabe. To po prostu jawna nieprawda.

– Rzeczywiście nie wysiliłam się – przyznała Gretchen w zamyśleniu, rozglądając się wokół. Starszy mężczyzna siedział pochylony nad biurkiem, nie zwracając na nie uwagi. – Zasłoń mnie.

– Co? Nie – zaprotestowała Marconi, ale było za późno. Gretchen już się wślizgnęła w następną alejkę, a potem w kolejną, aż znalazła literę, której szukała.

W.

Przesunęła palcem po etykietach.

White, Rowan J.

Zdjęła pudło z półki i przeniosła je tam, gdzie stała Marconi.

– Nie rób takiej miny.

– Nie zamierzam powstrzymać Gibbsa, jeśli spróbuje cię za to aresztować – powiedziała Marconi, ale usiłowała zobaczyć, co Gretchen wzięła.

– Może się o tym dowiedzieć tylko wtedy, gdy mu powiesz. – Jej głos ociekał przesadnie podkreśloną słodyczą. – Dobrze o tym wiesz, prawda, kochanie?

Policjantka przyjrzała się jej uważnie.

– Dlaczego mam wrażenie, że właśnie przyłożyłaś mi brzytwę do gardła?

– Och, świetnie, właśnie o to mi chodziło – odparła pogodnie Gretchen, po czym otworzyła akta Rowan. To nie był oryginał tego egzemplarza, który Marconi wozila ze sobą. Ten dotyczył wcześniejszego incydentu, z osiemdziesiątego trzeciego roku. – Przypomnij mi datę zniknięcia Jennifer.

– Dwunasty października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego – odczytała Marconi, chociaż prawdopodobnie wiedziała, że to powtórzenie nie jest Gretchen potrzebne.

– Rowan została przywieziona na posterunek dwudziestego ósmego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego.

– Co? – To nie było pytanie, raczej zamieszanie wyrażone słowem. Marconi potrząsnęła głową. – Więc Shaughnessy znalazł Rowan zaledwie dwa tygodnie przed zniknięciem Jennifer i obie dziewczyny miały takie same nacięcia na rękach? Ten czas wydaje się zbyt krótki, aby to był zbieg okoliczności, prawda?

– To może coś znaczyć – stwierdziła Gretchen, ale potem dodała: – Albo nic.

– Jak to może nic nie znaczyć? – W głosie policjantki zabrzmiał ostry ton.

– To, że nie możesz znaleźć innego wyjaśnienia, nie oznacza, że takie nie istnieje – powiedziała Gretchen, nie zwracając na nią większej uwagi, skupiona na aktach. – Oceniając daną sytuację, jesteśmy ograniczeni do własnego doświadczenia, logiki lub kreatywności, ale istnieje świat przyczyn i skutków, których po prostu nie można sobie wyobrazić. Nierozumienie, oto dlaczego niektórzy ludzie wpadają w królicze nory teorii spiskowych.

– Dziękuję, doktor White – rzuciła Marconi i niemal było słyhać, jak przewraca oczami.

Gretchen wzruszyła ramionami.

– Już wcześniej mówiłam, że jesteś dobra w znajdowaniu związków. Tego wymaga twoja praca. Ale przez to masz skłonność to łączenia rzeczy, które w rzeczywistości nie są powiązane.

– Nadal uważam, że ta chronologia jest dziwna. Może uznałabym ich obrażenia za zbieg okoliczności, gdyby minęły lata, ale dwa tygodnie?

– To kolejny punkt danych – zgodziła się Gretchen. – Tak jak związek Shaughnessy’ego z obiema sprawami.

– No dobrze, tamtej nocy Rowan wybiegła przed jego samochód – przypomniała Marconi. Gretchen zrozumiała, że to jej sposób na skierowanie rozmowy z powrotem na właściwy tor.

– Zgadza się. Shaughnessy i detektyw Liam Boyd byli w okolicy w związku ze zgłoszeniem awantury domowej. To jest... – Gretchen urwała, zastanawiając się. – Jakie są szanse?

– Czego?

– Że Rowan wybiegła akurat przed gliniarzami? – rozmyślała głośno Gretchen. – Na ciemnej drodze poza miastem.

– Hm – mruknęła Marconi. – Może... Może to jej dotyczyła ta awantura domowa? Może Anders naprawdę ją torturował i zaczęła walczyć, a sąsiedzi zadzwonili na policję? Wyrwała mu się i pobiegła na drogę?

„Może” – to wszystko, co pomyślała Gretchen. To była intrygująca teoria, ale wciąż miała wątpliwości, czy Anders jest psychopatą, który torturował siostrę. Gdyby tak było, Gretchen spodziewałaby się pewnej przemocy we własnym dzieciństwie. Pomimo psychicznego znęcania się oboje rodzice lubili okazywać szczodrość.

– Moja babka wypisała Rowan ze szpitala. Gdyby Anders ją torturował, Edith musiałaby być w to zamieszana.

– To by mnie nie zdziwiło. – Marconi znów spojrzała na akta Jennifer. – Matki same często stosują przemoc.

– Och, dziękuję, nigdy nie słyszałam o tych podstawowych danych na temat seryjnych zabójców, kiedy robiłam doktorat na ich temat – wycedziła Gretchen.

Marconi podniosła wzrok.

– Doktoryzowałaś się z seryjnych zabójców?

– Nie, robiłam... – Machnęła ręką i dokończyła nieprzekonująco: – Trochę.

– A to pech – mruknęła policjantka i kąciki ust jej drgnęły, gdy przestała okazywać zainteresowanie. – Byłoby super.

Gretchen zmrużyła oczy. Nie mogła znieść, że Marconi jest tak odporna na jej uszczypliwości. Jednocześnie przyznawała, że właśnie dlatego dobrze im się razem pracowało. Postanowiła uznać tę wymianę zdań za remis.

– Mogę sobie wyobrazić, że Edith próbowała ratować nazwisko rodziny White’ów. To byłby powód, dla którego kryła Andersa.

– Poświęcając przy tym Rowan – dodała Marconi.

– Dziewczyny w bogatych rodzinach są przeznaczone do małżeństwa i milczenia, dopóki nie pójdą do ołtarza – powiedziała Gretchen, unosząc ramię. – Nie ma znaczenia, jak złe jest ich męskie rodzeństwo.

– Uroczo. Zatem Jennifer Cross chodziła do tej samej szkoły co Rowan, zniknęła nieco ponad dwa tygodnie po tym, jak widziano Rowan wybiegającą z lasu w samej bieliznie. I została znaleziona z takimi samymi nacięciami na rękach, jakie miała Rowan.

– Kto używa słowa „bielizna”? – zapytała Gretchen z rozbawieniem.

– Naprawdę wiesz, jak się skupić na ważnych sprawach. To ta twoja głęboka przenikliwość.

Gretchen pokazała jej środkowy palec, ale uznała tę uwagę.

– Zbyt wiele powiązań.

– Albo patrzymy na to z perspektywy czasu i nasze mózgi mają tendencję do tworzenia wzorców? – zapytała Marconi.

Gretchen uniosła brwi z aprobatą, której nie chciała wyrazić słowami. Gdy zajmowały się sprawą Violi Kent, ostrzegła policjantkę przed ludzką skłonnością do znajdowania powiązań tam, gdzie nie istniały. Fachowo nazywa się to pareidolią. Z tych samych powodów dzieci odnajdują kształty w chmurach, a dorośli widzą twarze w przedmiotach nieożywionych. Z ewolucyjnego punktu widzenia odruch ten był niezwykle ważny dla ludzi, których przetrwanie zależało od więzi społecznych. Jednak skłaniał ich do łączenia zupełnie niepowiązanych ze sobą rzeczy i mógł prowadzić do niebezpiecznych teorii spiskowych.

– Samo liceum Phillipsa wystarczyłoby mi, żeby znaleźć dla nich powiązanie. Shaughnessy prawdopodobnie też tak myślał.

– Musiał jednak trafić w ślepy zaułek – zauważyła Marconi. – Sprawa wciąż pozostaje nierozwiązana.

– Gdybyś dziś zaczęła śledztwo, jaki byłby twój pierwszy krok? Chodzi o Jennifer Cross.

– Czy wiem o Rowan?

– Nie – odpowiedziała Gretchen, ciekawa, jak Marconi do tego podejdzie.

– Świadkowie zeznali, że Jennifer mogła poznać tego chłopaka na jesiennym szkolnym festynie – rzekła powoli policjantka. – Zrobiłabym listę wolontariuszy, ochroniarzy, nauczycieli, wszystkich, którzy byli tam wymienieni. Poprosiłabym ekipę mundurowych, żeby ich przesłuchali, sprawdzili, czy ktoś widział coś podejrzanego. I kazałabym im obejrzeć

zdjęcia na wypadek, gdyby Jennifer została na którymś uchwycona w tle z tym tajemniczym starszym mężczyzną.

Gretchen podeszła bliżej i oparła podbródek na ramieniu Marconi, żeby przeczytać akta.

– Siostra powiedziała, że facet mógł być blondynem.

– To pasuje do Andersa – zauważyła policjantka.

– I do Shaughnessy’ego.

Marconi znieruchomiała z jej głową na swoim ramieniu.

– Ha.

Gretchen szturchnęła ją we wrażliwe miejsce pod żebrami i kobieta się wzdrygnęła.

– Co myślisz? – zapytała, gdy Marconi nadal milczała.

– Powiązania – mruknęła policjantka, powoli się od niej odsuwając. – W śmierci Jennifer nie ma nic więcej, co wskazywałoby na seryjnego zabójcę.

– Tylko nacięcia.

– Co jest drugim z tych jedynie dwóch jej związków z Rowan – stwierdziła Marconi.

– Nieprawda. Spójrz, gdzie znaleziono jej ciało. – Gretchen postukała palcem w akta. – Moja rodzina mieszkała nieco ponad kilometr od tego miejsca.

Marconi tylko zamrugnęła, patrząc na nią, i Gretchen usłyszała bezgłośnie „Co?”.

– Przeprowadziliśmy się, gdy miałam... mniej więcej sześć lat – wyjaśniła, próbując sobie przypomnieć dokładną datę. – Do domu w mieście. – Wskazała głową biurko. – Ciało Jennifer odkryto w pobliżu miejsca, w którym Shaughnessy znalazł Rowan tej pierwszej nocy.

– Co jest grane? – wymamrotała Marconi pod nosem.

Gretchen nie miała ochoty przyznać, że o tym nie wiedziała. Jednak myśl o domu pozwoliła jej skierować frustrację na łatwy cel.

– Bardot nadal nie podała nam nazwiska niani.

– Hm – mruknęła Marconi z roztargnieniem. – Zastanawiam się, czy niania też się tu znajduje.

Z Jennifer i resztą nierozwiązanych spraw.

– Nie byłabym zaskoczona, zważywszy na to, jak ostrożnie Bardot się zachowuje. – Gretchen wyjęła telefon, znalazła numer i wcisnęła przycisk połączenia.

Odebrała pokojówka, mimo że była to komórka Bardot, i Gretchen zastanawiała się, czy dziewczyna właśnie zasłużyła sobie na wymówienie z pracy.

– Nazwisko niani – zażądała od razu, gdy matka wzięła telefon.

Nastąpiła cisza, która trwała zbyt długo, by było to normalne. Ale potem Bardot odchrząknęła.

– Tak, tak. Nie wiem, co to ma do rzeczy.

To odbieganie od tematu sprawiło, że Gretchen poczuła dreszcz ciekawości. Naprawdę myślała, że matka może nie pamiętać. Ale to zbyt mocno pachniało protestem.

– To nie twoje zmartwienie.

– Zobaczmy – powiedziała Bardot. W tle słychać było szelest przekładanych papierów. – Ach, tak. Tabitha. Tabitha Cross.

Gretchen zacisnęła powieki.

– Powtórz to.

– Tabitha Cross – powiedziała Bardot z przesadnym naciskiem. – A teraz: czy to wszystko?

W odpowiedzi Gretchen się rozłączyła.

Gdy otworzyła oczy, Marconi czekała w najwyższej gotowości.

– Jak się nazywa? – zapytała, ale Gretchen już dzwoniła do Shaughnessy'ego.

Nie odebrał; nie oczekiwała, że to zrobi. Mimo to zostawiła wiadomość.

– Chcę, żebyś zadzwonił do archiwum i kazał im przekazać mi pudło z dowodami w sprawie Rowan z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, a także akta nierozwiązanej sprawy Jennifer Cross – powiedziała Gretchen do telefonu. – Nie musimy o tym rozmawiać, nie musimy tego rozstrzygać, po prostu potrzebuję, żebyś to zrobił.

Gretchen rozłączyła się, obserwując teraz starszego mężczyznę.

– Myślisz, że to zadziała? – zapytała Marconi, ale brzmiało w tym więcej zaciekawienia niż sceptycyzmu.

Na biurku zaterkotał stary telefon stacjonarny i Gretchen uśmiechnęła się szeroko.

– Tak.

– Gretchen – powiedziała Marconi. – Kim była niania?

Gretchen trzymała już pudło przy boku.

– Siostrą Jennifer.

## ROZDZIAŁ 23

TABBY

1993

Cal pochylił się nad Tabby, a że światło miał za sobą, nie mogła zobaczyć jego twarzy. Trzymał w ręku linę, którą wyciągnął z torby, pętla opierała się o jego udo.

– Co znalazłaś?

Gdy rozpaczliwie próbowała kontrolować nierówny oddech, w jej oczach pojawiły się mroczki. Zbyt dużo powietrza wchodziło do płuc, a potem za mało.

Zerknęła na drzwi.

– Nie – wydusiła. – Ja tylko... – „Weź się w garść, dziewczyno”. Szczękała zębami jak z zimna, tętno biło w podeszwach stóp. – Pokłóciłam się z tatą, to dlatego brzmiałam tak dziwnie.

Wiedziała, że to nie ma żadnego sensu. Przez telefon przyznała, że znalazła dowód. Nie mogła wymazać tego faktu. Ale nie potrafiła też myśleć wystarczająco jasno, by znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

Zaległa między nimi nieznośnie nieprzyjemna cisza. Tabby policzyła kroki do drzwi. Może ze cztery. Zaatakowałyby ją w mgnieniu oka, wplątując dłoń we włosy i szarpiąc ją do tyłu.

– Tabitho, dlaczego kłamiesz? – Jego przerażająco spokojny głos prześlizgnął się po jej skórze. Dłonie, pachy, kark były mokre od potu.

Umrze tu, w tym obskurnym motelowym pokoju.

Jakoś wszystko to niemal pasowało.

W następnej sekundzie Cal znalazł się na niej, przyciskając jej plecy do łóżka i przedramieniem zamykając tchawicę.

Poruszała ustami; kopała nogami, ale nie mogła w nic trafić.

Jej paznokcie znalazły skórę, zadrapały, upuściły krew.

– Dziwka! – zaklął, zmniejszając uścisk i obnażając zęby w grymasie.

Gdy rozpaczliwie zaczerpnęła powietrza, mężczyzna się roześmiał. Już nie Cal. Już nikt ani nic, co znała.

Puścił ją.

Tlen. Czysty, piękny, uzależniający. Wypełnił jej płuca, a potem krwiobieg. Gdy go obserwowwała, dotknęła dłonią siniaków, które już tworzyły się na skórze.

Powoli, ale z pewnością siebie człowieka, który robił to już wcześniej, ponownie sięgnął po swoją torbę.

Cal mógł być silny, ale Tabby była szybka.

I może zdoła go zaskoczyć. Gdyby się ruszyła... teraz.

Drzwi. Wolność. Bezpieczeństwo.

Albo względne bezpieczeństwo, jakie oferował jej pusty odcinek autostrady.

Zrobi to. Zrobiłaby wszystko.

Pochylił się, uwagę miał odwróconą, był bardziej bezbronny niż wtedy, gdy weszli do pokoju.

Tabby uniosła się na łokciach, postawiła stopy na podłodze.

Liczyła oddechy, starając się je kontrolować, próbując się upewnić, że jej płuca są do tego gotowe.

Głęboki wdech. Jeszcze jeden.

A potem...

Zimna kłamka pod dłonią.

Okrzyk Cala za nią.

Cement, a potem chodnik.

Samochody. Dwa, trzy. Wszystkie śmigają.

Nikt nie stanie.

Nie zatrzymuj się.

McDonald's.

Cal za nią.

Wystarczy przebiec jezdnię.

Jej płuca krzyczały, wrzeszczały, niemal się zapadły.

Drzwi.

Pchnij.

Chłopak. Pryszczaty, z postrzępionymi włosami.

– Telefon – zdołała wydusić.

Cal był na zewnątrz. Chodził w tę i z powrotem. Zaglądał do środka.

Chłopak przerzucał spojrzenie między nimi.



Potem wskazał na ścianę.

Tabby wślizgnęła się za ladę z drżącym: „Dzięki”. Dziewczyna obsługująca frytownicę obserwowała ją niewyobrażalnie szeroko otwartymi oczami, gdy wrzucała frytki do oleju.

Telefon. Tabby dotknęła go i zamknęła oczy. Plastik wydawał się zbawieniem.

Wróciła myślami do tamtego dnia w swoim salonie, wiele lat temu.

Ten mężczyzna coś jej obiecał, jego głos był zacięty, postawa bardzo spokojna i pewna.

„Złapie go pan?”

„Tak”.

Tabby wybrała numer informacji. Kiedy operator odebrał, wiedziała, czego potrzebuje.

Otworzyła oczy, zobaczyła, jak cień Cala chwieje się, gdy przechodził pod latarnią.

– Z detektywem Shaughnessym – wyszeptała do słuchawki, osuwając się na podłogę. – Z detektywem Patrickiem Shaughnessym. Proszę.

## ROZDZIAŁ 24

GRETCHEN

Teraz

Gretchen wyłączyła umysł, gdy wysadziła Marconi. Pojechała w stronę domu, zaparkowała, udała się do swojego mieszkania i nalała sobie duży kieliszek wina.

Potem usiadła na podłodze i rozłożyła przed sobą zawartość pudeł z dowodami w sprawach Rowan i Jennifer Cross.

Według raportu lekarza sądowego stan rozkładu Jennifer odpowiadał czasowi, w którym była zaginiona – co oznacza, że jeśli gdzieś ją przetrzymywano żywą, nie trwało to długo. Nie miała skóry pod paznokciami ani śladów jakichkolwiek obrażeń wskazujących, że się broniła.

W nacięciach na jej rękach znajdowały się jakieś cząstki, które sugerowały, że została przeniesiona po śmierci, ale pasowały do żwiru i ziemi powszechnych w lesie, w którym pozostawiono jej ciało.

Sprawa Jennifer przyciągnęła uwagę krajowych mediów. Napisano o niej w magazynie „People” – prawdopodobnie dlatego, że była ładna, biała i obracała się w sferach wyższych niż środowisko, z którego pochodziła. Jednak po początkowym ożywieniu śledztwo utknęło w miejscu. Potem ostatecznie je umorzono.

To wydało się Gretchen dziwne, bo człowiek tak nie funkcjonuje. Umysł, nawet neurotypowy, nie znosi tego, że nie wie. Ludzie wciąż się ekscytowali nierozwiązanymi sprawami małej JonBenét Ramsey, porywacza samolotu D.B. Coopera i – nawet najbardziej znaną – Kuby Rozpruwacza.

Jeśli istniała jakaś zagadka, musiała zostać rozwiązana.

A jeśli to było niemożliwe, tajemnica nie znikwała tak po prostu. Stawała się niesławna.

Jednak odpowiedzi na pytanie, kto zabił Jennifer Cross, nie było. Jej sprawa spoczęła w zakurzonej pudle w piwnicznych archiwach bostońskiego wydziału policji. I na tym koniec.

Gretchen przypuszczała, że inni mogą uznać to za bardzo smutne, ale dla niej okazało się ponad wszystko ciekawe. Ogólnokrajowa uwaga oznaczała presję na komendanta policji, a ten rzadko okazywał wtedy wyrozumiałość detektywom, którzy nie mogli znaleźć choćby zgubionego włosa lub nawet częściowo wiarygodnego podejrzanego.

Mogło istnieć ku temu kilka powodów. To były lata osiemdziesiąte w Bostonie i uwaga policji mogła się koncentrować na próbach kontrolowania mafii. Śmierć Jennifer nastąpiła na długo przed możliwością wykorzystania DNA i innych technologii, więc śledztwa w sprawie morderstwa w dużej mierze opierały się na upartym zbieraniu informacji, do czego być może brakowało środków.

Jednak pod warstwą kurzu, która pokryła zakamarki tej sprawy, Gretchen widziała też inną możliwość.

Ktoś przyłożył rękę do zamknięcia śledztwa.

Jeśli to prawda, logika podpowiadała, że osoba, która to zrobiła, była zabójcą. Kto inny skorzystałby na tym, że zabrnęło w ślepy zaułek?

Gretchen wzięła łyk wina i otworzyła akta Rowan z osiemdziesiątego trzeciego roku.

Jej myśli wracały do... dwóch martwych dziewczyn w odstępie dziesięciu lat. Brakującej strony z raportu policyjnego oraz nawet bardziej obciążającego elementu – świadka pominiętego w aktach. Który, tak się złożyło, był siostrą jednej ze wspomnianych dziewczyn.

Między nimi istniał związek, trudno temu zaprzeczyć. Ale było tak, ponieważ „Shaughnessy połknął bakcyła”, jak powiedział Gibbs, czy dlatego, że stały się ofiarami tego samego sprawcy?

Klasyczne pytanie o kurę i jajko.

Czy nacięcia na ich rękach mogły być zbiegiem okoliczności? Nawet jeśli chodziły do tej samej szkoły, a ciało Jennifer znaleziono w pobliżu rodzinnej rezydencji White'ów? Czy Shaughnessy stworzył powiązania, które nie istniały, inicjując to, co robiła siostra ubiegająca się o pracę w charakterze niani?

A może to Shaughnessy zabił obie dziewczyny?

Najpierw Jennifer, a potem Rowan, gdy po dziesięciu latach odkryła, co zrobił.

Siostra powiedziała, że Jennifer miała starszego chłopaka, którego opis pasował do Shaughnessy'ego – bez względu na to, jak był niejasny.

Jednak ten opis pasował również do Andersa.

A co, jeśli Gretchen się myliła, a on naprawdę był psychopata, który ćwiczył na Rowan, a potem zajął się jej koleżankami? Jeśli Shaughnessy rzeczywiście był na tropie czegoś, co potwierdzałoby, że Anders to seryjny zabójca, najpierw trenujący, a potem rzeczywisty? Jeśli Anders musiał uciszyć Rowan, gdy siostra Jennifer utorowała sobie drogę do jego domu, szukając dowodów na to, co – jak wiedziała – zrobił?

Rowan patrzyła teraz na nią ze zdjęcia. Nie policyjnego – jej ciotka nigdy nie została aresztowana. Była to kserokopia kolumny plotkarskiej wyciętej z jakiegoś czasopisma.

Pomyślała o spozrzeżeniu Marconi – mordercą kierowała wściekłość.

Rowan była dźgana nożem, zaciekle, wielokrotnie. Tak że wyglądało to, jakby Gretchen chciała zobaczyć narządy ciotki, dotknąć ich, rozkoszować się tym.

Jeśli zamiarem mordercy było tylko wrobienie jej, rany zostały zadane ze zbędną brutalnością. Gretchen nie miała na koncie przemocy.

Była najwyżej dziwnym dzieckiem z pustymi oczami i brakiem instynktu samozachowawczego. Nie istniały martwe zwierzęta ani torturowane szkolne koleżanki ze świeżymi siniakami i skaleczeniami. Jej siostra mogła kiedyś wyjść z potyczki z pękniętym nadgarstkiem, ale w równym stopniu była to wina samej Fran.

Znów spróbowała sobie przypomnieć Rowan w oddzieleniu od jej brutalnego końca. Ciotka bardzo długo z nimi nie mieszkała, wróciła dopiero latem dziewięćdziesiątego trzeciego, zaledwie na jakieś trzy miesiące przed swoją śmiercią.

Wtedy jednak Gretchen nie rozumiała, jak odczytywać dynamikę interpersonalną. Pamiętała, że ilekroć Rowan znajdowała się w pokoju z Andersem i Bardot, atmosfera między nimi się zaostrzała i zaczynało iskrzyć. Ale za sprawą Rowan czy dlatego, że ta bała się swojego brata i szwagierki? Może nie miała dokąd się udać – zwłaszcza jeśli Edith odcięła ją od majątku – i musiała znosić życie w strachu w zamian za dach nad głową.

Gretchen wiedziała tylko, że Rowan odbierała uwagę poświęcaną wszystkim innym osobom, co samo w sobie wydawało się dziecku atakiem.

Uraza narastała powoli. Zaczęło się od irytacji, że Rowan ze swoimi problemami skupiła na sobie całe zainteresowanie i przez te trzy miesiące, gdy z nimi mieszkała, te uczucia przekształciły się w coś ostrzejszego.

„Chciałam ją zabić, jeszcze zanim się dowiedziałam, czym jest zabijanie”.  
Gretchen nie mogła zaprzeczyć, że to uczucie skądś się wzięło.

Ale...

Fakt, że Rowan znaleziono w łóżku bez żadnych ran obronnych, zawsze wydawał się Gretchen dziwny, gdyby to ona miała zabić ciotkę. To prawda, że czasami przejawiała wybuchowy temperament. Jej popędy były jednak natychmiastową, bezpośrednią reakcją. Nie działała z zimną krwią, nie obserwowowała śpiącej ofiary. Jej gniew mógł płonąć jasno, ale szybko gasł. Gretchen nie chowała urazy i nie zakradłaby się do pokoju ciotki kilka godzin po kłótni tylko po to, aby dźgać jej bezbronne ciało.

W głębi duszy wiedziała, że to nie wyglądało na jej dzieło.

„Zostałam wrobiona”.

To była obezwładniająca myśl, która omal nie pozbawiła jej tchu pomimo wszystkiego, co wydarzyło się od czasu, gdy Marconi zapukała do jej drzwi. Istniała różnica między wyobrażeniem sobie, że jest niewinna, a faktycznym w to uwierzeniem.

Po raz pierwszy w życiu Gretchen pozwoliła sobie myśleć: „Jestem niewinna”, i nie wiązało się to z kwaśnym posmakiem przyjemnego kłamstwa.

Ta myśl ją rozwścieczyła.

Jeśli to było morderstwo z premedytacją, istniały łatwiejsze sposoby rzucenia na kogoś winy niż wrobienie ośmioletniego dziecka, które nie miało na koncie brutalnej przemocy.

Wiadomo było, że Rowan od dawna cierpiała na chorobę psychiczną – i nie tylko, miała za sobą również autentyczne próby samobójcze. Gdyby ktoś chciał ją zabić i uniknąć kary, łatwo byłoby upozorować jej śmierć na zadaną z własnej ręki.

To wyglądało na działanie w panice.

A jeśli tak było, oczyszczało to z podejrzeń Andersa, który wyjechał w interesach.

Jeśli tamtej nocy w domu naprawdę nie było nikogo innego, a cień w pokoju był tylko jej urojeniem, to Bardot, Fran, niania i Gretchen są podejrzane.

Fran i Bardot zostały wyeliminowane przez techników kryminalistycznych.  
Ale Tabitha Cross nie.

## ROZDZIAŁ 25

SHAUGHNESSY

1984

Shaughnessy poznał Donnę Sanders na grillu z okazji Dnia Pamięci, którego gospodarzem był facet z obyczajówki. Zdecydował się tam wybrać tylko dlatego, że się dowiedział, iż jest rozważany na stanowisko w tym wydziale. A chociaż wolałby kryminalny, gorąco pragnął odejść ze służby w drogówce.

Donna przyszła z dziewczyną innego policjanta. Była ładna w zwyczajny sposób, miała okrągłą, piegowatą twarz i nastroszone, utlenione włosy, które – sądząc po odcieniu – rozjaśniała sama. Jej nos był zbyt mocno zadarty, ale Shaughnessy’emu podobało się to, jak jego dłoń przylegała do jej biodra, a kciuk pociągał za szlufkę w pasie jej uciętych, wybielanych dżinsowych szortów.

Tydzień i cztery randki później już oficjalnie chodzili ze sobą, a chłopcy z posterunku dali mu popalić, kiedy pewnego ranka przyszedł spóźniony z malinką na szyi znajdującą się zbyt wysoko, by dała się ukryć.

Minęło kilka miesięcy, odkąd został przegnany z domu Leviego Crossa, ponad pół roku, od kiedy Anders wymierzył do niego ze strzelby. Już niemal zapominał o Rowan i Jennifer, niemal potrafił udawać, że nie widzi twarzy Rowan co wieczór przed zaśnięciem.

I Donna mu w tym pomagała. Zapewniła mu aurę szacunku, z którego potrzeby nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Teraz gliniarze w pracy klepali go po ramieniu i kupowali mu kawę, zamiast rzucać podejrzliwe spojrzenia, ilekroć się odezwał.

Jednak były chwile, kiedy Donna siedziała na jego kolanach, przygryzając mu ucho, a on mógł myśleć tylko o tym, w jaki sposób Rowan powiedziała: „Uciekaj”.

– Jutro mam służbę w nocy – powiedział, a ona zamruczała, wędrując ustami do jego ramienia i obojczyka. Pachniała miętą, jak zawsze, kiedy

próbowała ukryć fakt, że kopciła jak komin.

– Myślałam, że zabierzesz mnie do tej restauracji, którą lubisz. – Nadąsany ton jej głosu wywołał w nim chęć, by zepchnąć ją z kolan i ujrzeć rozciągniętą na podłodze niczym dziecko, którego wrażenie robiła.

– Następnego dnia, kochanie – obiecał.

– Powinieneś pogadać z szefem, wyznacza ci zbyt dużo nocnych służb – powiedziała, ale była już zajęta guzikami jego koszuli. Miał nadzieję, że nie zamierza rozmawiać ze swoją przyjaciółką Giną. Tą, która spotykała się z gościem z obyczajówki.

Bo Shaughnessy nie miał nocnej służby. Po prostu czasami był zmęczony dziewczyną w sposób, o którym wiedział, że jest niewybaczalny.

Posłuchała, gdy odsunął jej ręce, i wyszła, jak zawsze, kiedy tak się zachowywał. To mu się w niej podobało.

Dwadzieścia minut później, gdy już miał nalać sobie drinka, rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzał na zegar na kominku.

Było późno, minął już czas, kiedy sąsiad lub przyjaciel wpadłby bez zapowiedzi. Pomyślał o broni, ale potem przegnał niepokój. Przestępca by nie zapukał.

Otworzył drzwi.

Latarnia najbliższej jego domu nie paliła się od tygodni, ale nawet bez jej słabego światła wszędzie rozpoznałby postać dygocącą w ulewnym deszczu.

– Panno White – powiedział, myśląc: Rowan. To imię smakowało jak cukier i miedź, jednocześnie słodko i metalicznie.

– Nie wiedziałam, dokąd mogłabym pójść. – Głos Rowan zadrżał, a potem się uspokoił, jakby próbowała być silna, będąc na skraju załamania. – Ja nie...

Wszedł jej w słowo, zanim zdążyła przeprosić. Nie chciał, żeby czuła się źle, szukając jego pomocy.

– Proszę, proszę wejść.

Zawahała się, po czym z szybkim skinieniem głowy przekroczyła próg, a krople wody skapywały z niej na podłogę. Shaughnessy skierował ją do poplamionej sofy w kwiaty, którą zostawił poprzedni właściciel. Szyja oblała mu się rumieńcem, gdy się zastanawiał, co ona musi myśleć o jego mieszkaniu.

– Ręczniki – zdołał powiedzieć, wychodząc do przedpokoju, by wziąć kilka z bieliźniarki.



Rowan ostrożnie wzięła jeden, a drugim okrył jej ramiona. Jakiś dawno pogrzebany instynkt kazał mu rozetrzeć jej ręce, rozgrzać ją.

Odsunął się.

Pokój pochłonał jej drobną postać, jakby wszystko w nim było zbyt duże, zbyt jasne, nadmierne. Deszcz nadał jej włosom miodowobrazowy odcień, przykleił kosmyki do twarzy i szyi; zmoczył bluzkę, tak że materiał przylgnał do jej ciała. Zimno wywołało różowe plamy na bladej skórze jej policzków.

Shaughnessy odwrócił wzrok, który o sekundę za długo zatrzymał się na jej płaskim brzuchu, łagodnym łuku bioder.

– Cieszę się, że pani przyszła – wychrypiał głosem szorstkim jak papier ścierny i żwir.

Zastanawiał się, czy zauważyła, że patrzył na nią teraz tak, jak tamtej nocy – jakby była stworzona z cienkiego jak pajęczyna szkła, które zaraz się roztrzaska. I tylko on mógł temu zapobiec.

Pewnie miał to wypisane na twarzy, ale instynktownie wiedział, że musi ukryć to uczucie, czułość, którą miał dla tej płochliwej dziewczyny. W przeciwnym razie ona ucieknie, i to szybko.

Rowan usiadła na brzegu kanapy, gotowa rzucić się do ucieczki, jakby potwierdzając mu, że ma rację.

– Nie przyszłam w złym momencie, prawda?

Shaughnessy pomyślał, co by się stało, gdyby zapukała do drzwi zaledwie pół godziny wcześniej. Co by powiedziała Donna, stając twarzą w twarz z kobietą, która stała się jego obsesją przez ostatni rok?

– Nie. – Usiadł na poręczy wytartego fotela, którego nigdy nie używał. – Nie, moment jest... dobry.

Rowan opuściła wzrok na jego serdeczny palec i nagle poczuł się wdzięczny, że nie przyszła za trzy miesiące, gdy będzie tam złota obrączka.

– Nie wiedziałam, dokąd mogłabym pójść.

Skrzyżował ręce na piersi, nagle niepewny, co z nimi zrobić.

– Czy coś się stało?

Zwiesiła głowę, schnące włosy zakryły jej twarz. Gdy nie odpowiedziała, zachęcił ją najdelikatniej jak umiał.

– Rowan?

Słyszając swoje imię, poderwała głowę i usta jej się poruszyły.

– Teraz mam osiemnaście lat.

Shaughnessy przełknął ślinę i spojrzał na ścianę zamiast na to, jak bluzka oblepia jej ciało.

– Nie jestem pewien, dlaczego to ma znaczenie.

– Nie jest pan? – zapytała, ale cicho, więc nie był przekonany, że miał to usłyszeć. Już głośniejszym głosem kontynuowała: – Nie. Teraz trudniej zamknąć mnie w szpitalu.

– Rozumiem – powiedział, starając się nie nadebrać na minę. – Potrzebuje pani pomocy?

– Po prostu miejsca na kilka dni – powiedziała Rowan. Znowu opuściła głowę, jakby wędła pod jego spojrzeniem.

Tylko kilka sekund zajęło podjęcie decyzji, by uklęknąć przed nią, w pewnej odległości, nie górując nad nią, żeby nie czuła się przytłoczona.

– Rowan, czy ktoś cię skrzywdził? – Przerwał. – Twój brat?

Znowu spojrzała mu w oczy.

– N-nie. Nigdy.

Chciał się spierać, ale tego nie zrobił. To nie był moment na zajmowanie się jego ulubioną teorią. W cichej przestrzeni między nimi wydawała się jeszcze bardziej absurdalna.

– Twoja matka?

Pokręciła głową, opuszczając wzrok z powrotem na podłogę. To zaprzeczenie było słabsze, bardziej niezdecydowane. Nie wiedział, co to oznacza.

– Powiedz, co mam zrobić – poprosił, czując się trochę bezsilny.

Rowan oblizła usta, a potem zrzuciła ręcznik z ramion. Jej oczy były zaczerwienione, ale nie mniej piękne, a rzęsy ciemne od łez. Położyła delikatne dłonie na jego ramionach, a on czekał, aż go odepchnie.

– Chronić mnie?

To pytanie – błaganie – złamało go, zniszczyło.

Pokręcił głową, nieco bezradnie.

– Tylko to zawsze chciałem robić.

\*\*\*

Rowan White spała zwinięta w kłębek w pozycji embrionalnej, z wysoko podciągniętymi kolanami.

Shaughnessy patrzył na nią rano z otwartych drzwi pokoju dla gości, zastanawiając się, czy ją obudzić.

Gdy to pomyślał, jej oczy otworzyły się szeroko i spotkały jego spojrzenie. Obudziła się nie tak, jak większość ludzi – wolno i ospale, ale szybko i od razu będąc w pogotowiu. Jak żołnierze śpiący na linii frontu.

Rowan westchnęła, przyglądając się otoczeniu, i usiadła, a koce obsunęły jej się do talii. Miała na sobie jedną z jego koszul – jej była w suszarce – i nie mógł znieść zaborczego dreszczu, który przeszył go na ten widok. Przyszła do niego po pomoc; nie powinien patrzeć na nią w ten sposób.

– Śpij dalej – powiedział jak najciszej, by jej nie przestraszyć.

Potrząsnęła głową, kąci jej ust uniosły się nieśmiało, a policzki zarumieniły.

Blade światło poranka wślizgnęło się do pokoju, a potem w intymną przestrzeń między jej obojczykiem a ramieniem, a on nie mógł się powstrzymać przed pytaniem:

– Dlaczego tu przyszłaś?

Na jej twarzy pojawiła się niepewność.

– Byłeś dla mnie miły.

– To taka rzadkość?

– Zdziwiłbyś się – odparła Rowan z lekkim śmiechem zupełnie pozbawionym wesołości. – To trudne, gdy jest się tą szaloną dziewczyną w rodzinie.

Spojrzał na jej ręce. Widniały na nich cienkie białe kreski – przypomnienie nocy, w której się spotkali.

– Próbowалаś zrobić sobie krzywdę.

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Może chciał ją zmusić, by wyjawiała mu prawdę. Albo żeby przyznała, że to nie ona trzymała ostrze.

Rowan przykryła blizny dłońmi, tak jakby mogła je teraz ukryć.

– Tak mówią.

– Twoja rodzina?

– Wszyscy – szepnęła, kuląc ramiona.

– Nie wszyscy – odparł Shaughnessy. – Ja nie.

Powoli uniosła głowę, jak kwiat do słońca, i się uśmiechnęła. A w jego piersi rozkwitło ciepło i zapragnął natychmiast złożyć tej dziewczynie przysięgę, że zabije każdego smoka na jej drodze.

– Śniadanie – powiedział, zanim zdradziłby się z jakimikolwiek uczuciami. Odwrócił się i odszedł, ponieważ pozostawanie w jej starannie ograniczonym szczęściu było zbyt kuszące.

Kiedy rozbijał jajka nad patelnią, pomyślał o jej sformułowaniu. „Tak mówią”.

Skoro ludzie myślą, że Rowan jest szalona, nigdy nie uwierzyliby w jej zeznanie.

To był najbardziej oczywisty powód, dla którego rodzina manipulowała jej poczuciem rzeczywistości.

A teraz był pewien, że to robili. Mogła temu zaprzeczać całą noc, ale słyszał wahanie, pauzy, widział sposób, w jaki jej głowa opadała, a dłonie starały się przykryć blizny. Owo: „Tak mówią”, które brzmiało tak samo miękko i melodyjnie, jak: „Nazwiska, one mają znaczenie, prawda?”.

Nic z tego się jednak nie liczyło, jeśli nie mogli pociągnąć Andersa do odpowiedzialności.

Nie było wystarczających dowodów, by przypisać mu zabójstwo Jennifer, a Anders zadbał o to, by wszystko, co powie Rowan, zostało odrzucone przez ławę przysięgłych.

Potrzebowali kolejnych zwłok.

Nowej ofiary.

Stawiając talerz Rowan na stole tam, gdzie właśnie usiadła, powiódł wzrokiem po bezbronny łuku jej szyi, zatrzymując się na pulsującym na niej tętnie.

W głowie zabrzmiał mu zrezygnowany głos Boyda: „Przykro mi, młody. Dopiero gdy okaże się martwa”.

## ROZDZIAŁ 26

GRETCHEN

Teraz

– Utknęłyśmy – przyznała Gretchen w rzadkim pokazie słabości. Zamiast zrobić z tego wielką sprawę, Marconi po prostu pokiwała sennie głową nad kubkiem kawy, podczas gdy reszta klientów w Dunkin' Donuts tłoczyła się wokół nich.

– Musimy znaleźć Tabithę Cross – powiedziała policjantka.

– Zleciłam to Fred. – Gretchen trąciła łokciem w żebra mężczyźną w średnim wieku, który stał nieznośnie blisko niej, gdy przepychała się do wyjścia.

Wyszły na chodnik i oczy Gretchen odruchowo odszukały Shaughnessy'ego czającego się w sedanie.

– Zadzwoń do Gibbsa.

– Po co?

– Chcę coś wiedzieć o tych trzech detektywach. Dwojgu, którzy zajmowali się sprawą Jennifer Cross, oraz o Liamie Boydzie.

Marconi już wyłowiła komórkę z kieszeni.

– Detektywie, który był z Shaughnessym w nocy w osiemdziesiątym trzecim.

Ponieważ Marconi już przyciskała komórkę do ucha, Gretchen nie zwracała sobie głowy potwierdzaniem jej przypuszczenia, kiedy wsiadały do porsche.

Gdy Gibbs odebrał, Marconi przełączyła go na głośnik i zapytała o policjantów.

– Shawn Jones i Grace Li mają nieskazitelną opinię – powiedział Gibbs po chwili stukania w klawiaturę. – Li dwa lata temu przeszła na emeryturę i przeprowadziła się do Kalifornii. Jones nadal pracuje w wydziale kryminalnym i osiąga jedne z najlepszych wyników wykrywalności sprawców.

– Z wyjątkiem zabójstwa Jennifer Cross – zauważyła Gretchen na tyle głośno, by Gibbs ją usłyszał.

Nie zwrócił na nią uwagi, ale też nie oczekiwała, że to zrobi.

– A Boyd? – zapytała Marconi.

Tym razem cisza trwała dłużej.

– Wygląda na to, że odszedł ze służby w dziewięćdziesiątym trzecim.

Ten rok zwrócił uwagę Gretchen.

– W którym miesiącu?

– W sierpniu.

W tym samym, w którym umarła Rowan.

Marconi zerknęła na Gretchen.

– Gdzie teraz jest?

– Hm. Zniknął z pola widzenia – odparł niejasno Gibbs.

– Nie powinien nadal być w systemie? Przynajmniej ze względu na wypłatę emerytury? – zapytała Marconi.

– Wtedy właściwie nie było cyfrowych akt – wyjaśnił Gibbs, ale Gretchen wyczuła w jego głosie coś, co do tej pory rzadko u niego słyszała. Wątpliwość.

– Możesz się dowiedzieć, co się z nim stało? – poprosiła policjantka, odczytując jej myśli.

– Mogę spróbować – powiedział i Gretchen poruszyła brwiami.

Marconi trąciła ją ramieniem i rozłączyła się po zdawkowym podziękowaniu.

– To dziwne – stwierdziła i wsunęła komórkę z powrotem do kieszeni.

– Daty – skonstatowała Gretchen.

– Raczej ludzie – mruknęła Marconi. – Rowan White wybiega na środek drogi przed radiowóz z dwoma policjantami w środku. Jeden prowadzi śledztwo w sprawie jej zabójstwa dziesięć lat później, drugi odchodzi ze służby w miesiącu jej śmierci.

– Ale Boyd nie zajmował się sprawą Rowan – zauważyła Gretchen. – Nie w dziewięćdziesiątym trzecim.

Marconi spojrzała we wsteczne lusterko.

– Myślisz o czymś – zagadnęła Gretchen.

Policjantka wzięła duży łyk kawy.

– Boyd wiedział – powiedziała. – Wtedy nikt tego nie poskładał. Przynajmniej tak się wydaje.

– Że Shaughnessy znał Rowan, zanim poprowadził śledztwo w sprawie jej zabójstwa. – Gretchen podążała jej tokiem myślenia. – Ale tamtej nocy Boyd był z Shaughnessym w samochodzie.

– Gliniarze nie znikają z pola widzenia – mruknęła Marconi.

Gretchen już wybierała numer Fred. Nie liczyła na to, że Gibbs coś znajdzie.

– Czy możesz poszukać detektywa Liama Boyda?

– Twój rachunek w związku z tą sprawą będzie dłuższy od tych, które wydają w aptekach CVS – jęknęła Fred, ale się nie rozłączyła. Po kilku minutach kontynuowała: – Wygląda to na całkiem normalną historię aż do sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego.

– Jak normalną?

– Rodzina z klasy średniej z obrzeży Bostonu, przenieśli się tutaj z Teksasu. Był gwiazdą futbolu w swoim liceum, potem wstąpił do akademii – wyrecytowała szybko Fred. – Poza tym nic godnego uwagi.

– A potem po prostu znika? – domyśliła się Gretchen.

– Zgadłaś. Odszedł z bostońskiej policji na wcześniejszą emeryturę, a potem cisza w eterze przez ostatnie trzydzieści lat. W dzisiejszych czasach trzeba się nieźle napracować, żeby nie zostawić żadnych cyfrowych śladów.

– Mógł umrzeć?

– Jeśli nie było nikogo, kto zgłosiłby jego zaginięcie? Jasne. Ale to twoja dziedzina, pani doktor.

Gretchen zakończyła rozmowę bez żadnych uprzejmości i wpatrywała się w przednią szybę auta, tak naprawdę nic nie widząc.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że nie miał rodziny ani żadnych bliskich przyjaciół, którzy zgłosiliby jego zaginięcie? – zapytała. I była naprawdę ciekawa odpowiedzi. Pomyślała, że gdyby zniknęła, może Marconi by to zauważyła, no i oczywiście Shaughnessy. Ile innych osób wyjdzie z założenia, że po prostu zerwała z nimi kontakt? Przypuszczała, że większość po prostu wzruszy ramionami i pójdzie dalej.

– To nic niezwykłego, że gliniarze mają problemy z życiem osobistym – zamyśliła się Marconi.

Gretchen trąciła ją łokciem.

– Ty nie.

Policjantka tak przesadnie przewróciła oczami, że wyglądało to na bolesne.

– O czym ty myślisz? Myśl o Boydzie, nie o moim mało interesującym życiu uczuciowym.

– Rozważmy rozmaite scenariusze – powiedziała Gretchen po namyśle. Wszystko było tu możliwe. – Gdyby Shaughnessy był w jakiś sposób wplątany w śmierć Rowan, może spanikowałaby, gdyby Boyd zadzwonił do niego w sprawie tego powiązania.

– Więc go zabił i sfalszował list z wypowiedzeniem z pracy? – W głosie Marconi brzmiała wątpliwość. – Musiałoby być jakieś wypowiedzenie na piśmie, żeby komendant mógł je oficjalnie zaakceptować.

– Pilna sprawa rodzinna, musiał w ten weekend wyjechać ze stanu, bla, bla, bla. – Gretchen obróciła dłonią w powietrzu. – To były lata dziewięćdziesiąte. W takich sprawach nie szukało się dziury w całym.

– Naprawdę myślisz, że Shaughnessy był zdolny do zabicia co najmniej dwóch osób i że żył z tym przez trzydzieści lat? To czyniłoby go psychopata, prawda?

– Sąsiedzi uwielbiali Teda Bundy'ego – odparła Gretchen, ale zgadzała się z Marconi. Ponieważ było zrozumiałe, że Shaughnessy nie poprzestał na dwóch, ale na trzech. Jennifer Cross.

I chociaż Gretchen miała problemy ze zrozumieniem empatów, zrobiła karierę, rozumiejąc ludzi z zaburzeniami osobowości. Shaughnessy nigdy nie wzbudził w niej wątpliwości. Nie takich, które sygnalizowałyby, że jest zdolny zabić co najmniej trzy osoby.

Wyraźnie coś ukrywał, ale Gretchen trudno było wyobrazić go sobie jako sprawcę tych zabójstw.

– Jest w to zamieszany... Tylko nie wiem jak. – Spojrzała we wsteczne lustro.

– To mi zaczyna wyglądać na stalkingowe klimaty – stwierdziła Marconi. – Często to widywałam, gdy byłam krawężnikiem i patrolowałam w nocy ulice.

– Stalkingowe klimaty – powtórzyła Gretchen, trochę drwiąc z nieprecyzyjnej terminologii, ale również z pewnym zaciekawieniem. – To może wyjaśnić rzeczy, które nie do końca pasują w tej sprawie.

Marconi skinęła głową.

– Bardzo często stalkerzy ubóstwiają swoje ofiary, może nawet postrzegają siebie jako ich wybawicieli. Kochają je, chcą je chronić. Albo przynajmniej to sobie wmawiają.



– Budują własną rzeczywistość – uściśliła Gretchen. Choć nie był to obszar jej specjalizacji, wiedziała wystarczająco dużo o odbiegających od normy zachowaniach, by zrozumieć, dokąd zmierza Marconi. – To staje się dla nich ogromnie ważne.

– A potem ofiara robi coś, co albo kwestionuje tę rzeczywistość, albo odbiega od tego wzorca doskonałości, jakim uczynił ją stalker – kontynuowała Marconi. – I ten atakuje. To ma więcej sensu niż założenie, że mamy do czynienia z jakimś ukrytym seryjnym zabójcą.

Gretchen przygryzła wewnątrz policzka, wracając do rozmowy z Gibbem. Myślała o sposobie, w jaki Shaughnessy parkował przed jej domem. O czasach, gdy był przy niej, kiedy jako nastolatka ukończyła szkołę, kiedy wracała do domu po nocnych imprezach, gdy miała dwadzieścia kilka lat.

– Shaughnessy ma predyspozycje do podejrzanym zachowań.

– Nie wiem jednak, czy ma predyspozycje do postrzegania kobiet w wyobrażony sposób – zauważyła Marconi. – Jest gliną, za swój obowiązek uważa chronienie ludzi. Kiedy to się zmienia w patologię?

– Przypuszczam, że wtedy, gdy któraś kończy z nożem w klatce piersiowej.

– Byłoby miło to powstrzymać, zanim osiągnie ten etap – powiedziała Marconi i w jej głosie słychać było coś mroczniejszego od poczucia humoru. – A zatem dlaczego wtedy? Znał ją dziesięć lat.

– Co było impulsem wyzwalamym? Powrót Rowan do domu, w którym mieszkał człowiek uważany przez Shaughnessy’ego za seryjnego zabójcę?

– Wydaje się, że w tym przypadku nastąpiłoby to raczej od razu. Była tam od trzech miesięcy.

– Czekał na okazję? – podsunęła Gretchen. – To byłaby odpowiedź na moje pytania dotyczące wściekłości.

– Rozbieżność między faktem, że Rowan leżała w łóżku, a gwałtownością, z którą zadano rany, dla mnie też od początku była dziwna – przyznała Marconi. – Gdyby poczuł się przez nią skrzywdzony, to uczucie mogło w nim narastać, co wyjaśniłoby intensywne emocje napastnika.

– Ale gdzie w tym wszystkim są siostry Cross? – Gretchen wiedziała, że to była luka w ich małym scenariuszu.

– Może to był ten impuls wyzwalamy. – Marconi postukała palcem w kubek. – Tabitha.

Gretchen pozwoliła, by ta myśl obaliła narrację, którą dla siebie budowała. Bo to pasowało. Pojawienie się Tabithy w domu White'ów łatwo mogło coś uruchomić.

– Kiedy zabito Jennifer, była za mała, by cokolwiek badać. Ale w dziewięćdziesiątym trzecim zbliżyła się do odkrycia czegoś.

– Rodziny z nierozwiązanymi sprawami... – westchnęła Marconi. – To osobny typ ludzi. Robią wiele dziwnych rzeczy, zwłaszcza jeśli myślą, że policja zapomniała o ich ukochanych bliskich.

– Tabitha do nich pasowała.

– Czyli zaczyna badać sprawę zabójstwa siostry, Shaughnessy się dowiaduje...

– Zabójca się dowiaduje – sprostowała Gretchen, wzruszając ramionami, gdy Marconi rzuciła jej spojrzenie. – Nie bronię go. Ale mamy już całą masę z góry przyjętych uprzedzeń. Nie potrzebujemy więcej.

– Zabójca się dowiaduje – ciągnęła Marconi, przesadnie podkreślając to słowo. – Idzie zamknąć jej usta i... co? Rowan staje mu na drodze?

– To Tabitha znalazła mnie w pokoju Rowan – powiedziała Gretchen. Chociaż zeszłej nocy myślała, że technicy kryminalistyki nie wykluczyli dziewczyny jako zabójcy, logistyka tego wszystkiego wciąż pozostawała dla niej zagadką.

A jedynym sposobem, by uzyskać odpowiedź, było udanie się do źródła.

– Musimy się spotkać z Tabithą Cross.

Marconi wypowiedziała to, co Gretchen zdążyła już pomyśleć.

– Jeśli żyje.

## ROZDZIAŁ 27

TABBY

1993

Po trzech próbach i czterdziestu pięciu minutach udało się wreszcie dodzwonić do detektywa Shaughnessy'go, a zanim odebrał, Cal już dawno się poddał i przestał krążyć przed McDonald'sem, zaś pryszczaty chłopak wrócił do lektury komiksów.

– Co się stało? – zapytał Shaughnessy, gdy powiedziała mu, jak się nazywa. Miał taki łagodny głos, jakby przemawiał do tamtego wystraszonego dziecka, którym – w co prawie nie mogła uwierzyć – kiedyś była.

– Moja siostra Jenny została zamordowana.

Cisza. A potem głębokie, ciężkie westchnienie.

– Wiem.

Tabby oparła się o ścianę, lepki strach już ją opuścił i pozostało tylko bolesne zmęczenie.

– Powiedział pan, że go złapie. – To zabrzmiało tak słabo, jakby znów miała dziesięć lat.

– Nie powinienem był tego obiecywać – przyznał Shaughnessy z westchnieniem. – Nie miałem dystansu, to jeden z powodów, dla których próbowałem zrezygnować z tego śledztwa.

Te słowa dotknęły ją do żywego i Tabby parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem.

– Musi być miło móc dokonać takiego wyboru.

– Przykro mi.

Tabby przywykła do takich przeprosin. To właśnie mówili wszyscy, słysząc o Jenny, jeśli w ogóle potrafili zdobyć się na jakieś słowa. Niektórzy nie mogli znieść bycia tak blisko tragedii, inni wstydu z powodu radości, że to nie im się przydarzyło. A pozostali umieli wygłaszać tylko

puste frazesy, bo nikt w ich cholernym społeczeństwie nie uczył się, jak rozmawiać z kimś pogrążonym w żałobie.

– To głupie – mruknęła, ale nie ruszyła się, żeby odwiesić słuchawkę.

– Co się dziś stało, Tabitho? – zapytał Shaughnessy z tą samą łagodnością w głosie, z którą odebrał telefon.

Tak więc Tabby mu opowiedziała, bo co miała do stracenia? Powiedziała mu o przesiadywaniu w barach, w których bywali gliniarze, o poderwaniu nowicjusza i zabranii go do domu. O tym, jak mu kazała wydobyć akta Jenny, a potem, zaledwie po kilku dniach, spotkała Cala. O tym, jak ten pytał ją o sprawę Jenny, niby całkiem zwyczajnie. Jak ostrzegł ją, by nie próbowała badać tego morderstwa.

Kiedy przypomniała sobie sekwencję wydarzeń, wszystko stało się boleśnie oczywiste.

– Myślisz, że to fałszywe imię? – zapytał Shaughnessy. I chociaż bardzo się starała, nie usłyszała w tym pytaniu żadnej krytyki.

– Tak sądziłam. Teraz jestem pewna.

Chwila milczenia.

– Dlaczego?

– Dlaczego miałyby próbować zabić mnie w ten sposób? Używając swojego prawdziwego imienia?

– Ludzie robią różne głupie rzeczy – mruknął Shaughnessy. A potem powiedział głośniejszym głosem: – Co zdenerwowało tego „Cala”?

Tabby westchnęła.

– Znalazłam kroniki szkolne.

– Rozpoznałaś go.

– Nie – sprostowała to oczywiste założenie. – Ale zobaczyłam kogoś, kogo rozpoznałam. Człowieka nazwiskiem Anders White. To... mną wstrząsnęło.

– Możesz powtórzyć? – Coś w napięciu, które pojawiło się w jego głosie, powiedziało jej, że dobrze usłyszał.

– Anders White. Był bratem jednej ze szkolnych koleżanek Jennifer. Rozpoznałam go, bo przyszedł na jej pogrzeb.

Shaughnessy odetchnął głęboko i w kontrolowany sposób, jakby z wysiłkiem.

– Co takiego?

– Pojawił się w kościele. Usiadł w ostatniej ławce. Sam.

– Jezu.

– Mój tata wyrzucił jego i kilka innych osób, bo myślał, że to gapie – ciągnęła Tabby. – Anders nie zaprotestował, nie zrobił nic. Po prostu wyszedł. – Umilkła. I czekała. – Czy to coś znaczy?

– Może tak, może nie – odparł Shaughnessy i nie była pewna, czy skłamał.

Przeczesała dłonią włosy.

– Po prostu mnie to zaskoczyło, to wszystko. Że go pamiętałam. Wiedziałałam, że tam był.

– Tak, oczywiście – powiedział Shaughnessy, jakby to było całkowicie zrozumiałe. – Czy ochrona zarejestrowała gdzieś ich nazwiska? Czy jest zapisane, że się pojawił?

– Nie... przepraszam, ale nie... – wyjąkała Tabby, czując, jakby znów była tamtym dzieckiem, rozczarowującym wszystkich, ponieważ nie miała odpowiedzi, których tak bardzo potrzebowali. – Nie wiem. Przykro mi.

– Nie, nie – uspokoił ją pospiesznie. – To zrozumiałe. Nie sądzę, żeby twój ojciec...

Tabby mruknęła z dezaprobatą.

– Och, rozumiem, no cóż... – Shaughnessy nie dokończył zdania. Zabrzmiało to nieco bezradnie.

– Mogę zapytać – zaproponowała.

– Tak, jasne, daj mi znać – powiedział, teraz jakby lekko rozkojarzony. A potem z niepewnym westchnieniem: – I postanowiłaś zwierzyć się... Calowi – ciągnął powoli, najwyraźniej próbując poskładać w całość jej rozumowanie. – Dlaczego?

– Ja nie... – Tabby stłumiła pełne frustracji westchnienie. – Chciałam na chwilę zapomnieć. On mi pomaga zapomnieć. Pomagał.

Shaughnessy nie skomentował oczywistego faktu, że sypiała z tym człowiekiem, i nie było w tym żadnego oceniania, gdy zapytał:

– Co mu powiedziałaś, kiedy zadzwoniłaś?

– Tylko to, że coś znalazłam. To brzmiało ogólnikowo, nie powinno było go przestraszyć. Musiał mieć napięte nerwy.

– Jeśli czekał, że coś sobie przypomnisz...

– To już był przeczulony, a ja spowodowałam, że spanikował – dokończyła jego myśl, przeczesując włosy palcami. Boże, Shaughnessy musi myśleć, że jest okropnie głupia. „Dziewczyny, które bawią się w Nancy Drew, są mordowane”. A teraz okazało się dlaczego. Co ją opętało, że uznała, iż może prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa?

– Przepraszam, ale muszę o to zapytać – rzekł Shaughnessy powoli, przerywając jej wewnętrzny spór. – Cal nie jest Andersem White'em, zgadza się?

– Nie – zaprzeczyła od razu. Jej zdziwienie musiało być widoczne na wypadek, gdyby miał jakieś wątpliwości. – Pan myślał...

– Myślałem, że to mógł być on pod fałszywym imieniem. Jak ten Cal wygląda?

– Blondyn, przystojny – powiedziała, wiedząc, że to niewystarczające. Blondyn, przystojny. Było zaskakująco dużo mężczyzn odpowiadających temu opisowi. – Zawsze miałam wrażenie, że jest również dobrze sytuowany.

– Co ci dało wrażenie, że jest bogaty?

– Nigdy nie wahał się przy kasie w sklepie.

Ludzie tacy jak ona się wahali. Ci, którzy nie wiedzieli, czy mają dość pieniędzy, którzy każdy zakup obliczali co do grosza, aby uniknąć zażenowania. Cal nigdy się tym nie martwił. Może to nie czyniło go bogatym, ale sprawiało, że czuł się komfortowo.

– Okej – rzekł Shaughnessy w sposób spokojny i opanowany, jakby starał się nie wyładowywać swojej frustracji na młodej kobiecie. – Obawiam się, że Cal może być zabójcą Jenny. Ale nie mamy wystarczających dowodów, żeby kontynuować śledztwo.

– Powiedział pan... – Tabby odchrząknęła. – Powiedział pan, że wie, kto to zrobił. Wtedy.

– Byłem młody.

– Czy to znaczy, że pan nie wie, kto to był?

Milczenie się przeciągało, aż powiedział cicho, tak że niemal go nie usłyszała:

– Już dawno zdałem sobie sprawę, że nic nie wiem.

Wydał się zagubiony, bezsilny. Jednak pamiętała napięcie w jego głosie, gdy wspomniała nazwisko Andersa White'a. I pewność tego pojawiła się nie jak gwałtowny przebłysk, ale jak świadomość, o której nie wiedziała, że już ją ma.

– Pan myślał, że to był Anders White?

– Może – odparł wykrętnie. – Ale jeśli tak było, to kim jest ten ktoś, kto próbuje cię zabić?

– I... – zapytała Tabby za nich oboje – co według niego wiem, że przez to jestem aż tak niebezpieczna?

## ROZDZIAŁ 28

GRETCHEN

Teraz

Zanim Gretchen zdążyła sprawdzić, czy Fred ma aktualny adres Tabithy Cross, zadzwonił jej telefon.

Doktor Chen.

Gretchen odebrała, pytając:

– Brakująca strona?

Był jednym z jej ulubionych ludzi po części dlatego, że nie komentował jej braku manier towarzyskich.

– To twój szczęśliwy dzień, moja droga.

– Znalazłeś ją. – Zacisnęła dłonie na kierownicy. Zignorowała spojrzenie, które Marconi rzuciła jej z fotela pasażera, gdy silnik porsche ryknął, odzwierciedlając jej podekscytowanie.

– Oczywiście z przyjemnością zebrałbym za to laury – powiedział doktor Chen – ale to stażysta wykonał całą robotę.

Gretchen pomyślała, że należałoby dopilnować, by doktor Chen przekazał jej uznanie temu nisko opłacanemu pracownikowi, ale była zbyt zirytowana, że ta rozmowa trwa już co najmniej minutę, a ona wciąż nie dostała odpowiedzi. Ponagliła go, próbując maksymalnie złagodzić ton głosu:

– Doktorze Chen.

– No tak, okazuje się – patolog zrobił pauzę, najwyraźniej nie mogąc się oprzeć swemu zamiłowaniu do dramatyzmu – że w pewnym momencie swego życia Rowan White urodziła dziecko.

Świat wokół Gretchen zafalował, zamarł, a potem wrócił na swoje miejsce.

– Była w ciąży, zanim została zamordowana?!

– Jakiś czas wcześniej, tak. Lekarz sądowy zauważył obecność szeregu wgłębień wzdłuż wewnętrznej strony kości miednicy, które mogły być

spowodowane jedynie zerwaniem więzadeł podczas porodu.

– Kiedy?

– Nie da się określić daty porodu. Ale wyraźne ślady gojenia wskazują, że nie nastąpił w okresie bezpośrednio poprzedzającym zgon.

– Dlaczego nie zostało to wyraźniej odnotowane w raporcie? – To było jedyne pytanie, które przyszło jej na myśl. – Po co to ukrywać?

– Oczywiście można się tylko domyślać, ale zakładam, że powodem był fakt, iż ślady były starsze, zatem mniej istotne dla śledztwa.

Śledztwa, w którym mieli już oczywistą podejrzaną.

– Ponieważ wszyscy uznali, że ją zabiłam.

– Tak, właśnie to miałem na myśli – przyznał doktor Chen we właściwy sobie bezpośredni sposób i Gretchen naprawdę się roześmiała. Szok przykrył gęstą chmurą jej wcześniejszą irytację.

Gretchen zrozumiała, że najlepszym sposobem, aby nadal zachęcać ludzi do wyświadczenia jej przysług, jest okazywanie wdzięczności, więc udało jej się wydusić słabe podziękowanie.

– W piątek przynosisz porto – rzekł patolog. – I ma nie być tanie.

Rozłączył się, zanim zdążyła potwierdzić, a Marconi wydobyła z gardła odgłos niecierpliwości.

– Rowan była w ciąży – wyjaśniła Gretchen, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie. – Nie... nie wtedy, kiedy została zabita, ale wcześniej.

– Była w ciąży czy urodziła? – zapytała Marconi, szybka i bystra, taka, jaką Gretchen lubiła.

– Urodziła.

Pełne oszołomienia milczenie Marconi przebiło się przez brzęczenie w uszach Gretchen.

– Myślisz, że twoi rodzice wiedzą, gdzie jest dziecko?

– Albo kim był ojciec – powiedziała, myśląc o cieniu w sypialni Rowan tamtej nocy. Może tym kimś był Shaughnessy, ale może ta nowa postać.

– Powiedzieliby ci, gdyby wiedzieli?

– Nie – odparła, zawracając na środku ulicy. – Ale znam kogoś, kto mógłby to zrobić.

– Kogo mamy przesłuchać? – zapytała w końcu Marconi, gdy skręciły w cichą dzielnicę mieszkaniową.

Gretchen skrzywiła się z niesmakiem, przeglądając mijane numery namalowane na skrynkach pocztowych i krawężnikach.



– Moją siostrę.

Marconi wyprostowała się wyraźnie zainteresowana.

– Ach, ta niedająca się określić Francesca.

Pojawienie się bez telefonicznego uprzedzenia to była loteria, ale lśniące ohydztwo Fran stało zaparkowane na podjeździe obok lexusa jej męża.

Zmierzając w stronę werandy, Gretchen i Marconi zręcznie ominęły obracając się zraszacze trawników.

Otwarcie drzwi zajęło Fran kilka minut, ale Gretchen pojęła, że to bardziej gra o przewagę niż cokolwiek innego. Słyszała nawet wiadomości telewizyjne włączone w salonie od frontu.

Jej siostra już kilka lat temu skończyła czterdziestkę, ale miała gładki, zadbany wygląd bogatej mieszkanki Bostonu – perfekcyjnie ufarbowane włosy, wybielone zęby, skóra ostrzyknięta dużą ilością botoksu. Pomimo wczesnej pory Fran była już kompletnie ubrana, włącznie z perłami na szyi i wąskim złotym zegarkiem na nadgarstku, na który spojrzała znacząco.

Gdy tylko Gretchen uniosła lekko ramię w rozmyślnie prowokujący sposób, Fran westchnęła, zerknęła na Marconi, a potem gestem zaprosiła je do środka.

– Matka mnie ostrzegła, że możesz się zjawić.

I oczywiście Gretchen straciła element zaskoczenia. Bardot nigdy nie pozwoliłaby swojej kopii stanąć do walki bez ostrzeżenia jej, że będzie potrzebować odpowiedniej zbroi. W tym wypadku nieskazitelnej garderoby i wystarczającej ilości makijażu dla ukrycia każdego przebłysku emocji, który przeniknąłby przez chemikalia utrzymujące jej rysy na swoim miejscu.

– Co jeszcze matka powiedziała? – zapytała Gretchen, gdy ich szpilki stuknęły na marmurowej podłodze w holu. Miękki, głuchy odgłos kroków Marconi stanowił dziwny kontrast dla glamouru. Miała nadzieję, że botki policjantki zostawiają brudne ślady.

– Matka poradziła mi cierpliwie znosić twoje urojenia, jeśli zaczniesz robić się agresywna. I przez cały czas mieć wybrany numer alarmowy w telefonie.

Fran poprowadziła je korytarzem do kuchni, gdzie czekał na nią kubek kawy. Nie zaproponowała im tego samego, mimo że za jej plecami stał prawie pełny dzbanek.

– Tak jakbyś miała czas wyjąć telefon, gdybym naprawdę chciała coś ci zrobić. – Gretchen zabarwiła te słowa złośliwością. Była mistrzynią

w sprawianiu, by świat postrzegał ją tak, jak tego chciała. Najczęściej korzystała z tego, że ludzie widzieli w niej opanowaną, profesjonalną konsultantkę. Przed rodziną lubiła prezentować bardziej niebezpieczną osobowość.

Jednak Fran nie zbladła, po prostu popijała kawę. Wystarczająco często grały w to w dzieciństwie, aby przewaga każdej z nich się zmniejszyła.

– Czego chcesz, Gretchen? – zapytała Fran, ignorując Marconi.

Zwykle wychodziło to na dobre, ponieważ pozwalało policjantce wtykać nos tam, gdzie jej nie chciano. Tym razem jednak kobieta nie ruszyła się z miejsca, tylko wyjęła z kieszeni komórkę, gdy ta zabręczała. Spojrzała na wiadomość i jej ciało przybrało stan gotowości, a na twarzy wyraźnie odmalowała się satysfakcja.

Gretchen miała ochotę wyrwać jej telefon, by zobaczyć, o co chodziło, ale przeniosła uwagę z powrotem na siostrę.

– Dziecko Rowan – powiedziała i to wywołało pierwszą prawdziwą reakcję Fran. Krótkie zaskoczenie, które od razu minęło.

– O czym ty w ogóle mówisz? – Fran odwróciła wzrok w stronę ogromnego okna wychodzącego na ogród, który był równie starannie wypielęgnowany jak ona.

– Gdzie to jest? – zapytała Gretchen, ignorując marną próbę odwrócenia uwagi.

– To? – Fran spojrzała na nią, przekrzywiając głowę, jakby została znieważona w imieniu dziecka.

– Ona, on, ono. – Gretchen machnęła ręką. – Nie uważałam cię za pedantkę w sprawie zaimków.

– Dziecko nie jest psem – odparła Fran.

Gretchen umilkła. Potwierdzenie, że było dziecko, nie wydawało się przejęzyczeniem.

– Myślałam, że skłamiesz.

– O istnieniu dziecka? Dlaczego miałabym to robić? To nie mój sekret i nie obchodzi mnie, czy się dowiesz.

Mimo że przyjechała tu, sądząc, iż Fran jest jej największą szansą na zdobycie potrzebnych informacji, Gretchen wciąż była zaskoczona.

– Zdenerwujesz Bardot.

– Myślę, że czasy, kiedy matka troszczyła się o owoc miłości Rowan, już dawno minęły – powiedziała Fran, a w jej policzku zarysował się dołeczek. Zawsze się pojawiał, gdy myślała, że jest sprytna. Nie śmiała się tak jak

inne dziewczyny, ale uśmiechała z poczuciem wyższości, które towarzyszyło jej szczególnej odmianie narcyzmu, znajdując odbicie w jej ciele.

– Gretch, naprawdę myślisz, że odgrzebywanie tego wszystkiego to dobry pomysł?

Gretchen odpowiedziała na to wyzwanie.

– Dlaczego miałyby nie być?

Fran spojrzała na Marconi.

– W przypadku morderstwa nie ma przedawnienia.

– Och, dziękuję za ten wykład z prawa. – Chociaż nie utrzymywały ze sobą kontaktów, Fran doskonale wiedziała, że Gretchen pracuje jako konsultantka przy śledztwach dotyczących zabójstw.

– Prosisz się, żeby tym razem to tobie postawiono zarzuty – odparła Fran. – Gdybym była na twoim miejscu, uznałabym, że miałam fart, i zostawiłabym to za sobą.

– Przepraszam, ale czy pani aby nie spała, kiedy popełniono morderstwo? – Marconi wreszcie włączyła się do rozmowy.

– To nie znaczy, że nie wiem, co się wydarzyło. Wszyscy wiedzą.

– I przespała pani krzyk – naciskała Marconi, nie zwracając uwagi na drugie zdanie.

– Byłam nastolatką. – Teraz Fran spojrzała na nią oceniająco. – I miałam receptę na ambien.

– Który wzięła pani tamtego wieczoru? – zapytała policjantka, a Gretchen rzuciła jej aprobujące spojrzenie. Odpowiedź została sformułowana tak, by uniknąć jawnego kłamstwa.

– To było trzydzieści lat temu – odparła Fran z lekceważeniem, tak jak Bardot. Obie zdawały się pamiętać wszystko doskonale, dopóki nie było wygodniej o czymś zapomnieć.

– Widzę, że pamięć selektywna jest w tej rodzinie dziedziczna – skonstatowała Marconi, wypowiadając myśl Gretchen.

– Jak inaczej przespałabym zabójstwo mojej drogiej cioci?

– Rzeczywiście, jak? – mruknęła Marconi.

– Czy pani mnie o coś oskarża? – zapytała niewzruszona Fran. Nie przejawiała antyspołecznego zaburzenia osobowości, ale była twarda, miała duszę z lodu i kręgosłup ze stali. Nie cofnęła się przed wyzwaniem, nawet nie mrugnęła.

Może to nieuniknione, kiedy dorasta się w takim domu jak ich.

– Po prostu staram się zrozumieć, skąd ta pani pewność, co wydarzyło się tamtej nocy, skoro nawet się pani nie obudziła – odpowiedziała Marconi, brzmiąc jak uosobienie cierpliwości i rozsądku, tak jak wtedy, gdy stawiała czoła Bardot.

W przeszłości były chwile, kiedy Gretchen uważała ją za popychadło. Ze względu na jej zdolność do przyjmowania werbalnych ciosów bez odpłacania się tym samym, fakt, że jej temperament wydawał się stłumiony, łatwość, z jaką radziła sobie z konfliktem, po prostu go ignorując. Kiedy jednak przychodziło do spraw ważnych, Marconi była nieustępliwa.

Żaden mięsień na twarzy Fran nie drgnął w reakcji na tę pełną rozbawienia pogardę, ale lekko skinęła głową z uznaniem.

– Dla większości ludzi zastanie kogoś z narzędziem zbrodni nad martwym ciałem zazwyczaj wydaje się wystarczające. Ale przyznaję się do błędu. Przypuszczam, że nie możemy wiedzieć z absolutną pewnością, co się wydarzyło.

To ustępstwo zabrzmiało w najlepszym razie sarkastycznie i Gretchen postukała palcem w blat granitowej wyspy kuchennej. Nie dbała o to, czy Fran uważa ją za winną, czy nie, ale Marconi wskazała na okoliczność, która była naprawdę dziwna. Jak Fran mogła to wszystko przespać?

– Zabawna rzecz – powiedziała policjantka, zwodniczo lekkim tonem. Ale pod gładką powierzchnią wody Gretchen wyczuła rekina. – Wyobraziłam sobie bogatą rodzinę z centrum Bostonu. Nawet w latach dziewięćdziesiątych w domach były całkiem dobre systemy alarmowe.

Twarz Fran znów pozostała niewzruszona, ale Gretchen dostrzegła napięcie w jej ramionach i w palcach obejmujących kubek.

Marconi podniosła telefon.

– I właśnie dostałam tego potwierdzenie. System, który miała pani rodzina? Okazuje się, że wciąż istnieje.

– Nie daliby pani nagrań tak po prostu – odparła Fran, niezupełnie przestraszona. Jednak cała arogancja, którą prezentowała wcześniej, zmieniła się w ton ostrożnie neutralny.

– Sędziowie uważają mnie za całkiem przekonującą – oznajmiła Marconi, jakby zdobyła nakaz. Zawsze była imponująco skuteczna w zdobywaniu informacji w trakcie działania, ale ta sytuacja skłoniła Gretchen do zastanowienia się, czy w jakiś sposób nie skontaktowała się aby z Fred,

zamiast skorzystać z legalnych kanałów. – Chce pani wiedzieć, czego się dowiedziałam o tamtej nocy?

Fran nie odpowiedziała i już samo to cuchnęło poczuciem winy. Marconi trzymała ją teraz w defensywie.

– System został wyłączony – ciągnęła policjantka. – I to był jedyny raz w tym miesiącu, kiedy nie działał, więc myślę, że to coś więcej niż zbieg okoliczności. To znaczy nie mogę mieć absolutnej pewności, ale rzecz budzi ciekawość, nie sądzi pani?

Fran znieruchomiała.

– Nie ma dowodu, że to nie był błąd wynikający z nieostrożności.

– To prawda. – Marconi skinęła głową, kołysząc się na obcasach. – Ale ponieważ wszyscy tu lubią opowiadać historie o tym, co wydarzyło się tamtej nocy, spróbuję zgadnąć.

– Powinam była zabrać popcorn – powiedziała Gretchen, ale żadna z kobiet nie spojrzała w jej stronę.

Marconi obserwowała Fran.

– Myślę, że była pani typową nastolatką i udając, że idzie spać, w rzeczywistości wymknęła się pani na spotkanie z chłopakiem.

– Nie miałam chłopaka – odparła Fran, ale w uszach Gretchen zabrzmiało to słabo.

– Wymknęła się pani, zostawiając wyłączony alarm na wypadek, gdyby musiała pani wrócić, wdrapując się przez okno – ciągnęła Marconi. – Kiedy popełniono to morderstwo, nawet nie było pani w domu.

Fran wyraźnie przełknęła ślinę.

– Dlatego zastanawiam się, czy brała pani udział w tym spisku, czy była tylko głupią frajerką.

Gretchen westchnęła głęboko, ale nie śmiała przerwać.

– Każdy obecny w domu mógł zostawić wyłączony system – powiedziała Fran, ale wyraźnie brakowało w tym wcześniejszej pewności siebie.

– Każdy obecny w domu mógł również podać Gretchen zakrwawiony nóż – zauważyła Marconi, nie agresywnie, ale pewnie. W typowy dla niej sposób. – Ale wszyscy wiemy, co się wydarzyło, prawda?

Rzęsy Fran zbyt długo trzepotały nad bladymi policzkami, kolejny widoczny znak, że jest zdenerwowana.

– W porządku, ma pani rację.

– Och! – zawołała triumfalnie Gretchen i cichymi oklaskami nagrodziła Marconi, która tylko przewróciła oczami na to błazeństwo. – Dobra robota.

– Proszę, zachowuj się jak dorosła osoba, którą jesteś – skarciła ją Fran. Jednak Gretchen zbyt dużo wiedziała na temat inteligencji emocjonalnej, by nie rozumieć, że ta kobieta, atakując, próbuje kontrolować sprawy tam, gdzie może, ponieważ została zaskoczona, choć myślała, że to ona steruje rozmową. – Nie brałam w niczym udziału.

– Co oznacza, że byłaś głupią frajerką – stwierdziła Gretchen, szorstko i szyderczo, wygodnie lekceważąc fakt, że jej ośmioletnie ja prawdopodobnie również nią było.

– Kim był ten chłopak? – zapytała Marconi, nie ustępując nawet po odniesieniu zwycięstwa.

– Powiedział, że ma na imię George – odparła powoli Fran.

– Nazwisko? – drążyła Marconi.

Fran odwróciła wzrok, lekki rumieniec pokrył jej blade policzki.

– Nie podałam mi.

Policjantka wyciągnęła telefon, wpisała coś, a potem odwróciła go, żeby Fran mogła zobaczyć ekran.

– Czy to był on?

Gretchen przechyliła głowę na tyle, by rzucić okiem na zdjęcie.

Shaughnessy.

Ale Fran pokręciła głową, a gdy odpowiedziała, było to zdecydowane zaprzeczenie.

– Okej. – Marconi schowała telefon. – Pamięta pani, kiedy go spotkała?

– Nie. Może kilka dni wcześniej.

Marconi skinęła głową.

– A czy pamięta pani, kiedy to zerwała?

Usta Fran zacisnęły się w wąską linię.

– Po tamtej nocy już się z nim nie spotkałam. Dużo się wtedy działo.

– Nie widziała go pani w trakcie śledztwa? – naciskała Marconi. – Albo tamtej nocy, kiedy wróciła pani do domu? Nie było go tam?

– Nie, oczywiście, że nie. – Fran wydawała się naprawdę zdezorientowana tym pytaniem. – To był nastolatek.

Słyszając to, Gretchen nagle sobie uświadomiła, że dzieciak mógł zostać opłacony przez zabójcę. Ona tak właśnie by zrobiła. Krążąc po centrum handlowym, znalazłaby chłopaka z deskorolką, wolnym czasem i potrzebą pieniędzy i dałaby mu zdjęcie Fran. Może nawet nie kosztowałoby to tak dużo. Jednak byłby to klucz otwierający dom.

– To nic nie znaczy – powiedziała Fran lodowatym tonem. – Nie zmienia faktu, że zabiłaś Rowan. To nie był... on.

– A ty skąd to wiesz? – zapytała Gretchen.

Fran tylko potrząsnęła głową, obejmując się rękami w pasie.

Wiedząc, że nie wyciągną od niej niczego więcej na temat chłopaka, Gretchen wróciła do powodu, dla którego przyjechały.

– Gdzie jest dziecko Rowan?

Słyszając to, Fran podniosła wzrok i spojrzała Gretchen w oczy. Powoli pojawił się dołeczek, policzki nabrały rumieńców, a ręce zrezygnowały z postawy obronnej. Cokolwiek zamierzała powiedzieć, znów czuła się pewnie.

– Nie odkryłaś tego – szepnęła w największym oszołomieniu, jakie Gretchen mogła sobie u niej wyobrazić. – Naprawdę nie wiesz.

Marconi zeszywniała obok Gretchen, jej stopy ustawiły się w pozycji bokserskiej.

Gretchen poczuła nagłe szarpnięcie w jakąś ziejącą pustkę, ciemność, która ją przywołuje.

Dołeczek prezentował się w całej pełni.

– Gretchen, kochanie. To jesteś ty.

## ROZDZIAŁ 29

SHAUGHNESSY

1987

Shaughnessy wysunął ramię spod głowy Donny, z wprawą przenosząc ją na poduszkę.

Gdyby wiedziała, dokąd się wybiera, doszłoby do kolejnej kłótni. W ostatnim czasie był tak bardzo nimi zmęczony, tak bardzo zmęczony rozczarowaniem, którego jego żona już nie starała się ukrywać.

Chciała, żeby je widział.

To nie powstrzymało go przed zejściem na dół. Na schodach prawie odruchowo ominął skrzypiący stopień i przez kuchnię ich małego szeregowego domu przeszedł do drzwi piwnicy. Nie trudził się zapalaniem światła, dopóki nie usiadł przy biurku.

Nie miał wiadomości od Rowan White, odkąd lata temu opuściła jego dom. Została u niego na mniej więcej tydzień, po czym rankiem szóstego dnia wymknęła się bez słowa pożegnania.

Od tego ranka, gdy obudził się w pustym domu, pojął, że przypisywał jej tak wiele cech. Tymczasem ona nie była ani silna, ani słaba. Ani Madonna, ani dziwka. Była po prostu dziewczyną uwięzioną w złym życiu, a on młodym policjantem ze zbyt wielką wyobraźnią.

Przedstawił ją sobie jako doskonale tragiczną ofiarę, kruchą jak szkło i potrzebującą ratunku. Nie pamiętał, kiedy ta iluzja się rozpadła. Z pewnością nie zdarzyło się to w chwili, gdy błagała go, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Może to było później, kiedy przestała odpowiadać na sygnały pagera, który pobiegł kupić, zanim opuściła jego dom. Powiedział, że to na wypadek, gdyby rodzina ponownie próbowała umieścić ją w szpitalu. A naprawdę dlatego, że chciał mieć sposób na utrzymywanie z nią kontaktu.



Przez pierwszych kilka tygodni o to dbała. Potem coraz mniej. Wreszcie całkowicie zerwała łączność.

Ale nie, wtedy wciąż jeszcze w nią wierzył. Nawet gdy jego pager umilkł na dobre. Na początku był tak przerażony, że spróbował przekonać szefa, by wszczął akcję ratunkową. Jednak Fitzy tylko pokręcił głową, zasłaniając dłonią usta.

– Nadal zadajesz się z tą rodziną? – zapytał z niedowierzaniem i czymś zanadto bliskim rozpaczy. – Och, Patricku.

Poczuł się zganiony, surowo upomniany tym cholernym westchnieniem: „Och, Patricku”.

Czyż nie tak wyglądało jego życie? Nigdy nie wiedział, kiedy przestać.

Nawet po roku milczenia wciąż spodziewał się wiadomości od Rowan, śledził wszelkie raporty policyjne, zbyt wiele razy spał w swoim samochodzie, choć na tyle daleko od rezydencji White'ów, by nie zwracać na siebie uwagi. Po godzinach pracy śledził Andersa i przesiadywał w bibliotece, przeglądając gazety.

Niczego nie znalazł.

Absolutnie niczego.

Zach Daniels – który przez te lata stał się kimś w rodzaju jego przyjaciela – krzywił się, ilekroć Shaughnessy wspomniał o Andersie.

– Musisz to odpuścić, człowieku – powtarzał za każdym razem, gdy policjant wydawał się gotowy poruszyć ten temat.

Gdy Rowan odeszła, Shaughnessy spróbował innego podejścia do Daniela, nie mogąc wyrzucić z głowy jej cichego: „Tak mówią”.

– Zetknąłeś się kiedyś ze sprawą, w której wszyscy wmawiają ofierze, że jest szalona? – zadał mu pytanie pewnego wieczoru, gdy Daniels pojawił się w Bostonie podczas trasy promującej jego nową książkę.

– Gaslighting – odparł Daniels, podnosząc szklankę w lekkim toaście.

– Co? – zapytał Shaughnessy, już rozmyślając nad tym nieznanym określeniem.

– Termin pochodzi ze sztuki z lat trzydziestych zeszłego wieku. – Były agent wszedł w tryb wykładu. – Ale większość ludzi kojarzy go z filmem z Ingrid Bergman.

– Dalej nie rozumiem – przyznał Shaughnessy, starając się nie najeżyć. Wiedział, że nie jest najlepiej wykształconym człowiekiem w okolicy. To nie znaczyło, że jest idiotą, ale że czasami przegapiał jakieś źródła.

– Ech, chodzi o męża, który przekonuje żonę, że zaczęła mieć urojenia – wyjaśnił Daniels. – Wmawia jej, że kradnie i tym podobne. Samo słowo wzięło się stąd, że wykorzystywał lampy gazowe w ich domu, przyciemniając je i udając, że palą się tak samo jak zawsze. W ten sposób sprawił, że zakwestionowała własną rzeczywistość i uwierzyła, że popada w obłąd.

Zakwestionowała własną rzeczywistość.

– Dlaczego to robił?

– Och, sztuka i film trochę się różnią, ale zasadniczo starał się ukryć swoją przestępczą działalność. – Daniels wzruszył ramionami. – Myśle... tak, chyba próbował przeszukać mieszkanie znajdujące się nad nimi? Należało do bogatej wdowy. Na pewno chodziło o bezcenne klejnoty. Chciał wysłać żonę do szpitala, żeby się nie zorientowała, co robił.

Wysłać do szpitala.

– Jak to się kończy? – zapytał Shaughnessy. Prawie nie chciał wiedzieć. Nie mógł ścierpieć myśli o Rowan odizolowanej od świata, przekonanej, że jest szalona.

– Hm... – Daniels próbował sobie przypomnieć. – Chyba w jakiś sposób ten mąż zostaje przywiązany do krzesła. Kiedy próbuje przekonać żonę, żeby go uratowała, ta mu odpowiada, że jest zbyt szalona, by zrozumieć, o co ją prosi.

– Brawo.

– Tak – przyznał Daniels, a potem westchnął. Ten cichy wydech uwidocznił, jak ciężka była jego praca. – Często się to widzi w przemocowych związkach. Dlaczego cię to obchodzi?

– Co?

– Domyślam się, że to ma coś wspólnego z tym twoim seryjnym zabójcą – rzekł Daniels, ignorując grymas na twarzy Shaughnessy'ego. – I jego siostrą. A zatem: dlaczego ta dziewczyna tak bardzo cię obchodzi?

– A ciebie by nie obchodziła? – Shaughnessy nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie słyszałeś? – W głosie Daniela zabrzmiała niebezpieczna, autoironiczna nuta. – Mnie obchodzą tylko seryjni zabójcy.

– To nieprawda – odparł Shaughnessy bardziej instynktownie niż z przekonaniem. Chociaż... Daniels był częścią kultury, w której nazwiska seryjnych zabójców zapamiętywano o wiele częściej niż nazwiska ich ofiar. Wykorzystywał ich złą sławę, by stać się własną wersją celebryty.

Shaughnessy po prostu nie zauważył, że Daniels zdawał sobie sprawę z tej bolesnej prawdy.

– No właśnie – rzekł były agent niemal szeptem, jakby Shaughnessy wypowiedział głośno swoje myśli. – W końcu każdy zaczyna to rozumieć.

Siedzieli potem w milczeniu. Shaughnessy nie umiał zareagować na przygnębienie, który które słyszał w głosie Daniela. Co mógł powiedzieć? Facet zbudował karierę na rozumieniu seryjnych zabójców, nie na ratowaniu ich ofiar. Ale czy w końcu nie sprowadzało się to do tego samego? Czy poznanie ich umysłów nie oznaczało, że mogliby zostać złapani wcześniej? Ocena moralna takiej postawy była niejednoznaczna, ale nie tak potępiająca, jak wyraźnie widział to Daniels.

A jak Rowan wpłynęła na Shaughnessy'ego? Czy naprawdę go obchodziła? Ledwie ją znał.

Przypomniawszy sobie, w jaki sposób Anders obserwował go w lesie, przy szopie. Słońce na jego włosach, rozbawienie w uśmiechu. Ostrożny taniec ich rozmowy. Czy nie interesował się o wiele bardziej tym mężczyzną niż nastolatką, która była zaledwie widmem?

Czy był choć trochę lepszy od Daniela?

– Co można zrobić? – zapytał. – Gdy ktoś jest manipulowany w taki sposób? Żeby myślał, że jest obłąkany?

– Rzeczywistość to zabawna rzecz, prawda? – skonstatował zmęczonym głosem Daniels. – Nie ma czegoś takiego jak obiektywna rzeczywistość, bo każdy z nas widzi ją własnymi oczami. Nie ma dwóch osób, które dzielą tę samą wersję rzeczywistości. A jednak wszyscy wydają się akceptować, że doświadczamy tego samego.

– Chociaż tak nie jest. – Shaughnessy na wpół skomentował, na wpół zapytał.

– Czy wiesz, że kiedy poruszasz głową zbyt szybko, aby móc skupić wzrok, twój mózg zgaduje, co tam jest, więc nie masz objawów choroby morskiej z powodu rozmytych obrazów? – spytał Daniels, z wyraźnym zadowoleniem pogrążając się w stanie upojenia. – Dobre dwadzieścia procent tego, co widzimy, to tylko wypełnione przez nasz mózg luki.

– Nie możemy ufać nawet własnemu widzeniu rzeczywistości, nie mówiąc o sytuacji, kiedy ktoś zaczyna nim manipulować – zauważył Shaughnessy, z łatwością podążając za nie całkiem trzeźwym tokiem myślenia Daniela. – Ale co oni, u licha, mogą zyskać na tego rodzaju oszustwie?

– W filmie Gasnący płomień wszystko sprowadzało się do pieniędzy – rzekł Daniels. – Dlatego zbrodniarz manipulował poczuciem rzeczywistości swojej żony.

– Znajdź powód... – powiedział Shaughnessy.

Daniels dokończył za niego myśl:

– ...a wtedy będziesz miał motyw.

Tyle że Shaughnessy szukał tego powodu od lat, a mimo to nie miał nic do pokazania.

Wiedział, że powinien się skupić na bieżących śledztwach. Miał szansę na znaczący awans po tym, jak przez ostatnie cztery lata trzymał się jak najdalej od kłopotów, pracując w obyczajówce. To fakt, nie potrafił długo utrzymać partnera, ale zawsze istniało jakieś rozsądne wytłumaczenie. Jeden przeszedł na emeryturę, drugi został postrzelony i odesłany za biurko, kolejna poprosiła o przeniesienie do Arizony, ponieważ jej mąż dostał tam pracę. To wszystko dawało się wytłumaczyć, ale jego reputacji nie poprawiało.

Boyd nadal bezlitośnie drwił z niego z radosnym wyrazem twarzy. Jednak te żarty zawsze zawierały szczególne okrucieństwo sprawiające, że się jeżył, chociaż Boyd był jedynym policjantem, który nie przewracał oczami, gdy Shaughnessy wspominał o Andersie Whicie.

Albo o Jennifer Cross.

Szef nie pozwalał mu nawet mówić o śledztwie, uciszając Shaughnessy'ego za każdym razem, gdy próbował poruszyć ten temat.

– Trzymaj się z dala od sprawy Cross, synu. Więcej nie będę tego powtarzał – powiedział Fitzy.

– Ale nikt nad nią nie pracuje – zauważył Shaughnessy.

– Bo została uznana za niewyjaśnioną.

– Ale...

– Posłuchaj, przydzielę do niej kogoś, kiedy będziemy mieli czas – obiecał Fitzy. – Ale jeśli usłyszę choćby aluzję, że wokół tego węszysz, pożegnaj się z awansem.

Polityka. To Shaughnessy zawsze słyszał w odpowiedzi, ilekroć opróżnił zbyt dużo kufli i zadawał zbyt wiele pytań o to, dlaczego, do diabła, komendant policji nie chciał rozwiązać sprawy morderstwa, które przyciągnęło uwagę całego kraju.

– Uwagę opinii publicznej zwróci następna głośna historia – skwitował Boyd. – Ale burmistrz i rada miasta nie będą zbyt zadowoleni, gdy jeden

z ich najważniejszych darczyńców zakręci kurek z kasą, ponieważ jakiś żółtodziób prowadzi śledztwo w jego sprawie.

– Już nie żółtodziób – mruknął Shaughnessy, wiedząc, że został pokonany.

White'owie byli zbyt bogaci, zbyt wpływowi. Przy nich wypadał jak David przy Goliacie. Z tą różnicą, że znajdował się w gorszej sytuacji, bo ostatecznie by nie wygrał.

Teraz w rurach nad jego głową zbulgotało i Shaughnessy spojrzał na sufit, zastanawiając się, czy Donna się obudziła. Nie słyszał kroków, ale czasami poruszała się ukradkiem. Może rano po prostu oboje udawali, że spędził w łóżku całą noc. Dawniej, na początku, kłóciliby się na temat jego bezsenności. Pewnie to zły znak, że już tego nie robią.

Mimo to Shaughnessy wolał ich obecny związek, wolał ciszę i spokój. Donna nigdy nie była miłością jego życia. Odpowiadała mu, a on się dowiedział – nieoficjalnie – że jego kariera nabrałaby przyspieszenia, gdyby był żonaty z kimś innym niż praca.

W myślach pojawiła mu się twarz Rowan, ale wyśmiał ją, odepchnął, zakopał głęboko. Ona też nie była wielką miłością jego życia.

Nie. Czasami się zastanawiał, czy w jakiś pokręcony sposób nie stał się nią Anders.

Nie w romantycznym sensie. Ale bez względu na jednostronność tej obsesji Anders był wpleciony w jego życie, w myśli, nawet sny, tak jak Donna nigdy nie była.

Shaughnessy wysunął dolną szufladę biurka, uznawszy, że nie jest wystarczająco pijany, by poradzić sobie z tą przeklętą świadomością.

Wyjął listy otrzymane od Daniela, korespondencję prowadzoną z człowiekiem, którego cenił wyżej niż cokolwiek innego w swoim życiu. Teraz rzadko już rozmawiali o Andersie, ale Daniels zawsze miał coś nowego do powiedzenia ogólnie na temat seryjnych zabójców.

Daniela cieszyła jego własna inteligencja – to jasno wynikało z jego listów. Ale był porządnym gościem, a tak naprawdę jednym z setek tysięcy Amerykanów zafascynowanych tymi potworami. Miał wiedzę, której brakowało innym, ale nie różnił się niczym od Shaughnessy'ego czy tej kobiety z jego ulicy, która myślała, że wszyscy ich sąsiedzi ukrywają martwe dziewczyny w swoich piwnicach.

– Zboczeńcy, wielu! – powtarzała ciągle z obłędem w oczach, który Shaughnessy doskonale rozpoznawał.

Jednak nie wszyscy byli zbrojcami. FBI uczyło się tego powoli, gdy agencja zaczęła identyfikować i przesłuchiwać coraz więcej z nich.

„Istnieją cztery typy seryjnych zabójców”, napisał Daniels w jednym ze swoich listów. „Poszukiwacze mocnych wrażeń, jak Bonnie i Clyde. Następnie ci, którzy mieli misję, zabijali prostytutki lub handlarzy narkotyków, ponieważ myśleli, że uwalniają społeczeństwo od tego, co uważali za robactwo. Wizjonerzy słyszeli, jak Bóg do nich przemawia, i zabijali w jego imieniu. I wreszcie tacy, którzy szukali władzy i kontroli. To byli zbrojcy. Gwałciciele, którzy z czasem chcieli więcej. Który jest twój?”, zakończył list Daniels.

Którym typem był Anders? O ile w ogóle był zabójcą.

Chociaż Shaughnessy miał obsesję na punkcie tego mężczyzny, nie był pewien, czy naprawdę go zna. Odbyli tylko dwie rozmowy: tę, kiedy z Boydem poszli do rezydencji White'ów lata temu, i kiedy Anders przyłapał go na włamywaniu się do jego szopy.

W obu przypadkach Anders był kulturalny, uprzejmy, dystyngowany. Shaughnessy nie potrafił sobie wyobrazić, że miałby ubrudzić sobie ręce, a co dopiero przygnieść ofiarę i pociąć ją nożem. Ale wygląd może mylić; wiedział to lepiej niż inni.

Spojrzał na ścianę. Przypiął do niej wszystkie wzmianki o Andersie Whicie, które znalazł w różnych czasopiśmie. Facet prowadził dobrze prosperującą praktykę i jego zdjęcia z żoną Bardot zajmowały dużo miejsca na kolumnach towarzyskich. Shaughnessy znalazł tam artykuł o ich zaręczynach, a potem dwie notatki, gdy na świecie pojawiły się ich córki, Francesca i Gretchen. Kilka brukowców opublikowało artykuły na temat trudnej drugiej ciąży Bardot i strachu przed poronieniem. Według prasowych doniesień White'owie starali się nie rozgłaszać tego faktu publicznie aż do pomyślnego zakończenia drugiego trymestru. Jednak wizyta w szpitalu, a potem leżenie w łóżku do momentu rozwiązania uniemożliwiły ukrycie stanu Bardot. Było też kilka paskudnych podpisów pod zdjęciami z okresu, gdy wróciła do życia towarzyskiego po porodzie, w których szeroko analizowano, jak jej ciało odczuło ciążę.

Poza tym nie było nic, co nie podkreślałoby, że jest to porządna rodzina z wyższych sfer. Bardot angażowała się w działalność charytatywną. Krążyły plotki, że Anders zamierza wejść do polityki. Dziewczynki, obie blondynki z niebieskimi oczami, były doskonałymi małymi klonami rodziców.

I nagle zaparło mu dech. Zamknął oczy, nie mogąc patrzeć na ścianę, która zdradzała jego własne szaleństwo.

Spróbował się oderwać – od swoich myśli, swoich teorii i oczekiwań. A co, jeśli Rowan była tylko trudną młodą dziewczyną, która stworzyła świat fantazji, aby w nim zamieszkać? Jeśli uciekła tamtej nocy, zakrwawiona, nieubrana, ponieważ jest obłąkana i niezrównoważona, a nie dlatego, że jej brat to seryjny zabójca, który ją torturował? Jeśli uczepliła się go jako kogoś, kto podtrzymywał jej urojenia?

Jaki dowód miał na to, że Jenny i Rowan w ogóle coś łączy? Trochę śladów na rękach Jenny, to wszystko.

Nie natrafił dotąd na żadną podobną sprawę. Jeśli Anders był seryjnym zabójcą, ukrył większość ciał znacznie lepiej, niż zrobił to z Jenny.

Co on, u diabła, wyprawiał, spędzając cztery lata życia na rozpamiętywaniu przelotnego spotkania, kiedy to wzburzona dziewczyna kazała mu uciekać?

Shaughnessy podniósł się, krzesło głośno zaszurało po betonie, dysonansowy dźwięk współbrzmiący z niepokojem w jego brzuchu, klatce piersiowej, w umyśle.

Trzema szybkimi krokami podszedł do swojej tablicy, chwycił zdjęcie Jenny i zerwał je. Wziął policyjny raport z tamtej nocy z Rowan i podarł go. Owinał czerwony sznurek wokół nadgarstków i szarpnął, aż pinezki wyskoczyły, rozsypując się po podłodze; mali strażnicy tej ściany wyrwani w poczuciu wstydu.

„Maniak”, powiedziały, a metal błysnął w świetle lampy.

„Psychol. Obsesjonat. Och, Patricku. Och, Patricku”.

Wszystko stało się rozmazane, palce miał zdrętwiałe, nogi chwiejne. Nabrał powietrza, ale było tak rzadkie, że ledwie dotarło do jego płuc.

W końcu usiadł na podłodze, kawałki jego życia leżały rozsypane wokół, bolały go mięśnie, bolała szczęka, w głowie pulsowało. I wiedział, że już nigdy nie pomyśli o Andersie Whicie.

## ROZDZIAŁ 30

GRETCHEN

Teraz

Po raz pierwszy w życiu Gretchen pozwoliła komuś prowadzić jej porsche.

Marconi trzymała ręce na kierownicy prawidłowo na dziesiątej i drugiej, biorąc zakręty jak ktoś, kto właśnie odebrał prawo jazdy. Ale Gretchen skatalogowała to bez udziału świadomości, by wykorzystać przeciwko niej w późniejszym czasie.

Teraz z trudem próbowała sformułować jakiegokolwiek jasne myśli.

Niektórzy niewykształceni ludzie sądzili, że socjopaci są teflonowi, ognioodporni, niepodatni na emocje, wstrząsy i wiele innych rzeczy. Ale to, że Gretchen nie potrafiła czuć empatii wobec otaczających ją ludzi, nie oznaczało, że sama była pozbawiona emocji. To było jak radio. Empaci byli zalani dźwiękami, niezdolni do kontrolowania kanałów. Gretchen często słyszała więcej szumów niż muzyki, ale potrafiła odróżnić operę od piosenki pop, jeśli poświęciła temu wystarczająco dużo uwagi.

I teraz właśnie poświęcała uwagę.

Rowan nie była jej ciotką.

Była jej matką.

Bez udziału świadomości w jej myślach pojawiła się Viola Kent. Kiedy pierwszy raz usłyszała o tej trzynastoletniej dziewczynce, która brutalnie zadźgała swoją matkę, Gretchen urządziła sobie trzydniową popijawę. Jedynym powodem, dla którego potrafiła wydobyć się z tego krótkiego stanu zawirowania, była różnica między jej historią a teraźniejszością Violi – Gretchen oskarżono o zabicie ciotki, nie matki. Sytuacja wydawała się trywialna, nawet irracjonalna, ale nie dbała o to. Przypadek Violi mógł być podobny do jej, ale nie był dokładnie taki sam.

Adrenalina krążyła w jej żyłach, sprawiając, że wszystko wydawało się wyraziste i cierpkie, dzwonienie w uszach głośne, ale nie na tyle, by



zagłuszyć pomruk silnika. Zanurzyła się w ten dźwięk, w ulubione wspomnienie, niemal czując, jak maszyna podskakuje w jej rękach, gdy jechała z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę na otwartym odcinku autostrady, podczas gdy w oddali wschodziło słońce. Zatopiła się we wspomnieniu mężczyzny, który leżał w jej łóżku, kiedy Marconi dwa dni temu zapukała do drzwi, w tym, jak ssał krawędź jej zuchwy, jak jego palce wplatały się w jej włosy, ciągnąc je tylko odrobinę za mocno.

Przypomniała sobie smak wódki, pulsowanie jakiegoś nieznanego rytmu w jej piersi, dotyk dłoni na swoich biodrach, gdy tańczyła, kołysała się i obracała, ekstazę – zarówno narkotyk, jak i samo uczucie – która sprawiała, że wszystko stawało się ckiwe i zachwycające.

Gretchen szukała zapomnienia, bo to kochała najbardziej. Wiodła życie, odrzucając potrzebę pogrążenia się w nim, ale tak naprawdę wszystko, co musiała zrobić, to odpuścić. Każdego dnia czepiała się krawędzi drapacza chmur czubkami palców i nikt, ani jedna przeklęta dusza, nie doceniał tego, jak trudno jej było się tam utrzymać.

Nikt nie doceniał, jak łatwo byłoby spaść.

Jasne, lubiła swoje życie. Martwe ciała w czymś jej pomagały, pozwalały swobodniej oddychać, gdy patrzyła na zło w fizycznej postaci. Lubiła wydawać pieniądze tak, jak chciała, lubiła wakacje i piękne samochody, swoje mieszkanie i to, że traktowano ją jak VIP-a, gdy wybierała się gdzieś wieczorem. Gretchen nie była zainteresowana więzieniem.

Ale od doskonałej, wzorowej kontroli, którą miała nad sobą, do jakiegoś zbrodniczego czynu było bardzo daleko.

Cholernie daleko.

Nie od razu zauważyła, że Marconi zjechała z jezdni. Dopiero gdy poczuła na policzku dotyk dłoni policjantki, w pełni doszła do siebie. Wróciła do rzeczywistości, do ostrego światła dnia, do spokojnego, uważnego spojrzenia tej kobiety.

– Odpieprz się – warknęła, gwałtownie otwierając drzwi auta. Nawet nie wiedziała, dokąd idzie, nie dbała o to. Ale przeszła tylko trzy kroki i Marconi już była przy niej, ledwie półtorametrowe nic, które pchało ją z powrotem w stronę porsche.

– Nie – powiedziała Marconi. Jej postawa zdradzała, że jest gotowa do walki, ale ton głosu pozostał spokojny, chłodny. Przycisnęła dłoń do

ramienia Gretchen, która tym razem nie ruszyła się z miejsca. – Nie pozwolę ci na to.

– Nie masz nic do powiedzenia w sprawie tego, co robię – odparła Gretchen, ściskając palcami nadgarstek policjantki. Gdyby chciała, w sekundę złamałaby kość. W następnej chwili kobieta byłaby już na kolanach, przyciskając rękę do klatki piersiowej. Gretchen ścisnęła mocniej, żeby Marconi wiedziała, o czym myśli. Ale ta nawet nie drgnęła.

– Och, Bambi jest teraz taka odważna – zadrwiła Gretchen, chcąc ją zranić. Niczego tak bardzo nie pragnęła od niezwykle długiego czasu.

– No cóż, z jakiegoś powodu naprawdę mam gdzieś... – Urwała i odwróciła wzrok. Po chwili dopowiedziała, tym razem słabiej: – ...rozwiązanie tej sprawy.

Już miała powiedzieć: ciebie. „Z jakiegoś powodu mam cię gdzieś”.

Nie złagodziło to w żaden sposób pożaru szalejącego w piersi Gretchen. Jeśli już, to chlusnęło benzynę w płomienie. Jak ta kobieta, którą ledwo знаła, śmie mówić cokolwiek o niej, o jej życiu i reakcjach?

– A kto cię, do cholery, prosił, żebyś się tym przejmowała? – prychnęła ze złością. – Chryste, jesteś taka żałosna. Nie masz w życiu nikogo ani niczego, więc musiałaś się mnie ucześcić jak pijawka.

Szarpnęła Marconi za nadgarstek, przekreśliła i pchnąwszy ją na porsche, przedramieniem przygwoździła krtań kobiety. Owca

– Myślisz, że cię lubię? Myślisz, że szanuję? – Naciskała mocniej, dopóki nie stwierdziła, że Marconi brakuje powietrza. – Myślisz, że zawahałabym się choćby przez sekundę, żeby uciąć ci język, odciąć wargi, wyciąć serce? Nic dla mnie nie znaczysz. – Pochyliła się niżej i lekko przygryzła ucho Marconi. Groźba. – Nic.

Odchyliła się. Marconi miała rozszerzone źrenice, ale ręce nadal trzymała przy bokach. Nie broniła się. Albo, niewykluczone, była jednak cholerną idiotką i to jej wersja deklaracji lojalności.

– Ale wiesz co? – zapytała Gretchen, opuszczając wreszcie rękę z gardła policjantki, która musiała odruchowo zaczerpnąć powietrza, bez względu na to, jak spokojna się czuła. – Nie jesteś tego warta.

Z tymi słowami Gretchen obeszła maskę samochodu, wsiadła za kierownicę, gdzie Marconi zostawiła kluczyk w stacyjce, i odjechała, nie patrząc we wsteczne lustro.

## ROZDZIAŁ 31

TABBY

1993

Gdy Tabby wychodziła ostatnio z domu, widziała zbliżające się do niej cienie.

Każdy mężczyzna, którego uchwyciła kątem oka, stawał się Cal, ciemną, majaczącą sylwetką, z wielkimi dłońmi gotowymi zacisnąć się na jej szyi.

Znów była przewrażliwiona. Tym razem z uzasadnionych powodów.

Levi niczego nie zauważał, nic go nie obchodziło, zachowywał całkowitą obojętność, gdy po raz piąty lub szósty sprawdzała, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Podnosił tylko szklanę, tępo wpatrzony w powtórki teleturnieju Jeopardy!, które stały się jego pociechą.

Skóra cierpła jej ze strachu od chwili, gdy się budziła, do wieczora, gdy zmuszała się do zamknięcia oczu, i rozumiała, że musi coś zrobić.

Nigdy nie mówiła Calowi, gdzie mieszka, ale czasami mogła przysiąc, że widziała jego sedana zaparkowanego na końcu jej ulicy, gdzie czekał, obserwując.

Detektyw Shaughnessy obiecał, że przyjrzy się temu Calowi Hartowi, ale na razie się do niej nie odezwał.

Kiedy była już bliska załamania, w niedzielnym wydaniu gazety zobaczyła ogłoszenie o poszukiwaniu pomocy domowej. Tabby nie wierzyła w szczęście, dobry los czy zbieg okoliczności, ale nie wiedziała, czym innym mogłoby to być.

Minęło sześć dni, odkąd Cal Hart zaatakował ją w motelowym pokoju, sześć dni, odkąd detektyw Shaughnessy o mało jej nie powiedział, że już nie jest pewien, czy Anders White był zabójcą Jenny.

Mimo to nie mogła zapomnieć wrażenia, że uwaga Shaughnessy'ego wyostrzyła się, gdy wymieniła imię mężczyzny. Shaughnessy wiedział

rzeczy, o których jej nie mówił, miał podejrzenia dotyczące rodziny White'ów.

I oto znów to nazwisko. W druku. Nie Anders, ale Bardot White, jego żona. Szukała niani – posada z zamieszkaniem w miejscu pracy w ich zwykłej kamienicy w centrum Bostonu.

Może Tabby nie była tak bystra jak detektywi zajmujący się sprawą jej siostry; może była po prostu nic nieznaczącą osobą nieudolnie szukającą odpowiedzi. Jednak wydało jej się dziwne, że gliniarze nawet nie rozmawiali z Rowan White, mimo że jej nazwisko figurowało w terminarzu Jenny częściej niż którejkolwiek z koleżanek, które przesłuchiwali. Nie skontaktowali się również z Andersem White'em po tym, jak pojawił się na pogrzebie Jenny, pomimo powiązania ze sprawą, jakie miałyby przez siostrę. Nawet przy swojej skromnej wiedzy na temat pracy dochodzeniowej teraz już rozumiała, że powinien tam być detektyw, który spisałby nazwiska ludzi wyrzuconych tego dnia z kościoła.

Detektyw Shaughnessy fakt, że Cal nie był Andersem, zdawał się przyjmować za dowód niewinności Andersa, ale Tabby uważała, że niekoniecznie musi tak być. Anders to człowiek bogaty – z łatwością mógł wynająć Cala, żeby wykonał za niego brudną robotę. Dobrze by mu zapłacił, żeby miał na oku Tabby i ją załatwił w razie potrzeby. W końcu to był Boston. Nie brakowało tu zawodowców gotowych zabić za odpowiednią sumę pieniędzy.

O ile Tabby wiedziała, White'owie mieli ich mnóstwo.

Może gdyby zatrudniła się jako niania, Anders albo Rowan wpadliby w panikę, przestaliby uważać i wyjawiliby coś, czego inaczej nigdy nie mogłaby odkryć.

A może nic się nie wydarzy.

Ale czemu by nie spróbować?

Dla Tabby decydującym czynnikiem był Cal. Doszła do wniosku, że przyjęcie tej posady paradoksalnie pomoże jej chronić się przed nim. Jeśli działał sam, byłaby o wiele bezpieczniejsza za grubymi murami kamienicy White'ów niż we własnym domu. Gdyby Cal był zawodowcem, Anders prawdopodobnie odwołałby zlecenie, bo łatwo byłoby wskazać na jej powiązanie z jego rodziną. Niania znikająca z domu to wskazówka znacznie bardziej obciążająca niż martwa dziewczyna, która przypadkiem chodziła do tego samego liceum co Rowan.

Tabby miała rozmowę kwalifikacyjną dwa dni po tym, jak znalazła ogłoszenie. Po namyśle, który trwał o wiele za długo, włożyła swój najlepszy zestaw – spodnie khaki i kardigan, aby wyglądać potulnie i skromnie, wysyłając sygnał: „Nie jestem tu po to, żeby ukraść ci męża”. Wisienką na torcie był kok na karku, skutecznie ukrywający jej największy atut.

Gdy dotarła na miejsce, zdała sobie sprawę, że nie musiała się tym przejmować.

Nikt nie ukradłby męża Bardot White.

Była piękna, i to nie w sposób dyskretny, jak wiele bogatych kobiet, które mogły sobie pozwolić na ładne salony i jeszcze ładniejsze ubrania. To był typ urody, który przyciągał wzrok wszystkich na ulicy. Bardot była ubrana w białą bluzkę i białe spodnie z szerokimi nogawkami, miała ciemne włosy o czekoladowym odcieniu i gustowny, nieskazitelny makijaż, chociaż Tabby uważała, że nawet bez niego wyglądałaby lepiej niż większość kobiet.

Szpilki z czerwonymi podeszwami stukały na parkiecie podłogi, gdy przechodziła przez pokój, by zająć miejsce na sofie naprzeciw Tabby.

Kiedy usiadła, nie bawiła się we wstępy, tylko wzięła życiorys Tabby, który był nieco bliższy fikcji niż rzeczywistości. Bardot zacisnęła idealnie umalowane czerwone usta w kształcie łuku Kupidyna, stukając długopisem w udo.

– Twoje nazwisko brzmi znajomo – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Tabby rozejrzała się, jakby ktoś miał odpowiedzieć za nią. Oczywiście nikt tego nie zrobił. W pokoju przypominającym muzeum były tylko ona i Bardot. Kłamiąc, najlepiej jest jak najbliżej trzymać się prawdy. Tak zawsze wszyscy twierdzili.

– Moja siostra została zamordowana, kiedy byłam dzieckiem. Mówili o tym w ogólnokrajowych wiadomościach.

Długopis zatrzymał się w połowie drogi. Ale Bardot nadal nie odrywała oczu od kartki.

– Moje kondolencje.

– To było dawno temu – powiedziała Tabby, przesuwając się niezręcznie na gładkim jedwabistym pokryciu sofy.

Bardot mruknęła coś neutralnego i kontynuowała czytanie. Wysoki zegar stojący tykał tak głośno i natarczywie, tak nieubłaganie, że skrobał wewnątrz czaszki Tabby.

W końcu Bardot rzuciła życiorys na stolik kawowy, usiadła wygodnie i jej się przyjrzała.

– Uczciwość wymaga, by cię ostrzec, że mamy córkę ze... szczególnymi potrzebami – powiedziała i w Tabby błysnęła iskierka nadziei. To brzmiało, jakby Bardot oferowała jej tę pracę.

– Jestem dobrze obeznana...

Bardot uniosła dłoń.

– Z czymkolwiek jesteś obeznana, to nie jest to.

Niezupełnie wiedząc, co odpowiedzieć, Tabby milczała.

– Moja córka Gretchen jest... – Oczy Bardot zamknęły się, gdy głęboko nabrała powietrza. – Ona jest zła.

Tabby zakrztusiła się własną śliną.

– Słucham?

– Zdaję sobie sprawę, że to brzmi bezdusznie z mojej strony. Ale kiedy ją poznasz, zrozumiesz.

– Przepraszam... Ja... – Tabby zdołała wyjąkać tylko tyle. Była przygotowana, że ta rozmowa może potoczyć się w każdy sposób, poza takim.

– Córka jest za mała, by można było postawić jej formalną diagnozę – ciągnęła Bardot. – Ale cię przetestuje, a nie boi się konsekwencji. Jak sobie z tym poradzisz?

Powiedzieć, że Tabby wyolbrzymiła swoje doświadczenie z dziećmi, byłoby wspaniałomyślnym określeniem tego, co umieściła w swoim życiorysie. Ledwie miała doświadczenie z rówieśnikami, kiedy sama była mała. Ale doskonale umiała wciskać kit.

– Dla dziecka najgorszą rzeczą jest nuda – powiedziała ostrożnie, wypatrując reakcji na twarzy Bardot. – Starałabym się, aby przez cały czas była czymś zajęta.

Kącik ust Bardot uniósł się, a jej oczy powędrowały po ciele Tabby do jej znoszonych butów i z powrotem.

– To była najlepsza i najtrafniejsza odpowiedź, jaką kiedykolwiek dostałam. Sądzę, że sobie poradzisz, dopóki cię nie przepędzi.

Tabby skinęła głową, na wszelki wypadek nic nie mówiąc, bo wyglądało na to, że właśnie udało jej się zdobyć posadę w domu White'ów.

– Zacziesz w poniedziałek – oznajmiła Bardot, po czym wstała i odeszła bez dalszych instrukcji.

Jednak to nie miało znaczenia. Tabby się tu dostała. Nie wiedziała, co znajdzie, ale musiało tu coś być. Musiało. Zbyt długo prowadziła to śledztwo, żeby teraz trafić na ślepią uliczkę.

Opanowała się, a potem zebrała swoje rzeczy, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Gdy podniosła wzrok, dostrzegła cień przy drzwiach po drugiej stronie pokoju, którymi wyszła Bardot.

Kierowana przeczuciem powoli podeszła bliżej cienia, który bardzo przypominał ten rzucany przez ośmioletnią dziewczynkę.

– Dzień dobry.

– Och – odezwał się cichy głosik i drzwi uchyliły się odrobinę szerzej. Dziewczynka była blada, o chłodnej, jasnej urodzie. Gładki bob z krótko obciętą grzywką kończył się na linii brody. Miała lekko zatarty nos i usta zbyt wydatne w stosunku do smukłej twarzy i do wieku. – Jesteś moją nową nianią.

– Jeśli ty jesteś Gretchen, to chyba tak – odparła Tabby, zdobywając się na lekki uśmiech. – Dzień dobry.

Dziewczynka zamrugła, a potem jej usta wygięły się w uśmiechu o wiele bardziej drapieżnym niż wszystko, co Tabby kiedykolwiek widziała.

– Będziemy się świetnie bawić, ty i ja. Tylko poczekaj.

## ROZDZIAŁ 32

GRETCHEN

Teraz

Gretchen nie zatrzymywała się, nie myślała, dopóki nie zaparkowała przed domem Shaughnessy'ego.

W najlepszych chwilach jej wewnętrzny głos mógł być niekonsekwentny, zmienny i skłonny do plastycznych wyobrażeń. Teraz milczał, gruba warstwa wściekłości uciszyła chaos.

Doszła do siebie dopiero wtedy, gdy ręka zaczęła ją boleć od walenia w drzwi.

Gdy się otworzyły, Gretchen, nie czekając na zaproszenie, po prostu przepchnęła się obok niego z taką siłą, że stęknął uderzony w ramię jej ramieniem.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz. – Słyszała swoje żądanie, które zabrzmiało, jakby stała na końcu długiego tunelu. Słowa wydały jej się wątle, chociaż wiedziała, że były mocne.

– A jeśli tego nie zrobię? – zapytał Shaughnessy.

Miała dość tej gry. Może nie był winny niczego więcej poza ukrywaniem swoich sekretów, ale bezsprzecznie zachowywał się tak, jakby zrobił coś złego.

Gretchen pokręciła głową.

– To nie jest groźba ani ultimatum. Masz mi powiedzieć, co wiesz.

Wszelki sprzeciw widoczny w postawie Shaughnessy'ego wyparował, gdy skinął głową, zgarbiony podreptał z powrotem do fotela przy oknie.

Przeszła przez pokój, by usiąść, a Shaughnessy sięgnął do barku po dwie szklanki i karafkę czegoś bursztynowego, mimo że nie było jeszcze południa. Whiskey zalśniła w świetle padającym z okna, gdy napęłnił, a następnie podał jej szklankę.

Gretchen wychyliła ją jednym łykiem, ale nie czekała na dolewkę, tylko wzięła sprawy we własne ręce. Za drugim razem upiła nieco, smakując



trunek na języku, delektując się nim, jego ostrością i ciężarem w żołądku, zamiast myśleć, w jaki sposób chce otworzyć tętnice Shaughnessy'ego, by patrzeć, jak krew wypływa z jego ciała.

– Skłamałeś – odezwała się w końcu. Jej głos już nie brzmiał w głowie jak dobiegający z oddali, za co podziękowała alkoholowi.

Shaughnessy nie spuszczał wzroku ze swojego drinka.

– Musisz być bardziej konkretna. Dużo kłamałem.

To spokojne przyznanie się sprawiło, że Gretchen miała ochotę rzucić szklanką w jego twarz, patrzeć, jak rozbija mu nos albo – jeszcze lepiej – roztrzaskuje się na kawałki, które przecinają delikatną tkanę gałek ocznych. Ale bardziej niż tego chciała reszty whiskey. A on mógłby mieć problem z odpowiedzią, gdyby naprawdę to zrobiła.

Znów ten cholerny stosunek kosztów do korzyści.

– Nie chciałeś, żeby Marconi wznowiła śledztwo w mojej sprawie – powiedziała, bo wydawało się, że to dobry początek. – Dlaczego?

– Wierz lub nie, ale próbowałem cię chronić, Gretch – odparł, a potem spojrzał w górę, jakby był gotów odeprzeć cios. – To śledztwo powinno pozostać umorzone.

– I niech wszyscy wierzą, że zabiłam swoją... – zacięła się na słowie „ciotka”. Rowan nie była jej ciotką. Ale tak właśnie ludzie myśleli. Czy Shaughnessy wiedział, że to nieprawda?

Coś w sposobie, w jaki na nią patrzył, kazało jej myśleć, że tak.

Pokręcił głową.

– Masz udaną karierę. Twoje życie okazało się lepsze, niż się spodziewałem. Dlaczego chcesz w tym szperać?

I po tym pytaniu wszelkie wątpliwości, czy miał coś więcej wspólnego ze śmiercią Rowan, niż chciał przyznać, ucichły. Bo znała Shaughnessy'ego. Był gliną z krwi i kości. Widziała to już wcześniej, kiedy pojawiały się nowe informacje o starych sprawach. Chciał znaleźć odpowiedzi tak samo jak wszyscy bez względu na to, przed ilu laty zakończono dochodzenie. Nawet jeśli to była jego sprawa i po jej wznowieniu mógłby zostać skrytykowany, nie wahał się wskazać własnych błędów.

Ten Shaughnessy, o którym myślała, że go zna, nie próbowałby jej odwieść od badania własnego przypadku – chyba że miałby coś obciążającego do ukrycia. Bardziej obciążającego niż zwykły błąd lub złamanie procedur.

Chyba że... może Shaughnessy był po prostu ładnie wykreowanym tworem, który Gretchen głupio uważała za autentyczny. Dla niej zawsze był ostoją moralności. Dała się do tego przekonać, ponieważ Shaughnessy podtrzymywał ten obraz. Był dobrym człowiekiem i wszyscy wiedzieli, że nim był.

Jednak Gretchen nigdy nie wierzyła w dobrych i złych ludzi, proste opcje binarne nigdy nie uwzględniały wszystkich niuansów, które obserwowała w swoim świecie. Wiedziała też, że często ci najbardziej niemoralni uważali, że są Gwiazdą Polarną, za którą należy podążać. Potrafili usprawiedliwić przed sobą każdy grzech i nadal uważać się za dobrych. Nie tylko dobrych, ale takich, którzy są ponad wszystkim.

Ileż razy przyłapywała Shaughnessy'ego na przyglądaniu się jej, obserwowaniu, czekaniu, aż da ciała tak bardzo, że dowiedzie to, iż miał rację?

A jednak tkwili w otoczeniu jego sekretów, kłamstw, jego tchórzostwa.

Gdzie były te jej?

Ludzie przyklepili jej etykietkę potwora, ale jeśli życie składało się z działań, a nie myśli, Gretchen wypadła lepiej od wielu tych, którzy wywyższali się nad nią, ponieważ była zła.

– Znałeś Rowan na długo przed tym, jak została zamordowana – powiedziała, nalewając sobie kolejną porcję na trzy palce i kapkę na dokładkę.

– Tak, przelotnie – przyznał, kiwając głową od niechcenia, jakby przez trzydzieści lat nie chował tego smakowitego kąska tylko dla siebie.

– Nie sądziłeś, że warto o tym wspomnieć w policyjnym raporcie? – zapytała. I zanim zdążył wyjąkać jakąś marną wymówkę, ciągnęła: – A co z faktem, że tamtej nocy w domu była niania?

Spojrzał na nią, cienie wypełniły głębokie bruzdy na jego twarzy.

– Odrobiłaś pracę domową.

– A ty unikasz odpowiedzi na moje pytania.

– Nie mogłem powstrzymać Tabithy przed ubieganiem się o tę pracę – powiedział, spoglądając w okno. W chwili, gdy wymówił imię Tabithy, Gretchen zrozumiała, że tym, co ukrywał, nie było zwykłe kłamstwo ani jakieś niejasne powiązanie. Nie dało się zaprzeczyć – zataił fakt, że siostra ofiary zabójstwa uznanego za nierozwiązaną sprawę pracowała w miejscu kolejnego morderstwa. – Tabby... Była dobrą dziewczyną.

– W przeciwieństwie do mnie – stwierdziła łagodnie.

„Ona jest tylko dzieckiem” – przypomniała sobie, jak powiedział to o trzynastoletniej psychopatce Violi Kent.

Ja też byłam.

Ja. Też. Byłam.

– Zaczynam myśleć, że nie należy ufać twojej definicji „dobrego” – stwierdziła w zamyśleniu, kończąc drinka. Miała ochotę na kolejnego, ale wiedziała, że powinna być przynajmniej trochę trzeźwa podczas tej rozmowy. Tej patowej sytuacji. Trzymała szklankę w dłoni. – Co właściwie decyduje o tym, że dziewczyna jest dobra, detektywie Shaughnessy?

– Nie rób tego. Nie udawaj, że oboje nie wiemy, kim jesteś.

– Socjopatką – odrzekła ze złością. – Przypominasz mi o tym codziennie, odkąd skończyłam osiem lat.

Shaughnessy spojrzał jej w oczy.

– Jeśli to jedyna dobra rzecz, jakiej dokonałem w życiu, umrę jako szczęśliwy człowiek.

Gretchen rzuciła mu szklanką w twarz. W końcu już ją opróżniła.

Zasłonił się przedramieniem i szkło ze stłumionym odgłosem spadło na dywan.

Patrzyli na siebie tak, jak robili to tysiące razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. On, czekając, by zdjęła maskę i odsłoniła potwora pod spodem; ona, kurczowo trzymając się swego wizerunku, by go oszukiwać choć przez sekundę dłużej.

Chociaż w toku tego śledztwa cały czas kwestionowała jego moralną integralność, zdała sobie sprawę, że wraca do bezpieczeństwa ich poprzednich ról. On – przełożony; ona – próbująca się wykazać.

– Masz mnie w takiej pogardzie – zauważyła. Może Marconi miała rację i Shaughnessy ochrzaniał innych gliniarzy za mówienie o niej za jej plecami. Ale jakie to miało znaczenie, kiedy siedział tu, patrząc na nią z mieszaniną ostrożności i niesmaku? Jakie to miało znaczenie, gdy mówił takie rzeczy? – Dlaczego pozwalasz mi pracować nad sprawami, jeśli uważasz, że jestem wystarczająco niestabilna, by zabić kogoś z zimną krwią?

Ponieważ Marconi miała rację. To rzeczywiście wydawało się wskazówką, niemal znakiem, który wysyłał, z czego nie zdawała sobie sprawy. Co oznaczało, że wiedział, iż nie zabiła Rowan, a mimo to pozwalał jej przez całe życie myśleć, że to zrobiła.

Logicznym powodem było to, że próbował odwrócić jej uwagę – i każdego, kto przyglądał się zbyt uważnie – od własnych zbrodni.

– Stosunek kosztów i korzyści – wyjaśnił, jakby naprawdę w to wierzył. To był jej sposób rozumowania, nie jego. Nigdy nie działał w ten sposób, nie w ciągu trzydziestu lat ich znajomości. – Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Zabiłeś Rowan? – zapytała. Myślała, że robi wrażenie opanowanej, że wzburzony strumień rwący w jej wnętrzu został należycie zatamowany stalową ścianą, którą wznosiła przez całe życie.

– Nie rozumiem... – Shaughnessy urwał, znów spoglądając w okno.

– Czego? – zapytała ostro, mimo że nie znosiła tego słowa.

Shaughnessy potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz w to uwierzyć.

– Uwierzyć w co? – Ta przepaść, ziejąca pustka znów się czaiła.

– Gretchen – rzekł Shaughnessy niemal łagodnie. – Nigdy nie było żadnych wątpliwości. To zawsze byłaś ty. Ty zabiłaś Rowan.

## ROZDZIAŁ 33

SHAUGHNESSY

1988

Postanowienie Shaughnessy'ego, by nigdy więcej nie myśleć o Andersie Whicie, przetrwało sześć miesięcy.

Potem rozległo się pukanie do jego drzwi.

Kolejny z White'ów na jego werandzie. Tym razem Anders właśnie, oświetlony od tyłu oślepiającym słońcem.

Był ubrany tak samo nienagannie jak za pierwszym razem w ich rezydencji, kiedy Shaughnessy wciąż miał mleko pod nosem i desperacko próbował narobić sobie kłopotów.

Shaughnessy o mało nie zamknął drzwi przed gościem, ale nie tak łatwo było pozbyć się obsesji, która zakorzeniła się w nim pięć lat wcześniej.

Cofnął się i gestem zaprosił Andersa do środka.

– Kawa? – zapytał Anders, jakby to była towarzyska wizyta, a on był gospodarzem. Jakby nie wiedział, że Shaughnessy uważa go za potwora, który torturował siostrę i zabił kto wie, jak wiele innych dziewczyn.

Shaughnessy chrząknął i poprowadził go do kuchni, zachowując pozory.

Minęły lata, odkąd miał jakikolwiek rzeczywisty kontakt z tą rodziną poza monitorowaniem ich działań na odległość. Gdyby Anders chciał wystąpić o zakaz zbliżania się, zrobiłby to znacznie wcześniej.

– Mogę opowiedzieć panu pewną historię? – zapytał Anders z wytwornym akcentem, który musiał uspokajać nawet jego najbardziej wybuchowych pacjentów. Oparł się o lepki kuchenny blat, jakby zupełnie nie dbał o swój garnitur za trzy tysiące dolarów.

– Tak jakbym mógł pana powstrzymać – mruknął Shaughnessy, ale to nie był prawdziwy protest. Od lat czekał na wyznanie Andersa.

– To studium przypadku, który chyba mógłby pana zainteresować – zaczął Anders. Gdy Shaughnessy pokazał mu śmietankę do kawy, skinął głową, a potem wziął swój kubek. Jednak zaraz go odstawił. Chciał mieć

wolne ręce, a jednocześnie uspokoić Shaughnessy'ego, co ten – gliniarz nieustannie analizujący zagrożenia – zauważył.

– Pacjent miał urojenia paranoidalne – powiedział łagodnie Anders, jakby przekazywał mu złą wiadomość.

Palce Shaughnessy'ego zadrżały. Odstawił własny kubek i skrzyżował ręce na piersi, aby ukryć wszelkie reakcje.

– Nie wiem, dlaczego pan uważa, że byłoby to dla mnie interesujące.

– Wiem – odparł tamten, a w kącikach jego ust pojawił się leciutki, smutny uśmiech. – Ten pacjent żył we własnym świecie pełnym seryjnych zabójców. W dzisiejszych czasach jest to dość powszechna fantazja. Nie można już otworzyć gazety, by nie przeczytać o profilu któregoś z tych potworów.

Shaughnessy się zaczerwienił. Ze wstydu lub wściekłości, a może obu tych powodów.

– Ale widzi pan, to wszystko było projekcją – kontynuował Anders.

Krople potu spływały Shaughnessy'emu z za uszu na kark. Starał się nie mrugać, nie odrywać wzroku od mężczyzny.

– W rzeczywistości pacjent dokonywał potwornych czynów, którymi pogardzał – ciągnął psychiatra, wciąż irytująco łagodnie. – Nie mógł jednak znieść tej prawdy. Tak więc, aby się chronić, jego umysł się rozpadł, a on przekonał siebie, że te przerażające zbrodnie popełnia ktoś inny. Naprawdę wierzył, że robi to ktoś inny. – Zrobił uspokajający wdech, podczas gdy płuca Shaughnessy'ego zacisnęły się z braku tlenu. – W tym przypadku przypisał te zbrodnie mnie.

Na krańcach pola widzenia Shaughnessy'ego pojawiły się błyski i miał wrażenie, że jego ciało niemal uniosło się w powietrzu bez jego zgody. Niezwykła, spokojna pewność w głosie tego człowieka wywołała odruch „walcz lub uciekaj” i detektyw zablokował kolana, aby się nie odwrócić i nie uciec od wszystkich implikacji kryjących się w odstępach między słowami Andersa.

Ściskając skrzyżowane ręce, aż bolały go palce, Shaughnessy skoncentrował się na nierównym wznoszeniu się i opadaniu ramion, dopóki nie odzyskał kontroli nad swoimi reakcjami.

„Nie jesteś szalony”, powiedział sobie w duchu.

Ale wtedy w ciemnych zakamarkach jego umysłu zaczęła się paplanina.

Zafiksowany.

Psychol.

Maniak. Opętany. Zatracony. Nawiedzony.

Obsesjonat.

Naprawdę wierzył, że robi to ktoś inny...

– Wiem, że trudno się z tym pogodzić, Patricku – powiedział Anders. – Musi pan zrozumieć, wcześniej nie byłem pewien. Nie miałem pewności, że były rzeczywiste ofiary. Ale teraz... Nie zostawił mi pan wyboru.

– Nie wiem, o czym pan, do cholery, mówi – odparł Shaughnessy. „Chyba krzyknąłem”, pomyślał. Jego głos odbił się od ścian ciasnej kuchni. Nie zamierzał krzyczeć.

Anders syknął uspokajająco, wciąż opanowany.

– W następnej kolejności będę musiał zwrócić się do policji. Jeśli pan nie może przyznać się do tego, co robi.

– Ja jestem cholerną policją – warknął Shaughnessy. Z roztargnieniem zauważył miedziany posmak na języku oznaczający, że przygryzł miękkie wnętrze policzka. – Nie może pan mną manipulować, White. Nikogo nie zabiłem. To przez cały czas był pan.

– Niech pan mi po prostu powie, a rozwiążemy to wszystko. – Anders przechylił głowę, próbując spojrzeć mu w oczy. – Gdzie ona jest, Patricku?

Łagodnie, tak łagodnie. A jednak zapiekło jak rozgrzany do czerwoności pogrzebacz przytknięty do świeżej rany. Shaughnessy potrząsnął głową.

Podchodząc bliżej, Anders wyciągnął ręce jak przed płochliwym zwierzęciem.

– Gdzie jest Rowan, Patricku? – zapytał. – Co zrobiłeś z jej ciałem?

## ROZDZIAŁ 34

GRETCHEN

Teraz

Gretchen siedziała w porsche zaparkowanym przed domem Marconi wystarczająco długo, by widzieć, jak słońce znika za horyzontem. Nie tyle myślała, ile po prostu była. Wdech, wydech.

Przetrwanie.

Przyjechała do Marconi z mieszkania Shaughnessy'ego, tak naprawdę nie podejmując świadomej decyzji. To był instynkt.

Wiedziała, że nie zostanie mile przyjęta. Może nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie czuli się w określony sposób w pewnych sytuacjach, ale robiła to wystarczająco wiele razy, wkurzyła wystarczająco dużo osób, by niczym naukowiec przewidzieć najbardziej prawdopodobny wynik.

Zastanawiała się, czy gdyby role się odwróciły, obeszłyby ją słowa, które rzuciła do Marconi, dobrane tak, by zranić jak najgłębiej. Gretchen była dobra w posługiwaniu się nożami, nawet jeśli to miało metaforyczny sens.

Nie zostawiła sobie dość czasu, by skatalogować wyrazy twarzy policjantki, pławić się w bólu, który jej zadała. Ale niemożliwe, żeby go tam nie było.

Wyrozumiałość Marconi miała swoją granicę, którą Gretchen z impetem przekroczyła, zostawiając za sobą tak daleko, że nie mogłaby jej nawet zobaczyć we wstecznym lusterku.

Problem polegał na tym, że Marconi była zbyt przywiązana. Gdyby Gretchen urządziła tę scenę choćby trzy miesiące temu, kobieta prawdopodobnie zgromiłaby ją spojrzeniem z pustym wyrazem twarzy, uniesionymi brwiami, niewzruszona tym napadem furii.

Jednak normalni ludzie tworzą więzi. I pomimo ostrzeżeń Gretchen w grę wchodziły delikatne uczucia Marconi.

Co oznaczało, że jeśli Gretchen chce, by ta kobieta pozostała w jej życiu, musi się pokajać.



To było kolejne odkrycie, do którego doszła, podjeżdżając do krawężnika. Chciała Marconi w swoim życiu. To była jej jedyna myśl, gdy Shaughnessy spojrzał na nią pełnymi współczucia oczami i powiedział: „To zawsze byłaś ty”.

Jego słowa nie przypominały tych, które rzuciła do Marconi. Nie zraniły. Nie były ząbkowaną stalą wbijającą się w jej ciało. Tylko tak wyglądały. Pod okleiną krył się tani metal, który zginał się, pękał i odpryskiwał. Bez mocy.

Ponieważ teraz wiedziała, że są kłamstwem.

Przed tą małą sceną w jego mieszkaniu tak naprawdę nie wierzyła, że Shaughnessy zabił Rowan. Zachowywał się podejrzanie, dlatego przypuszczała, że coś ukrywa. Jednak to uporczywe upieranie się przy jej winie kazało jej myśleć, że owo „coś” może być dla niego cholernie obciążające.

W tej sprawie nie zgadzało się zbyt wiele rzeczy, by mógł mieć pewność, iż to ona zabiła – chyba że był tego świadkiem. A jeśli tak, dlaczego nie powstrzymał jej przed popełnieniem morderstwa?

Nie. Albo zabił Rowan, albo krył osobę, która to zrobiła.

Tabitha Cross?

Fred nadal się nie odezwała, by podać jej obecny adres, i Gretchen zastanawiała się, czy to dlatego, że nie istniał.

Czy Tabitha i detektyw Liam Boyd byli ofiarami? Każdy, kto mógłby połączyć Rowan i Shaughnessy’ego, płacił za to życiem?

Gretchen nie wiedziała. Jednak Marconi okazała się pomocna, a ona już nie ufała niczemu, co mówił Shaughnessy.

To oznaczało, że musi wypić piwo, którego nawarzyła, bez względu na to, jak gorzkie miałyby się okazać.

Gretchen nie przywiozła Marconi niczego, choć pomyślała, że reguły postępowania w takim przypadku mogą wymagać albo drogiego alkoholu, albo jakiegoś jedzenia na przeprosiny.

Miała do zaoferowania tylko siebie.

„Potrzebujemy w życiu ludzi, którzy nie oczekują od nas, że będziemy kimś innym, niż jesteśmy”.

Marconi dokładnie wiedziała, kim jest Gretchen. A ta musiała się dowiedzieć, czy tego ranka kobieta nie uznała, że nie warto przy niej zostać.

Przez chwilę Gretchen zatęskniła za Leną Booker, kobietą, którą Marconi pozornie zastąpiła jako przyjaciółka. Ale gdyby Lena nie umarła, Gretchen nie poznałaby Marconi. A może by poznała, ale w odmiennych okolicznościach ich relacja prawdopodobnie byłaby zupełnie inna.

Gretchen nie potrafiła sklasyfikować tych dwóch kobiet, i to nie z powodu emocji czy sentymentalizmu, ale dlatego, że obie wносиły coś innego. I w końcu nie miało znaczenia, czy Gretchen preferowała którąś z nich. Nie była pewna, czy skorzystałaby z możliwości, aby cofnąć się w przeszłość i uratować Lenę, tracąc tym samym to, co miała z Marconi, ale to pytanie nie miało sensu. Czas płynie naprzód, niezależnie od tego, czy człowiek tego chce, czy nie.

Wysiadając z samochodu, zastanawiała się, jak zareaguje, gdy kobieta zatrzaśnie jej drzwi przed nosem lub wyciągnie broń – mimo że nie potrafiła sobie wyobrazić, że ta pozwoliłaby sobie na coś tak dramatycznego.

Stała przed jej mieszkaniem. To był moment, by odejść. W tym zawodzie przywiązanie oznaczało słabość, a Gretchen zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby nie wydać się słaba.

Mogła zrobić i to. Mogła odejść. Marconi okazała się pomocna, ale nie była niezastąpiona.

A jednak...

Gretchen zapukała.

Istniała możliwość, że Marconi będzie udawać, że jej nie ma. Gretchen dała temu jakieś dwadzieścia procent, mimo że kobieta nie była tchórzem.

I otwierając drzwi, pokazała, że Gretchen miała rację.

Jednak nic nie powiedziała, tylko oparła się o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzyła na nią. Na jej szyi było widać delikatne smugi fioletu i czerwieni. Coś głęboko w zakamarkach umysłu Gretchen mówiło jej, by nacisnąć siniec, żeby zobaczyć, jak jest głęboki.

Nie.

Potrafi zapanować nad impulsami.

Gretchen nabrała powietrza, wypuściła i oderwała wzrok od śladów, które zostawiła na szyi Marconi.

– Nie musisz mi wybaczać...

– Przestań. – Policjantka podniosła dłoń. – Przepraszamy liczą się tylko wtedy, kiedy są szczerze.

– Ale mogę to powiedzieć, jeśli chcesz.

– Może później – odrzekła Marconi. W innym momencie mogłoby się to zmienić w żartobliwe docinki. Ale to nie był ten moment. – Czego chcesz?

– Potrzebuję twojej pomocy. – Gretchen z wysiłkiem powiedziała prawdę, a w ustach pozostał jej cierpki, lepki posmak.

– Oczywiście, że tak – przyznała spokojnie policjantka. – Ale podaj mi choć jeden powód, dla którego powinnam się tym przejmować.

– Bo myślę, że bardziej chcesz wiedzieć, kto zabił Rowan, niż mnie ukarać – zaryzykowała. To była Marconi. Jej ciekawość dorównywała ciekawości Gretchen.

Kobieta się nie poruszyła, ale to również znaczyło, że nie zamierza zamknąć jej drzwi przed nosem.

– Dokończ ze mną tę sprawę – zaproponowała Gretchen. – A potem możesz mnie zabrać na strzelnicę i używać jako tarczy, jeśli zechcesz.

– Użycie broni wiąże się z mnóstwem papierkowej roboty. I szczerze mówiąc... – Zawiesiła głos, obrzucając Gretchen wzrokiem od góry do dołu.

– Nie jesteś tego warta.

– Touché. – Im więcej werbalnych policzków wymierzała jej Marconi, tym bliżej była równowaga między nimi. Gretchen będzie potrafiła żyć z ich piekącym bólem. – Jestem pewna, że wymyślisz jakiś oryginalny sposób, żebym cierpiała.

Usta Marconi drgnęły w lekkim uśmiechu, pierwszym prawdziwym przebłysku emocji.

– Trzymam cię za słowo.

– To znaczy, że mi pomożesz? – naciskała Gretchen.

Marconi pozwoliła, by zawisła między nimi cisza, a Gretchen niemal widziała na nowo położone cegły, odbudowany mur, który runął podczas śledztwa w sprawie Kentów.

– Nie pomogę ci – powiedziała w końcu, odsuwając się od drzwi. Zanim Gretchen mogła odpowiednio zareagować na te słowa, zaprosiła ją do środka. – Zrobię to, żeby rozwiązać zagadkę zabójstwa Rowan.

Bez względu na to, jaką gimnastykę umysłową Marconi musiała wykonać, Gretchen to nie obchodziło. Wróciła do sprawy. Tylko to się liczy. Poradzi sobie z jej urażonymi uczuciami, kiedy poczuje się bardziej zdolna dbać o cokolwiek poza tym śledztwem.

Uspokajanie empatów zabiera energię, której nie mogła zbyt często z siebie wykrzesać.

Jednak ponieważ była, kim była, gdy weszła do mieszkania Marconi, nie mogła się powstrzymać.

– Powiedziałaś, że będziesz mnie tolerować.

Tolerować złe zachowanie, wybuchy gniewu. Marconi powiedziała to, kiedy wdarła się do jej mieszkania i wyrwała Gretchen ze stanu kompletnego zawirowania.

– Toleracja nie obejmuje napaści – zastrzegła Marconi twardo. Najwyraźniej nie była w nastroju, by wrócić do ich lekkich przekomarzanek.

– Nie zastrzegałaś tego – zaprotestowała Gretchen, bo czy kiedykolwiek była mądra, jeśli chodzi o takie sprawy?

Marconi spojrzała na drzwi, jakby rozważała wypchnięcie z nich Gretchen. Jednak westchnęła, wola walki częściowo ją opuściła.

– Jeżeli jeszcze kiedykolwiek podniesiesz na mnie rękę, wniosem oskarżenia. Powodzenia w utrzymaniu fuchy policyjnej konsultantki po czymś takim.

Ta groźba była o wiele poważniejsza ze względu na spokojny sposób, w jaki została wypowiedziana. Marconi nie blefowała.

Gretchen przeszły ciarki. Aby zneutralizować to coś, co za bardzo zbliżało się do strachu, Gretchen naruszyła osobistą przestrzeń policjantki, mrużąc:

– A jeśli zechcesz, żebym cię dotknęła?

Marconi nie drgnęła, nie zaczerwieniła się, nie zająknęła. Po prostu patrzyła niewzruszona.

To była ta twarda postawa, na którą Gretchen z radością patrzyła podczas przesłuchiwania rodziny White'ów. Przyjęta wobec niej była mniej zabawna.

Język zeszywniał jej w ustach, przełknęła ślinę i cofnęła się. Rzadki u niej ruch. Wiedziała, rozumiała, że to wymaga przeprosin, i wydusiła je.

– Przepraszam.

– Nie chcę twoich przeprosin – odparła Marconi. – Nie są szczerze. Natomiast chcę, żebyś przyznała, że słyszałaś, kiedy powiedziałam, że jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, wniosem oskarżenia.

Gretchen przygryzła wewnątrz policzka, gdzie krzyżowały się świeże i stare blizny. Udało jej się kiwnąć głową, gdy odwróciła wzrok, obejmując nim otoczenie.

– W porządku. Zatem możemy pracować nad tą sprawą. – Marconi zamilkła na moment. – Tą i tylko tą. Potem każda z nas idzie w swoją stronę.

Po raz pierwszy w życiu Gretchen postanowiła się nie odzywać. Chciała powiedzieć, że Marconi jest zła i zraniona, że nie powinna podejmować takich decyzji, dopóki wciąż ma siniaki na szyi. Ale była prawie pewna, że gdyby o tym wspomniała, ta by ją wyprosiła.

Gdyby to była inna sytuacja i Gretchen po raz pierwszy zobaczyłaby małe mieszkanie Marconi, już by je bezczelnie eksplorowała, dotykałaby ram jasnych obrazów na ścianach, przestawiała bibeloty, przetrząsała, a potem porządkowała półkę z książkami. Zostawiłaby w tym miejscu swój ślad, tak jak zostawiła go na Marconi.

Jednak Marconi najwyraźniej nie była w nastroju do wybaczenia i Gretchen stąpała po linie, desperacko próbując utrzymać kontrolę dzięki jej najcieńszej, najbardziej przeciążonej nici.

Nie potrzebowały, by coś zachwiało tą delikatną równowagą, którą właśnie ustanowiły.

Teraz policjantka obserwowała Gretchen z rękami wciąż skrzyżowanymi na piersi. Ale wyraz jej twarzy zmienił się w zamyślony.

– Znalazłaś coś.

Gretchen nie wiedziała, co zrobić z rękami, ze swoim ciałem. Postanowiła po prostu usiąść na jednym z tapicerowanych foteli, które składały się na źle umeblowany salon Marconi.

„To zawsze byłaś ty”.

– Shaughnessy zabił Rowan – wypaliła, bo wiedziała, że to zaintryguje policjantkę bardziej niż wszelkie nijakie wieloznaczności. I powiedzenie tego wydawało się słuszne.

Marconi zakołysała się na piętach. „Zaskoczona”, podpowiedział umysł Gretchen, jakby nic się nie zmieniło, jakby katalog reakcji tej kobiety wciąż był dla niej dostępny.

– Wiesz to na pewno? – Ton był neutralny, jednak kryła się w nim źle zamaskowana ciekawość.

– Tak – odparła. Było to tylko częściowe kłamstwo, zagłuszone przez błysk triumfu, który pojawił się wraz z zainteresowaniem Marconi. – A ty pomożesz mi to udowodnić.

## ROZDZIAŁ 35

TABBY

1993

Tabby wystarczyła godzina, by przekonać się, że Gretchen White jest dzieckiem dziwnym, ze skłonnością do wygłaszania okrutnych uwag i umysłem, który boi się nudy.

To jednak nie czyniło z niej potwora, jakim Bardot White odmalowała jej swoją córkę.

A jeśli Tabby będzie miała szczęście i dobrze to rozegra, może uda jej się zmienić Gretchen w swoją sojuzniczkę.

Natomiast Rowan White ją przerażała.

W pierwszych dniach było to tak subtelne, że Tabby pomyślała, iż Rowan mogłaby być starszą wersją Gretchen. Złośliwą, ale w sposób, który można ignorować.

Dochodziło do wymiany drobnych słownych ciosów, zwłaszcza między Bardot a Rowan, ale Tabby założyła, że to tylko nieuniknione starcie dwóch dorosłych kobiet, które nie lubiąc się, próbowały mieszkać razem.

„Nalej sobie jeszcze jednego drinka, kochanie”, zagruchała Rowan któregoś razu, gdy Bardot wytknęła jej, że nie ma pracy. „Wiem, że to nie może całkowicie stłumić przygnębiającego zwątpienia w siebie, które czujesz za każdym razem, gdy nie dorastasz do naszego nazwiska, ale zawsze możesz próbować”.

Tabby chciała wyprowadzić Gretchen, ale dziewczynka obserwowała tę wymianę zdań głodnym wzrokiem kogoś, kto uwielbia emocjonalną przemoc.

Co za cholerna rodzina.

Tabby miała gdzieś spór, który Bardot i Rowan toczyły między sobą, ale szybko zdała sobie sprawę, że wykracza on poza drobne kłótnie.

Nie bez powodu Bardot trzymała w swoim gabinecie broń.

Zaczął się w drugim tygodniu, kiedy Tabby mieszkała już w kamienicy White'ów. Przeglądała zadanie domowe Gretchen z matematyki – dziecko było naprawdę mądre pomimo braku umiejętności społecznych. Gdy podniosła wzrok, Rowan stała nad nimi.

Obserwując w milczeniu.

Nie odezwała się nawet wtedy, gdy ją zauważyły. Po prostu stała jeszcze chwilę, a potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

– Lubi cię – zauważyła Gretchen, patrząc zdumiona na Tabby wielkimi, jasnoniebieskimi oczami.

Z jakiegoś powodu brzmiało to bardziej jak przekleństwo niż komplement.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała Tabby, starając się, by zabrzmiało to jak od niechcenia. Okazanie czymś zainteresowania gwarantowało, że Gretchen wbije w owo coś swoje małe pazurki. Nie była wystarczająco dorosła ani doświadczona, żeby sprawić ból, ale mogłaby dokuczyć.

– Zobaczysz – powiedziała dziewczynka.

Tabby na tym poprzestała. Nie chciała komplikować sytuacji, a zresztą co mogła wiedzieć ośmiolatka?

Następnej nocy Tabby obudziła się na dźwięk otwieranych drzwi jej pokoju. Dopiero po tygodniu zaczęła naprawdę spać. Wciąż bała się Cala, nawet pomimo ścisłej ochrony w domu White'ów.

Gdy cień zbliżył się do łóżka, poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny.

Sięgające do niej blade palce.

Tabby cofnęła się gwałtownie i przycisnąwszy plecy do ściany, objęła rękami kolana, żeby wydać się jak najmniejsza.

Ręka opadła i sylwetka przybrała postać kobiety. Nie Cala.

Ta świadomość nie uspokoiła bicia serca Tabby.

Rowan znieruchomiała przy jej łóżku.

– Zastanawiam się, czy będziesz błagać tak jak ona.

A potem odeszła.

Tabby przycisnęła pięść do ust, by stłumić szloch. Drżała tak mocno, że bała się, iż zaraz się rozpadnie.

Przyszło jej na myśl, że może trzeba by powiedzieć coś Bardot. Jednak wnosząc z mieszaniny strachu i obrzydzenia, z jaką ta kobieta patrzyła na Rowan, Tabby domyślała się, że Bardot nie była całkiem nieświadoma zachowania szwagierki.

Czasami zastanawiała się, czy ta noc była testem ze strony Rowan. Żeby zobaczyć, czy jej się przeciwstawi. Ponieważ od tej pory Rowan ją obserwowała. Dotykała Tabby, kiedy mogło jej to ujsć na sucho. Tylko czubek palca wzdłuż obojczyka, muśnięcie warg na karku, tak lekkie, że można je pomylić z powiewem wiatru.

Może Tabby powinna była ją uderzyć. Albo po prostu spakować walizki i odejść.

Jednak nie mogła zapomnieć tego „Zastanawiam się, czy będziesz błagać tak jak ona”.

To był ledwie cień teorii. Być może Rowan tylko prowokowała Tabby.

Ale może to było coś innego.

– Lubi cię – powtórzyła Gretchen pewnego popołudnia. Tym razem rozwinęła myśl. – Rozmawia z tobą.

Dziewczynka powiedziała to prawie z roztargnieniem, patrząc na nożyce leżące obok projektu na zajęcia plastyczne, który rozpoczęły tego ranka. Światło błysnęło na metalu i Tabby była pewna, że widzi reakcję w oczach Gretchen.

– A z tobą nie rozmawia? – zapytała. Chociaż teraz, kiedy o tym myślała, uświadomiła sobie, że Gretchen ma rację. Rowan odzywała się do kogoś tylko wtedy, gdy wbijała w niego swoje w pełni dorosłe i ostre jak brzytwa pazury.

– Och, ona mnie nienawidzi – odparła Gretchen bez cienia emocji. Podniosła nożyce zbyt duże dla dziecka, ale tylko takie Tabby mogła znaleźć, po czym przycisnęła język do czubka jednego z ostrzy.

Tabby rzuciła się do niej przez stolik.

– Gretchen!

Dziewczynka obserwowała ją z lekkim, dziwnym uśmiechem.

– Przestraszyłam cię?

Właśnie takie drobiazgi, momenty, w których Gretchen chłoneła reakcję, jakby ta mogła ją pokrzepić, dawały najlepszy wgląd w niespokojny umysł dziewczynki. Gretchen nie polizała nożyc, aby posmakować własnej krwi, ale dlatego, że chciała zobaczyć, co robi Tabby.

– Tak. – Tabby uznała, że bezpiecznie będzie to przyznać.

– Rowan rozmawiała ze mną o tobie – powiedziała Gretchen. Z lekko otwartą buzią, dyszała z podniecenia. Niczym ćpunka, ilekroć czegoś zakosztowała, pragnęła więcej. Właśnie dlatego Tabby nauczyła się



zachowywać jak największy spokój, kiedy była prowokowana. W przeciwnym razie trwałoby to całe popołudnie.

Teraz nie mogła stłumić dreszczu pod skórą, chociaż udało jej się utrzymać spokojny głos.

– Tak? – zapytała.

Gretchen skinęła głową, wpatrując się w jej twarz.

– Chcesz wiedzieć, co powiedziała?

Odmowa nie była dobrym rozwiązaniem. Gretchen i tak jej to zdradzi. I jakaś jej część nie mogła się oprzeć.

– Jeśli masz ochotę mi powtórzyć.

– Mówi, że wyglądasz jak ona – oznajmiła Gretchen. Była zbyt niedorośła, zbyt uradowana. Rowan przycisnęłaaby Tabby i wymruczała te słowa z ustami przy jej uchu. Ale Gretchen dopiero ćwiczyła bycie potworem i jeszcze nie doszła do perfekcji.

– Cóż, myli się – odparła nieporuszona beznamiętnym tonem.

– Kogo miała na myśli? – Gretchen chciała wiedzieć, desperacko tego potrzebowała.

Tabby uśmiechnęła się doskonale nijakim uśmiechem.

– Moją siostrę.

## ROZDZIAŁ 36

GRETCHEN

Teraz

– Jaki Shaughnessy miał motyw? – zapytała Marconi, wsysając makaron w sposób całkowicie pozbawiony godności.

Po trzech godzinach analizowania wszystkich informacji, które zebrały na temat zabójstwa Rowan, zamówiły chińszczyznę.

Gretchen, która dawno temu do perfekcji opanowała jedzenie pałeczkami, bez problemu podniosła do ust lo mein.

– Jak mówiłam, Shaughnessy nigdy nie wydał mi się psychopata.

– A więc pozostaje wściekłość – stwierdziła Marconi. – I najwyraźniej długo łączyła go z Rowan relacja, przez którą nagromadziło się w nim dużo gniewu.

– Zwłaszcza jeśli postawił ją na piedestale – powiedziała powoli Gretchen. – Jak w przypadku kompleksu stalkera, o którym mówiłaś.

– Z łatwością mógł wynająć jakiegoś nastolatka, żeby namówił Fran do wyłączenia systemu alarmowego – kontynuowała Marconi. – Ile by to kosztowało? Dwadzieścia dolców?

– To byłoby bardzo łatwe – zgodziła się Gretchen. – Dostać się do domu, zabić Rowan, zostawić mnie tam z nożem, a potem odjechać kilka przecznic dalej. Poczekać na telefon, aby kontrolować miejsce zbrodni, na wypadek gdyby zostawił jakieś dowody. W ten sposób mógł wyjaśnić ewentualną obecność swoich odcisków palców lub włosów. W najgorszym wypadku dostałby po łapach za to, że nie włożył rękawiczek.

– Ale jak znalazłaś się w tym pokoju? – Marconi zadała pytanie, nad którym jej partnerka zastanawiała się już jakiś czas. – Poszłabyś z nim?

– Nie, nigdy – odparła Gretchen bez wahania. Była upartym dzieckiem.

– Poszłabyś z Tabithą?

Gretchen się zastanowiła.

– Możliwe, ale chyba jednak nie. Uznasz to za szokujące, ale nie lubiłam, by mi mówiono, co mam robić.

Usta Marconi drgnęły leciutko. Nie na tyle, by nazwać to uśmiechem, ale jednak.

– Mógł cię zanieść.

– To prawda. – Gretchen przechyliła głowę. – Ale w takim razie po co kłamać na temat obecności Tabithy jako głównego świadka?

Zamiast przedstawić możliwe wyjaśnienie, Marconi zapytała:

– Czy ty ją w ogóle pamiętasz?

– Nie. Chyba to była jakaś zwykła dziewczyna... – zastanowiła się. – One dość często się zmieniały.

– Bo jesteś socjopatką – stwierdziła Marconi o wiele bardziej obcesowo niż dotychczas. Ale jeśli myślała, że Gretchen choćby drgnie...

– Tak. Możesz sobie wyobrazić, ile niań przegoniłam.

Marconi nie wspomniała teraz o nożu. W końcu nie była socjopatką.

– To musi sięgać osiemdziesiątego trzeciego roku, prawda?

– Zakrwawiona Rowan White wybiega na środek drogi. A dwa tygodnie później Jennifer Cross zostaje zamordowana.

– Przeskakujemy o dziesięć lat do przodu i siostra Jennifer znajduje się w miejscu zabójstwa Rowan. A sądzimy, że zostało popełnione w afekcie. Chodzi mi o to, że... Gdybym spojrzała na te dwa fakty kompletnie osobno, wiesz, co bym pomyślała?

– Że Tabitha zabiła Rowan z zemsty, ponieważ myślała, że zabija morderczynię Jennifer – odpowiedziała Gretchen, a potem zmarszczyła nos. – Niezła kara.

– Jednak w osiemdziesiątym trzecim roku Rowan wyglądała na ofiarę – ciągnęła Marconi. – A więc czy to była gra?

Gretchen zdjęła z oczu klapki empatki, które zwykle zakładała, próbując zrozumieć świat za pomocą logiki zmienionej przez emocje. Zamiast tego pozwoliła sobie myśleć po swojemu.

Jeśli chciała kogoś zabić, było kilka dobrych sposobów, żeby się z tego wyplątać. Po osobistym kontakcie z systemem organów ścigania, a następnie pracy dla niego, Gretchen doszła do wniosku, że potencjalnych morderców zbytnio martwi kwestia pozbycia się ciała, jakby to była największa przeszkoda w uniknięciu kary.

Trzeba założyć, że zwłoki zostaną jednak znalezione. Albo ich fragmenty. Trudniej je zniszczyć, niż sądzi nawet najbardziej zdeterminowany

psychopata. Ważniejsze jest znalezienie kogoś, kogo wrobi się w morderstwo.

To oczywiście zależy od okoliczności. Viola Kent była absolutnie doskonałym kozłem ofiarnym, ponieważ zabijała zwierzęta i torturowała swoich braci. Nawet gdyby twierdziła, że jest niewinna, nikt by jej nie uwierzył. Gretchen, choć w mniejszym stopniu, również się do tego nadawała. Brak szczególnej przemocy w jej przeszłości podważał wiarygodność tej historii, ale najwyraźniej nie na tyle, aby ktokolwiek wątpił, że jest zdolna do zabójstwa.

Ale jeśli pod ręką nie było trudnego dziecka, by zrzucić na nie winę – a tego, jak musiała przyznać, większość ludzi nie miała – dobry sposób na odwrócenie uwagi stanowiło stworzenie pozorów, że padło się ofiarą tego samego sprawcy.

– Ręce – mruknęła.

– Myślałam już, jakie to dziwne – zgodziła się Marconi. – Ale byłoby to jedyne powiązanie między tymi dwiema dziewczynami. I prawdę mówiąc, ten rodzaj nacięć nie jest jakoś szczególnie bolesny.

– Rowan pozwala, by ją znaleziono z takimi samymi ranami, jakie zada potem Jennifer – powiedziała Gretchen powoli, rozważając tę myśl. – Ponieważ wie, że dzięki temu będzie miała przykrywkę, gdy ciało Jennifer zostanie znalezione.

– Gibbs powiedział, że Shaughnessy złapał bakcyła – zauważyła Marconi. – Był bardzo daleki od tego, by obwiniać Rowan o śmierć Jennifer. Ściągał zbrodniarza, którego stworzył przez swoje błędy.

– Tyle że jest jeden ważny fakt. W dniu, w którym Jennifer zaginęła, Rowan była w szpitalu psychiatrycznym – podkreśliła Gretchen.

Marconi przekrzywiła głowę.

– W porządku, ale może Tabby nie zdawała sobie z tego sprawy. Może bawiła się w prywatnego detektywa i uznała, że Rowan jest idealną podejrzaną.

Gretchen skinęła głową, zastanawiając się nad tym.

– Czyli wymyśliła sposób, żeby dostać się do domu...

– Ale zobacz... – Marconi weszła jej w słowo. – Tego właśnie nie rozumiem.

– Po co nakłaniać Fran, żeby zostawiła wyłączony system bezpieczeństwa, jeśli już jesteś w środku? – Gretchen z łatwością podążyła

za tym logicznym rozumowaniem. – Może to był zbieg okoliczności, że Fran akurat tamtego wieczora wymknęła się z domu.

– Zatem jeśli Tabitha jest zabójczynią, dlaczego Shaughnessy miałyby pominąć ją w raporcie?

„Była dobrą dziewczyną”.

– Nadal próbuje mnie przekonać, że zabiłam Rowan – powiedziała obojętnie Gretchen, dojadając makaron.

– Dopiero teraz mi to mówisz? – zapytała Marconi, zerkając na zegar wiszący na ścianie.

– Odkąd jesteś taka przewrażliwiona? – Gretchen najbardziej lubiła w Marconi to, że zwykle trudno było ją zirytować.

– Ktoś próbował mnie udusić – stwierdziła Marconi ze śmiertelną powagą. – Mam przez to skłonność do irytacji.

Gretchen westchnęła i spojrzała na drzwi. Ale Marconi tylko niedbale machnęła ręką.

– Dobra, co jeszcze powiedział?

– Nic godnego uwagi poza tym, że nadal próbował mnie przekonać, że zabiłam Rowan – odparła, umyślnie kładąc nacisk na drugą część zdania, na której skupiłyby się, gdyby nie obecne przewrażliwienie Marconi.

– Cóż... to oskarżenie miałyby sens, gdyby Tabitha była zabójczynią, a nie on. A jeśli Shaughnessy po prostu się tam zjawił i zobaczył, że trzymasz nóż? A Tabitha już zdążyła uciec z pokoju?

Gretchen pokręciła głową.

– Wiedział, że Tabitha tam pracuje. Mowy nie ma, żeby nie zapytał, gdzie była tamtej nocy, jeśli przypadkiem znalazłby się na miejscu zbrodni.

– Chryste. – Marconi przeczesła włosy palcami. – Czyli nie istnieje żaden scenariusz, w którym nie wydawałby się przynajmniej trochę winny. Przynajmniej tego, że w raporcie pominął najważniejszego świadka.

– Mógł być też inny uczestnik wydarzeń, którego nie dostrzegamy – stwierdziła Gretchen.

– Zwłaszcza jeśli nie myślisz, że to Tabitha użyła noża – zauważyła Marconi. – Jesteś pewna, że to nie ona?

– Pamiętam jej krzyk, gdy znalazła mnie w tym pokoju, i chyba nie miała na sobie żadnych śladów krwi. Mogła się szybko przebrać, wyczyścić miejsce zbrodni, a potem zwabić mnie tam. Krzyczała, żeby wszystkich zmylić. – Gretchen próbowała uprawdopodobnić chronologię wydarzeń. –

Sądzę, że to możliwe, chociaż nie wygląda na najbardziej przekonujący scenariusz.

Marconi zacisnęła usta.

– I nie możemy zapomnieć, że były dwa kłamstwa.

– Obecność Tabithy Cross na miejscu zbrodni – powiedziała powoli Gretchen. – Oraz...

– ...brakująca strona, która potwierdzała fakt, że Rowan urodziła dziecko

– weszła jej w słowo Marconi, niemal jakby chciała dopilnować, by Gretchen sama nie musiała tego powiedzieć.

Jakby instynkt, by stać po stronie Gretchen, nie został stłumiony przez oczywisty gniew wywołany przez jej atak.

– Dlaczego Anders i Bardot mieliby udawać, że dziecko Rowan jest ich? – zapytała Gretchen. Marconi znieruchomiała na jej słowa, dystans, który ustanowiła między dzieckiem a sobą. Jednak nie naciskała na nią, by przyznała, kim jest to dziecko. – Rowan nie była nastolatką i nie żyjemy w osiemnastym wieku.

– Może stanowiła zagrożenie dla siebie – zasugerowała Marconi. – I dla dziecka.

– Albo Rowan porzuciła... to.

– Ją – poprawiła Marconi z delikatnością, która podrażniła nerwy Gretchen, aż nadto napięte w ciągu ostatnich dwóch dni. Jednak nie warknęła niczego zjadliwego ani bolesnego, co zrobiłaby jeszcze parę godzin wcześniej. Nie rzuciła ciężkiej szklanki w twarz policjantki, czego doświadczył Shaughnessy. Byłaby to strata czasu, a także energii, którą ostatecznie kosztowałoby odzyskanie przychylności tej kobiety.

Może tak właśnie wyglądała dla niej dorosłość.

– Ją.

Marconi się uśmiechnęła. To było tylko drgnięcie kącików ust, ale stanowiło drobny znak ocieplenia stosunków, który zachęcił Gretchen do powstrzymania swoich autodestrukcyjnych skłonności.

– Anders i Bardot myśleli, że łatwiej będzie wychować... ją... jako własną – kontynuowała. – Skoro Rowan od dawna nie było.

– A potem wróciła – zauważyła policjantka, ale bardziej tak, jakby przypominała sobie ten fakt. – Powiedziałaś, że minęło około trzech miesięcy, zanim została zamordowana, tak? Zapewniała, że jest trzeźwa i bierze leki.

– Tak. Ale to jest pogląd moich rodziców.

– Jej pobyty w szpitalu psychiatrycznym są dobrze udokumentowane – zwróciła uwagę Marconi. – Więc zapewne jest w tym trochę prawdy.

Przez chwilę Gretchen bawiła się telefonem, a potem wyszukała nazwisko i nacisnęła połączenie.

– Niesamowite wyczucie czasu – odezwała się Fred na powitanie. – Właśnie miałam do ciebie zadzwonić.

– Co masz? – zapytała Gretchen, natychmiast czujna.

– Wyślę ci wszystko e-mailem. – Nastąpiła chwila milczenia, jakby Fred coś rozważała.

– Mów! – warknęła Gretchen.

– Dzieje się coś dziwnego. Nie do końca potrafię powiedzieć, o co w tym chodzi. Ale przesyłam ci akta.

– Akta?

– Tak, jakieś dziesięć. Wszystkie to niewyjaśnione sprawy morderstw.

Gretchen potrząsnęła głową, wściekła, ale postarała się, by jej głos nie brzmiał gniewnie. Fred nie była tak skora do wybaczenia jej złości, jak wydawała się Marconi.

– Chciałam wiedzieć, co robiła Rowan przez te lata, kiedy wyjechała z Bostonu.

– Tak... – powtórzyła Fred, przeciągając to słowo. – I właśnie to dostajesz.

## ROZDZIAŁ 37

SHAUGHNESSY

1988

– Gdzie jest Rowan, Patricku? – zapytał Anders. – Co zrobiłeś z jej ciałem?

Shaughnessy wpatrywał się w niego, próbując nadać tym słowom jakiś sens. Gdy mu się udało, odepchnął Andersa wciąż drżącymi rękami.

– Odpierdol się. Nie dostaniesz się do mojej głowy.

„Gaslighting”. Tak to nazwał Daniels. A Anders najwyraźniej miał do tego talent.

– Mówię poważnie, Patricku. – Anders wygładził zmarszczki, które spocone dłonie detektywa zrobiły na jego koszuli.

Shaughnessy znów zaczerpnął powietrza, starając się uspokoić myśli. Możliwe, że Anders nim manipulował. Jednak kluczowe wydawało się to, że Anders nie miał obecnie kontaktu z Rowan.

– Nie wiesz, gdzie ona jest.

– Nie, jeszcze mi nie powiedziałaś – odparł Anders.

Zafiksowany.

Maniak.

Potrzebowali kolejnych zwłok.

Ale nie. Shaughnessy pozwolił Rowan opuścić jego dom zaledwie kilka dni po tym, kiedy to właśnie pomyślał. Pozwolił jej zniknąć i wrócić do dawnego życia, chociaż sądził, że zdążyła do jaskini złoczyńcy.

Pewny i spokojny głos Andersa, który słyszał przedtem, odbijał się echem w jego głowie.

„W rzeczywistości pacjent dokonywał potwornych czynów, którymi pogardzał... Naprawdę wierzył, że robi to ktoś inny”.

A co, jeśli nie pozwolił jej wyjść tamtego dnia? Jeśli jego umysł odmówił posłuszeństwa? Jeśli naprawdę nie potrafił już odróżnić rzeczywistości od fantazji?



Potrząsnął głową. Nie. Nie!

Był gliną. Nie był zabójcą.

Ta myśl sprawiła, że podniósł wzrok i po raz pierwszy naprawdę uważnie spojrzął na Andersa.

Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie tej gry – Anders próbował zrobić go we własną zbrodnię. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak by to zrobił: poszedłby do komendanta i puścił tę samą gadkę, którą właśnie wygłaszał do niego.

Śledczy przejrzeliby jego akta, znaleźliby skargę sprzed lat, o której większość ludzi zapomniała, gdy przestał publicznie mówić o Rowan i Jennifer Cross.

Przesłuchaliby Zacha Daniela i dowiedzieliby się, że Shaughnessy przez cały czas miał obsesję na punkcie rodziny White'ów, mimo że ukrywał to przed wszystkimi innymi.

Porozmawialiby z Donna, która z wahaniem zaprowadziłaby ich do piwnicy, gdzie nadal trzymał stare informacje na temat Andersa White'a.

Jeśli Anders zabił Rowan, Shaughnessy sam dostarczył mu idealnego kozła ofiarnego. Na pieprzonej srebrnej tacy.

Ale.

Była też inna możliwość. I niewykluczone, że Anders to dobry aktor, jednak wydawał się szczerze wierzyć w to, co mówił.

Co oznaczało, że jeśli Rowan zaginęła, Anders uważał, że Shaughnessy odegrał w tym jakąś rolę.

Wrócił pamięcią do tamtego dnia w lesie. Tego, w którym Anders z niego drwił, wymierzył w niego broń, zagroził jego karierze.

Przypomniał sobie, że gdy powiedział: „Zapłaci pan za wszystko, co pan zrobił”, na twarzy mężczyzny pojawiły się emocje zupełnie inne, niż się spodziewał.

– Dlaczego? – zapytał i wydawało się, że z kolei Anders po raz pierwszy naprawdę uważnie spojrzął na niego.

– Dlaczego... co? – odpowiedział pytaniem, teraz zaciekawiony.

„Dlaczego myślisz, że zabiłem Rowan?”

Jednak nie wymówił tego na głos, niepewny siebie ani żadnej ze swoich nieśmiałych, nowo powstających teorii.

– Nie zabiłem jej, Andersie. – W chwili, gdy to powiedział, zdał sobie sprawę, jak słabo, jak rozpaczliwie brzmiały jego wcześniejsze zaprzeczenia. To było oparte na niepodważalnym fakcie.

– Patricku... – spróbował znów Anders, ale Shaughnessy doszedł do granicy wytrzymałości.

W jednej chwili przyparł mężczyznę do ściany samą siłą swojego gniewu.

– Idź do komendanta! – Ten rozkaz zabrzmiał jak kłapanie zębami. – Nie obchodzi mnie to.

Anders spojrzał nań ze zdumieniem, wytrącony z równowagi w sposób, jakiego Shaughnessy nigdy u niego wcześniej nie widział. Powiódł wzrokiem po twarzy detektywa.

– Miałeś obsesję na jej punkcie. To musisz być ty.

Wola walki opuściła Shaughnessy'ego. Nawet nie mógł temu zaprzeczyć.

– Gdybyś naprawdę myślał, że nie żyje, najpierw poszedłbyś do komendanta.

– Pomyślałem, że sam lepiej sobie z tobą poradzę – odparł Anders, czerwieniąc się. Nie wyglądał jak zimny, wyrachowany psychopata. Może Shaughnessy naprawdę przez cały czas projektował na niego swoje wyobrażenie, tak jak w przypadku Rowan. To był tylko człowiek, inteligentny, opanowany, ale mimo wszystko człowiek. Taki, który się denerwował, którym można manipulować.

– Nie zabiłem jej – powtórzył, tym razem z ciężkim westchnieniem. – Sugerowałbym ci, żebyś pomyślał, jak doszedłeś do tego wniosku. Ja to zrobię. – Zamilkł na chwilę. – A teraz wynoś się z mojego domu.

Anders zrobił pół kroku, zatrzymał się i odwrócił. Jakby jego ciało instynktownie wykonywało polecenia Shaughnessy'ego, ale on sam tego nie chciał.

– Idę do komendanta.

– Powinieneś – warknął detektyw. – Zgłoś zaginięcie, kiedy już tam będziesz. Co, nawiasem mówiąc, powinieneś był zrobić dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zauważyłeś, że Rowan zniknęła.

– Ona jest nieobliczalna – rzekł Anders, chociaż arogancja, która przywiodła go do kuchni Shaughnessy'ego, już dawno zniknęła.

– Tak, jasno dałeś do zrozumienia, że właśnie to o niej myślisz. A teraz wyjdź.

Brał pod uwagę, że będzie musiał fizycznie wyprowadzić Andersa ze swojego domu, ale mężczyzna w końcu skinął głową i wyszedł. Frontowe drzwi zamknęły się cicho.

Nie pozwolił sobie na myślenie, dopóki nie znalazł się na schodach prowadzących do piwnicy. Dawno temu spakował swoją ścianę seryjnego

zabójcy, podarł większość „dowodów”, które zebrał. Ale część zachował.

Wyciągnął pudło z dolnej półki, gdzie postawił je kilka lat temu, zrzucił wieko i wygrzebał z niego dziennik ze swoimi prywatnymi przemyśleniami na temat rodziny White’ów.

Gdy kolana go rozboleły, usiadł na betonie i otworzył zapiski na pierwszej stronie.

Jego pierwsza rozmowa z Rowan.

„Będą kłamać”.

Wiadomość, którą zostawiła na skrawku papieru.

„Jest więcej dziewczyn. Znajdź je”.

Potem przebiegł wzrokiem notatki z kilku lat, by znaleźć tę z nocy, kiedy pojawiła się pod jego drzwiami.

„Ochroń mnie”.

„Tak mówią”.

Zaśmiał się, bo to nie miało nic wspólnego z uciskiem narastającym w jego klatce piersiowej.

– Rzeczywistość to zabawna rzecz, prawda? – zapytał go Daniels przed laty.

Shaughnessy cisnął notatnikiem w ścianę.

Został porządnie, na całego ograny.

A sądząc po tej konfrontacji w kuchni, Anders również.

## ROZDZIAŁ 38

GRETCHEN

Teraz

Annabelle. Jessie. Kristen. Chloe. Beth. Margo. Kandice. Liz. Catherine. Laura.

Wszystkie dziesięć dziewczyn zagięło między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim rokiem.

Wszystkie znalezione ciała miały poderżnięte gardła i nacięcia na całej długości rąk.

Gretchen wpatrywała się w ich zdjęcia. Marconi pogrzebała w garderobie i znalazła starą drukarkę, w której jakimś cudem zostało wystarczająco dużo tuszu na wydrukowanie akt, które przesłała Fred.

„Prześledziłam drogę Rowan po opuszczeniu Bostonu. Potem je znalazłam”.

Notatka Fred zawierała przybliżony czas, który Rowan spędziła w każdym z miejsc. Binghamton w stanie Nowy Jork. Harrisburg w Pensylwanii. Małe miasteczko nad zatoką Chesapeake. Przebyła drogę w dół wybrzeża, kończąc w Savannah w stanie Georgia zimą na przełomie dziewięćdziesiątego drugiego i dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Stamtąd wróciła do Bostonu, dołączając do rodziny White'ów pod koniec maja dziewięćdziesiątego trzeciego. Nieco ponad trzy miesiące przed śmiercią.

E-mail kończył się pytaniem: „Czy to może być zbieg okoliczności?”.

– Całkiem aktywny seryjny zabójca – powiedziała cicho Marconi. Pierwsze słowa, które z siebie wydobyła od chwili, gdy wspomniała, że może ma działającą drukarkę.

Gretchen tylko potrząsnęła głową. Czarny tusz na papierze, twarze dziewczyn, to wszystko wydawało się zbyt jasne, zbyt kruche, zbyt wątle, podczas gdy reszta mieszkania Marconi traciła kontury gdzieś z boku jej pola widzenia.

– O co tu chodzi?

W następnej minucie, zanim zdążyła rozważyć wybranie jej numeru, miała już w dłoni telefon i głos Fred na końcu linii.

– Nie wiem – powiedziała kobieta, odebrawszy połączenie, jakby usłyszała pytanie Gretchen.

Fred kontynuowała, nie potrzebując jej zachęty.

– Binghamton nie jest duże. Nie ma tam wielu morderstw, chyba że pijany koleś z college’u pobije innego pijanego koleś z college’u. W ciągu tych kilku miesięcy, gdy Rowan pracowała w lokalnej restauracji, zaginęła uczennica liceum.

Gretchen dotknęła wydruku akt.

– Annabelle Viera.

– To była głośna sprawa. A i tak nie wystarczyłoby, żeby wzbudzić moje podejrzenia. Ale...

– ...kiedy znaleźli ciało, na rękach były nacięcia – dokończyła Gretchen.

– Tak. Chociaż nie słyszałaś tego ode mnie. Ta informacja została zdobyta niezupełnie legalnie.

– Jakby mnie to obchodziło.

Fred się zaśmiała.

– Chyba mi za to dodatkowo zapłacisz.

– Nie mylisz się – przyznała Gretchen. – Jessie.

– Jessie Turnbull – kontynuowała Fred znacznie posłuszniej niż zwykle. – Harrisburg jest podobny do Binghamton. Drobne przestępstwa, włamania, takie rzeczy. Normalka. Morderstwa? Znow nie tak dużo.

– Znaleźli jej ciało?

– Tak, ale dopiero po wyjeździe Rowan. Miała przecięte gardło i takie same nacięcia jak Annabelle.

– To nie może być przypadek.

Fred westchnęła.

– W żadnym razie. I to samo dotyczy innych kobiet. Chociaż niektóre nie miały jeszcze osiemnastu lat, więc to były dziewczyny.

– Wszystkie zostały znalezione?

– Nie, sześć tak, cztery nie. Ale zaginięcia tych czterech zbiegły się w czasie z pobytem Rowan. Zwróciłam się do pewnych osób w tych miejscach, przesłałam im informacje na temat pozostałych przypadków. To może im pomóc w znalezieniu ciał. Przynajmniej dla rodzin oznaczałoby to koniec niepewności.

Gretchen obiektywnie przyznała, że był to dobry krok. Ale ona sama nigdy by o tym nie pomyślała. Nawet Fred czasami wiedziała, jak traktować innych ludzi.

– Zabiła je. – Gdy wyartykułowała te słowa, zabrzmiały głupio. Zawisły w powietrzu w sposób oczywisty i jaskrawy. Jednak było coś w wypowiedzianiu prawdy na głos, co Gretchen ceniła. Rowan je zabiła. Jej... matka... je zabiła. Domyślała się, że można by tu coś powiedzieć o jabłku, które pada niedaleko od jabłoni.

– Chodzi o to, że w żadnej z tych spraw nie było tropów – zastrzegła Fred. – I żadna z jurysdykcji nie kontaktowała się wtedy z pozostałymi. Ale... czas się zgadza.

– Czy jest możliwe, że był z nią jeszcze ktoś? – zapytała Marconi i dopiero w tym momencie Gretchen zdała sobie sprawę, jak blisko jest policjantka. Na tyle blisko, by słyszeć, co Fred mówi przez telefon.

– Myślę, że możliwe – odparła Fred. – Jednak wszyscy, z którymi rozmawiałam, pamiętali samą kobietę. Z tego, co udało mi się poskładać do kupy, wynika, że zwykle zatrudniała się w jakiejś knajpie lub barze, flirtowała z miejscowymi chłopakami, robiła trochę zamieszania, a potem zniknęła bez uprzedzenia.

– I raczej nie robiono wtedy zbyt wielu testów DNA – stwierdziła Marconi.

– O ile mi wiadomo, ciała były również nieźle wyczyszczone – powiedziała Fred. – Nie aż tak starannie, jak by to zrobił zawodowiec, przynajmniej nie te pierwsze, ale nie było na nich niczego obciążającego.

– Wtedy nikomu nie przychodziło na myśl, że kobiety mogą być seryjnymi zabójcami – uświadomiła sobie Gretchen. Rowan nie byłaby nawet podejrzana. Zwłaszcza jeśli szukała swoich ofiar w miejscu publicznym, gdzie panuje duży ruch, jak wszędzie, gdzie pracowała. – Chryste.

– Z góry przyjęte założenia i błąd confirmacji – stwierdziła Fred. – Znasz to lepiej ode mnie.

Gretchen przygryzła wewnątrz policzka. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc się rozłączyła.

– Głupoty! – powiedziała Marconi, ale nie było w tym złości. Zaczęła już przeglądać raporty policyjne. – Te dziewczyny nie mają ze sobą wiele wspólnego poza nacięciami. Nie widać w tym wyraźnych predyspozycji wiktymologicznych.

– Nie – przyznała Gretchen, gdy przekartkowała resztę akt. – Nie są podobne. Pochodzą z różnych środowisk. Praca też ich nie łączy. Jedna jest prostytutką, inna uciekinierką z domu. To za mało, żeby stworzyć wzór.

– Nawet gdyby jakiś gliniarz pomyślał wtedy o seryjnym zabójcy, nie połączyłby tych dziewczyn, nie na podstawie kilku ran na ich rękach – stwierdziła Marconi, stukając palcem w twarze ofiar na zdjęciach. Delikatnie, oczywiście, bo to Marconi. – Nie przy wiedzy, jaką wtedy mieli na temat tego typu morderców.

Pod koniec lat osiemdziesiątych prasa egzaltowała się skomplikowanymi „podpisami”, które pozostawiali głośni seryjni zabójcy. Relatywnie rzecz biorąc, styl Rowan uchodził uwadze.

A jednak pewne szczegóły dotyczące seryjnych zabójców prawie nigdy się nie zmieniały. Mieli ważne dla nich rytuały, a także powody, dla których wybierali określone ofiary. Co oznaczało...

– Nie umiemy tego dostrzec.

– Czego?

– Tego, co łączy te dziewczyny – powiedziała Gretchen. – Ale Rowan to widziała.

Marconi westchnęła i zabrzmiało to niepewnie.

– Chociaż to dziwne. Kobieta seryjną zabójczynią.

– Niewątpliwie jest to rzadka rasa potworów – zgodziła się Gretchen. – Mordowanie kompletnie obcych ludzi to również anomalia. Zwykle celem są osoby będące częścią ich życia. Kochankowie, rodzice, dzieci.

– A co z takimi jak Aileen Wuornos? – zapytała Marconi i Gretchen niemal przewróciła oczami. Aileen znał każdy laik dzięki filmowi z piękną aktorką, która była wystarczająco odważna, by zagrać brzydką postać.

– Ofiary Aileen to jej klienci, ergo część jej życia. Ale ważniejsze jest, że była psychopatką z wynikiem trzydziestu dwóch na czterdzieści punktów według skali stosowanej do mierzenia takich rzeczy.

– Wydaje się dużo.

– Ted Bundy miał trzydzieści dziewięć punktów – powiedziała Gretchen i urwała dla efektu, po czym dodała: – A ja trzynaście. Jeśli to ci daje porównanie.

Marconi uniosła brwi, ale tylko mruknęła, nie komentując.

– Sednem sprawy jest to, że nie ma wątpliwości, dlaczego Aileen Wuornos stała się morderczynią. – Gretchen wzruszyła ramionami. – Psychopata z tak wysokim wynikiem potrafi znaleźć sposoby, by

usprawiedliwić zabójstwa przed samym sobą. Ale prawda jest taka, że mordownie ludzi ich podnieca. Dlatego to robią.

– Zatem Rowan prawdopodobnie była psychopatką, tak?

– Przymuszczałnie sadystyczną – potwierdziła Gretchen.

W pamięci pojawiło jej się mroczne wspomnienie nożyczek i nagiej skóry. „Chciałam ją zabić, jeszcze zanim się dowiedziałam, czym jest zabijanie”. Czy Rowan na niej ćwiczyła? Gretchen nie miała żadnych blizn, ale to nie znaczyło, że Rowan nie sprawiała, że krwawiła.

– Sadystyczną jak Viola Kent – powiedziała powoli Marconi. – Ale jeśli tak było, nie powinna mocniej torturować swoich ofiar? Nie chodzi mi o to, że podejrzenie gardła nie wystarczy, ale...

– Nie, masz rację. – Gretchen przyjrzała się kilku zdjęciom zwłok, które dostały. Zważywszy na częstotliwość zabójstw, spodziewałaby się większej brutalności. To była bystra uwaga. – Nie studiowałam tego zbyt dogłębnie i potrzebowałabym więcej informacji. Sądzę, że brak długotrwałych tortur w pewien sposób pasuje do kobiet, które są seryjnymi zabójczyniami.

– Aileen strzelała ludziom w twarz – przypomniała Marconi i Gretchen była zadowolona, że Marconi tak łatwo za nią nadała. – Co jest, jak sądę, dość brutalne, jednak nie w takim stopniu, jaki spotyka się u seryjnych zabójców płci męskiej.

– W wielu znanych mi przypadkach seryjne zabójczynie używały morfiny lub arszeniku. Tak jakby priorytetem było samo zabijanie, a nie znęcanie się.

Marconi zerknęła na papiery rozłożone na podłodze.

– Wydaje się, że podejrzenie gardła całkiem dobrze zaspokajało potrzebę brutalności.

– Tak zabija się zwierzęta – przyznała Gretchen i Marconi, ze swoją skłonnością do empatii, wzdrygnęła się na te słowa. – Ale...

Policjantka trąciła stopą nogę Gretchen.

– Nie lubię, kiedy nie kończysz zdania.

Były to dokładnie te same słowa, które wcześniej Gretchen skierowała do niej, i coś w tym uspokoiło nerwowe drżenie. Choć ledwie zdawała sobie z niego sprawę, trzepotało w jej piersi, odkąd policjantka przywitała ją z lodowatym wyrazem twarzy. Marconi mogła być na nią zła, ale Gretchen tego mostu całkowicie za sobą nie spaliła.

– Eskalacja jest dziwna – zauważyła i potrząsnęła głową zirytowana, że jest tak nieprecyzyjna, chociaż były tylko we dwie. – Nie jest dziwna, jeśli



przyjrzeć się tym dziesięciu sprawom po jej wyjeździe z Bostonu. – Wskazała daty zaginięć dziewczyn. – Zaczynają się w odstępie czterech miesięcy, a potem są coraz rzadsze. Wszelkie luki prawdopodobnie oznaczają ofiary, których jeszcze nie zidentyfikowałyśmy.

– Więc dlaczego to jest dziwne?

– Śmierć Jennifer nastąpiła w roku osiemdziesiątym trzecim – powiedziała Gretchen, podnosząc wzrok.

– Cztery lata. – Marconi zakołysała się lekko. – To dużo czasu bez zabijania, jeśli Jennifer była jej pierwszą ofiarą.

– Zbyt duża luka, żeby pasowała do reszty jej wzoru działania – przyznała Gretchen. – Jeśli wziąć pod uwagę, że jej eskalacja to podręcznik zaczynający się od Annabelle Viery, byłoby dziwne, że zabiła w osiemdziesiątym trzecim, odczekała cztery lata, a potem zaczęła od nowa po wyjeździe. – Gretchen przerwała. – Chyba że w Bostonie pomiędzy osiemdziesiątym trzecim a osiemdziesiątym siódmym rokiem zdarzyło się kilka niewyjaśnionych zabójstw.

– Słyszałaś Gibbsa – zauważyła Marconi. – Shaughnessy prawdopodobnie by je odkrył. A znalazł tylko Jennifer Cross.

– Racja, więc logiczniejsze wydaje się, że albo coś wyzwoliło to w Rowan w Bostonie i dlatego wyjechała, żeby poszukać innych terenów łowów, albo wyjechała i jakiś czynnik spowodował, że zaczęła zabijać. Tak czy inaczej prowadzi to do wniosku, że pierwszym prawdziwym zabójstwem Rowan była Annabelle Viera, a nie Jennifer.

– Czy nie zdarzały się przypadki, że seryjni zabójcy pozostawali w uśpieniu?

– Tak, BTK, czyli Dennis Rader, jest najsłynniejszym z nich. Ale to rzadki przypadek, a i tak do zaprzestania zmusiły go okoliczności. Ważniejsze, że w okresie przerwy zebrał dane na temat ponad pięćdziesięciu potencjalnych ofiar. Z psychologicznego punktu widzenia wciąż polował.

– Okoliczności – powtórzyła Marconi. – Jak bycie wysłanym do szpitala psychiatrycznego?

Gretchen spojrzała na nią, mając ochotę uderzyć je obie za to, że nie dostrzegły oczywistości. Zamknęła oczy i powoli westchnęła, wściekła na siebie.

– Chryste.

– Co?

– Rowan była w szpitalu, kiedy zabito Jennifer.

Marconi zagwizdała przeciągle.

– Cholera. To chyba najlepsze alibi, jakie można znaleźć.

– Tak – warknęła Gretchen, próbując uporządkować wszystkie szczegóły w coś, co naprawdę będzie miało sens.

– Jednak chodziły do tej samej szkoły – powiedziała cicho Marconi. – Jennifer została znaleziona półtora kilometra od twojego starego domu. Miały te same nacięcia. Jest między nimi powiązanie.

Tak jak nie widziały tego, co łączyło ofiary Rowan, tak i tutaj brakowało im czegoś ważnego. Jednak Gretchen niczego nie dostrzegła, więc tylko pokręciła głową.

– Hej – powiedziała Marconi, jakby właśnie coś sobie uświadomiła. – Jeśli zwiększyła częstotliwość... dlaczego przestała, gdy wróciła do Bostonu?

– Och, wątpię, czy przestała. – To wydawało się najbardziej oczywistą częścią ich zagadki. W okolicach Bostonu z pewnością znajdowało się co najmniej jedno ciało, którego nie znaleziono. Prawdopodobnie miałyby nacięcia na rękach. – Jednak była o wiele lepsza w ukrywaniu tego.

– I gdyby nie została zabita...

– ...kto wie, kiedy by ją złapano. – Gretchen dokończyła za nią myśl. Ale jej umysł już wybiegł do przodu, a raczej dziesiątki lat wstecz. Do czasu, gdy Rowan wróciła do Bostonu.

Spojrzała na telefon, po czym wybrała numer. Wpatrywała się w nazwisko, dopóki nie poczuła, że Marconi zagląda jej przez ramię, by zobaczyć, o kogo chodzi.

Potem patrzyła jeszcze chwilę.

W końcu zaczerpnęła powietrza i wcisnęła połączenie.

Odezwał się głęboki głos.

– Gretchen.

– Wiedziałeś? Kim ona była? – zapytała Andersa. – Wiedziałeś, że zabiła te wszystkie dziewczyny?

Nastąpiła długa cisza. A potem padła prosta odpowiedź.

– Tak.

## ROZDZIAŁ 39

TABBY

1993

Tabby zadzwoniła do Shaughnessy'ego po wypiciu butelki wina, którą zwędziła z piwniczki White'ów.

– A jeśli to Rowan zabiła Jenny? – zapytała, gdy odebrał. Przycisnęła czoło do brudnej szklanej ściany budki telefonicznej, w którą uderzał deszcz. Mokre włosy przykleiły jej się do karku i drżała z zimna, chociaż był ciepły letni wieczór. – Nie Anders?

Nastąpiła cisza. A potem ciężkie westchnienie.

– Bawisz się w detektywa?

To zdanie wczepiło się w miękką tkankę jej instynktu przetrwania.

„Dziewczyny, które bawią się w Nancy Drew, są mordowane”.

– Co? – zapytała bełkotliwie i zamrugwała, próbując wyostrzyć wzrok.

Kolejne westchnienie.

– Tabitha, musisz być ostrożna z tą rodziną.

– Nie, co pan powiedział wcześniej? – wyartykułowała z wysiłkiem.

Pauza. A potem:

– Gdzie jesteś?

Tabby odwiesiła słuchawkę i odskoczyła od niej jak od węża gotowego do ataku.

Czyjaś dłoń uderzyła w drzwi.

Krzyknęła, machnąwszy rękami tak, że łokciem uderzyła w ścianę budki, mocno i boleśnie.

– Skończyłaś?! – zawołał ktoś.

– Cholera – mruknęła do siebie. Drżącymi palcami przeczesła włosy, próbując zebrać mokrą płataninę w kok na czubku głowy. Potem uchyliła drzwi. – Proszę bardzo, dupku.

– Suka.

Oto prawdziwy Boston.

Dobrze chociaż, że czekający facet nie był Shaughnessym. Albo Calem.

A może ci byli tą samą osobą?

Tabby potrząsnęła głową. Nie, to nie miało sensu. Nie brzmiali podobnie. Wiedziała, jak Shaughnessy wygląda.

Przesunęła dłonią po twarzy, ścierając deszcz, który zamazywał jej wzrok.

To było wino, nic poza tym. I groźby ze strony Rowan i Cala. Wino i paranoja. I długi tydzień, miesiąc, rok i długie życie z duchem siostry.

Ostrzeżenie, aby trzymać się z dala od sprawy i pozwolić zawodowcom rozwikłać zagadkę morderstwa, nie było niczym niezwykłym. Zwłaszcza jeśli pochodziło od gliniarza.

Boże, miała dość siebie i świata.

Wchodząc do domu, nie zapaliła świateł i skrzywiła się, gdy kapiąc na idealną marmurową posadzkę, włączała alarm.

– Gdzie byłeś? – odezwał się zimny głos z gabinetu.

Tabby wzdrygnęła się i przytknęła dłoń do bijącego mocno serca.

To się robiło absurdalne.

W drzwiach rysowała się tylko podświetlona sylwetka Bardot. Ale wszystko w niej było nie do pomylenia.

– Wysłałam tylko zatelefonować – wybąkała Tabby, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Czy zrobiłam coś, co kazało ci myśleć, że nie możesz korzystać z naszego telefonu? – zapytała Bardot z nienaganną uprzejmością.

Oczywiście, że nie, co dobrze wiedziała. Ale Tabby nie zamierzała rozmawiać z detektywem Shaughnessym przez domowy telefon White'ów.

– Po prostu chciałam na chwilę wyjść. Z dziewczynami z zajęć baletowych.

– W deszczu – zauważyła Bardot. Ale nie naciskała dalej. – Chodź na kieliszek wina.

Szczerść tej propozycji można było założyć w przypadku każdej innej kobiety. Dlatego Tabby zdała sobie sprawę, że Bardot wiedziała, iż wcześniej zwędziła tę trzystudolarową butelkę.

Świat był już trochę zbyt zamglony, ale jeśli Tabby odmówi, z pewnością zostanie to odczytane jako przyznanie się. Odkąd pracowała z Gretchen, wiedziała, że ma większą siłę negocjacyjną niż zwykła niania, ale to nie oznaczało carte blanche.

Bardot podała jej szeroki kieliszek o wiele szcudrzej napełniony ciemnorubinowym winem, niż wymagałaby tego uprzejmość.

Przypominało to sytuację, gdy rodzic zmusza dziecko do wypalenia całej paczki papierosów po to, aby dostało mdłości. Jednak Tabby miała wystarczająco duże doświadczenie z alkoholem, aby wytrzymać. W końcu odziedziczyła geny ojca.

Delektowała się pierwszym łykiem, przesadnie wydymając usta.

– Dobrze.

– Ja myślę – powiedziała Bardot z wyrazem twarzy, w którym było coś pomiędzy pogardą a rozbawieniem. Usiadła w jednym ze śnieżnobiałych foteli ustawionych po obu stronach kominka. Tabby zawsze się zastanawiała, jaki sens mają białe meble. Jednak w jakiś dziwny sposób pokazywało to, jak bardzo Bardot potrafi sprawować kontrolę nad swoim terytorium.

Ostrożnie, usiłując nie zostawić na nim wielkiej mokrej plamy, Tabby usiadła na brzeżku fotela naprzeciw.

– Powiedz mi, jak sobie radzisz? – zapytała Bardot, kręcąc kieliszkiem wina, niemal się nim bawiąc, ale nie biorąc nawet łyka.

– W porządku – odpowiedziała Tabby, starając się mówić jak najkrócej.

Bardot spojrzała na nią uważnie.

– Gretchen nie sprawia ci kłopotów?

Oczywiście, że Gretchen sprawiała Tabby kłopoty. To dziecko żyło kłopotami.

– Nie większe niż te, z którymi mogę sobie poradzić.

– Nie omieszkaj mnie zawiadomić, jeśli to się zmieni. – Bardot podniosła butelkę wina. – Dolać?

Tabby spojrzała na kieliszek, który teraz był w połowie pusty, ciekawa, jak to się stało. Zastanowiła się, czy nie odmówić. Jednak teraz, kiedy znalazła się w domu, czuła ciepłe, przytulne, emocjonalne odrętwienie, a nie wcześniejsze nerwowe, pełne przerażenia upojenie.

Wyciągnęła kieliszek, a Bardot się uśmiechnęła. W migotliwym świetle ognia wyglądało to na złośliwe oczekiwanie na coś.

– A Rowan? – zapytała miękko, prowokującym głosem. – Nie wchodzi ci w drogę?

Mięśnie Tabby napięły się na myśl o tym, co wcześniej wybełkotała do Shaughnessy'ego. „A jeśli to była Rowan?”.

– Tak – odpowiedziała najswobodniej, jak potrafiła. Rowan obserwowała ją i Gretchen zbyt uważnie, aby można było czuć się bezpiecznie, ale niczego nie próbowała. Na razie.

Bardot nadal nie tknęła swojego wina.

– Chodziła do szkoły z twoją siostrą.

Paranoja ścisnęła jej serce niepokojem, ale to ostrzeżenie było mgliste i niewyraźne, osłabione alkoholem.

– Naprawdę?

– Zabawny zbieg okoliczności – rzuciła lekko Bardot. – Wiesz, pewnego dnia sprawdziłam twoje referencje.

Paranoja odezwała się głośniejsz, stała się czymś bardziej namacalnym i rzeczywistym.

– Naprawdę?

– Ciekawe, że żadna z nich nie była prawdziwa – powiedziała Bardot, jakby to było jakieś nieporozumienie. Ale nawet zmętniałymi pod wpływem alkoholu oczami Tabby widziała, że Bardot dokładnie wie, co jest grane. – Może zrobiłaś literówkę w swoim CV?

Tabby oblizła usta i spojrzała na swój pusty kieliszek. Wydało się. Postawiła go u stóp i spróbowała wstać.

– Mogę odejść.

Bardot przechyliła głowę.

– Dlaczego miałabyś to zrobić? Dopiero zaczynamy.

## ROZDZIAŁ 40

GRETCHEN

Teraz

– Wiedziałaś, że była morderczynią – rzuciła oskarżycielsko, a Anders westchnął.

– Tak, Gretchen – przyznał, zmęczony i zirytowany, jakby to wszystko było wielką udręką. – Przynajmniej później.

Gretchen spojrzała na Marconi, obliczyła ryzyko i zdecydowała się przełączyć rozmowę na głośnik.

– Przyjąłeś mnie.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza, a potem spokojne potwierdzenie.

– Tak.

– Dlaczego?

– Edith nas zmusiła. Moja droga matka zawarła to jako warunek w testamencie. A potem zmieniła go przed śmiercią.

Te słowa naprawdę rozbawiły Gretchen. Gdyby tylko знаła przyczynę gwałtownej reakcji rodziny podczas odczytania testamentu, byłoby to jeszcze słodsze.

– Wiedziałam, że nie bez powodu ją lubię.

– No tak – powiedział Anders. – Skądś mamy nasze cechy.

Skazone cechy, które, jak przypuszczała, zostały odziedziczone po ojcu Edith. A może nadal były.

– Dlaczego ją to obchodziło?

– A jak myślisz, dlaczego cokolwiek robiła? – wypalił Anders. – Ze względu na reputację rodziny. Rowan mająca pozamałżeńskie dziecko na domiar wszystkiego innego? Nie do przyjęcia.

Aborcja nie wchodziła w rachubę. Nie dla White'ów, nie w latach osiemdziesiątych.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? To pierwszorzędna amunicja.

– To wymagałoby rozmowy z tobą – odparł Anders z nonszalanckim okrucieństwem. – Los gorszy od śmierci, zapewniam cię.

– Au! Chyba pójde płakać w swoje stopy pieniędzy – odcięła się, a Marconi pstryknęła ją w ramię. Gretchen bezgłośnie wymówiła „Co?” i policjantka spojrzała na nią wymownie. – Racja, wróćmy do Rowan. Od razu mnie oddała? Myślałam, że wyjechała z Bostonu, kiedy miałam dwa lata.

– Może nie wyjechała z miasta, ale nawet nie wzięła cię na ręce po urodzeniu – powiedział Anders i zrozumiała, że celowo stara się ją zranić. – A potem spędziła te dwa lata, upijając się, ćpając i być może mordując ludzi.

Genetyka mogła załadować broń, ale środowisko pociągnęło za spust. Zawsze to powtarzała. Może Anders to nie zabójca, ale z pewnością nie był dobrym człowiekiem. A jeśli Rowan była takim potworem, jakim się wydawała, Gretchen zaczynała myśleć, że ma szczęście, znajdując się na dole skali socjopatii.

– Dlaczego nie próbowałaś jej powstrzymać?

– Dopiero później dowiedziałem się o jej ofiarach – przyznał, chociaż pobrzmiwało w tym raczej znudzenie niż chęć usprawiedliwienia się. – Wierz mi lub nie, nie obchodzi mnie to. Ale z tego, jak bardzo jej stan się pogorszył, zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy wróciła do Bostonu w dziewięćdziesiątym trzecim roku. – Urwał. – W pewnym momencie sądziłem, że ten twój gliniarz ją zabił.

– Ten mój gliniarz? – zapytała, chociaż wiedziała, kogo miał na myśli.

– Detektyw Shaughnessy. Był bardzo gorliwy, jeśli chodzi o Rowan. Myślał, że jestem seryjnym zabójcą. Ja myślałem, że on jest szalonym stalkerem, który ją zabił w latach osiemdziesiątych. Okazało się, że po prostu uciekła, co na szczęście zrozumiałem, zanim zgłosiłem jej zaginięcie. Pomyśl, jaki wstyd by to nam przyniosło.

Gretchen zacisnęła powieki, gdy u podstawy czaszki pojawił się pulsujący ból głowy.

– Nie sądziłeś, że coś z tego mogło mieć znaczenie dla śledztwa w sprawie zabójstwa Rowan?

– Zbiegi okoliczności się zdarzają – odrzekł obojętnie Anders. Jakby to nie określiło całego jej życia. – Byłaś wyraźnie winna. Po co wygrzebywać jakieś sprawy z przeszłości? Poza tym to ładnie rozwiązało problem Rowan.



Gretchen była pewna, że gdyby rozmawiali bezpośrednio, wydobyłaby na niego jakieś ostre narzędzie. Może nożyce, gdyby miała przy sobie swoją dużą torbę.

– Kto naprawdę zabił Rowan?

– To jest męczące, Gretchen – powiedział powoli. – To byłaś ty.

– Jestem zmęczona tym, że ludzie, którzy zaciemniają zasadnicze fakty, mówią mi, że ta odpowiedź jest oczywista. – Każde wypowiedziane przez nią słowo było jak smagnięcie biczem. – Mamy wszystkie te powiązania, a ty nadal myślisz, że to ja?

Kiedy nie odpowiedział, nie dawała za wygraną.

– Jesteś psychiatrą. Powiedz mi, dlaczego uważasz, że moja przemoc, której nigdy w takim stopniu nie przejawiałam, nagle przybrała na sile?

– Zawsze byłaś drażliwa.

– Drażliwość nie czyni człowieka mordercą – zaproponowała. – Stać cię na więcej.

– Nienawidziłaś jej – odparł, a jego głos nabrał mocy. – Odwróciła od ciebie uwagę. Przebieg wydarzeń wskazuje, że jej przybycie było czynnikiem wyzwalającym. Niechęć narastała przez trzy miesiące i kiedy wyjechałem w interesach, wykorzystyłaś okazję.

– Miałam osiem lat – przypomniła sucho. – Ledwie umiałam zawiązać sobie buty, a co dopiero „wykorzystać okazję”.

Znów milczenie, teraz dłuższe. Gretchen naparła, wyczuwszy krew w wodzie.

– Kto zabił Rowan?

– Ty. – Tym razem słabiej.

Marconi nie spuszczała wzroku z jej twarzy.

– Kto zabił Rowan? – powtórzyła Gretchen.

– Ty. – Jego przekonanie się zachwiało, a potem umocniło.

– Niech to szlag! – Gretchen niemal cisnęła telefonem przez pokój. Ale były już bardzo blisko. – Kto. Zabił. Rowan?

Cisza. Ale nadal słyszała jego oddech.

– Zadajesz niewłaściwe pytanie.

Nareszcie. Gretchen zamknęła oczy, jej ręka z telefonem zaczęła się lekko obniżać.

– Jak brzmi właściwe?

Gdy padła odpowiedź, wydała się tak oczywista, że Gretchen wściekła się na siebie, iż jej to umknęło.

– Kto wiedział, że tak łatwo będzie cię obwinić?

A jednak nie to pytanie należało zadać. Ponieważ Anders nie był idiotą. Był zaciekawiony, psychiatra z krwi i kości.

Gretchen nie powiedziała tego głośno, ale pomyślała, że właściwe pytanie brzmiało: „Dlaczego Andersowi tak łatwo przyszło obwinić ją, zamiast szukać prawdziwego zabójcy?”.

Chciała się cofnąć, spojrzeć z dalszej perspektywy. Ale pnącza tej sprawy oplotły ją i spętały, wciągając głębiej, do miejsca, w którym nie mogła być obiektywna, gdyby próbowała.

Rozłączyła się bez słowa i napotkała pytające spojrzenie Marconi.

– Pora, żebyśmy porozmawiały z Tabithą.

## ROZDZIAŁ 41

SHAUGHNESSY

1993

Minęło pięć lat od dnia, w którym Anders próbował przekonać Shaughnessy'ego, że jest szalony, że jest zabójcą niedopuszczającym do siebie rzeczywistości. Pięć lat, odkąd Shaughnessy pogodził się z faktem, że Rowan bawiła się nim, jakby był śmieszną zabawką do manipulowania.

Mógł się tylko domyślać, ale sądził, że manipulowała również Andersem. A Shaughnessy, ze swoją obsesyjną naturą, pomógł uwiarygodnić każdą historię na jego temat, którą rozsunęła przed bratem.

Czy wskazywała na jego samochód, ilekroć przejeżdżał obok domu White'ów? Mówiła Andersowi, że się martwi, iż Shaughnessy zwariował, stał się niebezpieczny? Powiedziała mu, że jej zdaniem jego zachowanie mogłoby przerodzić się w przemoc, gdyby go nie uspokoiła?

Shaughnessy płakał tamtego popołudnia pięć lat temu, kiedy przejrzawszy na oczy, czytał swoje notatki o rodzinie White'ów, a każdy fragment rozmowy ujawniał, jak Rowan kształtowała przed nim swój wizerunek. Sposób, w jaki nigdy nie mówiła zbyt wyraźnie o swoim strachu, zaprzeczając mu, gdy była pytana wprost, ale dając jasno do zrozumienia, że się boi. Shaughnessy we łzach wypił pół butelki taniej wódki, którą Donna trzymała w lodówce, i zrozpaczony zastanawiał się, dlaczego jego życie zostało tak uformowane przez jedno spotkanie w czasie, kiedy był zaledwie chłopakiem.

A gdy już upił się wystarczająco, potrafił przyznać, że nawet nie może winić za to Rowan. Był współwinni. Wyobraził sobie siebie jako wybawcę damy w opałach, przedstawiał siebie jako bohatera, a potem zachował się jak czarny charakter. Zdołała go omamić tylko dlatego, że te instynkty grały pierwsze skrzypce.

Ponad wszystko pragnął być dobrym gliną, chwalonym, podziwianym i uznawanym. Może ona oferowała szansę, ale to on wziął ją obiema

rękami.

Tak więc Shaughnessy spłakał się, upił do nieprzytomności, a potem włożył wszystko z powrotem do tego przeklętego pudła i wsunął je na półkę magazynowego regału, żeby mogło dalej zbierać kurz.

Jeszcze raz obiecał sobie nie myśleć o rodzinie White'ów.

Jeszcze raz uwierzył, że dotrzyma obietnicy.

I udało mu się. Przez całe pięć lat.

Ale wtedy zadzwoniła Tabitha. Przerazona, niemal bełkotliwa. Mówiła o zabójstwie siostry, o mężczyźnie, który chciał ją skrzywdzić, o szukaniu odpowiedzi.

Był w stanie myśleć tylko jedno – nie. Nie znowu. Boże, nie znowu. Był zbyt słabym człowiekiem, by go stawiać przed taką pokusą.

A ponieważ był tym, kim był, Shaughnessy wydobył adres Tabithy ze starych akt i pojechał do jej dzielnicy. Zaparkował na końcu ulicy, wiedząc, że zacznie wypatrywać podejrzanych samochodów. Tego „Cala Harta”, który najwyraźniej przestraszył Tabithę tak bardzo, że zwróciła się właśnie do niego.

Jednak nie chciał się angażować bardziej. Nie tym razem.

Nie, upewni się, że z Tabithą wszystko jest w porządku, i tyle.

Shaughnessy słyszał głos ojca, który zawsze mu powtarzał, że będzie dobrym detektywem, podczas gdy wszyscy śmiali się z jego marzeń. „Bądź dobrym człowiekiem. To najważniejsza rzecz. Ważniejsza niż bycie dobrym gliną. Przede wszystkim musisz być dobrym człowiekiem”.

To wydawało się takie proste. Ale życie nie było proste, morderstwo nie było proste, dobro i zło nie były proste.

Mówił sobie, że jest dobrym człowiekiem. Że popełnił błędy, mnóstwo błędów, ale przecież starał się pomagać ludziom, próbował uczynić świat lepszym, bezpieczniejszym miejscem.

Ale czy to pozwalało uznać go za „dobrego człowieka”? Już nie wiedział i zaczynał się zastanawiać, czy w ogóle go to obchodziło.

Jaki był pożytek z moralności, kiedy wszystkie dziewczyny i tak umierały?

Co dobrego przyniosło światu to, że Shaughnessy był „dobrym człowiekiem”, kiedy źli ludzie szaleli?

Czy można walczyć ze złem, reprezentując wyższość moralną?

A może trzeba zanurzyć się z nimi w błocie, oddychać tym samym powietrzem, żyć ich życiem?

Patrząc, jak w pokoju Tabithy zapala się światło, pomyślał, że prawdopodobnie zna odpowiedź.

Wyższość moralna jest dla ludzi, których codziennie nie prześladowały duchy.

Po tych wszystkich latach Shaughnessy pogodził się ze świadomością, że nie zawsze jest „dobrym człowiekiem”.

## ROZDZIAŁ 42

GRETCHEN

Teraz

Kobieta, która otworzyła drzwi domu pod adresem wydobytym w końcu przez Fred, wyglądała na wyczerpaną życiem. Tabitha Cross była tylko jakieś dziesięć lat starsza od Gretchen, ale łatwo mogła uchodzić za osobę po sześćdziesiątce.

Jednak jej widok przywołał teraz odległe, niewyraźne wspomnienia i Gretchen wiedziała, że trafiły do właściwego domu.

– Czekałam, aż przyjdiesz – odezwała się Tabitha, gdy ją zobaczyła.

– Pamiętasz mnie? – zapytała Gretchen, wchodząc do pogrążonego w mroku domu.

Zbliżał się zmierzch, ale żadne ze świateł się nie paliło, a okna były małe. Sądząc po wyglądzie kobiety – dresy, poplamiona koszula, niedopasowane skarpetki – Gretchen właściwie spodziewała się zastać tam stosy starych gazet, puste pojemniki po jedzeniu na wynos, sterty śmieci w kątach. Tymczasem wszystko było schludne, na swoim miejscu.

Tyle że w atmosferze było coś dziwnego, jakby dom zamarł w czasie, a Tabitha istniała oddzielnie od niego.

Gretchen widywała już coś podobnego, pracując przy sprawach dotyczących śmierci dzieci.

– Niełatwo o tobie zapomnieć – przyznała Tabitha, wskazując im kanapę.

– Powiedziałaś, że mnie oczekiwałaś – nawiązała Gretchen, nie zaczynając od pytań, z którymi przyszła.

– Czekałam prawie trzydzieści lat. – Kobieta zaśmiała się lekko.

Zatem nie było sensu krążyć wokół tego na palcach.

– Dlaczego nigdy nikomu nie powiedziałaś, że byłaś tam wtedy?

Tabitha spojrzała na Marconi, która jeszcze jej się nie przedstawiła. Gretchen zgadywała, że celowo. Zwykle policjantka musiała w progu wyjąć

odznakę, żeby zostały wpuszczone do środka, ale Gretchen wyczuwała, że teraz byłby to powód, by natychmiast wykopać je za drzwi.

– Ona nie jest ważna – stwierdziła. – To tylko moja asystentka.

Marconi nawet nie drgnęła, ale Gretchen wiedziała, że gdyby mogła, przewróciłaby oczami.

Tabitha westchnęła i związała włosy w koński ogon aksamitną gumką, którą miała na nadgarstku.

– Wiesz o Jennifer?

– Tak. To dlatego przyszłaś pracować u mojej rodziny?

Kobieta skinęła głową zmęczonym ruchem, a potem wstała. Nie dała im znaku, żeby jej towarzyszyły, ale gdy ruszyła w głąb korytarza, było to oczywiste polecenie. Poszły za nią i zatrzymały się przed zamkniętym pokojem. Tabitha zawahała się, opierając dłoń płasko o drzwi. A potem weszła do środka.

Jak Gretchen domyśliła się na podstawie stanu reszty domu, pokój nadal trwał w czasie, w którym zmarła Jennifer. To nie było sanktuarium ani nawet pomnik; było to miejsce, które istniało poza wpływem dekad. Sypialnia siedemnastoletniej dziewczyny.

– Byłam młoda – powiedziała Tabitha, jakby nie istniało wcześniejsze pięciominutowe milczenie.

– Myślałaś, że Anders White był odpowiedzialny za śmierć Jennifer? – Gretchen zachęciła ją do mówienia.

– Myślałam, że to możliwe. – A potem z dziwnym uśmiechem kontynuowała: – Jak powiedziałam, byłam bardzo młoda.

– Co spowodowało, że zmieniłaś zdanie?

Jakieś emocje przemknęły przez jej twarz, a potem zostały bezwzględnie ograniczone do neutralnego wyrazu.

– Zdałam sobie sprawę, że mój trud jest daremny i że muszę żyć dalej.

Na tę niejasną odpowiedź Gretchen zmrużonymi oczami przyjrzała się twarzy Tabithy. Ale cokolwiek się na niej pojawiło, już dawno zniknęło.

– Czy może nam pani powiedzieć, co się wydarzyło tej nocy, kiedy zmarła Rowan White? – włączyła się Marconi głosem łagodnym i spokojnym.

Ramiona opadły, usta się skrzywiły. Mowa jej ciała wyrażała teraz rezygnację.

– Położyłam Gretchen do łóżka około ósmej, to była jej normalna pora snu. Bardot poszła do gabinetu z kieliszkiem wina, żeby poczytać, a Fran

zajęła się sobą. Byłam w swoim pokoju do chwili, kiedy postanowiłam zejść na dół po wodę. Nie widziałam nikogo w domu. Pomyślałam, że ty i Fran – jej spojrzenie znów spoczęło na Gretchen – śpicie. Jednak drzwi Rowan były otwarte. Zobaczyłam krew na łóżku i zaczęłam krzyczeć. Twoja matka przyszła na górę, zobaczyła cię w pokoju z nożem w ręce i zbiegła na dół, żeby zadzwonić na policję. Zjawili się jakieś dziesięć minut później.

Ta recytacja wydarzeń brzmiała jak wyuczona, ale Gretchen przypuszczała, że Tabitha nieustannie przeżywała tamte chwile w swoich koszmarach. Prawdopodobnie wryły się w jej mózg.

– Co się działo w ciągu tych dziesięciu minut? – zapytała Marconi.

Kobieta przez moment patrzyła na nią tępo. Wydawała się zdezorientowana tym pytaniem.

– Hm. Nic. Gretchen po prostu tam stała, a ja byłam zbyt przerażona, żeby wejść do pokoju.

– Myślała pani, że ona panią zrani?

– Nie wiem – szepnęła Tabitha, odwracając wzrok od Gretchen, jakby zażenowana. Gretchen pomyślała, że powinna taka być, przyznając, że nie potrafiła poradzić sobie z dzieckiem.

– I stała pani w drzwiach przez całe dziesięć minut? – naciskała Marconi.

– Cały czas patrzyła pani na miejsce zdarzenia?

Kobieta zaczęła żuć skórkę oderwaną z boku paznokcia kciuka.

– Chyba tak. Jakby wszystko mi się zamazało przed oczami.

Marconi skinęła głową i spojrzała na Gretchen.

– Słyszałaś coś, zanim zobaczyłaś Rowan? – przejęła pałeczkę Gretchen.

Tabitha zaczerwieniła się i pokręciła głową.

– Słuchałam swojego walkmana.

– Czy tamtej nocy działo się coś dziwnego? – włączyła się Marconi. – Może zanim wszyscy poszli spać?

Przeczący ruch głowy.

– Kto panią przesłuchiwał? Kiedy przyjechała policja? – kontynuowała Marconi.

– Nie pamiętam ich nazwisk.

I to było pierwsze oczywiste kłamstwo. Shaughnessy nie wahał się jasno dać do zrozumienia, że zanim Rowan została zamordowana, dobrze wiedział, kim jest Tabitha Cross.

Gretchen wymieniła spojrzenia z Marconi, która wzruszyła ramieniem na znak, że od niej zależy, jak to rozegrać.



Przygryzając wewnątrz policzka, Gretchen rozważyła różne scenariusze. Zdecydowała się na konfrontację.

– Ale przed tym wieczorem znałaś detektywa Patricka Shaughnessy’ego. Tabitha odwróciła wzrok.

– Tak, chyba masz rację. Jednak byłam w szoku. Tak naprawdę nie pamiętam...

Nie trzeba było geniusza, żeby się zorientować, że nie jest do końca szczerą – ani żeby wiedzieć, że kłamiąc, czuje się wybitnie nieswojo. Dlatego Gretchen postanowiła przycisnąć ją mocniej, aby zobaczyć, czy się złamie. Jaki jest pożytek z bycia socjopatą, jeśli nie można wytrącić kogoś z równowagi?

– Czy ty i Shaughnessy zaplanowaliście morderstwo Rowan?

– Co? – Tabitha ze zdumienia szeroko otworzyła oczy i gwałtownie wypuściła powietrze. Objęła się rękami w klasycznym defensywnym geście.

– Słyszałaś mnie doskonale – powiedziała Gretchen, podchodząc bliżej, aby kobieta poczuła się zagrożona, choćby tylko trochę.

Tabitha potrząsnęła głową, wpatrując się w dywan tuż za miejscem, w którym stały Gretchen i Marconi.

– To szaleństwo.

– Zapewniam cię, że nie – wycedziła Gretchen.

– Nie zrobiliśmy nic takiego jak... jak zaplanowanie jej śmierci. – Policzki Tabithy zbladły, oczy zaszyły łzami.

„Przytłoczona”, domyśliła się Gretchen. Jednak nie zła, nie obrażona, nawet jeśli jej słowa mogły brzmieć w ten sposób. Ale nie mowa ciała ani ton głosu. Nie tak zwykle wygląda osoba fałszywie oskarżona”.

Oczywiście są wyjątki, ale nie było sensu ich szukać, gdy wszystkie oznaki wskazywały na poczucie winy jako ukrytą emocję.

– Więc co zrobiłaś, Tabitho?

Potrząsnęła głową.

– To, co musiałam.

## ROZDZIAŁ 43

TABBY

1993

Czasami Tabby zabierała ze sobą Gretchen, jeśli miała coś do załatwienia poza domem. Nie zapomniała uczucia dłoni Cala na swoim gardle, tego rozpaczliwego, dławiącego strachu, który prawdopodobnie nie przestanie jej prześladować aż do śmierci.

Ale Gretchen stanowiła jej ubezpieczenie. Mało prawdopodobne, by Cal podszedł do niej, gdy będzie miała przy sobie dziecko.

Minusem, oczywiście, była obecność Gretchen.

– Myślisz, że rzeźnicy lubią zabijać świnie? – zapytała teraz dziewczynka z twarzą przyciśniętą do szyby gabloty z mięsem, głodnymi oczami pozerając specjalną część wystawy z w pełni zachowaną głową świni.

Przyzwyczajona do tego typu pytań Tabby po prostu powiedziała „nie” i złożyła zamówienie u rzeźnika, który patrzył na Gretchen z twarzą ściągniętą niepokojem.

Tabby westchnęła, żałując, że dziewczynka nie jest dość duża, aby przynajmniej udawać normalną. Chociaż nie była przekonana, że to tylko pewien etap i że Gretchen kiedykolwiek będzie w stanie się dopasować. Miała przed sobą długie, trudne i z pewnością samotne życie. Dzieci odsuwały się od niej. Dorośli patrzyli na nią z obawą. Jeszcze nie ze strachem. Ale był to dystans człowieka, który rozpoznaje brutalną obcość drugiej osoby i odcina się od niej. Może to niesprawiedliwe, ale taka była prawda.

Pogrążona w tych ponurych rozmyślaniach Tabby z początku nie zauważyła, kiedy Gretchen zaczęła ciągnąć ją za rąbek kurtki. Kiedy uniosła pytająco brwi, Gretchen skinęła na nią, by się pochyliła i nadstawiła ucha.

– Ten mężczyzna chodzi za tobą – szepnęła.

Tabby cofnęła się gwałtownie i rozejrzała po sklepie. Nikogo nie zauważyła, a na pewno nie Cala.

Pochyliła się.

– Kto?

Gretchen uśmiechnęła się szeroko, ukazując siekacze.

– Już go nie ma. – Urwała. – Myślisz, że chce cię zabić?

Tabby zamknęła oczy, przywołując cierpliwość głęboko, bardzo głęboko zakopaną pod strachem.

– Tak, kochanie. Tak myślę.

## ROZDZIAŁ 44

GRETCHEN

Teraz

Problem z ludźmi mającymi tajemnice – takimi, które mogą posłać ich do więzienia – polega na tym, że znają swoje prawa lepiej niż ci niewinni.

Tabitha Cross szybko odprowadziła Gretchen i Marconi do drzwi, po czym odesłała je do swojego prawnika, choć Gretchen była pewna, że w rzeczywistości takowy nie istnieje. Dało to jednak asumpt do zdecydowanego pożegnania, zwłaszcza że towarzyszyło mu trzaśnięcie drzwiami.

– Czy to było wystarczające wyznanie, by wmówić sędziemu, że kryje się za nim coś więcej? – zapytała Gretchen, prawie, ale nie całkiem, żartując. Marconi zdarzało się akceptować fakt, że nie wszystko jest czarno-białe, ale tylko wtedy, gdy zmusiła ją do tego reszta świata. Kiedy to możliwe, próbowała wyraźnie zaznaczać granice.

– To nic nie było i dobrze o tym wiesz – odpowiedziała Marconi, wsuwając się na siedzenie porsche.

Gretchen przycisnęła powieki kciukami.

Coś jej umykało, coś ważnego, i miała niemal pewność, że już wie, co to jest. Była jednak zbyt zaangażowana, jej strach, panika i gniew wkradały się w każdy ciemny zakamarek śledztwa, uniemożliwiając jej chłodne logiczne rozumowanie.

Może Gretchen miała problem z rozumieniem emocji innych ludzi, ale to nie znaczyło, że sama była ich pozbawiona. Czasem trudno dostępne, czasem niełatwe do zlokalizowania, ale były tak samo nieodparte, jak u każdej innej osoby.

Marconi nie zmuszała jej do rozmowy i Gretchen poświęciła chwilę na myślenie.

To coś było blisko, na wyciągnięcie ręki.

„Bądź obiektywna”.

W odpowiedziach Tabithy było coś dziwnego. Albo... nie dziwnego, ale może przeciwnie – zbyt uładzonego.

– Czy jej recytacja na temat tamtej nocy brzmiała dla ciebie znajomo? – zapytała, a pewna myśl w polu jej percepcji zaczęła nabierać kształtu.

– Tak – przyznała Marconi, ze zmrużonymi oczami patrząc przez przednią szybę, a Gretchen wiedziała, że tak naprawdę niczego nie widzi. – Była prawie taka sama jak to, co mówiła Bardot.

– Myślę, że to dziwne – powiedziała powoli Gretchen, próbując nie przyglądać się tej myśli, by jej nie odstraszyć. – Jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo wszyscy lubią nam przypominać, jak dawno to było.

– Prawie trzydzieści lat. – Usta Marconi drgnęły w uśmiechu. – Nie słyszałam tego od kilku godzin.

Mimo że Gretchen irytowała się, gdy Bardot używała tej wymówki, by uniknąć odpowiedzi, w zasadzie była to prawda. Trzydzieści lat to zbyt długi czas, by móc przypomnieć sobie szczegóły, nawet jeśli traumatyczne doświadczenie wryło się w pamięć. Nawet przesłuchanie świadków po kilku dniach od zdarzenia mogło dać kompletnie różne relacje.

Ale Tabitha się nie wahała.

– Tabitha i Bardot przeciwiczyły ich wersje tamtej nocy – stwierdziła Gretchen. – I dopasowały. Co ci to przypomina?

Obie przeprowadziły wystarczająco dużo przesłuchań, by znać odpowiedź.

– Wspólniczki – odpowiedziała Marconi. – Może Tabby naprawdę opuściła dom, zanim Shaughnessy tam się zjawił.

– Jednak właśnie powiedziała, że została przesłuchana – zauważyła Gretchen, próbując szukać luk w tej teorii.

– To mogło być kłamstwo – stwierdziła Marconi. – I wyjaśniałoby, dlaczego Shaughnessy tak usilnie cię przekonuje, że to zrobiłaś. Bardot udawała, że Tabitha miała wolny wieczór czy coś w tym rodzaju.

Ale Gretchen pokręciła głową.

– Wiedział, że ona tam pracuje. Nawet jeśli Bardot wymyśliła jakieś kłamstwo na temat jej nieobecności, Shaughnessy odnotowałby je w raporcie. Przeczytałam akta jego starych spraw. Nie był niedbały. – Umilkła na moment. Jedynym wyjaśnieniem zarówno gładkiej recytacji, jak i zniknięcia świadka było to, że Bardot, Tabitha i Shaughnessy spiskowali, aby coś razem ukryć. – A jeśli...

Gretchen urwała, ale Marconi zawsze udowadniała, że myśli podobnie.

– ...jeśli oni wszyscy są w to zamieszani? – dokończyła policjantka, krzywiąc się ponuro.

– Ale dlaczego? – zapytała Gretchen, patrząc na dom. Zasłona w oknie się poruszyła.

Marconi tylko pokręciła głową.

– Wszelkie dowody na ich spisek dawno zniknęły.

– Zgadza się, tyle że my nie potrzebujemy dowodów, prawda? – powiedziała Gretchen i przekręciła kluczyk w stacyjce. – Potrzebujemy tylko przyznania się.

## ROZDZIAŁ 45

SHAUGHNESSY

1993

Ostatni partner Shaughnessy'ego poprosił o przeniesienie na Florydę zeszłej wiosny, więc do czasu znalezienia stałego zastępcy przydzielono mu do pomocy młodego mundurowego.

Chłopak – Nick Cośtam – był pełen zapału i bystry, Shaughnessy niemal widział, jak merda ogonem, ilekroć dostawał jakieś zadanie.

Tym razem zawsze obecny uśmiech Nicka zbladł.

– Że niby co mam zrobić?

Shaughnessy sięgnął do zasobów swojej cierpliwości.

– Idź do archiwum i przynieś mi akta z dowodami w sprawie Jennifer Cross. To stara sprawa z lat osiemdziesiątych. Już zadzwoniłem i uprzedziłem ich, że przyjdiesz.

Nick poruszył się i splótł dłonie. Nie zajdzie daleko w tym zawodzie, jeśli nie umie ukryć podstawowych reakcji. Shaughnessy czekał.

– Okej – wymamrotał wreszcie chłopak, gapiąc się w podłogę, jakby chciał, żeby się pod nim zapadła. Bez dalszych protestów wyszedł szybko z pokoju. Shaughnessy odprowadził go wzrokiem, po czym podszedł do bufetu, na którym stał ekspres do kawy.

– Już zdążyłeś wystraszyć kolejnego? – zapytał Boyd, hojnie dolewając kawy do swojego kubka.

– Tego młodziaka? – Shaughnessy coraz łatwiej znosił dokuczanie, którego zresztą niemal zaprzestano w ostatnich latach. Jednak Boyd nadal to robił. A zważywszy na to, że stali się kimś w rodzaju przyjaciół, Shaughnessy często odpłacał mu pięknym za nadobne. – Boi się własnego cienia.

Boyd zachichotał.

– Hej, gratuluję awansu.

Shaughnessy opuścił głowę, zawstydzony, że tak bardzo się z tego cieszy. Dostanie się do wydziału kryminalnego zajęło mu więcej czasu, niż powinno – do tego stopnia, że w najbardziej ponure noce zastanawiał się, czy ktoś nie podstawił mu nogi – ale było warto.

– Dzięki, teraz tylko potrzebuję sprawy.

– Nie pracujesz nad czymś? – zapytał Boyd, wskazując drzwi, za którymi zniknął Nick.

– Nie. – Shaughnessy starał się to rozegrać z jak największą obojętnością. Tylko tego brakowało, żeby znów zaczęto szeptać o jego dawnej obsesji. Ludzie tutaj mieli długą pamięć, a nie chciał przejść do wydziału kryminalnego, ciągnąc za sobą jakiś cień. – Po prostu sprawdzam coś w pewnej starej sprawie.

Boyd rozejrzał się, a potem ściszył głos:

– Tak? Mam nadzieję, że nie chodzi znów o Andersa White’a.

I oczywiście Boyd to pamiętał. Chryste. Shaughnessy myślał, że każdy, kto się tu liczy, zapomniał o tym. Przełknął zbyt gorącą kawę i się skrzywił.

– Nie. Dostałem już lekcję pod tym względem.

– Pewnego dnia coś spieprzy – rzekł Boyd, pocieszając go przyjacielskim klepieniem w ramię. – I tego dnia ty tam będziesz. – Odchodząc od bufetu, o który się opierał, z rozbawieniem dał Shaughnessy’emu kuksańca i dodał: – Panie detektywie.

– Przepraszam. – Nick wrócił, wciąż ściskając dłonie, aż kostki mu zbielały. – Te akta, które pan chciał... Śledztwo w sprawie Jennifer Cross. Nie ma ich.

– Co? – zapytał Shaughnessy. Ze wszystkich kłopotów, których się spodziewał, ten nie przyszedł mu do głowy.

Nick tylko pokręcił głową, gapiąc się na niego, otwierając i zamykając usta, z których nie wydobywało się ani jedno słowo. Gdy Shaughnessy odchrząknął, chłopak się zaczerwienił.

– W archiwum powiedzieli, że ich tam nie ma.

– W porządku, nie twoja wina, młody. – Shaughnessy klepnął go po ramieniu, tak jak przed chwilą Boyd jego, i powstrzymał westchnienie, gdy Nick zrobił unik. Jakby spodziewał się uderzenia. – Wszystko gra? – zapytał, przyglądając mu się z uwagą. To było coś więcej niż chęć zadowolenia szefa.

– Nie. Tak. – Nick zamknął oczy i zaczerpnął powietrza. – Tak, wszystko w porządku. Chce pan, żebym coś zrobił w sprawie tych zaginionych akt?



– Nie. – Shaughnessy westchnął. – Zgłoszę to. Dzięki, młody.

Nick tak szybko poderwał się do ucieczki, że prawie się poślizgnął na wyłożonej płytkami podłodze.

Znów odprowadził chłopaka wzrokiem, aż za dobrze pamiętając, jak dziwne zachowanie może przyłgnąć do człowieka na całe lata.

Nie zamierzał powiedzieć Nickowi, że dawno temu zrobił kopię akt Jennifer Cross. Po swoim małym napadzie hysterii kilka lat temu przeniósł wszystkie rzeczy do magazynu na obrzeżach Southie i próbował oszczędzić sobie wyprawy do niego, oficjalnie zwracając się o dokumenty. Ale teraz cieszył się, że ma kopię.

Najwyraźniej obsesja ma swoje zalety. Zawsze robił kopie.

## ROZDZIAŁ 46

GRETCHEN

Teraz

Marconi uniosła brwi, widząc, że kierują się do domu Shaughnessy'ego.

– Nie do Bardot?

Gretchen pokręciła głową, podjeżdżając do krawężnika.

– Ona nie pęknie. Jeszcze nie.

– Ale on tak?

– Ale on tak – potwierdziła Gretchen, próbując pokazać pewność siebie, którą nie do końca czuła. – Masz broń?

Marconi zacisnęła szczęki, wahając się sekundę dłużej, niż gdyby miały stawić czoło komuś innemu.

– Tak.

## ROZDZIAŁ 47

TABBY

1993

Po wyjeździe Andersa w domu panowała cisza.

Rowan zamknęła się w swoim pokoju kilka godzin wcześniej, odmawiając dołączenia do nich na kolację.

Bardot wycofała się do swojego gabinetu, nawet nie spojrzawszy na Tabby.

Gretchen poszła spać i teraz Tabby patrzyła, jak Fran przechodzi w dole pod latarnią, wymknąwszy się zapewne na spotkanie z najnowszym chłopakiem, do którego teraz rozbłysły jej oczy. Przez chwilę rozważała zresetowanie alarmu – aby włączyć go z zewnątrz, potrzebny był inny kod, którego Bardot właśnie z tego powodu nie pozwoliła udostępnić dziewczynkom. Ale to wydawało się niepotrzebnie okrutne.

Może Tabby nie miała za sobą okresu dojrzewania, kiedy by się wymykała i całowała z chłopcami, ale to nie znaczyło, że chciała innych pozbawić tego szczególnego etapu w życiu.

Przeciągnęła się, poruszając ramionami, które ostatnio były stale napięte. Czuła, że już nawet nie potrafi wyjść z domu, nie myśląc o tym, że Cal jest gdzieś za nią. Czekała na odpowiedni moment, by zaatakować.

Zastanowiła się, czy nie zejść po cichu do piwnicy i nie zwędzić kolejnej butelki wina, ale powstrzymała ją myśl o tacie bez przytomności leżącym na kanapie.

Zamiast tego wymknęła się tylnymi schodami do kuchni i nie włączając górnego światła, wyjęła kubek i napełniła wodą.

Wstawiwszy go do mikrofalówki, oparła się o kuchenny blat, tępo spoglądając na widoczny za oknem ciemny ogród.

Za szybą coś się poruszyło.

Tabby cofnęła się zaskoczona, w uszach głośno pulsowała jej krew, nawet gdy zmusiła się, by stać absolutnie nieruchomo.

Słuchała. Oddychała.

Nic.

Na dźwięk mikrofalówki znów drgnęła, ale tym razem zaśmiała się z siebie, nie wiedząc, co jeszcze zrobić z adrenaliną krążącą w jej żyłach.

Wkrótce odpłynie, wiedziała to już z doświadczenia. Gdy się okaże, że nie ma zagrożenia, jej spadek będzie gorszy niż ten oszałamiający, lepki haj.

W korytarzu na dole cicho zatrzasnęły się drzwi, ale Tabby to zignorowała. Wyjęła kubek z mikrofalówki, uważając, by nie poparzyć palców.

Bardot miała słabość do dobrych herbat i Tabby wyjęła z szuflady eleganckie pudełko. Przeglądała torebki jak fiszki w katalogu.

Jedna z nich obiecywała relaks i dziewczyna się roześmiała.

– Nie zaszkodzi – mruknęła do siebie chrapliwym głosem.

Właśnie wrzuciła torebkę do wody, gdy jakaś ręka od tyłu chwyciła ją za gardło.

Kubek roztrzaskał się na podłodze – jedyny dźwięk w ciemnym pomieszczeniu.

Tabby już nie mogła krzyczeć.

## ROZDZIAŁ 48

GRETCHEN

Teraz

Shaughnessy otworzył drzwi ze szklanką zwisającą niepewnie przy boku w bezwładnych palcach.

– Wiemy, co się wydarzyło – powiedziała Gretchen bez cienia poczucia winy, że blefuje.

Uśmiechnął się lekko w odpowiedzi i Gretchen zdała sobie sprawę, jak jego twarz zdrętwiała w ostatnich miesiącach. Od momentu, gdy Gretchen wpadła w ten niepokojący nastrój.

Poczucie winy robi to z człowiekiem.

– Nie, nie wiesz – odparł, ale cofnął się, zostawiając otwarte drzwi. Przeszedł przez pokój – chwiejnie na tyle, by dało się to zauważyć – i usiadł na jednym z foteli przy oknie. Nie istniał żaden ślad, że była tu zaledwie kilka godzin wcześniej.

Istniała za to broń. Leżała na stoliku, namacalna pokusa.

Marconi też ją zauważyła. Gretchen poznała to po sposobie, w jaki zmieniła pozycję, by w razie czego sięgnąć po pistolet. Z jakiegoś powodu Gretchen nie sądziła, że do tego dojdzie.

– Wiem, że to nie ja zabiłam Rowan.

Shaughnessy połknął resztę szkockiej, która pozostała w jego szklance, a potem nalał sobie kolejną z butelki stojącej na stoliku.

– Nic nie wiesz.

Gretchen bez wahania podeszła i usiadła na drugim fotelu. Marconi starała się nie reagować, ale po jej twarzy widać było, że ocenia sytuację. Rzucić się między Gretchen a pistolet czy między Shaughnessy'ego a pistolet? W jaki sposób najlepiej uniknąć rozlewu krwi?

Nie zwracając na nią uwagi, Gretchen pochyliła się do przodu, oparła łokieć na kolanie, a podbródek na dłoni.

– To mi powiedz.

## ROZDZIAŁ 49

SHAUGHNESSY

1993

Shaughnessy wpatrywał się w swoją kopię akt Jennifer Cross i doszedł do zaskakującego wniosku, że widzi coś, czego nie potrafił zobaczyć dziesięć lat wcześniej.

Ta sprawa powinna była zostać rozwiązana.

W żołądku zapiekło go coś niepokojąco bliskiego poczucia winy, wypalając sobie drogę do przetyku, gdy zrozumiał, że nie została rozwiązana częściowo przez niego.

Należało trzymać się procedur. Detektywi nie zdołali odszukać śladów, gdy Jennifer zniknęła, a potem znów zawiedli, gdy jej ciało zostało znalezione.

Śledztwo umorzono z powodu ich niekompetencji. Ale pozostało zakończone z jego winy.

Ponieważ głośno mówił o możliwości powiązania tej sprawy z Andersem White'em, zaś Fitzy zrobił wszystko, co w jego mocy, aby skutecznie powstrzymać związane z tym reperkusje.

A Jennifer Cross była stratą uboczną.

Kiedy w ciągu ostatnich pięciu lat zaczęła się rozwijać technologia, wydział wyznaczył detektywów do podjęcia na nowo tego rodzaju zakończonych śledztw. Jako morderstwo, które zwróciło uwagę całego kraju, sprawa Jennifer powinna była znaleźć się wysoko na liście. Ale nikt nie chciał jej tknąć.

Przyciskał dłonie do oczu, aż pojawiły się mroczki, żałując zmarnowania lepszej części swojego życia.

„A jeśli to Rowan zabiła Jenny?”, zapytała Tabitha zaledwie parę tygodni temu.

Jeśli to robota Rowan, powinna ją cechować odrobina niedbałości, pozwalająca dowieść winy dziewczyny. W tym czasie miała siedemnaście

lat i prawdopodobnie byłoby to jej pierwsze zabójstwo.

Musiał istnieć jakiś błąd, którego nie dostrzegali.

Spojrzał na zegar. Było późno, zbliżał się wieczór. Ale ostatnio Donna coraz więcej czasu spędzała u siostry. Nie byłby zaskoczony, gdyby nie wróciła do domu. Cholera, nie zdziwiłby się, gdyby znalazł dokumenty rozwodowe czekające na niego u szczytu schodów.

Ponownie sięgnął po akta.

Przeczytał zeznanie Tabby. Przeczytał je jeszcze raz, a potem znów, próbując zrozumieć, co go w tym niepokoi.

Widziała mężczyznę, z którym jej siostra rozmawiała.

Opis był ogólny, ale był.

A jednak...

Detektywi nigdy nie kazali jej porozmawiać z policyjnym rysownikiem.

Może pomyśleli, że jej opis jest zbyt ogólny, by mógł pomóc, zwłaszcza że była dzieckiem, ale Shaughnessy dobrze pamiętał tamte dni. Szkice portretów pamięciowych podejrzanych były w modzie – wszyscy korzystali z okazji, żeby taki zamówić.

Kiedy już wiedział, czego szuka, ponownie przejrzał akta. Jego palec spoczął na jednej linijce tekstu ukrytej wśród innych notatek.

„Prośba odrzucona”.

Gdy patrzył na te słowa, powietrze wokół niego się rozrzedziło.

Jednym szybkim ruchem rzucił akta, niemal przedzierając strony raportu z autopsji.

Nacięcia.

Nigdy nie miały dla niego sensu.

A teraz dzięki dwóm słowom zdał sobie sprawę dlaczego.

Post mortem.

## ROZDZIAŁ 50

GRETCHEN

Teraz

– Dlaczego nie możesz zostawić tego w spokoju? – wybełkotał Shaughnessy, chociaż Gretchen zastanawiała się, czy to też jest gra.

– Dlaczego nie mogłeś powiedzieć mi prawdy? – odparowała.

– Powiedziałem – rzekł, teraz prawie niedosłyszalnie, opuszczając głowę na pierś. Gretchen spojrzała na broń, ciekawa, czy ta wyrwałaby go z odrętwienia. Ale kiedy przeniosła wzrok z powrotem na niego, wpatrywał się w jej twarz. – Czasami możesz zrobić tylko to, co uważasz za najlepsze.

– Kto cię uczynił etycznym centrum wszechświata? – zapytała. Gorycz zaprawiła krew w jej żyłach tak, że niemal czuła jej obrzydliwy posmak.

Shaughnessy zaśmiał się pustym śmiechem smutnego, starego człowieka.

– Absolutnie nikt.



## ROZDZIAŁ 51

TABBY

1993

Łomotanie.

W jej głowie. W klatce piersiowej. W dłoniach.

Tabby wbiła paznokcie w skórę ręki obejmującej jej gardło.

Krew.

Ale za mało. Tylko tyle, by napastnik zaklął, zamachnął się i wzmocił nacisk.

W jego dłoni coś błysnęło.

Nóż.

Ciemność ją przyzywała.

Musiała ją zwalczyć.

Musiała...

Musiała...

Stęknął, gdy opadła na niego całym ciężarem, bezwładna i uległa, tak jakby wola walki została z niej wytrącona.

Każdy atom każdej komórki każdej części ciała Tabby krzyczał, żeby się poruszyła, ale ona wiedziała, że to najlepszy – jedyny – sposób.

Napastnik poprawił chwyt, by zrównoważyć jej ciężar.

Teraz.

Tabby walnęła go łokciem w mostek, a potem mocno wbiła stopę w jego podbicie. Nie wyrządziła tym większej szkody, bo była boso, ale pomiędzy tymi dwoma uderzeniami ramię mężczyzny trochę jednak zwolniło nacisk.

To jej wystarczyło, by opuścić głowę i chroniąc szyję, użyć zębów.

Wbiła je w jego ciało bez wahania i skrupułów.

Wycie rozdarło nienaturalną ciszę kuchni, gdy ręka z nożem uniosła się i wplątała w jej włosy. Szarpnął jej głowę mocno do tyłu i Tabby miała dziwne poczucie *déjà vu*. Innym razem, w innym miejscu, kiedy te same palce ciągnęły ją za włosy, podczas gdy jęczał z rozkoszy.

Cal. „Dziewczyny, które bawią się w Nancy Drew, są mordowane”.

Nie miała w płucach dość powietrza, by krzyżeć, i głos, który się z niej wydobył, był łamiący się i słaby.

Hałas, musiała wywołać hałas. Nie była w tym domu sama.

Cal doszedł do siebie po jej słabych próbach ucieczki. Czubek noża przesunął się po gardle Tabby tak zimny jak głos w jej uchu.

– Bądź grzeczną dziewczynką, a nie będzie bolało.

Gdyby mogła, roześmiałyby się. „Ułatw mi zabicie ciebie, a zrobię to szybko”.

Przez większość życia Tabby szukała zapomnienia, szukała bólu, a potem odretwienia, które po nim następowało. Śmierć Jenny zniszczyła w niej całą wolę prawdziwego życia. Ale Tabby nie chciała umrzeć.

Nie chciała umrzeć.

To nie miało być objawieniem, ale właśnie tym się okazało. Nie chciała żyć tylko po to, by pomścić siostrę. Chciała po prostu żyć.

Cal szarpnął ją za włosy, by zwrócić na niego uwagę.

Jaki miał plan? Zabić ją tutaj? Spróbować zmusić ją, by cicho wyszła? Uświadomiła sobie, że czekał, aż Andersa nie będzie w domu, żeby wykonać swój ruch. Przypomniała sobie, że Fran się wymknęła, zostawiając wyłączony alarm.

To nie był spontaniczny atak.

Jedynym sposobem, aby mu przeszkodzić, było walczyć jak diabli.

Gdy to pomyślała, sięgnęła do tyłu i przeciągnęła paznokciami po jego twarzy, kciukiem drugiej dłoni szukając miękkiej gałki ocznej.

Kopała nogami w przód, nie w tył, by zmusić go znów do przyjęcia całej jej wagi, podczas gdy on próbował odeprzeć jej ręce.

Była tak blisko... Tylko dwa ruchy.

Poczuła słaby ból. Przedramię. Przecięte ostrzem. Celowo lub nie, to nie miało znaczenia. Jej krew była gorąca i śliska, przez co słabiej trzymał teraz nóż.

Jeszcze jeden ruch.

Krzyknęła nie z bólu, ale dlatego, że prawidłowo odgadła, że to go zmusi, by znów założyć rękę na jej szyję. Usunie nóż z niebezpiecznej strefy. Na razie.

Już.

Tabby zebrała wszystkie siły, które jej pozostały. Poczuła, jak zeszytniał za jej plecami, gotów do nowego ataku.

Ale ona nie zamierzała odpowiedzieć tym samym.

Zamiast tego jeszcze raz machnęła nogami i masywna suszarka do naczyń wypełniona delikatnymi kryształowymi szklankami, filizankami i talerzami z cienkiej porcelany oraz ciężką patelnią runęła na podłogę.

Wszystko się roztrzaskało.

A przynajmniej tyle, żeby właśnie tak to zabrzmiało.

Rumor przetoczył się nad nimi jak wielka fala, która rozbija się o brzeg, z hukiem wpada w ogłuszającą ciszę i wszystko wypełnia.

– Suka – syknął Cal i puścił ją.

Kolana nawet nie próbowały jej utrzymać. Tabby w sekundę znalazła się na podłodze, a odłamki szkła wbijały się w jej skórę.

A potem zimny głos.

– Kim jesteś i co robisz w moim domu?

Tabby była za kuchenną wyspą, więc nie widziała Bardot, ale mogła ją sobie wyobrazić sztywną, imponującą i władczą.

Cal obrócił się do niej, sięgając do kurtki, by wyciągnąć broń, i Tabby ucieszyła się, że nie wiedziała, iż ją miał.

Wycelował w Bardot.

Tabby przycisnęła pięść do ust, żeby powstrzymać płaczliwe... co? Ostrzeżenie? Na to było za późno. Sprowadziła tu tego potwora.

Najwolniej jak mogła, przesunęła się do Cala po ostrych odłamkach potłuczonej porcelany.

– Niech to szlag! – zaklął i spojrzał na nią. Tabby zamarła. – Patrz, do czego mnie zmuszasz!

Jego palec drgnął na spuście i znów odwrócił się do Bardot. Tym razem Tabby krzyknęła, chrypliwie i rozpaczliwie, jakby mogła go powstrzymać.

Strzał.

Cisza.

A potem ciało Cala osunęło się na podłogę obok niej z otwartymi oczami i ustami w wyrazie zdumienia. Głowa uderzyła o płytki podłogi, jakby był kukielką odciętą od sznurków.

Tabby odepchnęła się od niego. Jej dłonie ślizgały się na krwi, którą broczyła.

W następnej chwili Bardot stała nad Caliem, jej własna broń, zabezpieczona, leżała teraz na kuchennej wyspie. Przyglądała mu się, jakby był nieco odrażającym śmieciem, który ktoś nieuprzejmie zostawił na podłodze jej kuchni.

Westchnęła głośno, po czym spojrzała na Tabby.

– To on?

Tabby oparła się plecami o piekarnik i podciągnęła kolana do klatki piersiowej, kuląc się z całych sił. Jej ciało przebiegały tak gwałtowne dreszcze, że szczękała zębami.

Z wysiłkiem skinęła głową.

Bardot zacisnęła usta, widząc, w jakim Tabby jest stanie. Potem się pochyliła i bez wahania włożyła rękę do kieszeni kurtki Cala.

Cokolwiek wyjęła, wywołało to grymas na jej twarzy, pierwszy znak prawdziwego niepokoju, jaki Tabby dostrzegła.

– Opanuj się, kochanie – powiedziała Bardot, rzucając to coś do Tabby. Nie był to portfel, ale jakiś rodzaj skórzanej oprawy. – Czeka nas długa noc.

Palce Tabby drżały, kiedy sięgnęła po oprawę, jej ciało zdawało się wiedzieć, co to jest, zanim umysł mógł za nim nadążyć.

Skóra była ciepła, bo Cal trzymał ją w kieszeni na piersi.

Tabby oparła tę rzecz o uda, muskając kciukiem wypukłe litery na złotej odznace.

Cal Hart wreszcie miał prawdziwe nazwisko.

Detektyw Liam Boyd, Wydział Policji w Bostonie.

## ROZDZIAŁ 52

SHAUGHNESSY

1993

To policjant zabił Jennifer Cross.

Kiedy Shaughnessy przyjrzał się sprawie wystarczająco uważnie, zobaczył niewidzialną rękę kogoś, kto zakłócił dochodzenie. Nie było to nic oczywistego, nic, co Shaughnessy mógł wskazać i powiedzieć: „Patrz”. Nawet decyzję o odmowie zaangażowania rysownika podjęło szefostwo.

Jednak nie tylko w tych aktach dostrzegał teraz manipulację.

To była reputacja, która prześladowała go przez całą karierę.

Bodziec, który to wszystko rozpoczął: „Więc co pozostaje? Las”.

Ziewnięcie i aż nadto lekko rzucone: „Założę się, że ten gad zakuł ją w łańcuchy w piwnicy”.

Faktem było, że dorabianie w ochronie stanowiło popularny wśród gliniarzy sposób na dorzucenie czegoś do ich żalonych wypłat, podobnie jak to, że coroczny jesienny festyn liceum Phillipsa dawał dobrą ku temu okazję.

Faktem było, że dwa tygodnie po tym, jak Shaughnessy wbił sobie do głowy, iż jakiś seryjny zabójca morduje dziewczyny i nacina im ręce, Jennifer Cross zginęła dokładnie w taki sposób.

Faktem było wreszcie i to, że owe rany nie powstały w wyniku tortur, ale zostały zadane po śmierci.

Wracając na komendę, Shaughnessy działał na autopilocie. Wszystko na obrzeżach jego pola widzenia było niejasne i dezorientujące; dostrzegał tylko to, co miał bezpośrednio przed sobą.

Dotarł do biurka punktualnie na swoją zmianę, usiadł i spojrzał na puste krzesło po drugiej stronie pokoju.

Nie miał wystarczających dowodów na poparcie swojej teorii.

Na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnych śladów. Nie było żadnych świadków.

Chyba że...

Chyba że były.

Dotarł do niego czyjś niepewny głos i Shaughnessy zdał sobie sprawę, że siedzi tu beczynn timer od paru godzin, próbując odrzucić całe lata oszustwa i manipulacji, przyjaźni, która była jedynie przykrywką mającą służyć temu, by nic nie obudziło jego podejrzeń.

Shaughnessy podniósł wzrok i zobaczył Nicka. Jak zwykle niespokojnego i niepewnego.

Nick powiedział coś, co nie dotarło do Shaughnessy z powodu brzęczenia, które właśnie zaczął słyszeć w uszach.

Wspomnienie Nicka ściskającego dłonie z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

Przepraszającego, że nie mógł znaleźć akt Jennifer Cross.

Boyda, który słuca, popijając kawę. I słyszy, że Shaughnessy ponownie zainteresował się tą sprawą.

Nie było żadnych świadków. Chyba że...

Shaughnessy zaklął, ściągnął kurtkę z oparcia krzesła i wybiegł.

## ROZDZIAŁ 53

GRETCHEN

Teraz

– Boyd nie był seryjnym zabójcą ani psychopatą – rzekł Shaughnessy. Jego szklanka nadal niepewnie zwisała trzymana czubkami palców. Mówiąc, patrzył w okno.

– Był tylko... Był tylko złym człowiekiem.

Gretchen zerknęła na Marconi, która nie spuszczała oka z pistoletu. Jakby Shaughnessy był w stanie wziąć udział w jakiejś strzelaninie. A może Marconi obawiała się innego zakończenia.

– Shaughnessy – odezwała się ostro Gretchen. Przeniósł na nią zaskakująco trzeźwe spojrzenie. – Kto zabił Rowan?

Roześmiał się. Miała wrażenie, że ten wysoki, maniackalny dźwięk przecina jej skórę jak ząbkowane ostrze.

– Gretchen – powiedział, stawiając drinka obok pistoletu. Marconi zeszywniała, ale jeszcze nie wkroczyła do akcji. Shaughnessy pochylił się i ujął dłonie Gretchen. Głos miał pełen współczucia, tak że z daleka usłyszała, jak Marconi cicho wymawia: „Nie”. – To zawsze byłaś ty.

Wzrok Gretchen prześlizgnął się na pistolet.

Jej najmroczniejsza część szepnęła, że powinna chwycić go teraz, dopóki może. Marconi ją lubi, jasne, ale nie na tyle, by pozwolić, żeby odeszła wolno. Nie, jeśli Shaughnessy dowiedzie, że była winna.

Czy mogłaby zastrzelić Marconi?

Tak.

Potrząsnęła głową.

Nie.

Nie wiedziała.

– Gretchen. – To była Marconi, jej cichy, uspokajający raczej niż napięty głos. – Wyjaśnimy to.

Nie rób nic głupiego. To było brzmiące pod spodem ostrzeżenie.

Jej palce drgnęły i Shaughnessy znów się roześmiał, teraz jednocześnie złośliwy i zachwycony. Jakby tego właśnie chciał. To zaplanował.

I zdała sobie sprawę, że nie ma już nad nią żadnej władzy. Tyle razy w jej życiu groźba, że Shaughnessy ma rację, wystarczała, była granicą, której nie pozwalała sobie przekroczyć.

Teraz potrafiła myśleć tylko o tym, jak satysfakcjonujące byłoby pokazanie mu, że była dokładnie tym, za kogo ją miał.

– On nie jest tego wart. – Marconi przesunęła się tak, że zasłoniła Shaughnessy'ego. Teraz były tylko one dwie i Gretchen wiedziała, że policjantka celowo użyła tego sformułowania. Tego, które warknęła do Marconi, kiedy się na nią rzuciła.

Gretchen z wysiłkiem przełknęła ślinę, po czym szybkim ruchem chwyciła broń. Shaughnessy uśmiechnął się, jakby specjalnie ją tam położył. Jakby ona była zwierzątkiem wykonującym ciche polecenie.

– Kłamiesz – powiedziała.

– Gretchen – powtórzyła Marconi, tym razem celując w jej głowę ze swojej broni. Gretchen ledwie na nią spojrzała.

– Zastrzel mnie, proszę, kiedy już dostanę tę informację – rzuciła żartobliwie.

– On nie kłamie.

To nie Marconi powiedziała.

Wszyscy troje spojrzeli w stronę wciąż otwartych drzwi, w których stała Tabitha Cross. Nie wzdrygnęła się na widok broni, tylko spojrzała prosto w oczy Gretchen i powtórzyła:

– On nie kłamie.



## ROZDZIAŁ 54

TABBY

1993

Gwałtowne pukanie do drzwi zaskoczyło zarówno Tabby, jak i Bardot.

Ciało Tabby utknęło w dziwnym stanie zawieszenia pomiędzy napięciem a wyczerpaniem. Adrenalina unosiła się w jej krwi niczym lepki osad, ale ból, strach, poczucie winy przebijały się przezeń i oczyszczały go, pozostawiając tylko pustą ludzką powłokę.

Ale nie. Pustą powłoką był Cal – detektyw Liam Boyd – wciąż leżący na podłodze z kulą w piersi.

– Zostań tu – nakazała Bardot i szybko wyszła z kuchni.

Tabby spojrzała na tylne drzwi, jej nogi rwały się do ucieczki.

Ale wtedy usłyszała głos w korytarzu.

Chwilę później detektyw Patrick Shaughnessy minął Bardot i wszedł do kuchni. Nie widziała go od czasu tamtego popołudnia, kiedy stał w jej salonie i powiedział, że złapie człowieka odpowiedzialnego za śmierć Jenny. Mimo to bez trudu go rozpoznała.

Spojrzał na podłogę, na Boyda, a potem przeniósł wzrok na nią, tam gdzie stała nad ciałem, obejmując się ramionami i wciąż drżąc.

– Zabiłeś go?

Milczała, nie wiedząc, czy odpowiedź nie wpędzi Bardot w kłopoty. Ta kobieta uratowała jej życie; Tabby nie miała zamiaru na nią wskazywać.

– Ja to zrobiłam – powiedziała Bardot twardym, rzeczowym tonem. Nie okazywała najmniejszego poczucia winy z tego powodu. – To była samoobrona. Włamał się do mojego domu i zaatakował nianię.

Shaughnessy skinął głową krótkim gestem, ale nie odrywał wzroku od Tabby.

– To jest mężczyzna, którego znałeś jako Cala?

Tabby z wysiłkiem skinęła głową, starając się nie patrzeć na martwą, bladą twarz człowieka, który kiedyś śmiał się z nią, droczył, który ją

zniszczył. Zamiast tego wydusiła:

– Czy on zabił Jenny?

Oczywiście, że musiał to zrobić. Jednak chciała to usłyszeć.

– Sądzę, że tak – odparł Shaughnessy, z obrzydzeniem wykrzywiając usta, gdy patrzył na Boyda.

– Może to on ją zabił – odezwał się głos od drzwi. – Ale bez wątplenia jego muzą byłam ja.

Tabby wzdrygnęła się, gdy Rowan weszła do kuchni, szybkim spojrzeniem ogarniając tę scenę.

Podeszła do Boyda i bosą stopą kopnęła jego bezwładną dłoń.

– Dziękuję, że zajęliście się tym za mnie. – Spojrzała z uznaniem na Bardot. – Bardzo pomocne z twojej strony, droga siostrzo.

Bardot patrzyła na nią z zaciśniętymi ustami.

– Nie udawaj, że wszystko wiesz.

Rowan roześmiała się, jakby zaskakując tym samą siebie.

– Wiem, że to jest człowiek, który zabił Jennifer Cross. Wiem, że próbował stworzyć pozory, że zrobił to seryjny zabójca. Ten sam seryjny zabójca, który teoretycznie miałby zaatakować mnie.

– Anders. – Shaughnessy prawie warknął to imię.

– Właśnie – odrzekła Rowan z promiennym uśmiechem. Nieco spoważniała, patrząc na martwe ciało Boyda. – To był interesujący dzień, gdy mój podpis nieoczekiwanie pojawił się na dziewczynie, z którą chodziłam do szkoły.

Szybkim ruchem Rowan przykucnęła i chwyciła nóż, który Boyd upuścił – ten, którego, jak Tabby teraz się zorientowała, wydawało się brakować w bloku na kuchennej wyspie.

– Rowan, rzuć to – odezwał się wreszcie Shaughnessy. Jednak powiedział to z przekonaniem nowicjusza, a nie doświadczonego policjanta, i łatwo było zrozumieć, dlaczego ta nie uznawała go za zagrożenie.

Z ostrożnego sposobu, w jaki Rowan ustawiała się tak, by mieć Bardot w zasięgu wzroku, Tabby wywnioskowała, że to ją kobieta uważa za niebezpieczniejszą. Tabby nie mogła się z nią nie zgodzić. Wciąż miała w pamięci wspomnienie Bardot zimnym wzrokiem oceniającej martwe ciało Boyda.

– Byłam ciekawa, jak to wszystko się rozwinie – powiedziała Rowan. – Ale nie mogę pozwolić, by tego – znów kopnęła Boyda – powiązano ze mną. Mógłby się zrobić duży bałagan, rozumiecie. A ja nie lubię bałaganu.

Ostatnie zdanie powiedziała z pogardliwym spojrzeniem na potłuczone szkło i rozmazaną krew na podłodze.

Tabby nie mogła się powstrzymać:

– Dlaczego miałyby się zrobić bałagan?

Rowan podniosła wzrok i przyjrzała się dziewczynie z uwagą, najwidoczniej próbując zdecydować, czy coś jej powiedzieć.

– Jeśli ludzie zaczną rzucać światło na mroczne okoliczności śmierci twojej siostry? No cóż, mogliby znaleźć trochę więcej dziewczyn z podobnymi obrażeniami. Być może cała wina spadłaby na niego, ale nie mogę ryzykować. Zwłaszcza jeśli zostanie znaleziony w tym domu.

Tabby zastanowiła się nad tymi słowami i przypomniała sobie swoje podejrzenia co do skłonności Rowan do przemocy.

„Mój podpis”.

Czy były inne dziewczyny? Te, które Rowan rzeczywiście zabiła? A jeśli tak, to czy zorientowawszy się, że ta kobieta jest potworem, a nie kolejną potencjalną ofiarą Cala Harta, Tabby nie natknęłaby się w końcu na coś, co wyglądałoby na dowód?

– Zaplanowałaś to – stwierdziła. – Wiedziałaś, że staram się odkryć prawdę. Że w końcu zacznę cię podejrzewać o zabicie Jenny. Wiedziałaś, że Boyd też wpadł w panikę.

– Miałam go na oku, odkąd wróciłam – przyznała uprzejmie Rowan. – Sam się tak urządził, kiedy postanowił chronić swój tyłek, robiąc te nacięcia na rękach twojej siostry.

– Nacięcia? – zapytała Tabby. – Co one mają z tobą wspólnego?

– Och, nie poskładałaś tego w całość, co? – Rowan rzuciła Shaughnessy’emu karcące spojrzenie. – Ukrywałeś informacje, Patricku.

– Pewnej nocy zabraliśmy z drogi Rowan z takimi samymi obrażeniami, jakie miała twoja siostra – powiedział Shaughnessy, nie odrywając wzroku od Rowan. – Boyd był w samochodzie.

– Tak, i zrobił z tego użytek, gdy chciał się pozbyć swojej nieletniej dziewczyny – dodała Rowan i cmoknęła lekko z dezaprobatą. – Tym razem to ja dostrzegłam okazję i ją wykorzystałam.

– Nie ma żadnego śladu, że tu pracuję – zauważyła Tabby, usilnie próbując nadażyć za tokiem myślenia Rowan, tak jakby zrozumienie go mogło jej pomóc uniknąć losu, który kobieta dla niej gotowała.

– A wypłatę dostajesz w gotówce – dodała Rowan z uznaniem. – Twój ojciec pijak pomyślałby, że uciekłaś, gdybyś kiedyś zagięła.

– Czyli Cal, Boyd, by mnie zabił i przestałby panikować, że zostanie zdemaskowany – skostatowała Tabby.

– I przy okazji sam zostałaby zabity. – Rowan wzruszyła ramionami. – Wiedziałam, że ty i Bardot coś knujecie. Te późne wieczory w bibliotece nie były tak tajne, jak myślałyście.

„Dopiero zaczynamy”.

– Zgłaszam to i zabieram cię do aresztu – włączył się Shaughnessy. Jego dłonie spoczywały pewnie na broni, ale fakt, że w ogóle pozwalał Rowan mówić, zdawał się im wszystkim pokazywać, jak niewielką ma kontrolę nad sytuacją.

Rowan spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Pod jakim konkretnie zarzutem?

– Zamordowania innych dziewczyn – odparł. – Właśnie się do tego przyznałaś.

– Myślę, że jeśli odtworzysz tę rozmowę, stwierdzisz, że do niczego takiego się nie przyznałam. – Posłała mu lekki, zachęcający uśmiech. – Powiedziałam tylko, że jest ich więcej, a nie, że je zabiłam.

– Powiedziałaś o swoim podpisie. – Dopiero gdy wszyscy się do niej odwrócili, Tabby zdała sobie sprawę, że stwierdziła to na głos.

– Jestem całkiem dobra w chodzeniu po linie, jeśli tego nie zauważyłaś – rzuciła arogancko Rowan. – Mój podpis może się odnosić po prostu do sposobu, w jaki nacinam własne ręce.

– Co ty robisz, Rowan? – odezwała się Bardot. – Masz zamiar zabić nas wszystkich? W tym dwóch policjantów?

– Jednym z nich już się za mnie zajęłaś, droga siostró. – Rowan wskazała nożem Tabby. – A ty to dokończysz.

Tabby zrobiło się zimno na te słowa.

– Co masz na myśli?

– Usuniesz z domu jego ciało. Nie powiesz o tym nikomu, bo w chwili, gdy to zrobisz, staniesz się winna ingerowania w miejsce zbrodni. Shaughnessy zatuszuje zniknięcie Boyda, a potem wszyscy będziemy żyć jak dawniej. Nasze problemy zostaną gładko rozwiązane.

Rowan uśmiechnęła się do nich, jakby właśnie przedstawiła szczęśliwe zakończenie.

Stała teraz na tyle blisko Tabby, że miała ją w zasięgu noża, mimo że trzymała go jakby od niechcienia.

Shaughnessy również zdawał się to dostrzegać.

– Rowan, rzuć nóż. Nie poproszę drugi raz.

Kobieta w końcu skupiła uwagę na nim.

– Nie, nie zrobisz tego.

Rowan zrobiła krok i Tabby cofnęła się, myśląc, że jej gardło znów zostanie przyciśnięte ramieniem i poczuje czubek noża w miejscu, gdzie pulsuje krew.

Jednak Rowan odwróciła się i zwinnie przeszła do drzwi.

Tak łatwo mogła zrobić z Tabby zakładniczkę, a jednak nawet nie zamarkowała ataku.

Dziewczyna poczuła ciężar w żołądku. Jedynym powodem, który tłumaczyłby fakt, że Rowan nie wykorzystała sytuacji, stojąc blisko Tabby, musiało być to, że teraz miała przewagę.

Bo nawet Tabby wiedziała, że to nie jest normalne zachowanie dla kogoś tak wyraźnie zaburzonego psychicznie jak Rowan. Ani dla kogoś z manią wielkości. To było zachowanie osoby, która miała w ręku całą władzę, nawet jeśli nikt inny nie miał tej świadomości.

Wydawało się, że Bardot doszła do tego samego wniosku.

– Coś ty zrobiła, Rowan?

– Nie domyśliłaś się? – zapytała Rowan z widoczną na twarzy uciechą. – W końcu planowałam to od wieków.

Bardot przeniosła wzrok na Shaughnessy’ego i badawczo mu się przyjrzała. Potem gwałtownie nabrała powietrza i cofnęła się o pół kroku, wyciągając rękę po pistolet.

– Oho! – ostrzegła Rowan. – Nie robiłabym tego, droga siostrzo.

– Nie jestem twoją siostrą! – warknęła Bardot, ale znieruchomiała. – Anders? Czy ja?

Tabby nie zrozumiała tego pytania, ale Rowan najwyraźniej tak. Uśmiechnęła się.

– Ty.

Bardot zbladła, a Rowan spojrzała na Tabby.

– Jeśli Bardot cokolwiek powie o moim związku z którymkolwiek z tych wydarzeń, policja dostanie anonimową wskazówkę, gdzie znaleźć ciało detektywa Boyda.

Gdyby Boyd został znaleziony gdzieś w lesie, a nie w tej kuchni, Bardot straciłaby swój argument o samoobronie. A rana z łatwością pozwoliłaby ustalić, że pistolet należał do niej.

Jednak zrobienie jej w zabójstwo Boyda z zimną krwią okazałoby się skuteczne tylko wtedy, gdyby Tabby i Shaughnessy'ego nie było na miejscu, żeby zdać relację z tego, co się wydarzyło. Wystarczyłoby jedno przesłuchanie, żeby do więzienia posłać Rowan, a nie Bardot.

Ciężar w żołądku Tabby zmienił się w ołów. Rowan miała plan, by kontrolować wszystkich troje. Plan, którego Tabby jeszcze nie dostrzegała, ale Rowan była go pewna.

Rowan znów zwróciła się do Bardot.

– Detektyw Liam Boyd wypytywał cię o śmierć Jennifer Cross przed laty i go zaatakowałaś.

– Nie – szepnęła Tabby. Rowan chciała zrobić Bardot w oba zabójstwa, nie tylko Boyda.

Coś jej tutaj umykało. Coś, co nie tylko dawało Rowan pewność siebie, by to wszystko powiedzieć, ale również sprawiło, że Bardot zbladła na te słowa.

– Wiesz, Bardot była na festynie jesiennym. Mam zdjęcia na dowód – rzuciła Rowan do Tabby. – Ona i Anders. Anders poznał tam Jenny, zaczął z nią romans, a Bardot to odkryła. Zabiła rywalkę i przez cały ten czas uchodziło jej to na sucho. Dopóki detektyw Liam Boyd nie zaczął ponownie badać starej sprawy i znalazł powiązanie. Słyszałam, że akta dotyczące tego śledztwa zaginęły. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby zostały zwrócone z odpowiednimi dowodami, by przedstawić pełny obraz wydarzeń?

Tabby powstrzymała łkanie. Akta zaginęły przez nią. Boyd znalazł się tu przez nią. Gdyby nie przyszła do tego domu pod fałszywym pozorem, Rowan nie miałyby teraz przewagi.

– To mogłoby pozwolić na postawienie zarzutów Bardot – powiedział Shaughnessy, przerywając milczenie. Jego głos brzmiał teraz mocniej, ale wciąż pobrzmiwała w nim nuta niepewności. – Ale nigdy nie aresztowałbym Tabithy za ingerowanie w miejsce zbrodni, wiedząc, że miała nóż przystawiony do gardła. Nie możesz nas zmusić, żebyśmy tańczyli dla ciebie jak marionetki.

– Hm, myślę, że ty będziesz dla mnie tańczył, kochanie – powiedziała Rowan ze złośliwym uśmiechem.

Tabby patrzyła, jak Shaughnessy zaczyna się wahać, jak strach i niepewność pojawiają się na jego twarzy, zanim zastąpiła je stoicka maska.

– Rowan, nie chcę cię skrzywdzić. Rzuć nóż. Liczę do trzech.

– Nie robiłabym tego, detektywie Shaughnessy. – Tym razem ostrzeżenie przyszło od Bardot.

Rowan posłała jej triumfalny uśmiech, po czym przeniosła uwagę na Tabby.

– No dalej, kochanie. W piwnicy znajdziesz brezent, którym możesz go owinąć. Ty i Bardot weźcie mercedesa. Porzuć ciało w lesie w pobliżu tego miejsca, gdzie została znaleziona droga Jenny. – Urwała, obserwując twarz Tabby. – Głowa do góry. Zrób tylko tę jedną rzecz i wszystkie twoje kłopoty się skończą. Również fakt, że twoja siostra została pomszczona, jest miłą wisienką na torcie.

– Nie! – krzyknął Shaughnessy, sięgając do pasa, gdzie powinno być zawieszony radio. Ale nie było.

– Zrób to – szepnęła Bardot do Tabby, która tkwiła w miejscu, niepewna, czy kończyny posłuchają jej własnych poleceń, a co dopiero tych wydanych przez kogokolwiek z pozostałych.

– W tym momencie staje się pani współniczką – ostrzegł Bardot Shaughnessy.

Bardot roześmiała się gorzkim, pustym śmiechem.

– Zanim wieczór się skończy, pan też będzie.

## ROZDZIAŁ 55

GRETCHEN

Teraz

W chwili gdy się zorientowała, że w pokoju jest jeszcze jedna osoba, Marconi weszła w tryb „policjant gotowy do akcji”.

Tabitha Cross stała w drzwiach, obejmując się rękami, nie spuszczać wzroku z broni trzymanej przez Gretchen.

– Gretchen, odłóż pistolet – powiedziała Marconi pełnym napięcia głosem. Shaughnessy już się nie śmiał, ale też nie robił nic, by rozładować atmosferę wrogości.

– Powiedz mi, co będzie dalej – zwróciła się Gretchen do Marconi, bo wiedziała, że ta będzie pamiętać jej wahanie, powód, dla którego nie chciała zająć się swoją sprawą.

„Myślisz, że to zrobiłaś”. Oto co powiedziała kilka dni temu w jej mieszkaniu. Obie miały nadzieję udowodnić, że to stwierdzenie nie odpowiada prawdzie.

Gretchen nie zamierzała iść do więzienia. Nie z tego powodu.

– Nikt nie musi niczego wiedzieć – powiedziała ostrożnie Marconi.

– Ty wiesz.

– Gównu tam wiem – odparła tamta szybko. – A jeśli wziąć pod uwagę, że tych dwoje miało dowody, które ukrywali przez trzydzieści lat, to wszystko zapewne nie jest czyste jak śnieg.

Na ustach Shaughnessy’ego pojawił się słaby uśmiech, który mógł być potwierdzeniem.

– Ona się nie myli – powiedziała spokojnie Tabitha zza ramienia Marconi.

Gretchen ją zignorowała.

– Powiedz mi, co będzie dalej.

Marconi nie odpowiedziała i Gretchen wbiła w nią wzrok.



– W przypadku morderstwa nie ma przedawnienia – przypomniała policjantce z lekkim uśmiechem.

Obie wiedziały, co Marconi zrobi, jeśli usłyszy coś dostatecznie przekonującego. Diabli wezmą chwiejną lojalność, będzie musiała aresztować Gretchen.

Miała moralność, którą Gretchen zawsze przypisywała Shaughnessy’emu, i nawet nie była z tego powodu zła. Po co komu Gwiazda Polarna, jeśli nie jest prawdziwa?

Ale odmawiała też pójścia do więzienia za coś, co się wydarzyło, gdy była dzieckiem.

– Więc co? Jaki ty masz plan? – rzuciła Marconi. – Zamierzasz z zimną krwią zabić trzy osoby? Włącznie z nami? – Wskazała na siebie i Shaughnessy’ego. Dwoje bostońskich policjantów. Tego nie dałoby się łatwo ukryć.

– Och – westchnęła Tabitha, jakby dopiero teraz zrozumiała, co się dzieje.

Z twarzy Shaughnessy’ego zniknęły wszelkie oznaki dobrego nastroju. Utkwił wzrok w Tabicie.

– Nie.

– Gretchen – odezwała się kobieta, a w jej głosie słychać było ciężar utrzymywanej od trzydziestu lat tajemnicy. – To nie była twoja wina. Tylko nasza.

## ROZDZIAŁ 56

SHAUGHNESSY

1993

Shaughnessy przesunął się bliżej Rowan, która obserwowała sytuację z zadowoloną miną.

Miała nóż i w grę wchodziły niewiadome czynniki. Ale jeśli Tabby lub Bardot naprawdę spróbują coś zrobić z ciałem Boyda, będzie musiał unieszkodliwić Rowan.

Jego kontrola nad sytuacją zmaląa, jeśli w ogóle ją przedtem miał.

– Oto, co zrobimy – odezwał się, starając się wykazać jak największy autorytet. – Tabby, podejdź do telefonu i zadzwoń po wsparcie.

– Nie – sprzeciwiła się natychmiast Rowan.

Shaughnessy ją zignorował.

– Tabby, ruszaj.

Dziewczyna się zawahała, jej wzrok przeskakiwał między Bardot a Rowan. Shaughnessy musiał przyznać, że jeśli Bardot trzyma stronę Rowan, sytuacja może być trudna. Znajdowała się tu jej broń, również w ręce Boyda tkwiła jego policyjna – oba pistolety były o wiele groźniejsze od noża Rowan. Nawet jeśli dzierżyła go w sposób znamionujący, że potrafi nim zabić.

– Pani White, proszę tu przejść. – Ruchem głowy wskazał odległy róg kuchni, gdzie Bardot nie mogłaby łatwo podnieść broni.

Żadna z nich się nie ruszyła. Bardot i Rowan najwyraźniej nie zamierzały tego zrobić, ale Tabby wyglądała, jakby zastygła w bezruchu, patrząc na pistolet Boyda.

Shaughnessy spojrział na telefon. Gdyby się do niego zbliżył, na chwilę straciłby Rowan z oczu. To oznaczało, że mogła przyłożyć nóż do gardła Tabby, zanim zdążyłby oddać czysty strzał. Chciał pospieszyć dziewczynę, ale miał wrażenie, że wtedy Bardot sięgnęłaby po broń.

Wszystkie kalkulacje wychodziły na korzyść Rowan.

A z każdą sekundą, w której pozwalał jej lepiej panować nad sytuacją, znajdował się w coraz bardziej niekorzystnym położeniu. Musiał coś zrobić natychmiast.

Tabby.

Teraz musiała stać się jego priorytetem. Należało ją usunąć z zasięgu Rowan – nie tylko dla jej własnego dobra, ale także żeby nie została wykorzystana jako zakładniczka.

– Tabby – powiedział najspokojniej, jak umiał.

Spojrzała na niego z pobladłą twarzą, bladymi ustami, z szeroko otwartymi, szklistymi oczami. Była w szoku. To wymagało prostych, łatwych do wykonania instrukcji. Właśnie dlatego zareagowała, gdy Rowan spróbowała ją pokierować.

– Tabby, chcę, żebyś zrobiła trzy kroki w lewo. Widzisz tylne drzwi? Otwórz je i wyjdź do ogrodu, okej?

Skinęła głową i nie poruszyła się. Shaughnessy powstrzymał pełne frustracji przekleństwo.

Bardot, która wyglądała na tak opanowaną, jakby była na lunchu dla dam z towarzystwa, uniosła brew, gdy się do niej zwrócił.

– Tak, to był policjant, ale zabiła go pani w samoobronie, pani White. Proszę nie marnować sobie życia z tego powodu.

Zamiast mu odpowiedzieć, Bardot spojrzała gniewnie na Rowan.

– Powiedz mu.

– Och, ale mam taką pyszną zabawę, patrząc, jak się miota – odrzekła, wydymając usta. – Jest jak szczeniaczek. Tak bardzo się stara, żeby dostać smakołyk.

Palec Shaughnessy'ego mimowolnie drgnął na spuście. Detektyw powstrzymał się. Rozluźnił chwyt na tyle, aby z wściekłości nie zastrzelić Rowan.

– Tabby, idź do drzwi – spróbował ponownie. Tym razem dziewczyna skinęła głową i zrobiła krok. Postęp. Ale na drodze miała wyciągniętą rękę Boyda i kiedy niemal trąciła stopą jego martwe palce, z trudem przełknęła ślinę, by powstrzymać żółć podchodzącą jej do gardła.

Shaughnessy zastanawiał się pomiędzy Bardot a Rowan i dokonał wyboru. Bardot nie była psychopatką. Po prostu rozważała najlepsze wyjście z tej gównianej sytuacji. Musiał przyjąć, że nie sięgnęłyby po broń, żeby go zabić. Nie, jeśli zamierzał odsunąć od niej niebezpieczeństwo.

Przesunął się bliżej Rowan, by móc wytrącić jej z ręki nóż i założyć kajdanki, które wystawały mu z tylnej kieszeni spodni.

Jednak w chwili, gdy spuścił z oka Bardot, ta miała już w rękach broń.

Zaklął.

– Pani White, ona nie ma nad panią żadnej władzy. Wszyscy słyszeliśmy jej groźby, ona nie może nic pani zrobić.

Bardot znów się roześmiała gorzkim śmiechem, który odbił się echem od ścian kuchni.

– Detektywie Shaughnessy, nie o siebie się martwię. To nie nade mną ma władzę.

Rowan posłała jej jeszcze jeden uśmiech, po czym odwróciła się w stronę ciemnego korytarza. Do kogoś, kto tam czekał.

– Chodź tutaj, kochanie.

Shaughnessy zeszywniał, w jakiś sposób pojmując, że teraz straci całą kontrolę i nie będzie w stanie nic zrobić, by zatrzymać pędzący pociąg.

Z cienia wyszła dziewczynka. Mała. Siedem albo osiem lat.

Wyglądała jak miniaturowa wersja kobiety, która teraz utrzymywała ją w miejscu, obejmując od tyłu ramieniem jej klatkę piersiową. Wyglądałoby to czule, a nawet opiekuńczo, gdyby Rowan nie przykładała płasko ostrza noża do obojczyka dziecka.

Oczy dziewczynki były zaciekawione, szeroko otwarte, ale wcale nie przestraszone, gdy objęła wzrokiem pomieszczenie.

Gretchen White, poinformowała go jakaś odległa część jego pamięci. Przypiął jej zdjęcie do ściany, na której zbierał dowody przeciwko Andersowi.

Rowan lekko poruszyła nożem na boki, wystarczająco, by naciąć dziecku skórę. Gretchen zmarszczyła nos z bólu. Coś było nie tak z tą dziewczynką, z jej sposobem poruszania się. Prawie ospałym. Nieskoordynowanym. Ale Shaughnessy nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Groźba Rowan była czytelna. Poderżnie Gretchen gardło, zanim kula roztrzaska jej głowę.

Jeśli ma zginąć, zabierze ze sobą dziecko.

– Patricku – wymruczała Rowan, a on poczuł uderzenie pochodzące właśnie z tej niepohamowanej radości, którą słyszał w jej głosie. – Pozwól, że przedstawię ci twoją córkę.

## ROZDZIAŁ 57

GRETCHEN

Teraz

– Twoją córkę – powtórzyła Gretchen, jej głos brzmiał, jakby dochodził z końca długiego tunelu.

– Gretchen, oddaj mi broń – powiedziała Marconi. Szybko, nagle. Po raz pierwszy naprawdę przerażona.

Jednak Gretchen już nie zauważała obecności Tabithy i Marconi. Mogła jedynie wpatrywać się w Shaughnessy'ego. W mężczyznę, którego kiedyś uważała za odpowiednik swojej rodziny.

Nie wiedziała, co zrobić z faktem, że miała rację.

– To prawda? – wydusiła. – A może ona kłamała?

Przechylił głowę, jakby nie rozważał tej możliwości.

– To prawda.

– Skąd wiesz?

– Wyglądasz jak ja – odparł z lekkim uśmiechem, który chciała natychmiast strącić mu z twarzy. – Masz karnację i włosy Rowan. Ale podbródek, uśmiech... to ja.

– To za mało – powiedziała. Nie była zachwycona, rozczulona ani wzruszona. Była wściekła do tego stopnia, że po raz pierwszy, odkąd wzięła broń do ręki, naprawdę sobie nie ufała.

Do tej chwili pistolet był niczym więcej jak rekwizytem służącym wydobyciu z Shaughnessy'ego pełnego wyznania winy, taktyką przesłuchania, z którą Marconi pięknie współpracowała.

Teraz palił ją w dłoń.

– Wiem – powiedział detektyw. – Wiele lat temu uzyskałem potwierdzenie.

A więc test DNA. Który zrobił, nie mówiąc jej o tym.

W następnym momencie już stała z lufą pistoletu przyciśniętą do jego czoła. Shaughnessy nie wzdrygnął się, patrzył tylko na nią ze smutkiem,

rozbawieniem i czymś jeszcze, co nie do końca potrafiła określić, kiedy głowa pulsowała jej w taki sposób. Może poczuciem winy. Bo okłamywał ją przez trzydzieści lat. Bo kazał jej myśleć, że jest potworem.

– Podaj mi jeden powód, dla którego nie powinnam wpakować ci kuli w łeb.

Wypuścił powietrze z płuc.

– Ponieważ chcesz usłyszeć resztę tej historii.

## ROZDZIAŁ 58

SHAUGHNESSY

1993

Pistolet ważył za dużo dla zdętwiałych palców Shaughnessy'ego. Lufa przechylała się w dół, aż wycelowwała w podłogę.

Racjonalna część jego umysłu oceniła sytuację. W końcu to była Rowan, a przez ostatnią godzinę udowodniła, że nie można wierzyć w jej sumienie. Łatwo potrafił sobie wyobrazić, że użyłaby swojej małej krewnej, by manipulować nim, mówiąc, że to jego córka.

Jednak spędzili razem jedną noc. Ostatnią, zanim opuściła jego dom lata temu, kiedy poprosiła go: „Ochroń mnie”. Próbował wymazać z pamięci wspomnienie tamtych dni, dręczony poczuciem winy i chory – ze względu na jej wiek, na jego związek z Donna, na sposób, w jaki zawsze postrzegał Rowan: jako ofiarę, a nie chętną partnerkę. Ale jednocześnie czuł zbyt wielką pokusę, by nie przyjąć jej oferty, gdy skręciła w lewo, do jego sypialni, zamiast w prawo, do pokoju gościnnego.

Spojrzał na dziewczynkę.

– Ile masz lat?

– Właśnie skończyłam osiem – odpowiedziała bez cienia nieśmiałości, bez cienia niepewności pomimo broni znajdującej się w pomieszczeniu.

Osiem lat. Od tamtej nocy minęło około dziewięciu.

Zrobił krok bliżej, ale zamarł, gdy Rowan przeciągnęła nożem po szyi dziewczynki. Oddech zamarł mu w piersi. Wystarczyłby jeden ruch ręki tej kobiety i jego córka wykrwawiłaby się na podłodze.

Chciał uklęknąć, znaleźć się na wysokości jej wzroku. Jednak nie mógł być tak bezbronny. Mimo że już to wiedział, zapytał:

– Jak masz na imię?

– Gretchen – powiedziała. Zerknęła na Bardot, która skinęła głową. A Shaughnessy przypomniał sobie, że była wychowywana jako córka

Andersa i Bardot. Nie Rowan. Potem spojrzała znów na niego, przechylając głowę w sposób, który znał z lustra.

– A ty?

Zamrugał szybko, uświadomiwszy sobie, że wzrok ma zamglony od łez. Najłagodniej, jak umiał, odpowiedział:

– Jestem Patrick.

Niemniej to wszystko mogło być kłamstwem. Ale teraz widział, dlaczego Bardot wcześniej westchnęła, pojmując intencje szwagierki. Podbródek, uszy. Może po prostu widział to, co Rowan chciała, żeby widział? Jednak wiedział – aż za dobrze wiedział – że nie może mieć pewności, iż kłamała.

A Rowan zdawała sobie z tego sprawę. To dlatego była w stanie wejść do kuchni bez broni i wydawać rozkazy. Dlatego Bardot mu nie ufała, podejrzewając, że mógłby ją zaatakować, gdy dowie się o Gretchen. To dlatego jego broń nie była już wycelowana w pierś Rowan.

To Bardot przerwała teraz ciszę, która zapadła w kuchni.

– Tabby, weź ten brezent.

Tym razem Shaughnessy nie próbował jej zatrzymać.

Rowan uśmiechnęła się zadowolona.

– Mam dość patrzenia na to. – Odsunęła się z drogi do korytarza, ciągnąc za sobą Gretchen. – Patrick, idziesz z nami.

Zerknął na miejsce, w którym stała, a potem na Tabby i Bardot.

– Nie róbcie niczego pochopnie – ostrzegł je, a Bardot posłała mu spojrzenie bez wyrazu. Udowadniał, że miała rację, i chciała, by o tym wiedział.

Shaughnessy skinął głową, mając nadzieję tym drobnym gestem przekazać swoje myśli. Mogliby to jeszcze załatwić. Tylko... teraz musieli współpracować. Kiedy pojawi się wsparcie, gdy Gretchen będzie bezpieczna, zdołają uporządkować ten bałagan. Zezna, że Bardot działała pod przymusem, tak samo jak on.

Można było uratować sytuację.

Bardot prychnęła z niedowierzaniem i spojrzała na bałagan na podłodze w swojej kuchni.

– Prowadź – powiedziała Rowan, wskazując gestem korytarz. Zrozumiał, że to było sprytne – pozwalało jej kontrolować sytuację bez potrzeby pilnowania trojga dorosłych osób w pomieszczeniu pełnym broni. Odseparowując go, musiała tylko ufać, że jej groźby są skuteczne. A czyż jego ustępliwość nie pokazywała jej, że miała rację? – Na górę.



Kiedy ją mijał, przypływ adrenaliny kazał mu ocenić odległość między nimi. Gdyby wykorzystał element zaskoczenia...

Ale Rowan cmoknęła.

– Chcesz zaryzykować?

Nie chciał. Nie mógł. Zastanawiał się, czy mógłby skłonić Gretchen, by stawiała opór, ale ona tylko patrzyła na niego wielkimi oczami o trochę niewidzącym spojrzeniu. Cofnął się myślą do jej zachowania w kuchni, do ospałych, nieskoordynowanych ruchów. Czy Rowan ją czymś odurzyła, żeby stała się uległa? To wyjaśniłoby tę dziwną, niepokojącą obojętność jej reakcji.

– Trzecia sypialnia na prawo! – zawołała Rowan, gdy dotarł na szczyt schodów.

Pchnął stopą drzwi, wszedł do środka, nie zapalając światła. Ciemność mogła być przydatna, w jakiś sposób mogła mu pozwolić odzyskać przewagę.

Księżyc i tak był wystarczająco jasny, by oświetlić bladą skórę Rowan i błysnąć na stalowym ostrzu noża.

A on przeniósł się dziesięć lat wstecz, gdy jechał ciemną leśną drogą. Zobaczył dziewczynę z oczami zbyt wielkimi jak na jej twarz, jak teraz oczy Gretchen. Przypomniawszy sobie rozpaczliwy sposób, w jaki wypowiedziała słowo „Uciekaj”, które w nim utknęło, a potem zapadło się głęboko.

– Znałaś Boyda tamtej nocy? – zapytał, nie widząc potrzeby, by wyjaśniać.

Ponieważ Rowan wiedziała, o co pytał.

– Nie. Ale zgłosiłam awanturę domową. Żeby ściągnąć gliny na drogę.

Oczywiście, że musiała to zrobić. Wiedząc teraz, jak pracuje jej umysł, nie powinien być zaskoczony. Nieszczęsna obecność jej ręki kierującej całym jego dorosłym życiem stała się teraz jasna.

– Dlaczego? – wyszeptał.

– Tak jakbym potrzebowała powodu – odpowiedziała, wzruszając ramieniem. Ale kiedy milczał, zacisnęła usta. – Miałam dość wysyłania mnie do szpitala. Ci szarlatani odurzali mnie lekami tak, że nie byłam w stanie myśleć. Nie lubię nie móc myśleć.

– Myślałaś, że przestraszysz rodzinę, żeby spełnili twoje żądania?

– Jeśli gliny węszyłyby wokół tej sprawy? Pomyślałam, że będą musieli zachować się jak trzeba. Oczywiście Edith pokrzyżowała mój plan. Nie

sądziłam, że ktokolwiek kupi wyjaśnienie, że to próba samobójcza. Najwyraźniej niewystarczająco wyglądało na tortury.

– Och, wyglądało – mruknął Shaughnessy, a Rowan uśmiechnęła się szeroko, błyskając siekaczami.

– Byłam młoda – stwierdziła, a on prawie się roześmiał, bo kilka tygodni wcześniej to samo powiedział Tabby. – Od tamtej pory obmyślałam lepsze plany.

– Jak ten? – zadrwił. Nie było wątpliwości, że Rowan panowała nad sytuacją, odkąd zdała sobie sprawę, co się dzieje, ale było również jasne, że zrobił się bałagan.

– Radzę sobie z niepowodzeniami – odparła, ale jej dłoń zacisnęła się na rękojeści noża. Shaughnessy zwalczył chęć, by się poruszyć albo w przód, by wyrwać Gretchen z rąk Rowan, albo w tył, żeby nie pogłębiać jej wrogości. Ona tymczasem wzruszyła ramionami, jakby to wszystko nie miało znaczenia. – Jesteś tutaj jedyną nieprzewidzianą konsekwencją. Ale zawsze miałam dla ciebie plan awaryjny. – Przyciągnęła Gretchen mocniej, jakby Shaughnessy nie był w stanie podążyć za jej logiką.

Boże, tak bardzo żałował, że nie potrafi teraz jasno myśleć. Że nie ma tej pewności siebie, tej arogancji, z którą mówiła Rowan. Ale nie wiedział, jaki miałby być następny ruch. Czy powinien ją zmusić do jakiejś reakcji? Sprowokować Gretchen, żeby się broniła?

Jeśli wybierze źle, konsekwencje będą fatalne.

– Musiałaś być wściekła, dowiadując się o zwłokach Jennifer – powiedział, próbując coś uzyskać.

Gretchen przeskakiwała wzrokiem między nimi. Wydawała się zafascynowana tym wątkiem pobocznym. Znów zastanowił go brak strachu. Mogła nie rozumieć, w jakim jest niebezpieczeństwie, ale dzieci w jej wieku zazwyczaj wiedzą przynajmniej tyle, że noże potrafią wywołać ból. Nawet strużka krwi na jej obojczyku najwyraźniej nie wystarczała, żeby ją zaniepokoić.

– Zaintrygowana... – Urwała. – Przynajmniej na początku. Przyznaję, że nie byłam zbyt zadowolona, kiedy zdałam sobie sprawę, że to tylko jakiś obleśny detektyw próbował zatrzeć tropy w sprawie zabójstwa jego nieletniej dziewczyny.

– Jak szybko się zorientowałaś, że to był Boyd?

– Jakby to było trudne. – Rowan potrząsnęła głową tak, że jej jasne włosy zakołysały się w świetle księżyca. – To musiał być jeden z was. Albo

Anders, ale on nie miał jaj, żeby kogoś zabić. Gdyby miał, wierz mi, już dawno upozorowałyby moje samobójstwo.

Jakaś częśćka Shaughnessy'ego zaśmiała się z tego. Człowiek, którego przez blisko dziesięć lat uważał za seryjnego zabójcę, „nie miał jaj, żeby kogoś zabić”.

– Miałeś obsesję na moim punkcie – ciągnęła Rowan. – Pomyślałam więc, że może przeniosłeś ją na biedną Jenny. Ale kiedy zacząłeś prześladować Andersa, zrozumiałam, że doszedłeś do wniosku, o który mi właśnie chodziło. Jak grzeczny chłopiec.

Słyszac to, Gretchen zachichotała. Dziwny, dysharmonijny dźwięk w cichym pokoju sprawił, że Shaughnessy i Rowan drgnęli. Nawet jeśli tylko nieznacznie.

– Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że Boyd musiał dziękować wszystkim bogom, do których się modlił, że próbując zatrzeć za sobą ślady po zabiciu Jenny, miał świeżo w pamięci mój skromny wyczyn. W połączeniu z twoją obsesją na punkcie seryjnych zabójców było to niczym dar z niebios. Naprawdę możesz go winić?

– Za zabicie siedemnastoletniej dziewczyny? Tak – odparł.

– Wykorzystał okazję – mruknęła Rowan z lekkim uśmiechem. – Ale przez to stworzył okazję, by samemu zostać wykorzystanym.

Shaughnessy pokręcił głową, nie nadążając za nią.

– Te nacięcia są charakterystyczne. Lubię mieć zapasowe plany.

„Inne dziewczyny”. Powiedziała, że do niczego się nie przyznała, ale równie dobrze to mogło być wyznaniem. Shaughnessy żałował, że nie mógł tego nagrać.

– Dlatego stały się twoim podpisem.

– To nie byłby mój pierwszy wybór. Zrobiłam tak tej pierwszej nocy, ponieważ chciałam teatralności krwawych ran bez bólu, który powodują głębsze cięcia – wyjaśniła, wzruszając ramionami. – Lubię rzeczy trochę bardziej eleganckie. Ale uwielbiam się asekurować.

I wreszcie naprawdę zrozumiał. Znalazł jednego ze stu czterdziestu siedmiu seryjnych zabójców działających w kraju. Tyle że skupił się na niewłaściwej osobie z rodziny White'ów.

Uda mu drżały i walczył z pragnieniem osunięcia się na podłogę.

– A więc co? – zdołał wydusić. – Zamierzasz go zrobić we wszystkie swoje zabójstwa?

To ostatnie słowo niemal wypluł, zniesmaczony sobą i nią.

Rowan uniosła ramię, zbywając to beztrąsko.

– Nie we wszystkie. Ale jeśli ktoś zacznie zanadto węszyć wokół tego, łącząc mnie z jedną z moich dziewczyn, no cóż... Dostaną cynk na temat starej sprawy w Bostonie, starszego chłopaka gliniarza i ran, które pasowały do bardzo charakterystycznego wzoru. To na tyle zaciemniłoby sytuację, że mogłabym znów zniknąć.

„Moje dziewczyny”. Zaborczość, duma były bardzo wyraźne.

– Ile?

– Zachowam to dla siebie. – Uśmiechnęła się jednak do niego, jakby chciała o tym porozmawiać. I czy nie była to pięta achillesowa tych potworów? Jeśli obsesja Shaughnessy’ego na ich punkcie czegoś go nauczyła, to właśnie tego – chcieli się chełpić.

– To musiało być trudne – powiedział, jakby jej współczuł. – Być przywiązana do podpisu, który tak naprawdę nie był twój.

Podczas gdy wyraz twarzy Rowan pozostał neutralny, jej ciało napięło się, zdradzając czuły punkt.

– To była tylko fasada.

Shaughnessy gorączkowo przerzucał w myślach wszystko, co o niej wiedział, jakby garść spotkań mogła ujawnić głębokie pęknięcie w jej psychice. Ale nic nie przyszło mu do głowy.

– Co więc było ważne?

– To, że wszystkie chciały być wolne – szepnęła Rowan i przez sekundę brzmiało to jak współczucie. Potem przypomniał sobie, jak łatwo pokazywała emocje, które nie były jej. „Ochroń mnie”.

Pod fałszywą szczerością w jej głosie usłyszał kwaśną uciechę, zjełczałą logikę psychopaty.

I usłyszał głos Edith z tamtego wieczoru, kiedy poznał Rowan.

„To nie jest jej pierwsza próba odebrania sobie życia”.

– Wszystkie miały za sobą próby samobójcze – szepnął Shaughnessy. – Jak ty.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że za nią nadała.

– Widziałam to w ich oczach. Rozpacz.

– Nie – powiedział. – Widziałas to, co chciałas zobaczyć. Bo jesteś potworem.

– Ich rodzice byli potworami – odparowała. – Tak jak Edith. Ta kontrolująca, manipulująca suka.

Shaughnessy roześmiał się z niedowierzaniem.

– Ty chcesz mówić o manipulowaniu?

– Tak, Patricku, uczyłam się od najlepszych – odrzekła cierpliwie. – Widząc naszą rodzinę, nie możesz myśleć, że pochodzimy od czegoś innego niż czyste zło, prawda?

Potrząsnął głową, bezradny, niepewny, co powiedzieć. Jeszcze nie tak dawno uważał Edith i Andersa za winnych wszelkiego rodzaju zbrodni. Czy mógł szczerze przyznać, że nie dostrzegął skażonej krwi?

Spojrzał na Gretchen. Ten dziwny uśmiech, brak strachu, który nie pasował do okoliczności. Czy ona też była zainfekowana? Przez to zło, ten mrok.

– Ale widzisz, naprawdę pomogłam moim dziewczynom – ciągnęła Rowan. – Uwolniłam je.

– Nie. – Shaughnessy patrzył w podłogę. Oczy miał zamglone przez wzbierające łzy. – Nie pomogłaś im. Zabiłaś je, bo lubisz zabijać.

– No cóż, to też – przyznała ze śmiechem, w którym brzmiało szaleństwo. – Ale teraz zaczynamy się rozpraszać. Jak już mówiłam, problem z panem detektywem leżącym na dole polegał na tym, że nie wierzył we własny plan. – Głodnym wzrokiem obserwowała uczucia malujące się na jego twarzy. – Od tamtej pory żył w strachu, że zostanie odkryty. To skłania człowieka do pochopnych działań. – Westchnęła, jakby to wszystko było tylko wielką uciążliwością. – Nie jest najbystrzejszy, prawda? – Urwała. – Nie był.

– Bo teraz jest martwy – dopowiedziała Gretchen cichym głosem, pozbawionym wszelkich emocji poza ciekawością.

W odpowiedzi na oczywiste zmieszanie Shaughnessy’ego Rowan pociągnęła lekko, prawie z czułością, włosy dziewczynki.

– Ona jest... wadliwa. Jednak nie może nic na to poradzić. Patrz, skąd pochodzi. – Zatoczyła ręką po pokoju, mając na myśli cały dom. I rodzinę White’ów.

– Jak to się skończy, Rowan? – zapytał Shaughnessy, nie zwracając uwagi na jej komentarz. Gretchen była dzieckiem. Mogła zostać naprawiona ze wszystkiego, co Rowan – co ta rodzina – jej zrobiła. Tylko najpierw musiał ją stąd wydostać.

Krok po kroku.

– Wszyscy po prostu wrócimy do własnego życia. Boyda nic z nami nie łączy. A jeśli ktoś zacznie kopać zbyt głęboko, możesz skierować go w inną stronę.

– Jestem policjantem, Rowan – odparł trochę bezradnie, znów spoglądając na Gretchen. – Wiesz, że nie mogę po prostu udawać, że to się nie wydarzyło.

– Myślę, że się przekonasz, jak wiele rzeczy możesz robić, chociaż nigdy nie myślałeś, że jesteś do nich zdolny – powiedziała Rowan tym samym ckliwie słodkim, protekcjonalnym tonem, którego używała w kuchni. – Nie chciałbyś, żeby mała Gretchen zapłaciła za twój upór, prawda?

Słyszając to, Gretchen zmrużyła oczy – pierwsza prawdziwa reakcja, jaką u niej widział. Aczkolwiek gniew. Nie strach.

Rozważył to. Musi grać, prawda? Jedynym wyjściem było odwrócenie uwagi Rowan na tyle długo, by oddać strzał, ale ręka nie chciała go słuchać, gdy kazał jej podnieść broń. Widział tylko poderżnięte gardło Gretchen, dziewczynkę wykrwawiającą się na podłodze.

– Zabiłabyś własną córkę? – zapytał.

Gniew Gretchen zmienił się w zmieszanie i Shaughnessy przeklął siebie za to potknięcie.

– Zabiłabyś Gretchen? – poprawił pospiesznie.

I wtedy znów się pojawił. Ten błysk, ta czujność przebijająca się przez mgłę, która trzymała ją w uległości.

– Kochanie, sprawiłoby mi to wielką przyjemność – zapewniła go Rowan. Czubkiem noża dotykała zagłębienia u podstawy gardła Gretchen. Wiedział, że to niemożliwe, ale wyobraził sobie, iż widzi w tym miejscu bijący puls swojej córki.

Język zeszywniał mu w ustach. Wiedział jednak, co teraz powiedzieć. W jakiś sposób, po raz pierwszy w życiu, dokładnie wiedział, co powiedzieć.

– Jak byś to zrobiła?

Rowan oblizwała dolną wargę, jakby to pytanie ją podnieciło. I prawdopodobnie tak było.

– Gretchen nie rozumie strachu, więc musiałoby boleć – powiedziała. – Bardzo.

– Użyłabyś noża? – zapytał zde gustowany sobą, ale nie chciał teraz przestać.

– I ognia – dodała Rowan, jakby to sobie teraz wyobrażała.

Przez ułamek sekundy Shaughnessy zastanawiał się, czy to ją rozproszy na tyle, by zdążył unieść pistolet. Ale kiedy poruszył ręką, Rowan

natychmiast ścisnęła rękojeść ostrza, a jej wzrok padł na cień, w którym broń ciężko opierała się o jego udo.

Musiał odwrócić jej uwagę od siebie.

– Zapalniczki? Czy rozgrzanego metalu?

Gdy zadał to pytanie, poczuł kwas palący w przełyku. Widział kiedyś, jak piętnuje się krowy – wciąż pamiętał swąd przypiekanego ciała.

– To jest myśl – przyznała Rowan. – Nie przyszło mi to do głowy. – Pochyliła się nieco, by spojrzeć na twarz Gretchen. – Co o tym sądzisz, kochanie? Byłoby fajnie?

Ale Gretchen patrzyła na niego. Skinął głową – raz, zdecydowanie. Myśląc, że może dziewczynka wbije łokieć w brzuch Rowan i jak piskorz wyślizgnie się z jej uścisku.

Tymczasem kiedy otrzymała zielone światło, Gretchen pochyliła się w przód, zaledwie odrobinę. A potem z całej siły, jakiej mogła użyć w swojej ograniczonej pozycji, uderzyła głową w tył, trafiając w bok twarzy Rowan. Nie na tyle mocno, by zranić, ale wystarczająco, by wywołać zaskoczenie. Szok. Wykorzystała ten moment, by wsunąć rękę pod ramię Rowan i zasłonić sobie gardło.

Gdy Rowan chwyciła się za policzek, Gretchen wyrwała jej z ręki nóż i jednym szybkim ruchem obróciła się, zatapiając go w jej brzuchu. A potem w piersi.

Żadnego wahania, po prostu czysta wola przeżycia.

Rowan potknęła się i upadła plecami na łóżko, a Gretchen ruszyła za nią, najwyraźniej ogarnięta żądzą krwi.

Shaughnessy stał oszołomiony w cieniu, patrząc, zastygły w bezruchu, bezradny z powodu własnej słabości.

Zaszokowany, przerażony, niezdolny, by poruszyć kończynami, zmusić ciało do reakcji. Żeby coś, kurwa, zrobić.

A potem było po wszystkim, niemal tak szybko, jak się zaczęło. Rowan patrzyła na Gretchen, jej wargi próbowały sformować słowa, podczas gdy życie wsączało się z jej ciała w materac.

Gretchen stała, chwiejąc się, i przyciskała nóż do piersi.

Shaughnessy wreszcie się poruszył. Tylko krok. To wystarczyło, by zwrócić jej uwagę.

Odwróciła się. Patrzyła w kąt, w którym stał, znów nieruchomy, porażony tym niepokojąco pustym spojrzeniem. Zamrugła, trzepocząc

jasnymi rzęsami, ale nie skupiła się na nim. Tak jakby w ogóle go tam nie było.

– Gretchen – zdołał wydusić, nie czując swoich ust. Cały jego świat został właśnie doszczętnie spalony, ziemia zasolona, każda straszna decyzja, którą podjął w życiu, wyryta piętnem w jego duszy. Bo doprowadziły go tutaj, do tej chwili, do tej drobnej dziewczynki, do tej klęski.

Shaughnessy nie mógł się okłamywać, że nie wiedział, do czego doprowadzi prowokowanie Rowan. Myślał, że Gretchen będzie walczyła, by się uwolnić, nawet podjął wkalkulowane ryzyko, że jedna z nich zostanie ranna. Ale nigdy nie przewidziałby tak brutalnego rezultatu.

– Gretchen – odezwał się znowu, chociaż wiedział, że go nie słyszy. Bo właśnie wtedy rozległ się krzyk.



## ROZDZIAŁ 59

GRETCHEN

Teraz

Gretchen pamiętała krzyk. Pamiętała wrażenie czyjejś obecności w kącie pokoju, cień, który zdawał się szeptem.

Zamknęła oczy, przypominając sobie krew, nóż, pytanie: „Gretchen, coś ty zrobiła?”.

Mocniej przycisnęła pistolet do czoła Shaughnessy’ego. Zmusiła go, by odpowiedział na jej spokojne, pewne spojrzenie. W jego wzroku było wyzwanie. „Zrób to. Zakończ to”.

Nikt inny się nie odzywał. Marconi wiedziała, że nie należy, a Gretchen była ciekawa, czy Tabby mogłaby się ośmielić. Nie wydawała się najodważniejszą kobietą, jeśli zaufać relacji Shaughnessy’ego z tamtego wieczoru.

Gretchen wyobraziła sobie, jak go zabija. Pociągnięcie za spust, sposób, w jaki pistolet odskakuje w jej rękach na tyle, by stwierdzić, że to zrobiła. Kulę, która przebija kość, by zatonać w substancji szarej. Wyszłaby z drugiej strony, brudząc oparcie jego ukochanego fotela uszaka krwią, fragmentami mózgu, wszystkim po trochu.

Chciała posmakować tego na języku – jego śmierci, jego ciała rozerwanego przez pocisk, jego spalonej duszy, która dawno umarła.

Chciała być tą, która usunie go z tego świata, będzie jego sędzią, jego ławą przysięgłych, jego katem. Został uznany za winnego i powinien zapłacić za swoje zbrodnie.

Wyobraziła to sobie.

A potem cofnęła się i przechyliła rękę, wyciągając broń, kolbą do przodu, do Marconi, która skwapliwie ją chwyciła.

Stojąca za policjantką Tabby głośno wypuściła powietrze.

Shaughnessy obserwował ją z konsternacją widoczną w każdej bruzdzie jego twarzy.

– Chciałeś, żebym to zrobiła – powiedziała. – Przez całe życie byłeś tchórzem. I chciałeś, żebym zakończyła to za ciebie.

Patrzył na nią w zdumieniu. I wtedy po raz pierwszy go zobaczyła. Zagubionego, smutnego małego chłopca, który pragnął, by świat nazwał go bohaterem, chociaż wiedział, że nigdy nim nie będzie. Nosił maskę grubszą, lepiej skonstruowaną niż większość z tych, które widziała. A oto teraz był – obnażony, pozbawiony zakończenia mogącego nadać poetycki tragizm jego życiu zniszczonemu marnymi decyzjami i trawiącymi obsesjami, które pozwalały mu ignorować to, że nigdy nie stałby się tym, kim chciałby być.

– Wmówiłeś sobie, że jestem potworem – kontynuowała Gretchen. – Bo tylko tak mogłeś znieść to, że kazałeś mi wierzyć, iż zabiłam ją z zimną krwią. Przekonałeś siebie, że jestem niebezpieczna, szalona, że potrafię zamordować bez wahania.

Jej gniew pienił się i szczyrzył zęby, ale jeszcze nigdy nie czuła, że tak wspaniale nad nim nie panuje.

– Wmówiłeś sobie, że możesz dać mi broń i powód, a ja okażę się tak zła i bezduszna, jak mnie przekonywałeś. Że będę potworem, którego sam stworzyłeś.

Wzdrygnął się na te słowa, ale nic nie powiedział. Bo nigdy by tego nie zrobił.

– W tym rzecz – powiedziała Gretchen, teraz bezlitosna. – Rzeczywiście jestem potworem, jak mi codziennie wmawiałeś. Jestem tym, kogo tak troskliwie stworzyłeś. Pistolet, który tam położyłeś, był dla mnie. Nie dla ciebie. Co oznacza, że dokładnie wiedziałeś, jak chcesz to zakończyć. – Pochyliła się i chwyciła go za podbródek. – Ale to ma też zabawną stronę. Prawdziwą potwornością nie jest cię zabić, ale pozwolić ci żyć. – I wbiła mocno palce, pragnąc krwi. – Czy to nie ironia? Może gdybyś nie był tak przekonujący, zrobiłabym to.

Gdy spojrzał jej w oczy, dostrzegła w nich potwierdzenie. Że miała rację. Poczwała, jak skóra poddaje się pod jej paznokciami.

I wtedy wreszcie – wreszcie – puściła go.

## ROZDZIAŁ 60

TABBY

1993

Wszyscy mówili, że niewiedza jest najtrudniejsza do zniesienia.

Odbyła wystarczająco dużo sesji terapeutycznych z krewnymi zaginionych lub zamordowanych bliskich, aby wiedzieć, że zamknięcie jest kluczem do przetrwania po ich śmierci.

Tabby zawsze myślała, że gdyby tylko wiedzieli, kto zabił Jenny, gdyby tylko zobaczyli, że postawiono go przed sądem, życie w końcu potoczyłoby się naprzód. Ojciec przestałby pić, ona zmieniłaby swoje życie, może nawet spakowałiby rzeczy z pokoju Jenny i zamienili go w porządny gabinet.

Gdyby został złapany, złożyłaby podanie na studia.

Gdyby został złapany, jej ojciec znalazłby nową pracę.

Gdyby został złapany, nie musieliby ukrywać się przed wierzycielami i wygrzebywać ostatni grosz, by spłacać hipotekę.

Gdyby tylko, gdyby tylko...

Okazało się, że niewiedza nie była najtrudniejsza.

Tabby wcisnęła ręce w trawę przy grobie siostry. Lekka wilgoć w ziemi wsiąknęła w jej dżinsy, ale nie na tyle, by chciała się przesunąć.

Była tu już od dwóch godzin i czuła w nogach nieprzyjemne mrowienie z powodu zbyt długiego przebywania w jednej pozycji.

Odchylając twarz do słońca, zastanawiała się, jak normalni ludzie wydają się żyć, jakby to nie było trudne. Jak budzą się codziennie, idą do pracy, opiekują się dziećmi, ubierają się, oddychają i jedzą, nie rozpadając się na milion kawałków.

Wszystko, co chciała teraz zrobić, to pogrążyć się w chłodnej, przyjaznej ziemi obok siostry. Powiedzieć jej, że może odpocząć. I być może usłyszeć to samo w odpowiedzi.

Padł na nią jakiś cień i Tabby zamrugała, by usunąć z pola widzenia jasne plamy. Jej ciało się napięło, w ostatnim czasie stale gotowe do

ucieczki.

Bardot White stała za jej prawym ramieniem – cała w beżu, każdy włoszek na swoim miejscu.

– Cóż, nie wyszło zgodnie z planem.

Tabby prychnęła, słysząc to niedopowiedzenie. Wspomnienie przesiąkniętej alkoholem nocy pod trzeźwym spojrzeniem tej drugiej kobiety było równie niezatarte, jak wspomnienie martwego ciała Rowan.

„Być może mogłybyśmy sobie pomóc, ty i ja”.

– Dostała pani to, co chciała – stwierdziła Tabby, kierując wzrok na grób Jenny. Nic z tego nie miało już znaczenia. Boyd nie żył. Rowan nie żyła. Shaughnessy za wszystko obwiniął ośmioletnią dziewczynkę.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek zapomni widok Gretchen przyciskającej do piersi zakrwawiony nóż. Po tym, jak razem z Bardot owinęły Boyda brezentem, zakradła się po schodach, licząc na to, że zaskoczy Rowan. Gdyby nie usunęły ciała z miejsca przestępstwa, nadal byłaby dla nich nadzieja.

Ale wtedy zobaczyła tam Gretchen, blade chucherko, z pustymi oczami o niewidzącym spojrzeniu.

Tabby krzyknęła, niemal tracąc kontrolę nad sobą, a potem nad tym. Krzyknęła i przerażonym głosem zadała pytanie, które dziś chciałaby móc cofnąć. „Gretchen, coś ty zrobiła?”

Zamiast tego powinna była powiedzieć: „Dziękuję”.

Zamiast tego powinna była zapytać: „Nic ci nie jest?”.

Zamiast tego powinna była powiedzieć: „Przepraszam, że nie chroniałam cię lepiej”.

Ale potem, w następnej sekundzie, Bardot stała na podeście obok niej, przyglądając się tej scenie. Natychmiast przejęła dowodzenie – a Shaughnessy i ona byli w zbyt wielkim szoku, by to zakwestionować, aż było za późno.

Tabby pójdzie pozbyć się ciała Boyda.

Bardot zadzwoni na policję i powiadomi o zabójstwie.

Shaughnessy poczeka, aż patrol dostaną zgłoszenie przez radio, a potem stwierdzi, że był tylko kilka minut od miejsca zdarzenia.

Przedstawią to wszystko prosto, powiedziała Bardot. Ona czytała w swoim gabinecie, Tabby weszła przypadkiem do pokoju i krzyknęła. Gretchen, o której wielu świadków może zeznać, że jest dziwna, została

znaleziona z nożem w ręce. Shaughnessy postara się, żeby nie postawiono jej żadnych zarzutów.

Teraz Tabby sięgnęła myślą do chwili, gdy i ona, i Shaughnessy postanowili się do tego zastosować, i zastanawiała się, dlaczego, na Boga, posłuchała. Dlaczego zeszła po schodach, wywlokła Boyda do garażu i załadowała go do bagażnika mercedesa Bardot.

Prawie ugięła się pod jego ciężarem, ale poruszała się jak we mgle, kierowana stanowczym postanowieniem, by ziemia go pochłonięła.

Zanim zdążyła o tym pomyśleć, znalazła się w tym samym lesie, w którym Boyd porzucił Jenny, jakby była śmieciem.

Potem zaczęła kopać. Kopała na tyle głęboko, aby deszcz nie odłonił jego ciała. Na tyle głęboko, żeby robaki, czerwie, owady i korzenie drzew mogły czerpać składniki odżywcze z jego gnijących zwłok. Kopała, dopóki na jej dłoniach nie pojawiły się pęcherze, a słońce nie weszło nad drzewa.

Może go znajdą. Już dawno zrozumiała, że ciała mogą się w jakiś sposób odnajdywać. Ale może nigdy. Może pamięć o nim zapadnie się z powrotem w nicość, z której przybył.

Zanim Tabby zaczęła się zastanawiać, dlaczego po prostu nie wezwali glin i nie wyjaśnili wydarzeń tej nocy, tkwiła w tym już zbyt głęboko. Przeniosła ciało, zniszczyła dowody, pochowała detektywa w lesie. Nie było mowy, żeby nie trafiła do więzienia.

Dlaczego więc nie pozwolić Bardot gładko to wszystko rozwiązać?

Kobieta obiecała, że nie wspomną o niej w policyjnym raporcie, i na razie dotrzymywała słowa. Jakie to miało dla Tabby znaczenie, że prasa rozrywała na strzępy ośmiolatkę, która i tak mogła kiedyś kogoś zabić? Czy tak nie było bezpieczniej? Żeby ludzie byli ostrożni przy Gretchen, żeby wiedzieli, że to drobne ciało kryje w sobie niewyobrażalną przemoc?

Po co zgłaszać się teraz, po kilku tygodniach?

Nawet najbardziej przedsiębiorczy reporter brukowców nie odkrył powiązań Tabby z White'ami, tak jak tamtego wieczoru zasugerowała Rowan. O ile wszystkim było wiadomo, Tabitha Cross jest nikim, wiedzie smutne, skromne życie na obrzeżach Southie.

Nie wiedzieli o jej brudnych rękach.

Nie wiedzieli, jak spaczona, jak pokręcona stała się teraz jej dusza.

– Nie udawaj, że ty nie dostałaś tego, czego chciałaś – odparła Bardot.

„Wiesz, pewnego dnia sprawdziłam twoje referencje”.

Strach, który doprowadził do wydarzeń tamtego wieczoru, kiedy Bardot poła ją winem, wydawał się teraz taki głupi i słaby...

– Naprawdę? – zapytała wtedy, czując narastającą panikę.

– Ciekawe, że żadna z nich nie była prawdziwa – powiedziała Bardot, jakby to było jakieś nieporozumienie. Ale nawet zmętniałymi pod wpływem alkoholu oczami Tabby widziała, że Bardot dokładnie wie, co jest grane. – Może zrobiłaś literówkę w swoim CV?

Tabby oblizwała usta i spojrzała na swój pusty kieliszek. Wydało się. Postawiła go u stóp i spróbowała wstać.

– Mogę odejść.

Bardot przechyliła głowę.

– Dlaczego miałabyś to zrobić? Dopiero zaczynamy.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – zapytała Tabby. Jeśli miała zostać wyrzucona, chciała to wiedzieć teraz, zanim przez kłamstwa wpadnie w jeszcze większe tarapaty.

– Być może mogłybyśmy sobie pomóc, ty i ja – powiedziała Bardot. Nie zabrzmiało to tak, jakby zamierzała wezwać gliny. Ale Tabby się nie uspokoiła.

– Jak?

– Szukasz zabójcy swojej siostry? – Bardot najwyraźniej nie potrzebowała potwierdzenia. Zorientowała się, że Tabby była niedbała. Próbowwała bawić się w Nancy Drew. Nawet nie zmieniła nazwiska na podaniu o pracę.

– Tak.

Bardot skinęła głową.

– A twoje śledztwo doprowadziło cię do nas?

Tabby przygryzła wewnątrz policzka.

– Myślałam, że Anders...

– I wtedy poznałaś Rowan – powiedziała Bardot ze zrozumieniem, jak ktoś, kto musiał żyć blisko z psychopata.

– I wtedy poznałam Rowan – przyznała Tabby.

– Ale z tą logiką jest problem – zadumała się Bardot. – Chodzi o to, że kiedy twoja siostra została zamordowana, Rowan była w szpitalu psychiatrycznym.

Tabby poczuła ucisk w żołądku.

– Jest też pewien mężczyzna.

Bardot się wyprostowała.

– Wspólnik?

– Być może. – Tabby wzruszyła ramieniem.

– Skąd to wiesz? – zapytała Bardot, uważnie przyglądając się jej twarzy.

Tabby opowiedziała jej o Calu, o tym, jak ją zaatakował, jak częściowo wykorzystała swój pobyt u White'ów, aby się przed nim ukryć.

– Czy on wie, że tu jesteś? – To było ostatnie pytanie, które Bardot zadała.

Tabby pokręciła głową, choć zainteresowanie tej kobiety wszystkim, co powiedziała, wydawało jej się dziwne.

– To można łatwo naprawić – stwierdziła Bardot pod nosem, jakby nie było to przeznaczone dla uszu Tabby. – Chce cię uciszyć, tak?

To pytanie zostało zadane bez śladu współczucia. Było tak zimne i wyrachowane, jak oczy Rowan, jak pytania Gretchen.

– Tak – potwierdziła Tabby. Bo w końcu jakie to miało znaczenie, czy Bardot się tym przejmuje?

– Ciekawe, co by zrobił, gdyby nadarzyła się właściwa okazja... – powiedziała Bardot, znów do siebie.

– Pani chce, żeby ten człowiek mnie zaatakował – uświadomiła sobie Tabby, trochę późno, jak chyba w przypadku całej reszty.

– Tak – przyznała Bardot jednoznacznie. – A wtedy zabiję go dla ciebie.

– Wtargnięcie do domu.

Bardot uniosła kieliszek w wyrazie uznania.

– Wiadomo, że trzymam w gabinecie broń, zwłaszcza gdy Anders wyjeżdża.

– Co pani będzie z tego miała? – zapytała Tabby. W jej życiu nigdy nic nie przychodziło za darmo.

– Chcę, żeby Rowan zniknęła. Ja zajmę się twoim problemem, a ty moim. Moja teściowa podejrzewałaby mnie albo Andersa o nieczystą grę, gdyby Rowan zmarła pod naszą opieką. Chociaż w ogóle nie kocha tej psychopatki, jest nieugięta, jeśli chodzi o to, by z naszym nazwiskiem nie wiązał się już żaden skandal. Nawet jeśli postarałabym się, żeby śmierć Rowan wyglądała na samobójstwo, Edith zapewne by mnie za to ukarała. – Bardot przerwała, jakby Tabby miała coś do powiedzenia na ten temat. – Ale ty, moja droga... Ciebie nic z nami nie łączy. Nawet tu formalnie nie pracujesz. Będiesz moim doskonałym małym kozłem ofiarnym, pomagając mi powstrzymać Edith przed zrobieniem afery. A ona nie wyda cię policji, bo morderstwo byłoby jeszcze większym skandalem.

Tabby nie wspomniała, że pewien policjant już wiedział, że jest zatrudniona u White'ów.

– Pani nie... Pani nie może mówić serio... Jak miałabym...

Zabić Rowan? Bo właśnie to Bardot sugerowała między wierszami. Tabby nie sądziła, że mogłaby znieść zabicie zwierzęcia, a co dopiero człowieka.

– To nie moja sprawa, jak się tym zajmiesz – oświadczyła Bardot z lekkim wzruszeniem ramion.

– Bawimy się w film Nieznajomi z pociągu? – To była jedyna odpowiedź, jaką Tabby potrafiła wymyślić.

Bardot mruknęła z namysłem.

– Tak, sądzę, że tak.

Tabby nie musiała się zastanawiać, kiedy Bardot sfinalizuje transakcję. Wszystko zostało całkiem gładko rozwiązane.

Ponieważ Rowan podsłuchiwała je tego wieczoru, wzięła ich plan i uczyniła go swoim. Dała to do zrozumienia wtedy w kuchni, tej nocy, którą Tabby teraz pamiętała jako piekło.

– Co myśli o tym Anders? – zapytała zaciekawiona, lecz w pewien obojętny sposób.

– To, co wszyscy – odparła Bardot z rozbawieniem. – Sądzi, że Gretchen dała upust swoim brutalnym popędom. – Przerwała na chwilę. – Chce w to wierzyć. To najłatwiejsza odpowiedź, prawda? Może nawet zdołamy umieścić Gretchen w szpitalu, skoro już przy tym jesteśmy.

Słyszając, jak Bardot mówi o tym w tak swobodny sposób, Tabby miała ochotę zwymiotować, krzyczeć i podrapać jej twarz. Zamiast tego zapytała:

– A Shaughnessy?

– On też nie ma tu całkiem czystych rąk. A z prawnego punktu widzenia jestem matką jego córki. Nie tylko Rowan wiedziała, jak brać zakładników, żeby dostać to, czego się chce.

Tabby niemal się roześmiała. Bo oczywiście właśnie tak Bardot rozumowała. Gdyby prawda wyszła na jaw, w najlepszym razie nazwisko White'ów zostałoby kompletnie skompromitowane. W najgorszym – wszystkim trojgu grozi więzienie. Bardot nie zamierzała dopuścić, żeby ją to spotkało.

A Tabby już widziała, jaką władzę ma nad Shaughnessym myśl o Gretchen.



– Powie jej pani kiedykolwiek? – zapytała. Nie dało się zaprzeczyć, że poczucie winy wobec Gretchen było jednym z powodów, dla których nie mogła dłużej ukrywać swoich myśli. Dziewczynka była taka młoda i na pewno ukształtuje ją to na długie lata. Ta historia zaczęła żyć własnym życiem, stała się sensacją dla podekscytowanego społeczeństwa. Wystarczyło włączyć telewizor i miało się to przed oczami.

Ośmioletnia socjopatka morduje swoją ciotkę.

– Co by to dało? – zapytała Bardot bez cienia skruchy. – W końcu to prawda. Gretchen zabiła Rowan i nie można temu zaprzeczyć.

Tabby pomyślała o prawdzie i o sposobach opowiadania historii, które były prawdą, ale również kłamstwem.

Wstała, otrzepała dzinsy i odwróciła się od Bardot. Ostatni raz miała nadzieję, że pewnego dnia Gretchen – z całą swoją dziwnością, naiwnym okrucieństwem i w pewien sposób cudownym spojrzeniem na świat – zrozumie różnicę między tymi dwoma pojęciami.

## ROZDZIAŁ 61

GRETCHEN

Teraz

Trzy dni po starciu w mieszkaniu Shaughnessy'ego Gretchen raczyła się pizzą, na którą pozwalała sobie tylko po zakończeniu sprawy. Spodziewała się, że będzie sama, ale ledwie zdążyła usiąść w boksie, poczuła, że ktoś nad nią stoi.

Nie musiała podnosić wzroku, by wiedzieć, kto to jest.

– Ufasz mi. – Uśmiechnęła się do Marconi, dając tym znak, by się do niej przyłączyła.

– Nie uprzedzajmy faktów – mruknęła tamta, zajmując miejsce. Na stojących przed nią zatłuszczonych, przezroczystych talerzach leżały dwie porcje pizzy meat-lover's. Uśmiechnęła się do kelnera, gdy postawił na stoliku dwie oszronione butelki piwa.

Marconi stuknęła butelki szyjkami, chociaż Gretchen jeszcze nie wzięła swojej, i pociągnęła długi łyk.

– Lubię tę tradycję.

– Czy dwa razy to już tradycja? – zapytała Gretchen, ale była na tyle odprężona, by przyjąć piwo jako ofertę pokoju.

– Pizza na zakończenie sprawy – powiedziała, po czym ugryzła nieprzyzwoicie duży kęs. Jęknęła z rozkoszy, przesadnie i głęboko. – To jest tradycja, jeśli uznamy, że nią jest.

– Racja, dobrze mówisz! – zgodziła się Gretchen, dojadając brzeg swojego pierwszego kawałka. – Czyli nie jesteś tu po to, żeby mnie aresztować?

– Za co? – Marconi wzruszyła ramieniem. – Za działanie w samoobronie?

– Mogłabyś to przedstawić na inne sposoby – zauważyła beztrąsko Gretchen. Raczej nie była ulubienicą tutejszych prokuratorów – pomimo znacznej liczby skazań, które pomogła im uzyskać. Przynajmniej jednego lub dwóch łatwo dałoby się przekonać do oskarżenia jej.

– Myślę, że wystarczająco zapłaciłaś za swoje grzechy – stwierdziła lekko policjantka. Jakby to nie była dla Gretchen sprawa życia lub śmierci.

Gretchen sięgnęła po pepperoni.

– A Shaughnessy?

– No cóż. – Marconi westchnęła. – Przygotowuję sprawę. Ale...

– Ale?

– Prokuratorzy są dziwni, jeśli chodzi o ściganie gliniarzy. Nawet jeśli ci zacierają ślady po śmierci któregoś ze swoich.

Zwykle była to prawda. Ale o jednym wyjątku Marconi, będąc dość nowa w mieście, prawdopodobnie nie wiedziała.

– Cormac Byrne.

– Życzę powodzenia! – odparła policjantka i Gretchen przewróciła oczami, bo prędzej ucięłaby sobie język, niż przyznała, że cieszy się z powrotu tej wyluzowanej wersji Marconi. Prawdopodobnie wciąż istniały mechanizmy obronne, przez które się nie przebiła, ale teraz wiedziała, że ma szansę spróbować.

– Jest prokuratorem, którego notowania rosną i któremu marzy się Biały Dom. Bardziej dba o swoje długoterminowe ambicje polityczne niż relacje z komendantem policji – powiedziała Gretchen, nie wdając się w szczegóły na temat źródeł tych informacji. Marconi nie musiała wiedzieć o intymnych związkach Gretchen z tym mężczyzną. – Pójdiesz do niego z wygraną z góry sprawą brudnego gliniarza, a prawdopodobnie ucałuje twoje stopy.

Marconi zmarszczyła nos, zapewne wyobraziwszy sobie ten widok.

– Ale jeśli zrobię wokół tego zbyt dużo szumu...

– Ja też zostanę w to wciągnięta – dokończyła jej myśl Gretchen.

Zastanawiała się, czy to by ją teraz obeszło. Pomimo tego, co powiedziała swojej towarzyszce, miała do dyspozycji bardzo drogiego i bardzo zręcznego adwokata. Gdyby ktoś spróbował potraktować śmierć Rowan jako coś innego niż samoobronę, bez wysiłku rozerwałby przeciwnika na strzępy, prawdopodobnie dobrze się przy tym bawiąc.

Poza tym Cormac nie widziałby powodu, by ją ścigać.

W kwestii odpowiedzialności prawnej czuła się bezpieczniej niż wtedy, gdy miała osiem lat.

Fucha w bostońskiej policji była trochę mniej pewna, ale jej dorobek jako konsultantki mówił sam za siebie, a kiedy to wszystko się wydarzyło, była nieletnia. Nawet gdyby ktoś taki jak Lachlan Gibbs wykorzystał to, by

wykluczyć ją ze wszystkich spraw, zawsze pozostawali klienci prywatni. Wielu ludzi byłoby chorobliwie zafascynowanych jej historią, a inni nie przejmowałiby się tym, dopóki mogłaby rozwiązywać za nich ich problemy.

Tak czy inaczej, wciąż będą sprawy, które pomogą zaspokoić tę jej potrzebę.

Prasa może ją potraktować bezlitośnie, zwłaszcza po historii z Violą Kent.

Ale zawsze była bezlitosna, a ona zawsze wychodziła z tego cało. Jej życie określiła śmierć Rowan, dlaczego nie miałyby tak być w przypadku Shaughnessy'ego?

Sięgnęła do torby po kawałek papieru i zapisała na nim numer telefonu.

– Ingerowanie w miejsce zbrodni jest przestępstwem, jeśli odbywa się w trakcie śledztwa. A Cormac prawdopodobnie będzie w stanie ubrać to w coś jeszcze bardziej obciążającego.

Marconi studiowała twarz Gretchen, jakby próbowała ocenić jej szczerłość. Ale potem błyskawicznie wyciągnęła rękę i karteczka zniknęła w jej kieszeni.

– Shaughnessy już złożył podanie o wcześniejszą emeryturę.

Część Gretchen, ta, która właśnie dała Marconi prywatny numer telefonu jednego z czołowych prokuratorów w mieście, krzyczała, że to nie wystarczy. A jednak... Gretchen zrozumiała, że tak naprawdę jej to nie obchodzi. Była tak zmęczona przejmowaniem się Shaughnessym – tym, co pomyśli, jego osądem, życiem, jego priorytetami i moralnością. Czas dać sobie z nim spokój.

Chciał umrzeć, ale nie potrafił sam się zabić, bo za bardzo bał się umierać. Była w tym jakaś piękna sprawiedliwość. System zawiódł ją tyle razy, że nie rozczarowało jej to, że mógłby uniknąć oskarżenia. Będzie żył ze świadomością, jakim naprawdę jest człowiekiem, a dla kogoś takiego jak Shaughnessy to wystarczało.

– A Tabitha Cross? – zapytała.

– Niewiele możemy jej udowodnić – przyznała Marconi z ustami pełnymi pizzy. – Według świadków została zaatakowana, a potem próbowała odeprzeć napastnika. I to wszystko. Może moglibyśmy zarzucić jej ingerowanie w miejsce zbrodni. Ale czy warto?

– Bardot zabiła gliniarza – zauważyła Gretchen. – W tym przypadku nawet najbardziej sceptyczny prokurator musiałby poczuć w wodzie krew.

– Boyd wtargnął do jej domu – powiedziała Marconi. Odłożyła swój kawałek pizzy i spojrzała Gretchen w oczy. – Przykro mi, że nakłoniłam cię do wykopania tego wszystkiego.

Gretchen triumfująco rozparła się w boksie.

– Oho. Czyżbyś przyznawała, że się myliłaś? Że lepsze jest wrogiem dobrego?

Marconi opuściła głowę.

– Może niezupełnie...

– Ale prawie – stwierdziła Gretchen ze śmiechem. – Kto tu odniósł korzyść?

– Wiesz, co się wydarzyło. Wiesz, że nie zabiłaś Rowan z zimną krwią.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała Gretchen i nie było to ani sarkastyczne, ani retoryczne.

A Marconi w jakiś sposób to pojęła.

– Tak. Od dawna sobie wmawiałaś, że jesteś kimś nikczemnym. A teraz wiesz...

– ...że jestem? – wtrąciła Gretchen.

– Nie. – Marconi zdecydowanie pokręciła głową. – Że ocalałaś.

Gretchen odwróciła wzrok.

– Mogłaś odebrać mi broń.

Marconi z łatwością mogła wkroczyć podczas konfrontacji w mieszkaniu Shaughnessy’ego. Była wyszkoloną policjantką i przez cały czas znajdowała się nie więcej niż dwa kroki od Gretchen.

A jednak pozwoliła, żeby to się rozegrało.

Teraz się zaśmiała.

– Wiedziałam, że blefujesz.

Gretchen spojrzała na kobietę, o której zaczęła myśleć jako o partnerce.

– Skąd?

– Ufałam ci – odparła Marconi. Jakby to było łatwe.

Tylko że poczuła, jak te słowa wypalają się piętnem na jej skórze. Bolesne, surowe, nieusuwalne. W ciągu tych lat, w których pracowała z Shaughnessym, ani razu jej tego nie powiedział.

– Dlaczego?

– Chciałabym tu wygłosić pewne ważne oświadczenie – powiedziała Marconi z uśmiechem. – I naprawdę uważałam, że przez cały czas panowałaś nad sobą.

– Ale?

– Ale... nie odbezpieczyłaś pistoletu. – Kobieta roześmiała się i nagle całe napięcie odpłynęło z ciała Gretchen. Zaciśnęła usta, udając irytację, której nie czuła.

– Wystarczyłaby sekunda – zaprotestowała.

– Sekunda, którą wykorzystałabym, żeby cię obezwładnić. – Marconi znów sięgnęła po kawałek pizzy, przyglądając mu się z czymś zbliżonym do żądz. Zanim go ugryzła, podniosła wzrok.

– W każdym razie wiedziałam, że blefujesz.

– Skąd? – zapytała ponownie Gretchen. Logika podpowiadała, że wystarczyłby fakt, że broń była zabezpieczona. Emocje czy przecucie nie powinny jej obchodzić. A jednak zadała to pytanie.

– Czasami „jak” i „dlaczego” nie mają znaczenia – odparła Marconi, przyglądając się jej. Gretchen walczyła z pragnieniem, by się schować. – Czasami tym, co się liczy, są historie, które sobie opowiadamy.

– A jaką historię ty sobie opowiadasz?

– Że jesteś tą, która ocalała – odrzekła spokojnie Marconi. Gretchen się wzdrygnęła, niepewna, co o tym myśleć. Ale policjantka uśmiechnęła się i kontynuowała: – I że jesteś mądra.

– Nie jestem. Gdybym była, już lata temu zorientowałabym się, kim jest Shaughnessy.

– Wiedziałaś, że próbuje cię skłonić, żebyś go zabiła – powiedziała Marconi z pełnymi ustami. – Jediną rzeczą na świecie, której zawsze byłam pewna, jest to, że chciałaś udowodnić Shaughnessy’emu, że się mylił.

I to była prawda. Przez całe życie stanowiła podstawę jej moralnych zachowań.

– A więc nie dlatego, że uważasz mnie za dobrego człowieka.

Nie wiedziała, dlaczego chce, żeby Marconi to przyznała, ale czuła, że chce.

Marconi uśmiechnęła się lekko do swojego talerza, jakby rozbawił ją jakiś własny żart.

– Nie wierzysz w binarność dobra i zła.

– Touché – odparła Gretchen, chociaż wszystko w niej pragnęło, by Marconi przyznała, że jest złym człowiekiem. Podniosła serwetkę, a potem zaczęła ją metodycznie rozrywać. – Nadal chcesz ze mną pracować?

Gdy spotkała się z milczeniem, spojrzała w oczy Marconi.

– Dlaczego poszłaś do Shaughnessy’ego? – zapytała tamta, zamiast odpowiedzieć.

Gretchen spróbowała nie zwracać uwagi na bolesne uczucie, które wywołało to pytanie.

– Żeby wzbudzić w nim poczucie winy i zmusić, by wreszcie wyznał prawdę.

Marconi skinęła głową, jakby tego się spodziewała.

– Gorsza osoba poszłaby tam, by szukać zemsty, by go zabić. – Przerwała, jakby chciała, żeby następne słowa miały większą wagę. – Dziewięć razy na dziesięć...

„Robisz to, co właściwe”, usłyszała w głowie.

– Osiem – powiedziała tak jak w samochodzie kilka dni temu.

– Nie jesteś aż tak okropna ani tajemnicza, jak chciałabyś sądzić, Gretchen White – zakpiła Marconi.

Gretchen pomyślała o tym, jak bardzo pragnęła poczuć w dłoni mózg Shaughnessy’ego, o długiej minucie, w której rozważała konsekwencje zabicia również Tabby i Marconi.

I o tamtej nocy w samochodzie, kiedy patrzyła, jak Shaughnessy zagłusza alkoholem to, co – jak teraz rozumiała – było miazdzącym poczuciem winy, wstydem i wstrętem do samego siebie.

Jeśli życie składało się z działań, a nie myśli, czy nie liczył się fakt, że Gretchen oddała broń, a nie to wszystko, co było wcześniej?

Gretchen nie była jak dobrzy ludzie, którzy po prostu urodzili się z moralnym kompasem; musiała budzić się każdego dnia i podejmować decyzję, aby zrobić to, co właściwe, a nie to, co najłatwiejsze. Zawsze uważała, że kalkulacje, które przeprowadzała w ramach tego procesu, czynią ją mniej godną pochwały. Ale po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że być może efekt końcowy był równie godny uznania. A może nawet bardziej.

Przypuszczała, że powinna podziękować za to Marconi. Za pukanie do jej drzwi i niedopuszczenie, by ją odstraszyła, a przede wszystkim za to, że nie miała jej gdzieś.

Marconi, która znów się do niej uśmiechała, czekając, aż Gretchen zareaguje na to delikatne dokuczanie, na które prawdopodobnie jeszcze nie zasłużyła, jeśli miała być szczerą.

„Nie jesteś aż tak okropna ani tajemnicza, jak chciałabyś sądzić, Gretchen White”.

Gretchen stuknęła się z nią butelką piwa, tym razem niemal – niemal! –  
w to wierząc.

– Chyba nie.



## ROZDZIAŁ 62

SHAUGHNESSY

Teraz

Nikt nie uprzedzał, jak szorstkie są te pomarańczowe kombinezony.

To był dopiero trzeci dzień na bloku, a Shaughnessy już tęsknił za swoimi starymi spodniami z miękkiej bawełny, które przy siadaniu wpijały mu się w pachwiny. Roczny wyrok, który miał do odbycia, wydawał się wiecznością.

Shaughnessy był zaskoczony, gdy ten polityczny rekin w przebraniu prokuratora zaatakował go, jakby wyczuł w wodzie krew, ale jeszcze bardziej zdziwiła go ulga, którą poczuł, gdy sąd ogłosił werdykt. Od lat żył w przerażeniu, że ktoś odkryje jego sekret, jednak w myśli, że trafi do więzienia, było coś niezwykle odświeżającego. W tym, że potem zacznie z czystym kontem.

W tym planie istniał tylko jeden szkopuł. Shaughnessy zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nie został skazany na rok. Gliniarz, który większość życia przepracował w obyczajówce, a potem w kryminalnym, miałby szczęście, gdyby udało mu się przetrwać wśród towarzyszy z celi sześć miesięcy.

Postanowił przyjąć to ze spokojem. Znieść z uśmiechem. Jeśli pewnego dnia dosięgnie go kosa, będzie wdzięczny. Do tego czasu wytrzyma.

W końcu właśnie to zawsze robił. Wytrzymywał.

– Shaughnessy! – zawołał strażnik. – Odwiedziny.

Na dźwięk jego nazwiska rozległo się walenie w kraty, a potem ucichło. Wiedział, że nastąpi rozliczenie. Nie zaraz. Ale wkrótce.

Na razie skierował się w stronę drzwi prowadzących do sali widzeń. Strażnik sprawdził go – jakby naprawdę był w stanie zdobyć tutaj broń – a potem go przepuścił.

Gretchen siedziała przy stole obok automatu z napojami, wyglądając tu tak nie na miejscu, jak orchidea na wysypisku śmieci.

Shaughnessy był zaskoczony, widząc ją tak szybko po cyrku, którym stał się jego proces. Ale przedtem było sześć miesięcy, w trakcie których całe jego życie zostało odtworzone niczym film, a kadry z niego trafiły na pierwsze strony wszystkich gazet w Bostonie.

Oskarżyciel w jego sprawie Cormac Byrne okazał się bezlitosny, wskazując każdą sytuację, w której Shaughnessy dokonał złego wyboru. Byrne nie był w stanie udowodnić, że to Shaughnessy usunął z raportu koronera stronę z informacją o ciąży Rowan, ale nie było trudno przekonać ławę przysięgłych do wyciągnięcia tego oczywistego – i ostatecznie słusznego – wniosku.

Pod koniec procesu Byrne argumentował tak przekonująco, że Shaughnessy sam niemal uwierzył, że to on, a nie Bardot, był inicjatorem tuszowania sprawy po śmierci Rowan.

Tymczasem Bardot, w zamian za swoje zeznania, wyszła z tej afery jedynie z oskarżeniem o wykroczenie i została ukarana wysoką grzywną oraz obowiązkiem prac społecznych.

Tabicie Cross oszczędzono konieczności zapłacenia wysokiej grzywny.

Z ich trojga Shaughnessy sam dźwigał na barkach ciężar tamtej nocy. A ta jego część, która zawsze chciała być dobrym człowiekiem, uważała, że to właściwe rozwiązanie. Jego grzechy były zbyt wielkie, by mógł za nie uzyskać wybaczenie inaczej niż poprzez cały ciężar sprawiedliwości, który na niego spadł.

Ta jego część, która chciała, by Gretchen zakończyła wszystko tamtego wieczoru, kiedy przyszła do jego mieszkania, również się cieszyła. Teraz jedynym wyjściem z tego bałaganu będzie wykrwawienie się na podłodze. Miał tylko nadzieję, że stanie się to szybko.

Żałował jedynie, że Gretchen nie przetrwała tego bez szwanku. W swoich najbardziej brutalnie szczerych chwilach myślał, że to ironia losu, zważywszy na rolę, jaką odegrał w nurzaniu jej imienia w błocie. W pewnym momencie zapragnął ją przed tym chronić i oczywiście całkowicie zawiódł.

Dla niej nie było to jednak nic nowego i miał wrażenie, że widząc, jak się wił, rekompensowała to sobie z nawiązką. Jej odwaga i siła woli zawsze były dla niego powodem do dumy.

Teraz Gretchen ponagląco uniosła brew. Usiadł, bo co innego mógł zrobić?

Przyglądała mu się zimnymi oczami, które tak dobrze znał. Na ułamek sekundy z powrotem znalazł się w tym ciemnym pokoju, z Rowan trzymającą nóż na jej gardle.

Zamrugał, przeganiając ten obraz. Gretchen nigdy nie potrzebowała, by ją ratować.

– Umrzesz tutaj – powiedziała w zwykły dla siebie, bezpośredni sposób. Nie okrutny, ale pozbawiony empatii.

– Tak – przyznał. Mowy nie było, żeby przeżył rok.

– To dobrze – mruknęła. Ale on jej nie słuchał. Była wredna, złośliwa i bezlitosna, zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Ale była jego. Śledził więc wzrokiem jej rysy, starannie zapisując je w pamięci.

Jego córka.

Jego.

Przez całe życie miał skłonność do obsesji. Nawet zaborczości. I wtedy pojawiła się Rowan i dała mu coś, do czego każdy na świecie przyznałby mu prawo.

Jednak nigdy nie miał dość odwagi, by przyznać, że Gretchen jest jego.

Bo była zabójczynią, społecznym wyrzutkiem, którym sam ją stworzył.

Potem zapłacił za to tchórzostwo, kiedy stała się doskonałą konsultantką o błyskotliwej, onieśmielającej inteligencji i zimnym sposobie bycia, który irytował ludzi odbierających go w niewłaściwy sposób. Miała życie lepsze, niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział z trudem i coś ciepłego rozlało mu się w piersi na widok jej pełnej zdziwienia reakcji. Zawsze podobało mu się to, że potrafił do niej dotrzeć. Może nigdy nie mieli – nie mieliby – relacji łączącej ojca i córkę, o jakiej kiedyś marzył, ale zawsze mieli to. Potrafili do siebie dotrzeć.

– Przestań.

Ale nie mógł.

– Wiesz, że jestem. Rozwiązałaś tyle spraw. – Jak zwykle pokręcił głową z niedowierzaniem nad jej osiągnięciami. – Jesteś taka mądra. Taka bystra.

– Gdybym była bystra, zorientowałabym się...

Że był do niczego pod każdym względem. Gówniany ojciec, gówniany detektyw.

– Opowiedziałem sobie pewną historię. A ty w nią uwierzyłaś. Jaką historię ty sobie opowiadasz?

– Że jestem kimś więcej, niż myślałaś.

– Mówię sobie, że jestem tak odważny jak ty – wyznał, bo wiedział, że to będzie jedna z najbardziej szczerych rozmów, jakie kiedykolwiek przeprowadzi.

Gretchen odwróciła wzrok.

– Nie jestem odważna.

– Może nie – przyznał. – Ale jesteś lojalna.

Oczy jego córki spojrzały na niego, szeroko otwarte, jak tamtej pierwszej nocy. Ciekawskie. Nienasycenie ciekawe.

Shaughnessy zastanawiał się, co zrobiliby inaczej, gdyby mógł. Czy jechałby wolniej po tych ciemnych wiejskich drogach, żeby nie wpaść na Rowan? Czy porzuciliby swoją fascynację, a potem obsesję? Czy udawałby, że nigdy nie słyszał nazwiska Anders White? Czy zastrzeliliby Rowan, gdy stanęła w drzwiach, zanim to wszystko, co straszne, rozegrało się przed nimi wszystkimi?

Czy zmieniliby choć jeden moment, by mieć córkę taką jak dzisiaj? Śmiałą, inteligentną, odnoszącą sukcesy? Gretchen stworzyła dla siebie życie, które zawsze podziwiał – nieważne, czyby jej to powiedział, czy nie.

Wyciągnął rękę i poczuł się źle, niezręcznie. Jednak objął palcami jej nienaturalnie nieruchomą dłoń. I powtórzył:

– Jestem z ciebie dumny.

Te słowa wylądowały między nimi, ciężkie i nieporęczne. Cofnęła się gwałtownie, tak jak się spodziewał. Ale chciał, żeby w to uwierzyła. Chociaż popełnił w życiu mnóstwo błędów, nigdy nie żałował tego jednego – Gretchen.

To nie było „Kocham cię” – nigdy nie będzie. Ale właśnie to mógł zaofiarować.

Poklepał jej dłoń. Potem wstał i odszedł w stronę drzwi.

Strażnik przepuścił go z paskudnym uśmiechem.

Dwa tygodnie później stał pod prysznicem, gdy ostrze trafiło go między czwarte a piąte żebro.

Jego ostatnią myślą była Gretchen w świetle księżyca, a potem w słońcu. Jej zdeterminowana twarz. I zrozumiał, że może w swoim zapomnianym przez Boga życiu przynajmniej jedno zrobił dobrze.

## PODZIĘKOWANIA

Do wydania książki potrzeba mnóstwa ludzi i jestem niezmiernie wdzięczna wszystkim z wydawnictwa Thomas & Mercer, którzy nieustrudzenie pracowali nad przekazaniem czytelnikom najlepszej wersji tej historii. Należą do nich fantastyczne redaktorki Megha Parekh i Charlotte Herscher, znakomita kierowniczka produkcji Laura Barrett i jej zespół, wspaniała i cierpliwa Sarah Shaw i cała reszta cudownych ludzi, którzy mają swój udział w wydaniu mojego książkowego dziecka. Bardzo dziękuję. Niezwykle doceniam waszą pracę.

Jak zawsze dziękuję Abby Saul, mojej agentce, za to, że towarzyszyła mi przy pisaniu tej książki w trudnym 2020 roku. Jesteś dla mnie opoką i czuję ogromną wdzięczność, że mnie wspierasz.

Z głębi serca pragnę też podziękować moim przyjaciołom i rodzinie, którzy nieustannie podtrzymywali mnie na duchu przez Zoom, rozmowy telefoniczne i esemesy, ponieważ w tym czasie straszliwej niepewności i stresu wszyscy staraliśmy się być kreatywni i produktywni.

I wreszcie dziękuję wam, drodzy czytelnicy – za poświęcenie waszego cennego czasu na moje historie i ufność, że moja postać, w której głowie niełatwo być, nie wyprowadzi was na manowce. To wszystko jest możliwe dzięki wam.

# Spis treści

|                   |  |
|-------------------|--|
| Strona tytułowa   |  |
| Strona redakcyjna |  |
| DEDYKACJA         |  |
| PROLOG            |  |
| ROZDZIAŁ 1        |  |
| ROZDZIAŁ 2        |  |
| ROZDZIAŁ 3        |  |
| ROZDZIAŁ 4        |  |
| ROZDZIAŁ 5        |  |
| ROZDZIAŁ 6        |  |
| ROZDZIAŁ 7        |  |
| ROZDZIAŁ 8        |  |
| ROZDZIAŁ 9        |  |
| ROZDZIAŁ 10       |  |
| ROZDZIAŁ 11       |  |
| ROZDZIAŁ 12       |  |
| ROZDZIAŁ 13       |  |
| ROZDZIAŁ 14       |  |
| ROZDZIAŁ 15       |  |
| ROZDZIAŁ 16       |  |
| ROZDZIAŁ 17       |  |
| ROZDZIAŁ 18       |  |
| ROZDZIAŁ 19       |  |
| ROZDZIAŁ 20       |  |
| ROZDZIAŁ 21       |  |

ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27  
ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 34  
ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36  
ROZDZIAŁ 37  
ROZDZIAŁ 38  
ROZDZIAŁ 39  
ROZDZIAŁ 40  
ROZDZIAŁ 41  
ROZDZIAŁ 42  
ROZDZIAŁ 43  
ROZDZIAŁ 44  
ROZDZIAŁ 45  
ROZDZIAŁ 46  
ROZDZIAŁ 47  
ROZDZIAŁ 48  
ROZDZIAŁ 49  
ROZDZIAŁ 50  
ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

PODZIĘKOWANIA